SZCZEPAN TWARDOCH

KRÓL

POWIEŚĆ

Warszawa. Burzliwe lata trzydzieste XX wieku. Wielokulturowy, podzielony świat u progu drugiej wojny, targany konfliktami narodowymi, politycznymi, społecznymi, religijnymi. **Zwroty** akcji, romanse, gwałty, **ćwiartowanie ciał**, szantaże, przewroty – podszyte przemocą codzienne życie stolicy.

Trzymająca w **napięciu powieść**, w której autor zderza dwie perspektywy Polski lat trzydziestych: żydowską i polską.

WYDAWNICTWO LITERACKIE
www.wydawnictwoliterackie.pl
bezpłatna linia telefoniczna 800 42 10 40

Cena dla dorosłych 32 zł. 90 gr.

SZCZEPAN TWARDOCH

KRÓL

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

א – alef
ב – bet
ג – gimel
ד – dalet
ה – he
ו – waw
ז – zajn

Przypisy

Opieka redakcyjna: WALDEMAR POPEK
Redakcja: WOJCIECH ADAMSKI
Konsultacja judaistyczna: PIOTR PAZIŃSKI
Przekład dialogów na język jidysz: EWA GELLER
Korekta: JACEK BŁACH, EWELINA KOROSTYŃSKA, TOMASZ KUNZ, ANETA TKACZYK
Projekt okładki i stron tytułowych: RAFAŁ KUCHARCZUK
Redakcja techniczna: ROBERT GĘBUŚ
Skład i łamanie: Infomarket

© Copyright by Szczepan Twardoch
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2016

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-05903-6

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 619 27 70
fax. (+48 12) 430 00 96
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Któż nie jest niewolnikiem?

Herman Melville, *Moby Dick*

א

ALEF

Mojego ojca zabił wysoki, przystojny Żyd o szerokich ramionach i potężnych plecach machabejskiego boksera.

Teraz stoi w ringu, to ostatnia walka wieczoru i ostatnie koło tej walki, a ja patrzę na niego z pierwszego rzędu. Nazywam się Mojżesz Bernsztajn, mam siedemnaście lat i nie istnieję.

Nazywam się Mojżesz Bernsztajn, mam siedemnaście lat i nie jestem człowiekiem, jestem nikim, nie ma mnie, nie istnieję, jestem chudym, ubogim synem nikogo i patrzę na tego, który zabił mojego ojca, patrzę, jak stoi w ringu, piękny i silny.

Nazywam się Mojżesz Inbar, mam sześćdziesiąt siedem lat. Zmieniłem nazwisko. Siedzę przy maszynie do pisania i piszę. Nie jestem człowiekiem. Nie mam nazwiska.

Bokser w ringu nazywa się Jakub Szapiro. Bokser ma dwóch pięknych synów, Dawida i Daniela, ale wtedy tego jakby nie wiem, wiem teraz, że miał. Ma też czarne, lśniące od ciężkiej brylantyny włosy.

Bokser zabił mojego ojca. A teraz walczy.

Walczy w ostatnim kole tej walki. Teraz po polsku mówi się „runda". Więc ostatnia runda.

Mecz o drużynowe mistrzostwo stolicy między Legią a Makabi zaczął się od wagi muszej, a wcześniej od dwóch sensacji. Baśkiewicz i Doroba walczyli w wyższych kategoriach, to była sensacja pierwsza. Drugą był spór między sędziami. Chyba jeszcze nie znałem się wtedy na tym, więc

niewiele mnie to obchodziło, ale słyszałem, co mówią ludzie siedzący obok. Byli podnieceni. Walką i sensacjami.

Siedziałem w pierwszym rzędzie, w sali Kina Miejskiego na rogu Długiej i Hipotecznej. Salę chętnie dzierżawiono, również na potrzeby walk. Wydaje mi się dziś, że to właśnie wtedy po raz pierwszy w życiu oglądałem mecz bokserski.

Dwie obce sobie Warszawy zgromadziły się dookoła ringu, ja między nimi, tuż przy podwyższeniu, ale jakbym siedział wszędzie, na każdym zajmowanym przez Żyda krześle, i patrzyłem na ring z bliska i z daleka jednocześnie. Nikt mnie nie widział.

Dookoła ringu zgromadziły się dwie Warszawy mówiące dwoma językami, żyjące w osobnych światach, czytające inne gazety i darzące się nawzajem w najlepszym razie obojętnością, w najgorszym – nienawiścią, a zwykle po prostu pełną dystansu niechęcią, jakby mieszkały nie ulica w ulicę, tylko rozdzielone oceanem, ja zaś byłem chudym młodzieńcem o bladej skórze, urodziłem się gdzieś tam, nie pamiętam gdzie, chyba siedemnaście lat wcześniej, powiedzmy więc, że w roku 1920, i nadano mi imię Mojżesz, nazwisko Bernsztajn zaś zwyczajnie odziedziczyłem po ojcu Naumie, nosiła je również moja matka Miriam, wszyscy wyznania mojżeszowego, i urodziłem się jako obywatel niedawno odrodzonej Rzeczpospolitej Polskiej, i jako tejże Rzeczpospolitej obywatel nieco pośledniejszej niż polska kategorii siedziałem na widowni sali Kina Miejskiego, które kiedyś było Teatrem Nowości, potem budynek na rogu Długiej i Hipotecznej zajął teatr Bogusławskiego, a w końcu zajęły kino i boks.

Najpierw walczyli szczupli bokserzy wagi muszej i żydowska Warszawa krzyczała z radości, kiedy po walce sędzia podniósł rękę Rundsteina. Kamiński, kościsty pięściarz Legii, poddał się po pierwszej rundzie, cały zalany krwią.

Dalej – kogucia. W pierwszym kole nasz bokser, jak domyśliłem się po krzykach żydowskiej publiczności, wygrywał. Nazywał się Jakubowicz. Polski sędzia ringowy wyraźnie faworyzował zawodnika Legii, redukując punktową przewagę Jakubowicza kolejnymi, nieuzasadnionymi upomnieniami. Koła były trzy, po trzecim sędzia punktowy niesprawiedliwie przyznał zwycięstwo Baśkiewiczowi z Legii i się zaczęło.

Jakiś gruby Żyd w okularach cisnął w sędziego papierową torebką pełną wiśni, krzycząc, że tu wszyscy potrafią liczyć. Rzucił się na niego polski apasz, grubas sprawnie oddawał ciosy, rozdzielono ich zaraz, ale mecz na kilka minut przerwano.

Gdy salę udało się uspokoić, do ringu wkroczyli zawodnicy wagi piórkowej i bardzo powolnego Szpigelmana z łatwością na punkty zwyciężył Teddy, czyli Tadeusz Pietrzykowski, mistrz miasta Warszawy, ten sam, który później, w innym świecie walczył jako więzień w obozach w Auschwitz i Neuengamme.

W lekkiej Rozenblum skutecznie obił twardego i wytrzymałego Bareję.

W półśredniej Niedobier zdecydowanie dominował nad Przewódzkim, mimo to sędzia ogłosił remis. Żydowska publiczność buczała, chrześcijańska biła brawo.

Potem średnia. Doroba z Legii powalił naszego Szlaza w pierwszych sekundach pierwszego koła i nie da się ukryć, Szlaz po prostu wlazł mu na prawy prosty, który Doroba miał wybuchowy. I jak wlazł, tak poległ. Żydowska publiczność ponuro milczała, polska zgotowała zwycięzcy aplauz.

W półciężkiej fortuna się odwróciła: Neuding posłał na deski Włostowskiego, który, liczony, wstał co prawda przy dziewiątce, ale sędziowie ogłosili techniczny knock-out.

Potem na ring wyszli bokserzy wagi ciężkiej.

– W prawym narożniku zawodnik Legii Warszawa Andrzej Ziembiński! – wykrzyczał konferansjer. Oklaski.

Był z nich wszystkich zdecydowanie najprzystojniejszy i w ogóle nie wyglądał jak bokser, raczej jak lekkoatleta. Bardzo wysoki, miał długie, chociaż umięśnione kończyny i również długi tors pływaka, bardzo jasne, prawie białe włosy podgolone po bokach i dłuższe na górze, zaczesane z przedziałkiem, oraz bladoniebieskie oczy i kanciastą szczękę art déco.

Przez chwilę wydał mi się podobny do gwiazdora filmowego, ale zaraz zrozumiałem, że to coś innego, że wygląda jak ze zdjęć i rysunków niemieckich sportowców, aryjskich półbożków, jakie czasem przedrukowywała ilustrowana prasa. Jednocześnie było w jego twarzy coś delikatnego, prawie dziewczęcego, zadbanego, coś, czego nie potrafiłem

nazwać, a o czym dziś wiem, że jest po prostu cechą ludzi z klas wyższych, rozpieszczanych przez życie.

– W lewym, proszę państwa… – konferansjer zrobił pauzę.

Po żydowskich trybunach poniósł się szum.

– W lewym narożniku w barwach Makabi Warszawa… – jeszcze jedna pauza.

Szumiało. Konferansjer z satysfakcją rozglądał się po trybunach. Na mecz przyszło ponad dwa i pół tysiąca widzów.

– Jakub Szapiro!!! – ryknął w końcu.

Żydowskich kibiców roznosił entuzjazm, klaskali, krzyczeli, skandowali jego nazwisko, kibice polscy bili oszczędne brawa, bokserzy stanęli naprzeciwko siebie. Zabrzmiał gong i sala ucichła.

Był piękny, pięknem innym niż Ziembiński, urodą jakby posępną, był też trochę niższy, ale mierzył na pewno powyżej metra osiemdziesiąt, i nie tak smukły, wyraźnie cięższy.

Rysy miał twarde i grube, na nosie ślad dawnego złamania, mimo to był piękny nawet w tych śmiesznych, lśniących spodenkach, w gimnastycznym podkoszulku na ramiączkach z napisem „Makabi" na piersi i w przypominających skarpetki sportowych pantoflach, którymi macał jasno oświetlony ring, jakby dotykał kruchego lodu, lekko, lewa-prawa, lewa-prawa, tak lekko, jakby nie był zwalistym bokserem wagi ciężkiej, dziewięćdziesiąt dwa kilogramy zbitych mięśni, twardych kości i akurat takiej ilości twardego sadła nad szerokim pasem bokserskich spodenek, by wypełnić kamizelkę, gdy zamieni sportowy strój na garnitur.

Ziembiński ważył osiemdziesiąt dziewięć kilogramów, ale wyglądał na mniej, pod skórą grama tłuszczu, tylko mięśnie wyrzeźbione ciężką pracą, niczym na greckim posągu.

Czułem bardzo wyraźnie spokój i pewność siebie żydowskiego boksera. Czułem też przyjemność, dreszcz przyjemności, gdy tłum krzyczał jego nazwisko. I czułem, jak ten dreszcz, niby seksualna rozkosz, rozchodził się w jego ciele, kiedy skandowali:

– Sza-pi-ro, Sza-pi-ro, Sza-pi-ro!

Widziałem, z jakim spokojem się nosi, jak jest pewien swojego ciała, jak nim włada, jak mu się to ciało wyćwiczone, skatowane na treningach

poddaje, jakby naciągnięte wewnętrznymi sprężynami, z jaką swobodą pracuje głową i ramionami, jakby prześlizgiwał się pod belkami niskiego stropu.

I jak uderza.

Siła idzie z nóg. Stopy, wewnętrzne krawędzie, kolana do środka, wszystko bardzo sprężyście, prawa pięść w rękawicy broni zawiasów żuchwy z prawej strony, lewych – lewy bark, łokcie blisko przy ciele. A kiedy uderza, całe ciało musi się spiąć w jednym wyrzucie energii.

Lewe biodro i bark skręcają się, szarpnięte mięśniami brzucha i grzbietu. Skurcz tych mięśni ściska przeponę, żebra, dlatego uderzeniu towarzyszy syknięcie, kiedy ucieka wyciśnięte z płuc powietrze.

Skręca się też lewa stopa, jakby peta gasił, i nagle wyrzuca lewą rękę, jakby kamieniem rzucał, pięść się w locie skręca i uderza krótkim strzałem, jak batem, i zaraz wraca, jakby cały był sprężyną.

Czasem jednak pięści nie owija bandaż ani nie otula rękawica. Czasem pięść nie uderza w worek. Czasem kość uderza o kość, sypią się zęby.

Czasem tak właśnie jest. Czasem tak musi być.

Ale teraz tanecznym krokiem podchodzi do Ziembińskiego, płynie po ringu, zmienia nogi, trochę jak Charlie Chaplin w kinowej komedii, podchodzi, lewą delikatnie dźgając powietrze, jakby szukał dziury w otaczającym przeciwnika kokonie.

Ziembiński odpowiada, walczy dobrze, to świetny bokser, teraz to wiem, bo wtedy chyba nie wiedziałem, wydaje mi się, że nie znałem się na boksie, że patrzyłem i nie wiedziałem, co widzę, ale teraz przypominam sobie moje ówczesne na nich spojrzenie i wydaje mi się ono spojrzeniem rozumnym, spojrzeniem analitycznym, spojrzeniem dostrzegającym w nich wszystko, co dostrzec potrafi tylko spojrzenie wprawne, zaznajomione z tym, na co patrzy. Może to moje spojrzenie dzisiejsze, nie ówczesne.

Walczyli w tempie szybszym niż to, w jakim zwykle walczą ciężcy bokserzy. Przed którymś z szybkich jak Luxtorpeda (tak następnego dnia napisali w gazecie) lewych Ziembińskiego Szapiro schodzi obrotem, lecz nie na wiodącej lewej nodze, tylko na prawej i na moment przyjmuje postawę mańkuta, z prawą z przodu, po czym zaskoczonemu

Ziembińskiemu wrzuca w twarz dwa szybkie prawe, rozbijając lewy łuk brwiowy. Bokser Legii nawet nie wie, co go trafiło, ale Szapiro mu odpuszcza, odskakuje, rozluźnia się metr dalej, chociaż mógłby go teraz zepchnąć na liny, zasypać gradem sierpów na głowę i żebra.

– Kończ go teraz, kończ...! – krzyczy sekundant.

Szapiro mógłby teraz skończyć. Ale odpuszcza. Jest pewny siebie, zbyt pewny siebie. Ignoruje krzyki sekundanta. Chce się jeszcze bić.

Ma trzydzieści siedem lat. Nie jest już młody. Urodził się jako poddany cara Mikołaja II, pod adresem Nowolipki 23, numer mieszkania 31, niecałe dwa kilometry od miejsca, w którym właśnie walczy. W akcie urodzenia figuruje rosyjskie imię Иаков, żona (chociaż nie mają ślubu, to jednak żona) mówi do niego po polsku „Jakub", albo czasem, tak jak matka, zwraca się doń imieniem Jankiew, po żydowsku, nazwisko pozostawało niezmienne, ale dla mnie zawsze był Jakubem, kiedy oczywiście przestał być panem Szapiro.

Przyglądałem mu się wtedy z nienawiścią, chociaż nie wiedziałem jeszcze, że zabił mojego ojca. Wiedziałem tylko, że go zabrał. Wszystkiego dowiedziałem się później i później też pokochałem Jakuba Szapirę i chciałem stać się Jakubem Szapirą i może jakoś się nim stałem.

A może już wiem. Może wiem już wszystko.

Widziałem, dwa dni wcześniej, jak Szapiro wyciąga mojego ojca Nauma Bernsztajna z naszego mieszkania w kamienicy na rogu Nalewek i Franciszkańskiej, pod numerem 26, mieszkanie 6, wlecze go za długą brodę, klnąc pod nosem.

– Byz alejn szildyg, di szojte ajno, di naryszo frajer![1]– mówi Szapiro, szarpiąc za brodę mojego ojca.

Na dole, eskortowany przez olbrzyma Pantaleona Karpińskiego i szczurkowatego Munję Webera, o których napiszę później, wrzucił mojego ojca do kufra swojego buicka i odjechał.

Stałem w kuchni, matka szepnęła, bym nie drgnął nawet, więc nie drgnąłem, ojciec schował się w szafie, znaleźli go zaraz i wyciągnęli, a kiedy zobaczyłem, jak wywlekają go za brodę z domu, to nagle i nieświadomie uwolniłem zawartość pęcherza, plama moczu rosła szybko na wełnianych spodniach.

Zatrzymał się wtedy przy mnie, nie puszczając brody mojego ojca.

– No, nic się nie bój, chłopczyk – powiedział bardzo delikatnie, nie spodziewałem się takiej delikatności.

Na prawej dłoni, widziałem z bliska, wytatuowane miał bladosiną kreską miecz obosieczny i cztery hebrajskie litery: תוום, mem, waw, waw i taw, patrząc tak jak się pisze, od prawej, co po hebrajsku oznacza śmierć.

Rzuciłem się na niego wtedy, próbowałem uderzyć. I wcześniej chętnie się biłem, z żydowskimi i chrześcijańskimi chłopcami odbywaliśmy wielkie bitwy na pięści i kamienie, na placu Broni, cheder przeciwko chederowi, szkoła przeciwko szkole, póki nas policja nie przegoniła. Jak wszyscy.

Szapiro jednak nie był wyrostkiem. Uchylił się przed moim dziecinnym atakiem, przewrócił oczami, nie uderzył nawet, tylko odepchnął, mama krzyczała, upadłem na podłogę między stołem a kredensem, płakałem. Cały czas widziałem miecz i śmierć wytatuowane na wierzchu dłoni zaciśniętej na brodzie mego tatki.

Postanowiłem wtedy, że nigdy nie będę miał brody. Cała reszta z tego postanowienia przyszła sama. Postanowiłem, że stanę się jak on.

Kiedy przyglądałem się Szapirze podczas bokserskiego meczu w Teatrze Nowości, nie widziałem tatuażu, kryła go rękawica, pod nią jeszcze bandaż. Nie znałem zresztą dobrze hebrajskiego, czasem nawet dziś wydaje mi się, że nie znam dobrze hebrajskiego, nie wiem, czy odgadłbym, co oznacza תוום.

Mimo że na boks patrzyłem chyba po raz pierwszy w życiu, to patrzyłem z fascynacją. Już jako chłopiec lubiłem się bić, bo bić się znaczyło dla mnie być nowym, innym Żydem, Żydem ze świata, którego wzbraniali mi ojciec i matka, a który mnie pociągał, chociaż niewiele o nim wiedziałem, świata, który nie bał się przeciągu i świeżego powietrza, tak przerażających mełameda z naszego chederu, świata bez pejsów i tałesów. Patrzę więc.

Szapiro, chociaż ciężki, jest niezwykle skoczny, pracuje na ugiętych nogach dookoła Ziembińskiego, jakby szukał dziury w szczelnej obronie wyższego boksera, gardę nosi nisko, prawa pięść przy prawej piersi, lewa na tej samej wysokości przed nią.

Chyba dopiero po wojnie bokserzy zaczęli ręce nosić wyżej.

Szapiro cały czas pracuje, jakby był nakręcony, lewo, prawo, nieliczne ciosy Ziembińskiego na korpus blokuje łokciami, przed tymi w głowę uchyla się zwinnie i sprężyście, jakby nie walczył w wadze ciężkiej, lecz koguciej, i cały czas ustępuje przeciwnikowi, pozwala mu się spychać na liny.

Ziembiński, mimo krwi spływającej z rozbitego łuku brwiowego, ma wyraźną przewagę. Atakuje cały czas, Szapiro tylko się broni, unikami, gardą, czasem oddaje szybki lewy.

Wygląda, jakby miał przegrać, i tej przegranej bardzo mu życzę.

Ale jest zupełnie spokojny. Robi uniki, odskakuje, markuje lewą, bawi się. Jakby pracował na worku, a nie walczył w ważnym meczu. Bawi się, zrelaksowany, i widzi, że Ziembiński, doświadczony w końcu bokser, bardzo się jego spokoju boi.

Nie ma w ringu straszniejszego przeciwnika niż przeciwnik spokojny i pewny siebie. Najstraszniejszą miną, jaką może przybrać bokser, jest uśmiech.

Mnie jednak ciągle wydaje się niemożliwością, by Żyd, który zabrał z domu mojego ojca, mógł pokonać tego smukłego blondyna z wyhaftowanym na koszulce biało-czarno-zielonym herbem Legii Warszawa. Ziembiński zdaje się górować nad nim nie tylko fizycznie, nie tylko zasięgiem ramion i wzrostem, ale też tym, że Ziembiński jest tutaj u siebie, należy do klasy właścicieli i zarządców tego kraju.

Mógłby być nawet robotnikiem, biedniejszym od Nauma Bernsztajna, który już nie żyje, chociaż dziś wiem, że bynajmniej nie był biedniejszy, jednak jako jasnowłosy olbrzym z herbem Legii na piersi będzie zawsze kimś lepszym niż żydowski bokser w koszulce Makabi.

Nie mieściło mi się wtedy w głowie, żeby Żyd w ringu mógł zwyciężyć chrześcijanina, chociaż my na placu Broni bijaliśmy się z chrześcijańskimi chłopcami. Ale to było co innego. A ja miałem wtedy siedemnaście lat, znałem tylko światy chederu, jesziwy, synagogi i domu.

Potem poznałem wszystkie inne.

Ziembiński spycha Szapirę aż do lin, polska publiczność myśli, że już po nim, ale żydowski bokser nagle leci w tył, jakby chciał upaść na plecy, liny naciągają się, utrzymując ciężar jego ciała, po czym wyrzucają go jak

kamyk z gumowej procy – Szapiro w perfekcyjnej rotacji nurkuje pod zamaszystym prawym sierpem Ziembińskiego i uderza z dołu potężnym, lewym hakiem, wkładając w ten cios, napędzany jeszcze sprężystością lin ringu, skręt barków, bioder i wyprost kręgosłupa; Ziembiński trafiony w podbródek natychmiast wiotczeje i z hukiem pada na ring, jakby Szapiro znalazł w jego szczęce pstryczek, przełącznik, którym można człowieka wyłączyć tak, jak wyłącza się światło elektryczne.

Szapiro przeskakuje nad leżącym przeciwnikiem, idzie do swojego narożnika, Ziembiński zaś nie leży spokojnie, tylko nieprzytomny drga jak przy ataku padaczki, oczy odwrócone w głąb czaszki, nogami i ramionami rzuca jak zarzynane zwierzę.

Publiczność wrzeszczy, podnosi się z krzeseł, w emocji tłumu jeszcze nieukierunkowanej, płynącej z samego zaskoczenia, podniecenia walką, która nie trwała nawet dwóch minut; sekundę później entuzjazm się ukierunkowuje, już wszyscy wiedzą, co się wydarzyło, żydowscy kibice eksplodują radością, jakby to oni sami właśnie powalili każdego Polaka, który kiedykolwiek spojrzał na nich krzywo, publiczność chrześcijańska buczy, oburzona, że zakłócono właściwy rzeczy porządek.

Sędzia rzuca się ku Ziembińskiemu, zaczyna go wyliczać, jednocześnie sprawdzając puls; Szapiro nawet nie zaszczyca żadnego z nich spojrzeniem, ani sędziego, ani powalonego, nieprzytomnego przeciwnika.

Nie czekając, aż sędzia wypowie ostateczne „dziesięć” i zamacha rękami, wypluwa ochraniacz na zęby i kiwa głową na sekundanta w granatowym pulowerze z wypisanym na piersi polskimi literami słowem „Makabi”.

Na ring wskakuje lekarz, obmacuje czaszkę wciąż nieprzytomnego, ale leżącego już spokojnie polskiego boksera.

Sekundant Jakuba wyciąga z kieszeni papierośnicę, zapala papierosa i podaje go bokserowi prosto do ust. Szapiro zaciąga się parę razy, wychyla się przez liny, sekundant wyjmuje mu papierosa z ust i gasi.

Dziś wiem, że żaden inny bokser nie pozwoliłby sobie ani wtedy, ani teraz na takie zachowanie, ale wiedziałem i widziałem, że było w tym paleniu bez zdejmowania rękawic coś arogancko wielkopańskiego i bardzo mi się to podobało, bo nigdy wcześniej nie widziałem Żyda, którego byłoby

na taką wielkopańską arogancję stać. Wiedziałem, że tacy Żydzi istnieją, ale ich nie widywałem.

Miałem wtedy siedemnaście lat.

Kiedy miałem lat dziesięć, pojechaliśmy z moją mamą na letnisko do Świdra. Nasze rzeczy i pilnujący ich tato furmanką, a mama i ja trzecią klasą, kolejką wzdłuż di linje, Miedzeszyn, Falenica, Michalin, dalej do Świdra właśnie. Było to moje pierwsze letnisko i pierwszy raz w ogóle byłem poza miastem, i wszystko mi się podobało, szczególnie słońce – inne niż w mieście – do którego palącego blasku nabrałem wtedy wielkiego upodobania, tak wielkiego, że nie straciłem go nawet tutaj, wśród białych domów, pod zupełnie innym niebem, pod palącym słońcem Ziemi Izraela.

Poszliśmy z mamą na spacer po sosnowym lesie, mama w końcu rozłożyła koc i wyjęła z koszyka kanapki i butelkę lemoniady z patentowym kapslem, ja biegałem po lesie, ale ostrożnie, tak żeby nie stracić jej z oczu. Zbierałem szyszki. Kiedy podniosłem głowę, zobaczyłem, że stoi nade mną jasnowłosa dziewczynka, starsza ode mnie, chrześcijanka, miała niebieską sukienkę i warkoczyki.

– Dzień dobry – powiedziałem.

Prychnęła, przewróciła oczami, odwróciła się i uciekła biegiem.

Zrozumiałem wtedy, dlaczego odeszła. Nie chciała słuchać żadnych „dzień dobry" od małego Żydziaka z pejsami.

Potem zrozumiałem, że odejść mogła z każdego dowolnego powodu, mogła się mnie bać, mogła nic nie czuć, a ja sobie całą resztę po prostu dopisałem.

Jeszcze później pojąłem, że tę całą resztę dopisałem sobie bardzo słusznie.

Wtedy, w Świdrze, zbierając szyszki między sosnami i mając lat dziesięć, poczułem i wiedziałem: nie chcę, żeby ktokolwiek patrzył na mnie w ten sposób, ale nie wiem, nie mam pojęcia, co mógłbym z tym zrobić, i uznałem to za nieodłączny element mojej żydowskiej kondycji. Takim już będę, takim pozostanę, tak mi się wydawało. Nie chciałem taki być, nie chciałem być Żydem, ale nie być Żydem wydawało mi się równie prawdopodobne jak zostać Tomem Mixem, którego nieme, konne przygody oglądaliśmy w ciemnych tunelach obwoźnych kinematografów,

zajeżdżających jeszcze w czasach mojego dzieciństwa na podwórka naszego świata, naszej osobnej Warszawy.

Zresztą może to wszystko tak naprawdę wcale się nie przydarzyło mnie, może opowiedział mi tę historię Szapiro? Nasze życia się zlewają w jedno.

Siedząc w wieku lat siedemnastu w sali dawnego Teatru Nowości, zrozumiałem, że to nieprawda. Nie muszę być tym chłopcem zbierającym szyszki. Żyd może nie być takim Żydem, Żyd może być innym Żydem, tak samo dobrym jak chrześcijańscy panowie.

Widziałem, jak kobiety, Żydówki i chrześcijanki, patrzą na Szapirę i patrzą na niego zupełnie innym spojrzeniem niż to, którym obdarzyła mnie jasnowłosa dziewczynka w sosnowym lesie na letnisku w Świdrze.

I ja też patrzę, jak Jakub Szapiro zadziera głowę, zaciągając się mocno trzymanym w ustach papierosem, i jak nachyla się ku sekundantowi, a ten mu tego papierosa z ust posłusznie wyciąga, Szapiro wydmuchuje wielką chmurę niebieskiego dymu, który w świetle reflektorów układa się w arabeski niczym w jakiś alfabet męskiej siły, a Szapiro, potrząsając ramionami, rozluźniając mięśnie, podchodzi do sędziego, niby w oczekiwaniu werdyktu, chociaż przecież wiadomo, że Ziembiński nie tylko nie wstał przy wyliczaniu, ale ciągle jeszcze leży.

Sekundanci próbują go ocucić, w końcu się udaje. Sędzia chwyta dłonie zawodników, dłoń Szapiry podnosi do góry, Ziembiński chwieje się na nogach i toczy błędnym wzrokiem, konferansjer ogłasza koniec ostatniej walki tego wieczora, zwycięstwo zawodnika klubu Makabi Warszawa. Bijemy brawo. Ja też biję.

Zamroczony ciągle Ziembiński podaje Szapirze rękę w rękawicy, Szapiro trąca ją gestem, który w porannym wydaniu „Kurjera Warszawskiego" niechętny Szapirze polski redaktor Witold Sokoliński nazwie symbolem niezaskakującego u żydowskiego boksera braku sportowego ducha, jasno stwierdzając, że Szapiro dłoni przeciwnika nie uścisnął.

Życzliwy żydowski dziennikarz w „Naszym Przeglądzie" napisze, że dłoń Ziembińskiego Szapiro uścisnął lekceważąco.

Andrzej Ziembiński zaś, wciąż zamroczony, w ogóle gestu nie widzi, sędzia odprowadza go do narożnika i oddaje sekundantom.

Chrześcijańska publiczność widzi gest żydowskiego boksera, rozlegają się gwizdy, wtedy z pierwszego rzędu krzeseł podnosi się niewielkiego wzrostu mężczyzna i odwraca do trybun, i patrzy, po prostu patrzy, jakby wyglądał tych, co gwiżdżą. Gwizdy milkną natychmiast, a ja jeszcze nie wiem, kto to jest.

Konferansjer ogłasza meczowe zwycięstwo Legii, dziewięć do siedmiu.

Jakuba Szapirę nie obchodzi wynik całego meczu, Jakub Szapiro jest zwycięzcą, Jakub Szapiro jest jak Dawid po zwycięstwie nad Filistynami i Jebusytami, Jakub jest królem, a jego synowie, na sali rzecz jasna nieobecni, są królewiętami.

Sekundant czeka nań z nowym zapalonym papierosem, Szapiro zaciąga się przez chwilę, patrząc na publiczność wyzywająco i triumfująco, i pod ciężarem jego wzroku milczą ostatnie buczenia, potem unosi liny, przesuwa się między nimi i zręcznie zeskakuje. Gwizdów już nie słychać. Pali dalej, kiedy jeden sekundant osusza go ręcznikiem, a drugi, ten który wcześniej zapalił mu papierosa, rozsznurowuje i ściąga rękawice i bandaże z dłoni.

Nie ma już więcej walk. Na sali rozlega się gwar, szuranie, publiczność nagle wraca do rzeczywistości, podnosi się z krzeseł, zbiera się do siebie, jutro trzeba do pracy, boks był i zniknął, wrócił świat.

Coś stało się we mnie tamtego dnia, kiedy to wszystko zobaczyłem. Jakbym to ja stanął i walczył w ringu przeciwko temu jasnowłosemu Goliatowi, jakbym to ja sam tam był.

Jakby wszystko, co później wydarzyło się w moim życiu, swój początek, swoje źródło miało w tych niecałych dwóch minutach w ringu.

Kiedy sekundanci uwolnili mu ręce i podali szlafrok, Szapiro podszedł do siedzącego w pierwszym rzędzie niskiego, korpulentnego mężczyzny, tego, który uciszył publiczność gwiżdżącą po aroganckim geście Jakuba.

Był to człowiek o imponująco sklepionej, ale zupełnie pozbawionej włosów głowie. Niedostatek ten rekompensowały wielkie, wypomadowane i podkręcone pod oczy wąsy, bardzo staroświeckie, ale pasujące dobrze do drogiego, staromodnego i nieco przyciasnego garnituru z granatowego tenisu.

Na opinającej krągły brzuch kamizelce lśniły złote dewizki i łańcuszki od zegarka i kluczyka, w kieszonki kamizelki zatknął palce, a nogę założył na nogę. Miał te nogi krótkie i pulchne i wyglądało, jakby ktoś próbował skrzyżować palce środkowy i wskazujący, ledwie dał radę przełożyć prawą łydkę nad lewym kolanem. Spodnie podjechały przy tym wysoko, odsłaniając męskie podwiązki i biały kawałek ciała między czarną, jedwabną pończochą a krawędzią spodni. Czubek czarnego pantofla z patentowej skóry, od dołu okuty lśniącą blachą, poruszał się miarowo, kiedy mężczyzna śmiał się głośno, trzęsąc się od tego, i nawet z daleka, wśród wiwatów publiczności słyszałem jego piskliwy rechot.

– Aleś go zajechał, Kuba, aleś go zajechał...! – krzyczał i klaskał w tłuste dłonie.

Nie wiedziałem wtedy, jak się naprawdę nazywał, ale doskonale wiedziałem, kim jest. Od Kercelaka po Tłomackie, od placu Broni po Halę Mirowską, na Nalewkach, na Gęsiej, na Miłej, na Lesznie wszyscy wiedzieli, kim jest ten niski, wesoły i straszny goj.

– Kum Kaplica idzie – szeptano, kiedy kołysząc się na pałąkowatych nogach, niespiesznie promenował po chodniku, marynarka rozpięta, kciuki zatknięte w kieszonkach marynarki, w zębach papieros w rogowej lufce. Za nim, w pełnej szacunku odległości, szła zwykle obstawa, rękojeści naganów i browningów zawsze widoczne, nieskrywane pod kamizelkami, nawet gdy mijali odwracających wzrok policjantów.

Dlaczego Kuma nazywano Kumem, wtedy nie wiedziałem. Naprawdę nazywał się Jan Kaplica, a kumem został, bo każdemu, kto tylko zechciał jego przyjaźni, był przyjacielem, drogo sobie jednak swoją przyjaźń ceniąc.

Nie wiedziałem, jak zaczynał, wiadomo wszystkim było tylko to, że był w PPS-ie i jeszcze za cara biegał z pistoletem, i robił ekspropriacje w Organizacji Bojowej, potem był podobno bekiem, a potem nie wiadomo, co jednak wiadomo, to że kiedy raz policja aresztowała Kaplicę, to na posterunku zadzwonił telefon od samego polskiego prezydenta czy innego premiera i jakiś inspektor albo komisarz, albo nawet może minister osobiście własnym samochodem odwiózł go pod mieszkanie, drzwi otwarł niczym szofer, kłaniał się i jeszcze przeprosił.

Nie wiedziałem również, że Kum Kaplica był człowiekiem, na którego polecenie Jakub Szapiro zabił mojego ojca. Nie wyobrażałem sobie nawet,

żeby ktoś taki jak Kum Kaplica, prawdziwy puryc, mógł zdawać sobie sprawę z istnienia mojego ojca, skromnego urzędnika administracji Lecznicy Żydowskiej i nieudanego sklepikarza.

Jednak na tatki mojego nieszczęście Kum Kaplica z istnienia jego zdawał sobie sprawę doskonale.

W dniu, w którym mój tatko dokonał żywota z ręki Jakuba Szapiry i jego ludzi, Kum Kaplica od siódmej rano jak każdego dnia siedział przy swoim stoliku w małej paszteciarni Sobenskiego przy ulicy Leszno 22, obok parafii ewangelickiej.

Nikt poza Kaplicą nie ważył się przy tym stoliku usiąść. Sobenski, Żyd mocno zasymilowany, niebywający w bożnicy wcale, a jak już, to tylko w Wielkiej Synagodze, gdzie kantor ośmielał się sławić Pana Boga po polsku, osobiście spieszył do swojego handlu każdego dnia przed szóstą, żeby na przyjście Kaplicy paszteciki i kawa były gotowe i gorące. Jeśli Kaplica sobie tego życzył, to Sobenski biegł do paszteciarni nawet w szabas.

Kaplica przychodził punktualnie o siódmej, wieszał melonik na wieszaku, a jeśli była jesień, to i palto, i szal, a jeśli była zima, to futro, a jeśli na trzewiki przy ulewie lub plusze założył kalosze, to kalosze ściągał i odkładał pod wieszak.

Rozdziawszy się, witał się wylewnie z właścicielem, siadał, rozkładał „Kurjer Warszawski" i czytał, niemo poruszając przy tym ustami i wodząc grubym palcem po tekście. Sobenski osobiście podawał mu dużą czarną i gorące, koszerne paszteciki. Do siódmej trzydzieści nikt nie miał prawa Kaplicy przeszkadzać.

– To mój czas, jedyne pół godziny z całego dnia, które należy tylko do mnie! – mawiał i pilnie studiował ogłoszenia drobne i reklamy, zaśmiewał się przy rysunkowych żartach i komicznych wierszykach na ostatniej stronie.

O wpół do ósmej przychodził doktor Radziwiłek, zamawiał kawę, brał „Nasz Przegląd" i przysiadał się do okrągłego stoliczka, czytali razem gazety i naradzali się długo. O Radziwiłku opowiem później, będzie on w tej historii ważną osobą, ale jeszcze nie teraz. Był on w każdym razie najbliższym wspólnikiem i zastępcą Kaplicy.

Zwykle Kaplica zapraszał też na siódmą trzydzieści Szapirę i pozwalał mu tych rozmów z Radziwiłkiem słuchać, jako jedynemu ze swych ludzi, namaszczając go tym niejako na pierwszego wśród żołnierzy.

O ósmej przychodziła reszta gangu Kaplicy, wypełniając szczelnie małą paszteciarnię. Pili i jedli, plotkowali, przekrzykiwali się po polsku, żydowsku i rosyjsku, zdawali raport z porannych obowiązków i wręczali Kaplicy należne mu zwitki banknotów, a Kaplica, nie wstając od stolika, zlecał im zadania na nadchodzące dzień i noc.

Dzień, w którym umarł mój ojciec, zaczął się podobnie.

9 lipca 1937 roku w Warszawie było ciepło, ale nie upalnie, dwadzieścia stopni, przez cały dzień chmurzyło się niebo trochę i czasem padało.

O siódmej Kaplica rozsiadł się u Sobenskiego, wypił swoją kawę i zjadł cztery paszteciki z siekaną baraniną i rodzynkami. Sobenski włączył radio, Kaplica wysłuchał porannego dziennika, potem, kiedy w radio grali muzykę z płyt, przestudiował w „Kurjerze" artykuł o sytuacji w Hiszpanii.

– Jenerał Franco naszych na cacy już załatwił – martwił się Kaplica, a Sobenski przytakiwał i martwił się na zawołanie, chociaż Hiszpanię, wojnę domową, generała Franco i wszystko poza stanem kasy jego paszteciarni miał głęboko w dupie.

Kaplica machnął ręką na Hiszpanię i zagłębił się w lekturze dziewięćdziesiątego dziewiątego odcinka powieści *Amaranty* Juliusza Germana, w którym książę Poniatowski przemawia w warszawskim teatrze. Był odcinkiem znudzony, zaciekawił go dopiero ostatni akapit, w którym pojawia się „młoda, czarownie zwinna pani". Westchnął, pstryknął palcami na Sobenskiego, ten dolał mu kawy.

Radziwiłek nie przyszedł, bo miał interesy w Łodzi. O siódmej trzydzieści swoim buickiem podjechał Szapiro, odziany w dwurzędowy szary garnitur, w miękkim kapeluszu na głowie. Przywitał się z Kaplicą i Sobenskim, zamówił kawę, korzystając z nieobecności Radziwiłka, wziął nieczytany jeszcze „Nasz Przegląd", bo wymiętych od przeglądania czasopism nieco się brzydził, po czym siadł obok swojego szefa, gazety na razie nie otwierając.

– Złapali wczoraj tych z Grochowa – oznajmił.

– Taaak? – Kum nie był zbyt zainteresowany.

– Tak. U tej ich kurwy, Jadźki. Strzelali się z policją.

– I co?

– Gaca policjanty zastrzelili. Reszta się poddała.

– Gac, ten dezerter z ósmego piechoty...?

– Ten sam.

– Dobrze im tak. Wsioki z Rembertowa i Miłosnej myślały, że w Warszawie będą dokazywać – ucieszył się Kaplica.

Szapiro rozłożył swoją gazetę, strzepnął i wziął się do lektury.

– A co tam u ciebie o tym Josku Pędraku piszą? – Kum przerwał mu zaraz lekturę.

– To samo. Dożywocie. – Bokser wzruszył ramionami.

– Nigdy nie jest to samo.

– No, jakby Baran nie był Stanisław, ale Szmul, a Pędrak się nazywał Józio, nie Josyk, to by była obrona konieczna, a tak jest morderstwo. – Znowu wzruszył ramionami Szapiro.

Kum zastanowił się chwilę, po czym przytaknął. Nigdy nie wydawał osądu bez zastanowienia.

– Tak i rację masz. Jakby był Stanisław, nie Szmul, byłaby obrona. A jest morderstwo, bo on Josyk.

Zapalił papierosa. Szapiro zauważył, że na zapalniczce Kaplicy naklejony był znaczek skarbowy monopolu zapałczanego.

– Po ile te...? – zainteresował się.

– A po złotówce.

– I Kum tak obywatelsko poszedł do skarbowego znaczek na zapalniczkę wykupić? – zdziwił się Szapiro.

– A jakże. Obywatelski obowiązek. Ojczyźnie się należy. Tyś nie wykupił?

– No nie...

– Jak cię za nielegalną zapalniczkę zwiną, sam se będziesz winien.

Roześmiali się obaj i czytali jeszcze chwilę, z założonymi nogami, popijając kawę i paląc. Radio grało walczyki, program kończył się dopiero o ósmej, kiedy to następowała przerwa aż do południa.

– Wiesz, Kubusiu, na Nalewkach mieszka sobie taki Żydek, Bernsztajn, Naum Bernsztajn. Wiesz? – zapytał po chwili Kaplica, składając gazetę na stronie z ogłoszeniami drobnymi.

– Już wiem, panie Kaplica – odpowiedział Szapiro i złożył też swoją, rozumiejąc, że czas relaksu dobiegł końca i pora wziąć się do roboty.

– No. I temu Żydkowi wydaje się, że może mi nie zapłacić – ciągnął Kaplica, nie odrywając wzroku od ogłoszeń drobnych w „Kurjerze".

– Głupi Żydek, skoro mu się tak wydaje.

– Głupi – zgodził się Kaplica – ale ma rację. Nie zapłaci mi ani grosza, bo nie ma z czego. Munja to sprawdził. Nie ma grosza przy duszy ten Bernsztajn. Nic się z niego nie wyciśnie. Z suchej szmaty woda nie poleci, jakbyś nie wykręcał.

Szapiro pokiwał smutno głową, jakby z przykrością zgadzał się ze swoim rozmówcą, iż nie ma szczęśliwego zakończenia tej historii.

Nie miałem pojęcia, że Naum Bernsztajn, skromny urzędnik w Lecznicy Żydowskiej, był winien Kaplicy pieniądze. Naum nie tylko nie powiedział o tym mnie, smarkaczowi, co jasne, ale długo nie powiedział o tym nawet matce. Był winien, bo nie chciał już dłużej pozostawać skromnym urzędnikiem, a akurat pojawił się handel do przejęcia, sklep z artykułami gumowymi przy Gęsiej, który można było wydzierżawić. Pożyczył od rodziny pieniądze na odstępne i przejął handel. W sklepie był sam, od rana do zamknięcia. Stawał na głowie, żeby spłacić dług, prawie nie miał zarobku, chociaż handel był dobry.

Wtedy przyszedł Kaplica, kupił gumowe kalosze marki PPG, pogawędził z Bernsztajnem przyjaźnie, po czym powiedział, że przed szabasem ma zapłacić pięćdziesiąt złotych. Przed tym szabasem i przed każdym szabasem następnym, póki mój tatko będzie w tym sklepie, bo taka jest cena tego sklepu na Gęsiej, pięćdziesiąt złotych płatnych Kumowi co tydzień przed szabasem.

Przed pierwszym szabasem Naum zapłacił. Przed drugim też. Trzeciego nie zapłacił, bo nie miał. Pobiegł przebłagać. Szapiro dla podkreślenia wagi sytuacji rąbnął Bernsztajna w nos i Bernsztajn musiał ze złamanym nosem złożyć uroczystą obietnicę, że za spóźnienie za tydzień przyniesie nie tylko nowe pięćdziesiąt i zaległe pięćdziesiąt, ale jeszcze dwadzieścia pięć kary.

Nie przyniósł. Nie miał skąd wziąć. Oddał sklep bez odstępnego, wszyscy wiedzieli, w jakiej jest sytuacji, i nikt mu odstępnego płacić nie zamierzał. Ukrywał się, nie chodził za dnia ulicami. Kum przysłał chłopaka z informacją, że odsetki od stu dwudziestu pięciu złotych długu wynoszą dwadzieścia procent tygodniowo.

Nic o tym nie wiedziałem. Naum Bernsztajn powiedział rodzinie, że jest chory, położył się do łóżka i czekał.

– Lomer antlofn – prosiła matka – lomer antlofn cynerszt cy maa szwesto ka Lodz in szpejto kan Erec Jisruel ode kan Amerykie. Lomer antlofn, Nuchym, waal nysz ka zach of de welt wet indz kiene fatajdign fan kas fyn'ym puryc[2].

Matka była pobożną Żydówką, a życie nauczyło ją, że Pan Bóg rzadko broni pobożnych Żydów przed gojskim gniewem.

Ojciec tylko machał ręką i odwracał się do ściany. Czekał. Nie uciekł ani do Łodzi, ani do Palestyny, ani do Ameryki, ani nigdzie indziej.

I w końcu przyszli. Zapukali. Matka otworzyła, słusznie zakładając, że przynajmniej ocali zamki w drzwiach, skoro męża ocalić nie może.

Zabrali go. Rzuciłem się na Szapirę, odepchnął mnie.

Wiele razy później myślałem o tej chwili, kiedy rzucam się na Szapirę, dwa razy cięższego ode mnie, wieszam się na jego przedramieniu, krzyczę coś po żydowsku, ale kto krzyczy?

Szapiro wyciągnął ojca z mieszkania za brodę. Ojciec opierał się, jak opiera się prowadzone do rzezaka cielę, i tak szedł, opierając się, ciągnięty za swoją długą, siwą brodę.

Nigdy nie będę miał brody, postanowiłem wtedy, słuchając krzyków matki i patrząc, jak gładko ogolony Szapiro zabiera ze sobą brodę mojego ojca i ojca samego. Moja ledwie mi rosła, ale tego samego dnia poszedłem na handel. Ukradłem matce trochę pieniędzy. Widziała, że zabieram, nie miała siły protestować, zapłakana. Ja nie płakałem. Poszedłem więc na handel. Pozbyłem się kapoty i koszuli, za skradzione pieniądze kupiłem krótkie ubrania. Łachy raczej, ale nieżydowskie łachy. Następnie poszedłem do chrześcijańskiego fryzjera. Ściąłem pejsy i zażyczyłem sobie golenie. Fryzjer śmiał się, że co tu golić, pięć włosów na krzyż, ale obstawałem przy swoim i płaciłem, więc położył mi na twarz gorący

ręcznik, potem namaścił olejkiem, ubił pędzlem pianę, nałożył, ogolił paroma ruchami, spłukał zimną wodą – wyszedłem i zobaczyłem w oknie wystawowym jak w lustrze nowego siebie, nowego, lepszego Żyda, ostrzyżonego, krótko ubranego, bez pejsów.

– Jach wyncz dijo alc dus gits Bernsztajn – powiedziałem do swojego odbicia głosem Jakuba Szapiry. – Daa nesije zol zaan myt mazl![3]

Mój ojciec w tym czasie leżał w bagażniku buicka i jechał w swoją stronę, tę samą, w jaką zmierzamy wszyscy, aż w końcu dotrzemy na miejsce, wtedy już nie zmierzamy.

Dwa dni później, w niedzielę 11 lipca wieczorem, po walce w hali Teatru Nowości, Szapiro podszedł do Kaplicy, ten uścisnął go serdecznie.

– Aleś skurwysyna załatwił, Kuba – cieszył się. – Aleś faszyście pokazał!

Nie słyszałem tych słów, ale wiem, że tak właśnie powiedział.

Ludzie powoli się rozchodzili. Kaplica wstał i ruszył z Szapirą do szatni. Kiedy mijali miejsce, w którym siedziałem, Szapiro w bokserskim szlafroku zatrzymał się i wskazał na mnie głową.

– To ten – powiedział do Kaplicy.

– Kto? – zapytał, jakby mnie nie widział.

– Młody Bernsztajn, Kumie.

Kaplica spojrzał na Szapirę i patrzył nań długo.

Potem odwrócił się do mnie. Spuściłem wzrok. Kaplica chwycił moją żuchwę pulchnym kciukiem i palcem wskazującym i podniósł moją głowę, wbił we mnie małe, ciemne oczy, nie uśmiechał się.

Nagle puścił moją brodę, uszczypnął mnie w policzek i roześmiał się szeroko, jakby już z tego patrzenia wszystkiego się o mnie dowiedział. Może tak było.

– No, ładny malczik. Szkoda go. – Wzruszył w końcu ramionami i zapomniał o mnie.

I odszedł, nie oglądając się. Szapiro skinął na mnie głową, takim samym niemym gestem, jaki czasem za plecami wykonywała moja matka, kiedy chciała mi bez słów powiedzieć: „Dla własnego dobra zrób natychmiast, co ojciec kazał”.

Wstałem, poszedłem za nimi.

Byłem ciekaw, czy ludzie będą mi się przyglądać. Wcześniej, przez całe moje krótkie życie byłem niewidzialny. Taki zwykły, mały, chudy Żydek z Nalewek. Jeden z tysięcy małych, chudych Żydków z Nalewek.

A teraz jakaś kobieta w kapelusiku na głowie nachyliła się do swojego towarzysza w jasnym garniturze i cały czas patrząc na mnie, coś mu wyszeptała do ucha. Pamiętam jej spojrzenie.

Ale może patrzyła na Szapirę z Kumem, jak idą, idą, kroczą, dwaj puryce w pięknych garniturach, idą przez miasto, jakby było ich folwarkiem.

Przeszliśmy do szatni, w której kiedyś przebierali się aktorzy, a teraz bokserzy. Szapiro spojrzeniem wskazał mi krzesło. Usiadłem. Kaplica nie przestawał mówić o boksie, podniecony i szczęśliwy.

– Bo widzisz, Kuba, ja go widziałem w walce z Finnem i ja się bałem trochę, że on cię wytrzymałościowo załatwi, bo ty przecież jesteś fighter, a on się broni świetnie i wydaje się, jakby był na parę albo prąd, bo się nie męczy nigdy, a tyś go tak załatwił, tak żeś go załatwił na szaro, Kuba!

– Było ich trochę na sali – zauważył Szapiro, siadając na krześle.

Mijało adrenalinowe podniecenie i nagle czuł każdy mięsień, staw i ścięgno, jak zwykle po walce, w której nie sposób ciała szanować. Drżały mu mięśnie ud.

– Kogo trochę było? – nie zrozumiał Kaplica.

– Falangistów, bepistów, oenerowców, nie rozróżniam, który jest który, ale mordy faszystowskie, znajome. Widziałem ich. Paru nawet w tych ich mundurach zasranych przyszło.

– To się mieli z pyszna, hitlerki! – cieszył się Kum. – Wspaniale!

Pstryknął palcami, zawołał, do szatni wpadł ponury drab wyższy od Szapiry o głowę, a od Kaplicy o pół Kaplicy.

– Pantaleon, przynieś koniaku, w aucie mam butelkę, będziemy świętować – zaordynował, nastawiając jednocześnie płytę w przenośnym gramofonie.

Drab ani nie potwierdził, ani nawet nie skinął głową, po prostu odwrócił się i poszedł. Kaplica zakręcił korbką, nastawił ramię, z głośnika pociekły pierwsze, ciche dźwięki tanga.

– W aucie...? To pan już tego chryslera odebrałeś? – zapytał Szapiro, próbując rozmasować drżące mięśnie ud.

– A owszem, tak! – Kaplica wyraźnie ucieszył się z pytania, zapalając papierosa i wtykając go do długiej lufki. – Odebrałeś! Zaraz zobaczysz!

Szapiro wstał z trudnością, ściągnął mokrą od potu koszulkę bokserską, miękkie pantofle i spodenki gimnastyczne, pod którymi nie miał niczego, stanął nagi. Nie krępował się zupełnie. Zawstydziłem się, ale bałem się jeszcze bardziej, niż wstydziłem, więc ani drgnąłem.

Nie był mocno owłosiony, tylko w kroczu bardziej, obrzezany penis nie był zbyt długi, wydał mi się nawet krótszy od mojego, był za to bardzo gruby.

Bokser rozciągnął mięśnie, plecy, ramiona, uda w powolnych ćwiczeniach, potem nalał gorącej wody do balii, ochlapał się nią, sięgnął po mydło, namydlił się cały, po czym spłukał się i wysuszył dokładnie, trąc skórę ręcznikiem. Spojrzał w lustro, sięgnął po przybory do golenia, kątem oka zerknął na pogwizdującego w rytm muzyki Kaplicę i chociaż ten nie okazał żadnego zniecierpliwienia, Szapiro odłożył pędzel i angielskie mydło, nie ogoliwszy się. Spryskał się wodą kolońską, z wieszaka zdjął świeżą bieliznę i białą koszulę, założył je, posykując z bólu. Potem zawiązał granatowy krawat w geometryczne, brązowe wzory i włożył piękny, szary garnitur bez kamizelki, nawet ja widziałem, że nie tylko drogi jak garnitur Kaplicy, ale też modny, bo spodnie miały wysoki stan, zapinały się nad pępkiem, nogawki zaś były bardzo szerokie, co mężczyźnie tak rosłemu jak Szapiro doskonale pasowało. Marynarka, obcisła w talii, miała szerokie klapy i obficie watowane ramiona, co podkreślało jeszcze atletyczną, chociaż ciężką sylwetkę Szapiry. Kaplica w swoim staroświeckim ubraniu wyglądał przy nim jak starszy pan, prowincjonalny urzędnik, księgowy albo rewident przy prawdziwym filmowym amancie.

Bokser wsunął i zasznurował eleganckie trzewiki, otworzył szufladę, z szuflady wyciągnął naręczny zegarek – marki Glashütte, jak zauważyłem później – portfel i nóż sprężynowy oraz dwie chustki, kraciastą i jedwabną białą, i umieścił wszystkie utensylia tam, gdzie je zawsze nosił: odpowiednio na lewym nadgarstku, w wewnętrznej kieszeni marynarki, w skarpecie, w kieszeni spodni i w kieszonce marynarki, tej na piersi,

która, jak się dużo później dowiedziałem, nazywa się brustaszą. Wszystkiego dowiedziałem się później. Całe moje życie było później.

Szapiro zaś z wazonika na toaletce wyciągnął biały goździk, wyjął ze skarpetki nóż, który przed chwilą w niej schował, strzelił ostrzem, przyciął łodygę i umieścił kwiat w butonierce.

Sięgnął po grzebień i puzderko z pomadą, namaścił i przyczesał długie włosy, przejrzał się w lustrze, pełen męskiej próżności, piękny, silny, będący wszystkim tym, czym ja nie byłem.

Ale czym się później jakoś stałem.

A może tylko chciałem się stać, całe życie chciałem być Szapirą pomadującym przed lustrem włosy, stałem się jednak czymś innym.

– Długo się jeszcze pindrzył będziesz? – zapytał Kaplica, przewracając oczami, ale bez złości.

– Trzeba mieć prezencję. Sam Kum wiesz – odparł Szapiro.

Potem uklęknął ostrożnie, uważając na bolące mięśnie, sięgnął za toaletkę zwieńczoną obramowanym żarówkami lustrem i wydostał zza niej nieduży, płaski pistolet, grawerowany, z perłowymi okładzinami. Nie wyjmował z rękojeści magazynka, nie odciągał zamka, po prostu schował broń do kieszeni spodni.

Nie znałem się wtedy wcale na broni, ledwie odróżniałem pistolet od rewolweru, kierując się tym, że jeśli coś jest podobne do broni Toma Mixa, to musi to być rewolwer. Potem dowiedziałem się o broni bardzo wiele, więcej niż bym chciał, i dziś wiem, że ten płaski pistolet był marki colt, kieszonkowy model 1903, siódemka z kurkiem przemyślnie ukrytym, tak by o nic nie zahaczyć, kiedy trzeba nagle broń wydobyć z kieszeni. Kiedy później, dużo później i zupełnie gdzie indziej sam zacząłem stale nosić broń, pierwszą była właśnie siódemka, kolega z jednostki załatwił mi małego, niemieckiego walthera, i kiedyś o mało co przez tę siódemkę nie zginąłem: Arab, którego trzy razy trafiłem w pierś, napompowany był opium i mimo śmiertelnych ran biegł ciągle w moją stronę z nożem w łapie, wrzeszcząc i plując krwią, a mnie skończyła się amunicja; kiedy szarpałem się z magazynkiem, gość mnie dopadł i dziabnął tym nożem, na szczęście ostrze zeszło po żebrach, a sekundę później mój dowódca strzelił mu w łeb z karabinu.

Kiedy wyszedłem ze szpitala, przy pierwszej okazji wymieniłem walthera na amerykańską czterdziestkę piątkę. Mam ją do dziś. Mocno powycierana od noszenia przez wiele lat w skórzanej kaburze leży w szufladzie biurka, przy którym piszę, stukając w miękkie klawisze elektrycznej maszyny do pisania, wyposażonej w głowicę z łacińskimi czcionkami bez polskich znaków diakrytycznych – te muszę dopisywać ręcznie, ołówkiem, na każdej kartce maszynopisu.

Nad biurkiem, na przeźroczystych żyłkach wisi piękny, plastikowy model samolotu Lockheed L-10 Electra z 1936 roku. Lubię na niego patrzeć. Nie wiem, czy zrobiłem go ja, czy ktoś inny… Sprawia mi przyjemność, że tu jest. Ten, kto go sklejał i malował, wykonał go w wersji ze schowanym podwoziem, więc nie może stać, musi wisieć.

Wyglądam czasem przez okno, patrzę w dół, na ulicę. Arabski chłopiec pcha mały wózek, na który załadował wielką stertę mebli, starych albo stylizowanych na stare, piętrzą się nogi z giętego drewna i pasiaste obicia foteli i kanap.

Mijają go samochody: fiaty, peugeoty, subaru i volkswageny i trąbią, niezależnie od narodowości. Pod kioskiem z gazetami ortodoks w czarnym chałacie pali papierosa, czeka na coś. Mija go dziewczyna w zielonym mundurze, na plecach ma czarny karabin. Nie wiem, czy jest ładna, nie widzę z tak daleka, ale nie chce mi się zakładać okularów.

W mieszkaniu jest bardzo cicho. Okna nie przepuszczają żadnych dźwięków.

Brakuje mi jej krzątaniny, jej zrzędzenia, jej ciągłych pretensji, przed którymi uciekałem przez całe nasze życie tutaj, od jej żalu, od jej rozpaczy, od jej żałoby po tych, którzy zostali, a zostawszy, zniknęli – żałoby, której ja przeżywać nie zamierzałem, bo czułem do ich męczeństwa i zniknięcia odrazę; potem, kiedy się zestarzałem, przestałem ją czuć, zacząłem o ich męczeństwie myśleć jak o irytującym znajomym, którego jednak się toleruje, bo się do niego przywykło.

Uciekałem od jej upartego gadania po polsku, bo nie chciałem słyszeć tego języka, i tak już było, że w domu mówiłem do niej po żydowsku – należałoby teraz powiedzieć, a ona odpowiadała mi po polsku.

Nie mówiliśmy w domu po hebrajsku. I zawsze toczyliśmy ten sam spór, pytałem, dlaczego mówi do mnie po polsku, przecież to ona chciała wyjechać, nienawidziła Polski bardziej niż ja, a mówi dalej po polsku, uparta jak zawsze, jak osioł. Wzruszała ramionami, a potem się kłóciliśmy, wrzeszczeliśmy oboje, puste mieszkanie.

Potem przestaliśmy na siebie wrzeszczeć, nie chciało nam się już, nie zależało, potem zaś, niedawno, dzieci się wyprowadziły, a ja się czuję, jakby nigdy ich tutaj nie było, ani dzieci, ani jej, jakbym całe życie spędził w tym mieszkaniu sam, tylko ja i duchy.

Arabski chłopiec pcha wózek pełen antyków.

Podobnych chłopców widywałem na ulicach, na których się wychowywałem, biednych żydowskich synów biednych żydowskich furmanów i tragarzy, którzy drogę swego dorosłego życia zaczynali od wózeczka, gotowi przewieźć wszystko, co się na tym wózeczku zmieści, po pamiętającym cara bruku i potem, kiedy przykryli go asfaltem, po asfalcie i w błoto podwórek Dzielnicy Północnej, w biedne podwórka czynszówek oblepionych szyldami wszystkich możliwych geszeftów, żaden niewart trzech groszy.

Czuję się dużo starszy, niż jestem.

Pięćdziesiąt lat temu bez okularów przypatrywałem się, jak Szapiro się ubiera. Siedziałem w milczeniu. Kaplica gadał cały czas, analizował walkę i palił jednego za drugim. Pantaleon, zwany przez Kaplicę Leosiem, przyniósł butelkę koniaku, rozlał na dwie szklanki, Szapiro z Kaplicą wypili, Pantaleon nie pił.

Nie wiedziałem wtedy, jaki był udział Pantaleona w smutnym końcu mojego ojca.

Wychyliwszy szklankę koniaku, Kaplica otarł usta wierzchem dłoni, wyciągnął papierosy, poczęstował Szapirę i Pantaleona. Z budynku, który kiedyś był Teatrem imienia Bogusławskiego, wyszliśmy od strony ulicy Hipotecznej. Była noc, bardzo pogodna i gorąca i pięknie było widać gwiazdy, bo wątłe światło gazowych latarni nie miało szans ich przyćmić. Przed teatrem stał najpiękniejszy samochód, jaki kiedykolwiek widziałem.

– No i? – zapytał radośnie Kaplica, patrząc na Szapirę.

– No, panie Kaplica…

Limuzyna była ogromna i czerwona jak wóz straży ogniowej. Lakier lśnił, a miękkie, aerodynamiczne linie karoserii niczym nie przypominały tych w samochodach jeżdżących ulicami, którymi wtedy, pięćdziesiąt lat temu, chadzałem. Tylnych kół niemal wcale nie było widać, kryły się pod zamkniętymi błotnikami, a błotniki te miały kształt kropel, na czerwonym lakierze świeciły chromy, w środku zaś siedział szczurkowaty Munja Weber, pełniący właśnie funkcję szofera, który na widok Kaplicy wyskoczył z auta i uchylił otwierające się w tył drzwi.

Żeby zrozumieć, jak wyglądał ten samochód w ówczesnej Warszawie, należy pamiętać, że Kum nie jeździł nim tylko po paru wyasfaltowanych ulicach pryncypialnych, po Nowym Świecie, Mazowieckiej czy Marszałkowskiej, które to części Warszawy dzisiaj chcemy pamiętać – naturalnym środowiskiem Kuma były brukowane albo błotniste ulice i uliczki Śródmieścia na północ od Alei Jerozolimskich, czerwony chrysler parkował pod gnijącymi kamienicami Muranowa, pod czynszówkami Woli, w których zmurszałe, drewniane stropy zapadały się pod ciężarem mieszkańców.

Obmacywali czerwony lakier biedacy bez butów, nie damy na wyścigach. W chromowanych zderzakach odbijały się błotniste kałuże.

– Chrysler, Kuba – powiedział Kaplica, wymawiając słowo „chrysler" po polsku, przez „ch", i od razu pomyślałem, że to musi być chrześcijański samochód. Chrysler jak Chrystus. – Chrysler Imperial. Nowiutki. Lilpop mi sprowadził. Dwadzieścia osiem tysięcy dałem! Drugiego takiego w Polsce nie ma nikt! Ani prezydent, ani marszałek Śmigły, chuj mu w dupę, nikt nie ma. Wsiadamy!

Dwadzieścia osiem tysięcy złotych. Mój ojciec, Naum Bernsztajn, zarabiał jakieś sto złotych na miesiąc, jeśli miał dobry miesiąc. Co daje tysiąc dwieście na rok. Czyli samochód Kuma był wart ponad dwadzieścia trzy lata pracy mojego ojca. Na ulicy mawiano, że sam prezydent Warszawy, Starzyński, zarabia na miesiąc trzy tysiące pięćset. Siadywali biedacy pod ścianą, na trotuarze i filozofowali, co można by zrobić, gdyby mieć trzy tysiące pięćset na miesiąc. Fantazje te obracały się najczęściej wokół kupna dużych ilości jedzenia, wyprawienia wielkiej fety dla całego kwartału, na skwerze rozstawić by można stoły, zamówić orkiestrę, beczkę piwa, kilka skrzynek wódki, „Pod Ryjkiem" obstalować całą świnię i bawić

się trzy dni, jak na weselu. Tak by można zrobić, gdyby się miało trzy pięćset, jak Starzyński. Lecz nawet Starzyńskiego nie byłoby stać na samochód Kuma. Kum miał więcej.

I Kum czasem takie przyjęcia na skwerach wydawał, siedzieliśmy wszyscy przy rozstawionych, prowizorycznych stołach z desek na kozłach, bojówka pilnowała, żeby był porządek, była świnia i było cielę koszer, była wódka, orkiestra, socjalistyczne pieśni i obściskiwanie dziewcząt po okolicznych bramach. I okrzyki: „Niech żyje Kaplica!", wznoszone chętnie i głośno przez tych, dla których hojność Kuma była jedynym źródłem wytchnienia i przyjemności w ponurym, robotniczym albo lumpenproletariackim życiu biedaków i nędzarzy.

Wsiedliśmy do chryslera. Jechałem już wcześniej kilka razy samochodem, ale nigdy takim. Wnętrze było przestronne niczym w tramwaju i pokryte jasną skórą. Kaplica i Szapiro zajęli tylne siedzenie, mnie Munja, występujący teraz w prawdziwej, szoferskiej czapce z daszkiem, wskazał straponten, rozkładany fotel, na którym siedziało się tyłem do kierunku jazdy. Kaplica opowiadał o samochodzie, mówił o ośmiocylindrowym silniku, automatycznym sprzęgle i nadbiegu, nic z tego oczywiście nie rozumiałem; co rozumiałem, to tyle, że znalazłem się w innym świecie. Zupełnie innym świecie.

– A tutaj, popatrz – ekscytował się Kum – mam dictaphone!

To słowo również wymawiał po polsku, co oczywiście wcale mnie nie raziło, bo nie znałem wtedy ani francuskiego, ani angielskiego, a tylko polski i żydowski, i trochę hebrajskiego.

– Jadziem! – krzyknął Kaplica i wrócił do prezentowania dictaphone.

Z zamontowanej między siedzeniami skrzynki wyciągnął rurkę zakończoną czarnym, bakelitowym lejkiem. Munja zapalił silnik, nie wychodząc z kabiny, solenoidowy motorek zakręcił głównym motorem, szarpnęło i silnik zabulgotał, warknął i już działał, osiem lekkich, aluminiowych tłoków zakręciło potężnym wałem.

– No więc wystaw sobie, Kuba, że tutaj mówię, i wszystko, co powiem, zapisuje się tam w środku, na woskowym walcu, i potem mogę to dać maszynistce, a ona odsłucha i zapisze, nie?

Szofer przyhamował i skręcił w prawo przed Centralniakiem na Daniłowiczowskiej.

Szapiro sięgnął po lejek, Kaplica nacisnął stalowy przycisk na drewnianej skrzynce dictaphone i przestawił go z położenia LISTEN na DICTATE.

– Mów teraz! – polecił, po czym sięgnął do bocznej kieszeni marynarki i wyjął puzderko z pomadą do wąsów.

– Ale co mam mówić? – zafrasował się nagle i skonfundował Szapiro.

– Co tam chcesz. Ale pamiętaj, to już zostanie, zapisane – śmiał się Kum.

Otworzył puzderko, skrobnął palcem, roztarł pomadę między kciukami i palcami środkowym i wskazującym obu dłoni i podkręcił staroświeckie wąsiska, po kolei, lewą dłonią prawy wąs, prawą lewy. Zapachniało drewnem sandałowym, piękny był ten zapach, orientalny i mocny.

– Nikt mnie nigdy nie zapisywał – powiedział Szapiro do mikrofonu. Wahał się chwilę, ale mówił dalej: – Nikt mnie nigdy nie zapisywał, ale teraz mogę mówić i będę na tej maszynie zapisany. Nazywam się Jakub Szapiro, jestem warszawskim pięściarzem, mam trzydzieści siedem lat, urodziłem się dwunastego maja tysiąc dziewięćsetnego roku w Warszawie i mieszkam tu całe długie życie. Matka moja na imię miała Dora, ojciec nazywał się Jankiew i po nim mam imię, chociaż ja wolę po polsku, Jakub. Właśnie pokonałem boksera Legii Andrzeja Ziembińskiego, znanego faszystę z Falangi, boli mnie po tej walce całe ciało, ale to on leżał na deskach i drgał niczym zarżnięte cielę.

Mówił niby żartobliwie, uśmiechając się, ale w skupieniu, jakby coś od tego, co do czarnego, bakelitowego lejka dictaphone powie, zależało. Przyglądałem się temu w milczeniu.

– Od piętnastu lat walczyłem w barwach klubu Makabi Warszawa, chociaż ćwiczyć wolę w sali Gwiazdy. Była to moja ostatnia walka bokserska. Więcej do ringu nie wejdę. Trzeba wiedzieć, kiedy ustąpić miejsca młodszym. Pracuję dla pana Kaplicy. Jedziemy sobie teraz jego pięknym, nowym samochodem przez Warszawę, właśnie minęliśmy więzienie na Daniłowiczowskiej, obyśmy nigdy się w nim nie znaleźli, w samochodzie jest pan Kaplica, szoferuje Munja, ja jestem…

Samochód Kaplicy skręcił w lewo, w stronę placu Teatralnego, Kaplica zaś spojrzał na mnie. Spuściłem wzrok, zawstydzony. Łatwo się wtedy zawstydzałem. I teraz się wstydzę, myśląc o tamtym wstydzie. Ale nie spuszczam już wzroku.

– Więc jeszcze młody Bernsztajn.

Szapiro podał mi lejek nagrywającego głos ustrojstwa.

– Teraz ty. Mów – powiedział.

Trzymałem lejek w dłoni jak idiota, nie wiedziałem, co miałbym powiedzieć ani co mógłbym powiedzieć, co wypada powiedzieć.

Szukałem słów, szukałem ich rozpaczliwie i w końcu chwyciłem się tego, co powiedział Szapiro.

– Nikt mnie nigdy nie zapisywał. Mojego głosu – szepnąłem.

– Głośniej! – ryknął Szapiro, aż podskoczyłem.

Kaplica mnie ignorował, otworzył popielniczkę, w której jednak nie było papierosowego popiołu. Wyjął z niej niewielkie, papierowe zawiniątko, starannie odwinął papier, zażył białego proszku.

– Nikt mnie nigdy nie zapisywał – powtórzyłem. – Mojego głosu. Nazywam się Mojżesz Bernsztajn i jestem synem Nauma Bernsztajna, pobożnego Żyda, zamieszkuję na ulicy Nalewki dwadzieścia sześć, mieszkanie sześć.

Na dźwięk nazwiska mojego ojca Kaplica uśmiechnął się pod wąsem, a Szapiro zrobił dziwny grymas, jakby odrazy, ja zaś nic a nic jeszcze nie wiedziałem, nie wiedziałem, co się stało z ojcem, i nie wiedziałem tego jeszcze przez parę dni, a potem się dowiedziałem.

Lecz jeszcze nie wtedy.

Ale może źle to wszystko pamiętam. Może niczego na dictaphone nie nagrywałem.

– Gdzie jedziemy, proszę pana? – zapytał szofer.

Kaplica spojrzał pytająco na Szapirę. Ten wzruszył ramionami.

– No to do Ryfki jedziemy – zawyrokował Kaplica.

– Coś bym tylko najpierw musiał w Metropolu załatwić – powiedział nagle Szapiro, jakby właśnie sobie o czymś przypomniał. – Szybka sprawa, rach-ciach i gotowe.

– No to najpierw jedź na Tłomackie, a potem do Ryfki. Pan bokser tu rządzi – rozkazał Kaplica i zabrał mi mikrofon. Chyba że go nie miałem w ręce, w takim razie by mi go nie zabierał.

Szofer zawrócił na dwa razy i ruszyliśmy Bielańską w górę, minęliśmy Bank Polski i teatry żydowskie przy Bielańskiej 5, gdzie wymykając się chyłkiem z domu, chadzałem oglądać grane po żydowsku farsy, które uwielbiałem prawie tak jak kino.

Od razu pomyślałem o dziewczynie, z którą byłem tam na następny dzień umówiony, i zafrasowałem się, czy będzie mi jeszcze kiedyś dane ją zobaczyć.

Było. Nie raz, nie dwa. Ale następnego dnia się nie widzieliśmy.

Z Bielańskiej wjechaliśmy w wąski przejazd do placu i przeparadowaliśmy, tocząc się powoli, przed Główną Biblioteką Judaistyczną i Wielką Synagogą. Myślałem, co by było, gdyby zobaczył mnie któryś z kolegów z klasy, jak jadę sobie samochodem przez Tłomackie. Z samym Kumem Kaplicą.

I myślałem, co by było, gdyby zobaczył mnie w tym samochodzie mój ojciec, pobożny Żyd Naum Bernsztajn.

Zaparkowaliśmy przy domu Pod Orłem Białym, Tłomackie 13, gdzie na parterze mieścił się bar Metropol i zwykle wypełniali go żydowscy literaci i dziennikarze, bo na piętrze pod tym samym adresem mieściła się siedziba Związku Literatów i Dziennikarzy Żydowskich w Polsce; nazwy tej wtedy nie znałem, ale wiedziałem, że tam właśnie siadują ci, co wypełniają szpalty „Hajnta" i „Undzer Ekspres", które codziennie czytywał mój ojciec, gardząc polskojęzycznym i nowoczesnym, asymilanckim – jak uważał – „Naszym Przeglądem", który – jak mawiał – kupował tylko dla „Małego Przeglądu" dla dzieci, i rzeczywiście jako dziecko ten „Przegląd" czytywałem, a i teraz zdarzało mi się z niejakim wstydem doń zajrzeć. Ojciec czytywał też „Jidisze Togbłat", pismo należące do Agudy, acz ci raczej na Tłomackie nie chadzali.

A kiedy ja, Mojżesz Bernsztajn, syn Nauma Bernsztajna, siedziałem w czerwonym chryslerze przed barem Metropol, ojciec mój nie czytał już niczego.

Ale ja o tym nie wiedziałem. Zresztą może wcale w tym chryslerze nie siedziałem, może Szapiro mi to wszystko opowiedział?

– Zaczeka pan chwileczkę? – zapytał Szapiro Kaplicę, kiedy szofer zatrzymał limuzynę.

– A skąd! Chętnie wypiję jednego. Ale najpierw… – Wysunął w stronę Szapiry rozwinięty papierek, w którym ujrzałem biały proszek, i nie wiedziałem wtedy, że to kokaina, a potem się dowiedziałem.

Szapiro zwilżył palec, zaczerpnął obficie i włożył palec do ust, wtarł proszek w dziąsła, przesunął językiem, przełknął. Kaplica bezceremonialnie zlizał zawartość papierka, zmiął go, cisnął na podłogę, kichnął, parsknął, potarł twarz pulchnymi dłońmi.

– Idziemy! – ryknął radośnie, dalej parskając.

– A gnojek? – Szapiro wskazał na mnie głową. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Idzie z nami, a co! – odparł Kaplica.

Więc poszliśmy.

Metropol był barem niedużym, prowadził go Wolf Handszer i miejsce oficjalnie nazywało się teraz Nowym Metropolem, bo stary, należący do Bundu, zbankrutował w 1933 roku. Bundowcy serwowali trefną kuchnię, w środku żydowskiej dzielnicy na wystawie leżało prosię „mit cymes", szynka z cebulką czy faszerowane węgorze i w końcu ogłoszono bojkot, i okazało się, że jednak koszerna kuchnia to konieczność.

Handszer karmił koszernie i myślałem o tym z ulgą, kiedy weszliśmy do baru. Mimo późnej pory, minęła już jedenasta, w lokalu było pełno, grała muzyka, publiczność mieszana, prawdziwie pobożni Żydzi oczywiście nie zaryzykowaliby grzechu bywania w lokalu, ale przy jednym stoliku nad butelką siedziało dwóch brodatych Żydów w długich, drogich chałatach i przyciszonymi głosami omawiali jakieś swoje brodate, chałaciarskie interesy. Lokal teoretycznie zamykano o północy, ale nikt jakoś nie kwapił się do wyjścia, po sali między stolikami krążyli kelnerzy, zbierali zamówienia. Właściciel regularnie płacił w sądzie kary za niezamykanie baru na czas. Widać mu się opłacało. Słynął z tego, że zawsze uprzejmie sądowi dziękował za wymierzoną karę, nawet kiedy wyniosła dwa tysiące złotych.

Kiedy weszliśmy, Kaplica, Szapiro i ja, spojrzeli na nas wszyscy. Ci, co nie spojrzeli od razu, zrobili to po sekundzie, trąceni łokciem albo kopnięci pod stołem, ktoś coś komuś powiedział na ucho, ktoś inny syknął, po czym wszyscy odwrócili wzrok, żeby broń Boże Kaplicy gapieniem się nie urazić.

Potem ktoś coś szepnął, jeden, potem drugi, trzeci i zamiast nazwiska Kaplicy słychać już było zewsząd „Szapiro", „Szapiro", i nagle ktoś zaczął klaskać, i zaraz zrobił się z tego aplauz, może niezbyt długi i nie taki, żeby klaskali wszyscy, ale aż nadto wyraźny.

Bili mu brawo za nieprzytomnego Ziembińskiego na deskach ringu. Wieści roznosiły się szybko. Szapiro uśmiechnął się i ukłonił niedbale.

Orkiestra grała melodię, której wtedy nie znałem, bo nie chadzałem do kin, dziś wiem, że to była piosenka z filmu *Piętro wyżej*.

Nie, nie mogę dłużej pisać.

* * *

Wstaję od maszyny, wyglądam na ulicę, na ulicy spokój. Chłopiec z wózkiem pełnym mebli. Dziewczyna z karabinem. Nie mogę już znieść ciszy, włączam radio. Kiedyś, w Warszawie radio nie nadawało bez przerwy, w dzień milczało od ósmej do południa, w nocy też, a teraz radio gada i gra na okrągło. Twenty four seven, jak mawiają Amerykanie. Twenty four seven. Radio gada po polsku. O tym, co się dzieje w Izraelu.

Na checkpoincie Erez nasz transporter czołgów wjechał w palestyńskie auto. Czterech zabitych.

– O kurwa... – mówię głośno, po polsku. – O kurwa.

Czuję się bardzo, bardzo stary, dużo starszy niż każe moje sześćdziesiąt siedem lat.

I myślę, że teraz się zacznie. Wyłączam odbiornik. Nie chcę o tym słuchać. Wyjmuję z półki płytę. Eugeniusz Bodo i Hanka Ordonówna. Kładę na gramofonie, szukam fragmentu z tą dokładnie piosenką, którą po raz pierwszy usłyszałem pięćdziesiąt lat temu, kiedy weszliśmy do baru Metropol.

Gra.

– Czego szukamy? – pięćdziesiąt lat temu zapytał Kum, rozglądając się po knajpie.

– Bernarda Singera – odparł Szapiro.

– Tego dziennikarza…? – zdziwił się wąsaty gangster.

Szapiro skinął głową.

Zza baru wybiegł wysoki, chudy człowiek w brązowym garniturze i okrągłych, drucianych okularach, przytruchtał do Kaplicy, przywitał się z uniżeniem właściwym ludziom żyjącym z usługiwania innym i zapewnił, że zaraz znajdzie się stolik.

– Nie trzeba nam stolika, panie Handszer – odparł Szapiro, a mnie wydało się to bezczelnością wobec Kaplicy. Kaplica jednak nie podzielał mojego zdania.

– Ależ nalegam, chociaż na jednego, na koszt firmy… – prosił restaurator.

– Siądziemy – zdecydował Kaplica.

Handszer czym prędzej wyprosił z baru dwóch podpitych młodzieńców, którzy słaniali się nad jedną herbatą przy stoliku zaraz obok dwóch brodatych Żydów, własnoręcznie przetarł blat ścierką i podstawił dwa krzesła.

– Trzech będziem potrzebować – mruknął Kaplica i trzecie krzesło pojawiło się natychmiast. Może zresztą wcale tego nie powiedział, może Handszer po prostu dostawił krzesło dla mnie, nieproszony. A może stałem obok? Nie pamiętam.

Brodaci Żydzi dopili swoją wódkę i popełnili błąd niewybaczalny: pozostali przy swoim stoliku, zamiast pospiesznie zająć się byciem gdzieś indziej.

Ja zaś byłem niewidzialny. Niby widoczny, bo przyszedłem z Kaplicą, ale niewidzialny, byłem ubogo odzianym, chudym i żydowskim wyrostkiem o krótko obciętych włosach, potykającym się o własne nogi i ręce. Jakby mnie wcale nie było.

Do stolika podbiegł kelner z butelką i tacą, na której niósł szklaneczki i talerz z chlebem, ogórkami i gefilte fisz. Spojrzał pytająco na Kaplicę.

– Malczik też się napije, a jak – odparł Kaplica.

Kelner postawił więc szklanki, rozlał wódkę, ukłonił się i ulotnił. Szapiro nie siadał. Rozglądał się po knajpie, wreszcie zauważył kogoś przy barze.

Przepchnął się bez trudu, tłum rozstępował się przed nim jak Morze Czerwone przed laską Mojżesza.

Przy barze stał Bernard Singer, niewielkiego wzrostu, szczupły, czarnowłosy, w eleganckim garniturze. Nie przesadzę, jeśli powiem, że był chyba najbardziej znanym żydowskim dziennikarzem. Nawet ja o nim słyszałem. Matka uwielbiała jego felietony w „Naszym Przeglądzie".

– Pan Singer? – zapytał Szapiro.

Singer zmierzył Szapirę od stóp do głów pełnym pogardy spojrzeniem, nie odpowiedział, odwrócił się do baru i pił dalej swoje piwo.

– Panie Singer, porozmawiać musimy – powiedział Szapiro.

Singer nie reagował.

– No jak tak, to tak... – zafrasował się Jakub, wzruszył ramionami na znak bezradności i trzasnął głową Singera o kontuar.

Orkiestra przestała grać. Publiczność zamilkła. Singer nieprzytomny osunął się na podłogę, ze złamanego nosa lała się krew. Szapiro ruszył w stronę naszego stolika, ściskając się za prawe ramię.

– Tuszę, że panu Jakubowi po prostu nie spodobał się artykuł pana Bernarda w ostatnim „Przeglądzie", i tak to wygląda, kiedy bokserzy zajmują się krytyką literacką – powiedział głośno Kaplica, śmiejąc się pod wąsem. – Także następnym razem, jak któryś z was, pismaków, będzie chciał pana Szapirę nazwać bandziorem udającym sportowca, z pamięci cytuję, to niech się dwa razy zastanowi.

Handszer, przerażony, podbiegł do Singera, lamentując i cucąc go. Publiczność baru stała, przyglądając się całemu zajściu w milczeniu. Jeden z gapiów gapił się widać najzuchwalej, bo mijając go, Szapiro skręcił się nagle ku niemu, jakby chciał uderzyć sierpowym, ale zrobił tylko „bu!" i poszedł dalej. Facet, przerażony, wylał na siebie piwo.

Szapiro usiadł przy naszym stoliku.

– Bark sobie, cholera, nadwyrężyłem. Pijmy – powiedział ponuro.

Nigdy wcześniej nie piłem wódki. Trzęsły mi się ręce.

– Pij, maładiec – zakomenderował Kaplica.

Sięgnąłem po kieliszek.

– Tak, o – zademonstrował, zanurzając wąsy w wódce i nagłym ruchem przechylając głowę wraz z kieliszkiem do tyłu.

Przybliżyłem kieliszek do ust, pachniała paskudnie. Zamoczyłem wargi, paliła.

– Pij! – warknął Szapiro.

Wypiłem. A w zasadzie nabrałem tylko wódki w usta. Smakowała tak obrzydliwie, że parsknąłem, zakrztusiłem się i prawie zwymiotowałem.

Kaplica i Szapiro zaśmiali się obaj.

Ocuconego Singera tymczasem wyprowadzono z restauracji.

– Może na policję pobiegnie – roześmiał się Szapiro.

– To i mandat dostanie za zakłócanie spokoju – odparł Kaplica.

Nie rozumiałem tego wtedy, ale popisywali się przede mną. Dwóch dorosłych, potężnych puryców popisywało się przed gówniarzem. Każdy potrzebuje publiczności.

– Dos past niszt![4] – powiedział nagle jeden z brodatych Żydów w drogich chałatach. Słysząc jego jidysz, od razu wiedziałem, że nie jest z Warszawy.

– Tak nie można, panowie. Nie można. Wstyd. I nikt nic nie zrobi? – dodał drugi po polsku, rozglądając się po sali.

Kaplica uśmiechnął się pod nosem, jakby do swoich myśli. Pstryknął palcami na kelnera, ten przybiegł z butelką, nalał, Kaplica wychylił swój kieliszek i odwrócił się powoli do protestujących.

– A więc nie odpowiada szanownym panom taka forma krytyki literackiej? – zapytał słodkim głosem.

Obaj Żydzi spojrzeli po sobie.

– A w jakiej dziedzinie artystycznej panowie szanowni przodują? Śpiew? Malarstwo? Taniec może? – pytał dalej.

– Proszę pana, tu nie o sztukę… – zaczął jeden z pobożnych Żydów, młodszy, o gęstej, czarnej brodzie. Nosił drogi, aksamitny kapelusz ze sztywnym rondem.

– To ja bym chciał, żeby panowie dla nas zatańczyli. Wszyscy popatrzymy.

– Panie, słuchaj pan… – powiedział drugi, starszy, podnosząc się zza stolika.

Miał około pięćdziesiątki, był rosły, barczysty, od Kaplicy wyższy o głowę. Nosił chałat z drogiej wełny, o wykładanych aksamitem klapach, na lewym nadgarstku widziałem drogi, złoty zegarek.

Kaplica wyszczerzył się w uśmiechu.

– Będziecie tańczyć tango – powiedział.

– Sam se tańcz, meszugener[5] – odparł Żyd.

– Feter[6]… – zaczął go powstrzymywać młodszy.

W tym momencie podbiegł do nich przerażony Wolf Handszer.

– Panowie idą sobie już, rachunku nie trzeba płacić, na koszt firmy, ale proszę już iść, proszę iść…

– Panowie nigdzie nie idą – warknął Kaplica zmienionym tonem. – Panowie będą tańczyć tango. Orkiestra!

Muzycy spojrzeli po sobie, Handszer, trzęsąc się z nerwów, pokiwał głową – zaczęli więc grać. Tango.

– Tańczyć, kurwa! Już! – ryknął Kaplica.

Żydzi w chałatach stracili resztki wcześniejszej pewności siebie. Klienci w pośpiechu, acz chyłkiem opuszczali restaurację.

– Panowie, może nie gniewajmy więcej pana Kaplicy, niech panowie może zatańczą i pójdą sobie… – gorączkowo szeptał Handszer.

Kaplica wstał. Podszedł do starszego z Żydów, zadarł głowę i spojrzał mu w oczy. Widziałem, że ten chwilę się waha, ale zaraz po Kaplicy wstał też Szapiro.

– Tańcz, parchu – warknął Kaplica. – Ty będziesz damą, twój towarzysz kawalerem. Już.

Młodszemu trzęsły się ręce.

– Feter libinker… lomir tancn, ich bet ajch…[7] – szepnął.

Objął starszego Żyda w pasie, lewą rękę chwycił jego prawą i wyciągnął do góry, w komicznej i przerażającej parodii postawy tanecznej. Kaplica zaczął klaskać, podrygiwać dookoła przestępujących z nogi na nogę Żydów i śmiejąc się, krzyczał:

– Pięknie Żydowie tańcują, pięknie!

Tańczący Żydzi dotykali się brodami. Z oczu starszego ciekły łzy. Szapiro stał z ręką w kieszeni, nawet ja domyślałem się, że zaciska ją na rękojeści pistoletu. Rozglądał się, nie śmiał się wcale, nie cieszył się udręką upokarzanych ani wobec niej nie protestował. Pozostawał wobec tej udręki obojętny obojętnością, która właściwa jest ludziom nawykłym do cierpienia, zarówno własnego, jak i bliźnich. Dlatego Szapiro po prostu robił to, co do niego należało. Pilnował, żeby Kaplicy nic się nie stało.

Bałem się wtedy i wstydziłem, ale bardziej wstydziłem, niż bałem, wstydziłem się, że siedzę przy stoliku z tym, kto czerpie przyjemność z upokarzania innych ludzi, ale jeszcze bardziej wstydziłem się tego, że wolę po stokroć siedzieć z nim, niż z nimi tańczyć to straszne, żydowskie tango.

Nie myślałem o tym przez wiele lat, a przypomniałem sobie wszystko kilkanaście lat temu, kiedy Ben-Gal bronił Doliny Łez przed Syryjczykami, a ja nie spałem czwartą noc z rzędu. Garbiłem się nad dokumentami, meldunkami i mapami, żyłem tylko o kawie i papierosach, bo na nic innego nie było czasu, i przypomniałem sobie wtedy o tych dwóch pobożnych Żydach w barze Metropol, i przypomniałem sobie o ich brodach, które stykały się w tangu, które Kaplica kazał im tańczyć, i przypomniałem sobie o Szapirze strzegącym Kaplicy z dłonią na rękojeści pistoletu i o samym strasznym Kaplicy na krótkich nóżkach podrygującym wesoło dookoła tańczących i od tego czasu nie zapomniałem o nich ani na chwilę.

Ani o Kaplicy, ani o Szapirze, ani o tańczących Żydach.

Kiedy tak tańczyli, do Metropolu wpadł wysoki, szczupły mężczyzna o czarnych, wełnistych włosach, w którego ręce dostrzegłem browninga, a w twarzy podobieństwo do twarzy Jakuba Szapiry, człowieka, który zabił mojego ojca.

– Daj, yz szo gienig![8] – wrzasnął, przeciskając się między ludźmi.

Nazywał się Moryc Szapiro, był młodszym bratem Jakuba i działaczem Poalej Syjon-Lewicy. Czego wtedy nie wiedziałem. Wtedy był dla mnie tylko człowiekiem z browningiem w dłoni, w białej koszuli z podwiniętymi rękawami, bez kołnierzyka, w wysokich butach i wpuszczonych w nie

spodniach, a jednocześnie mam wrażenie, jakbym już wtedy wiedział o nim wszystko w sposób tak oczywisty, jak to, że po nocy nastaje dzień.

Orkiestra znów przestała grać.

– Antlofc jidn, gijech[9] – szepnął do tańczących Żydów pan Wolf Handszer i sam również uciekł, kryjąc się za barem.

– Panie Kaplica, ja pana ostrzegam – warknął Moryc.

Kaplica odwrócił się do młodszego Szapiry i gapił się nań. Żydzi uciekli, podobnie muzycy z orkiestry, a to mierzenie się wzrokiem chwilę trwało i zostaliśmy w barze w czwórkę, Kaplica, dwóch Szapirów i przerażony, niewidoczny ja.

– Moryc, gaj szo ahajm[10] – powiedział Jakub.

– Famach'n pisk, Jankiew – odparł Moryc. – Jach rejd nysz my dijo[11]. Panie Kaplica, ja pana ostrzegam. Pan nie będziesz dręczył ludzi więcej. Pan nie chcesz mieć z nami do czynienia.

– Maładiec. No, no, już – odparł Kaplica, wkładając rękę do kieszeni. – Wygłupy takie. Już wszystko w porządeczku, panie kochany. Idziemy, Kuba!

I wyszedł. Szapiro za nim. Ja za nimi, niewidoczny mały nikt.

Wsiadłem z powrotem do czerwonego imperiala.

Ruszyliśmy.

Dwa dni wcześniej ojciec mój Naum Bernsztajn nie wsiadł, lecz został wrzucony do bagażnika brązowego buicka model 48 – dwudrzwiowego touringa coupé, jak określał go prospekt firmy Buick, który odnalazłem wiele lat później, żeby zidentyfikować samochód widziany przez siedemnastoletniego mnie... Ale czy to byłem ja, ten, który widział? Czy ja, który widział, i ja, który pamięta, to jeden ja?

Zidentyfikowałem więc w prospekcie samochód zapamiętany przez siedemnastoletniego Mojżesza Bernsztajna. Samochód Jakuba Szapiry.

Miał bagażnik jak na dzisiejsze czasy skromny, jak na tamte obszerny, był to tak zwany bagażnik zintegrowany, stanowiący część bryły samochodu, co nie było wtedy wcale oczywiste, bo wiele samochodów jeździło jeszcze z bagażnikiem w formie skrzyni przypinanej skórzanymi pasami z tyłu auta.

Do takiej skrzyni trudno byłoby wrzucić mojego ojca, do zintegrowanego bagażnika znacznie łatwiej, mimo że nie był to bagażnik wielki. Mój ojciec był jednak mężczyzną niedużym i jakoś się zmieścił.

Szapiro siadł za kierownicą, jego dwóch kamratów, których później poznałem, to jest Pantaleon Karpiński, i drugi, Munja Weber, często szoferujący Kaplicy, usiadło odpowiednio z tyłu i na siedzeniu pasażera. Pojechali marną szosą przez Koło, minęli ogrody Ulricha, minęli Górce i Blizne i za Bliznem, a przed Latchorzewem zjechali z głównej drogi i trzęsąc się na wybojach, dotarli nad glinianke.

Musiał mi o tym Szapiro potem opowiedzieć, na pewno mi opowiedział, stąd wiem, którędy jechali. Ale po co by mi o tym opowiadał?

Tego nie wiem.

Nad glinianką Szapiro, Leon i Munja wysiedli, ojciec mój został zaś z bagażnika wywleczony. Krzyczał i protestował, z czego przyszło mu tylko to, że Pantaleon, ogromny psychopata, o którym opowiem może później, kopnął go w usta podkutym butem.

Miał dziwaczną fryzurę – długie, gęste włosy z ciemienia zaczesane w tył, aż do szyi. Nikt wtedy się tak nie czesał. Później dowiedziałem się, dlaczego Pantaleon nosił długie włosy. I tak później o tym opowiem. Teraz tylko ta fryzura dziwaczna mi się przypomniała.

Munja kazał się mojemu ojcu rozebrać. Szczurkowaty, chudy, mały Munja, który do Warszawy przyjechał nie wiadomo skąd.

Był smagły i ciemnowłosy, z czarnym wąsem, większość brała go za Cygana, miał trochę azjatyckie rysy, acz sam Munja twierdził, że jest Żydem, spolszczonym trochę, zasymilowanym, ale Żydem. Urodził się w Harbinie, do Polski przyjechał w 1925 roku i podobno znał chiński.

Nie znał za to żydowskiego, obyczajów nie przestrzegał i słynął z tego, że w walce na pięści wyciągał nóż, a kiedy walczono na noże, strzelał z pistoletu. Taki był. Nikt go nie szanował, ale wszyscy się go bali, bo Munja mikrą posturę nadrabiał zajadłością i agresją. Pił jak smok, miał brzydką, wąsatą żonę, której się bał bardziej niż Kaplicy, tak że do domu zachodził nie częściej niż raz w tygodniu.

Tenże Munja kazał się mojemu ojcu rozebrać, ojciec odmówił, więc Munja kastetem wybił ojcu dwa przednie zęby. Ojciec, płacząc i jęcząc

z bólu, rozebrał się do naga i stanął nagi przed swoimi oprawcami, szczupły, blady, na krzywych, chudych nogach. Wtedy Szapiro wyjął z samochodu duży, trzykilogramowy młotek i uderzył nim mojego ojca w głowę, łamiąc kości czaszki, ogłuszając i wywołując krwotok do mózgu, acz jeszcze nie zabijając na miejscu.

Pantaleon i Munja zdjęli marynarki, założyli rzeźnicze fartuchy, Panteleon wyjął z auta lekarski neseser, w którym znajdowały się dwa rzeźnicze tasaki, nóż do sprawiania oraz chirurgiczna piła do amputacji. Następnie Pantaleon okręcił stopy mojego nieprzytomnego ojca paskiem od spodni i bez wysiłku podwiesił go na gałęzi, i ojciec wisiał nagi, ramiona, pejsy i obrzezany penis zwisały zgodnie z prawami grawitacji, acz przeciwnie, niż zwykły były zwisać względem ciała przez całe nudne życie mojego tatki.

Szapiro podszedł, otworzył nóż sprężynowy i poderżnął mojemu nieprzytomnemu ojcu gardło, ustawiając się za nim, tak by tryskającą z żywego jeszcze ciała krwią nie powalać sobie butów i spodni.

Myślę często o tym, że to ja mu to gardło poderżnąłem, nie jakiś tam warszawski urka, tylko ja sam, ja jestem winien temu i ja jestem tego sprawcą, że ojca mego jak bydlę sprawili, że zawisł i krew lała się z jego gardła.

Musieli zaczekać, aż ojciec się wykrwawi. Pantaleon zjadł więc przygotowaną przez żonę kanapkę, utyskując na niedostateczną ilość chabaniny między kromkami, Munja ostrzył tasaki, Szapiro zaś oddalił się trochę, siadł nad wodą, z bocznej kieszeni marynarki wyjął powieść Szaloma Asza pod tytułem *Dos sztetł*, następnie zdjął marynarkę, złożył ją starannie, zapalił papierosa i czytał.

– Z Ziembińskim masz walczyć, słyszałem? – zapytał Munja, jak zwykle ciekawski.

Szapiro potwierdził mruknięciem, nie odrywając wzroku od książki.

– To ten falangista, tak? Podobno brał udział w tej całej hecy z ostrzelaniem siedziby Bundu – ciągnął Munja Weber.

– W dupie to mam. To po prostu bokser. – Jakub wzruszył ramionami.

Mój ojciec wyciekł ze swojego ciała razem z krwią, tak jak świnia wycieka z ciała świńskiego, więc Pantaleon i Munja zabrali się do roboty.

W tym Szapiro już nie uczestniczył.

Najpierw oddzielili od korpusu głowę, Pantaleon biegle prowadził ostrze między kręgami. Piły nie używali. Ręce i nogi ojca oddzielili od ciała, tnąc precyzyjnie dookoła stawów biodrowych i barkowych, następnie preparując i przecinając ścięgna i torebki stawowe. Kości, pozbawione tych więzów, z łatwością wykręcili i wyrwali ze stawów, ciało mojego ojca rozdzierając na części.

Kiedy wszystko było gotowe, zawołali Szapirę, a jakby mnie samego zawołali.

Szapiro polecił głowę Nauma Bernsztajna, ojca mojego, zawinąć w jego własny chałat, razem z portfelem zawierającym trochę pieniędzy i dokumenty. W głowie Nauma Bernsztajna znajdował się zaś martwy już mózg Nauma Bernsztajna i myślę dziś, iż można powiedzieć, że głowa Nauma Bernsztajna była prawdziwym mieszkaniem Nauma Bernsztajna, że w tej głowie, w tym mózgu Naum przebywał, kiedy żył i był, bo czym był Naum Bernsztajn? Naum Bernsztajn nie był ciałem Nauma Bernsztajna, które teraz leżało poćwiartowane na ziemi. Naum Bernsztajn był myślami Nauma Bernsztajna o Naumie Bernsztajnie, był pamięcią Nauma Bernsztajna, był tym, co działo się w mózgu Nauma Bernsztajna, kiedy ciało Nauma Bernsztajna wydzielało do krwiobiegu substancje, z których brały się emocje Nauma Bernsztajna, a więc endorfiny Nauma Bernsztajna, adrenalinę i kortyzol, i inne będące źródłem ludzkich emocji substancje, z których Naum Bernsztajn się składał, kiedy na przykład kochał się z moją matką, co czynił zwykle w szabas, jak przystało pobożnemu Żydowi, i kiedy pod wpływem jej ciała działo się w jego ciele to wszystko, co umożliwiało mu zbliżenie się do niej, albo kiedy się bał, a bał się bardzo, i słusznie się bał, gdy Jakub Szapiro za brodę wyciągnął go z naszego mieszkania przy ulicy Nalewki 26. Co się z nim stało, kiedy pozbawiony krwi, a z krwią tlenu, mózg, mieszkanie Nauma, obumarł?

Najpierw skurczyła się, a potem zniknęła przestrzeń, w której był Naum Bernsztajn, składający się z myśli Nauma Bernsztajna o Naumie Bernsztajnie, jego pamięci i strachu. A kiedy skurczyła się i zniknęła przestrzeń, w której Naum Bernsztajn był, zniknął też Naum Bernsztajn, a kiedy zniknął, to jakby go nigdy nie było. Została tylko moja pamięć po nim, a ja może będę ostatnim człowiekiem na świecie, pamiętającym, że

żył ktoś taki jak Naum Bernsztajn, pobożny Żyd zamieszkały w Warszawie, Nalewki 26, numer mieszkania 6, ale moja pamięć o Naumie Bernsztajnie nie jest Naumem Bernsztajnem, jest mną, emerytowanym przymusowo tat-aluf, czyli generałem brygady Mosze Inbarem, lat 68, siedzącym przy elektrycznej maszynie do pisania marki IBM Selectric II. Generał Mosze Inbar słucha gramofonowej płyty z piosenkami śpiewanymi przez Eugeniusza Bodo i Hankę Ordonównę i myśli o swoim ojcu, Naumie Bernsztajnie i jego śmierci, i dalszych losach jego umęczonego ciała.

A czy generał Mosze Inbar ma cokolwiek wspólnego z Mojsze Bernsztajnem?

Czy w ogóle istniał Mojsze Bernsztajn, po polsku zwany Mojżeszem, czy istniał by zamienić się w hebrajskiego Moszego Inbara?

A oni w bagażniku buicka rozłożyli brezent i wrzucili doń kawały mięsa, które razem stanowiły ciało mojego ojca, ale nie były już moim ojcem. Korpus pozbawiony krwi, kończyn i głowy wrzucili do glinianki.

Z Latchorzewa pojechali polnymi drogami na Paschalin i Babice, zatrzymali się przy kolejnej gliniance, do której wrzucili nogi, na których chodził za życia Naum Bernsztajn, i ruszyli dalej, na Chrzanów i Macierzysz, gdzie w stawie pochowali ręce, którymi głaskał mnie po głowie Naum Bernsztajn, i wreszcie głowę, zawiniętą w ubranie Nauma Bernsztajna, razem z dokumentami, poświadczającymi, że ich właściciel jest Naumem Bernsztajnem, obywatelem Rzeczpospolitej Polskiej, wyznania mojżeszowego, zatopili w jeziorku w Odolanach, obojętnym zarówno na wyznanie, jak i niekompletność zatapianego Nauma Bernsztajna.

A potem wrócili do Warszawy.

Munja Weber poszedł grać w karty do paszteciarni Sobenskiego, do domu nie miał po co wracać. Pantaleon Karpiński do domu, owszem, poszedł, trzasnął żonę w twarz, zadarł jej kieckę, przegiął nad kuchennym stołem i wygrzmocił w sposób niezawodnie zapobiegający ciąży, to znaczy w tyłek. Żona nie protestowała, bo wiedziała, że jeśli zaprotestuje, to Pantaleon gotów ją zabić, tak jak podobno zabił poprzednią. Dzieci mieli już piątkę, stąd jego niechęć do posiadania następnego była dla niej zrozumiała. Cierpliwie więc znosiła ból, czekała, aż skończy, a skończył

szybko, po czym zażyczył sobie herbaty, którą mu pospiesznie zaparzyła, wiedząc, że Pantaleon nie znosi czekać.

– Masz bardzo wielkie szczęście, bo nie pije – mówiła jej matka i żona Pantaleona Karpińskiego przyznawała jej rację. Pantaleon był abstynentem. Uważał, że wódka wyciąga z ludzi ich najgorsze cechy. Gardził pijakami. Wypił więc herbatę, zjadł kromkę chleba i poszedł spać, nastawiwszy budzik na trzecią trzydzieści – o czwartej zaczynał robotę w rzeźni.

Jakub Szapiro zaparkował buicka w garażu Dynasy, do mieszkania na Nalewkach wrócił dorożką. Wspiął się po schodach na trzecie piętro i zastał rodzinę przy kolacji. Przywitał się z żoną, Emilią Szapiro, z domu Kahan, ucałował synów, bliźniaków Dawida i Daniela, po czym usiadł przy rodzinnym stole.

Emilia pachniała jak dom. Jak spokój. Jak ukojenie, którego łaknął i po które do domu wracał, i ja też takiego ukojenia pragnąłem.

Podała mu talerz rosołu, dwie kromki chleba, siadła obok i narzekała na Dawida. Nauczycielka poskarżyła się, iż dokazuje na lekcjach.

– Która? – zapytał.

– Polonistka.

– To idiotka. Nie przejmuj się, chłopie – powiedział do Dawida.

Emilia przewróciła oczami.

– Wiesz, że mam rację – uśmiechnął się Jakub.

Wiedziała.

– Położę chłopców spać – zaproponował. – A ty odpocznij.

Zgodziła się, ale nie odpoczęła, nie położyła się, sprzątnęła po kolacji. Jakub dopilnował toalety synów, przeczytał im pięć stron nowej książki Makuszyńskiego *Szatan z siódmej klasy* i poczekał, aż zmęczeni zasną. Potem rozebrał się, umył, poszedł jeszcze raz ucałować śpiących już w swoich łóżeczkach synów, by następnie położyć się do małżeńskiego łóżka, odkładając pistolet, nóż, zegarek i portfel do szuflady nocnego stolika.

Kiedy przyszła doń żona, poprosił ją, by zdjęła nocną koszulę. Zdjęła, pozwoliła mu na siebie popatrzeć. Miała mocne ciało sportsmenki, poznali

się w Makabi, rzucała oszczepem, a na tym mocnym ciele nosiła ślady po dwóch ciążach – luźną, poznaczoną perłowymi rozstępami skórę na brzuchu i piersi o wiele cięższe niż wtedy, gdy się poznali.

Weszła do niego pod kołdrę.

– Pojedźmy tam, Jakub. Tam wszystko będzie inaczej – powiedziała potem.

Leżał rozleniwiony, czuł w ustach smak jej śliny, pościel mocno pachniała ich ciałami, ona opierała głowę na jego piersi, głaskał jej włosy.

– I co ja tam będę robił? – zapytał. – Przecież ja pięciu słów po hebrajsku nie znam.

– Czytałam w „Przeglądzie", że Anglicy chcą tam zrobić państwo żydowskie. Rozumiesz, Jakub? Żydowskie państwo, wyobrażasz to sobie, Jankiew?

– Też to czytałem.

– I co?

– Żydowskie państwo i arabskie państwo też. Bez Jerozolimy.

– Jankiew, i co z tego? Czy ty rozumiesz, mieć swoje państwo… Chłopcy będą żyć w kraju, gdzie nie będą kimś gorszego rodzaju. Będą dorastać w Tel Awiwie, będą tam żyć jak Polacy w Warszawie, będą swoi u siebie. Nie jak my tutaj.

– Mnie jest dobrze, Emilia. Ja jestem swój u siebie. Mnie tam moje miasto wystarczy.

– Warszawa…? – zapytała, chociaż wiedziała, że to Warszawę właśnie ma na myśli.

– A jak. Warszawa.

– Jankiew, Warszawa jest Polaków.

Parsknął śmiechem.

– Nie, Emilia. Warszawa nie jest Polaków. Warszawa jest Kuma. Warszawa jest moja. Jakuba Szapiry, nie żadnego Jankiewa. Warszawa jest nasza. A my nie mamy ani religii, ani narodowości. Kum nie jest Polakiem. Ja nie jestem Żydem. Kum jest Kumem, a ja jestem Szapiro. A Warszawa to jest nasze miasto, a my jesteśmy Warszawy.

– Jasne, Jankiew, znam to na pamięć – śmiała się. – Nie jesteś Żydem. Ani bokserem z Makabi. Ani trochę. Powiedz to jakiemuś gojowi, że nie jesteś Żydem, to zabije cię śmiechem.

– To ja zabiję go naprawdę, pięściami – śmiał się razem z nią.

– Czego ty w zasadzie chcesz?

Przestał się śmiać. Chwilę milczał.

– Chcę być królem tego miasta – odpowiedział wolno, po namyśle, oddzielając starannie każde słowo. – I będę królem tego miasta.

– Wiem, Jankiew. Wiem. I będziesz, albo cię wcześniej zabiją. Ale jak cię znam, a znam cię najlepiej na całym świecie, to będziesz, Jankiew. Będziesz królem. I wtedy co z tym zrobisz? Z tym swoim królowaniem? Będziesz go strzegł przed następnym, młodym Jakubem Szapirą?

– Nie wiem, Emilia.

– Wyjedźmy, Jakub.

– A co ja miałbym niby robić w Palestynie, Emilia? Sklepikarzem zostanę? Rolnikiem? Jedyne, co umiem, to bić w mordę, strzelać i ganiać skurwysynów po ulicach.

Przytuliła się do niego. Uśmiechnęła się, uśmiechem w ciemnościach.

– Założę się, że nasi tam bardzo potrzebują ludzi, którzy potrafią bić, strzelać i ganiać się z bęcwałami po ulicach – wyszeptała, całując go w ucho.

Oddał pocałunek.

Była pewna, że w końcu go przekona, że sprzedadzą wszystko, co mają, żeby nie obciążać się bagażami, i pojadą. Wiedziała, że jej Jakub ma pieniądze, dużo pieniędzy. Sprzeda auto, sprzedadzą meble, wyciągnie oszczędności, które gdzieś na pewno chowa, pojadą pociągiem do Konstancy, wsiądą na statek, „Polonia" pływa przecież do Hajfy, a tam, na miejscu, wszystko będzie inaczej.

– Muszę się jakoś zająć tym młodym Bernsztajnem – powiedział wtedy, i to mnie miał na myśli.

A zresztą może wcale tak nie powiedział.

Emilia jakoś wyczuła, dlaczego Jakub uważa, że musi się zająć młodym Bernsztajnem. Znała Szapirę tak dobrze, że odgadywała nawet to, czego

nie wiedziała, czytając w jego mimice, spojrzeniach.

– Jak ty się możesz chłopakiem zająć, Jankiew, jak ty się możesz nim zająć – zasmuciła się tylko.

– Każę mu dać bilet na moją walkę pojutrze.

Milczała chwilę. Przestała go całować.

– Bilet możesz mu dać. Ale potem zostaw go w spokoju, rozumiesz? Daj mu żyć z dala od ciebie. Nie pomożesz mu. Nie ty. Nie możesz.

– Rozumiem – odparł.

– To nie jest w porządku, Jankiew – powiedziała mocno. – Kocham cię, ale to nie jest w porządku. To co zrobiłeś. Rozumiem, że musiałeś. A ty zrozum, że ja muszę ci to powiedzieć. Nie możesz wziąć tego chłopaka.

Nie odpowiedział. Emilia wróciła do całowania. Kochali się.

Ja zaś siedziałem wtedy z moim młodszym bratem w naszym wspólnym pokoju i milczeliśmy. Byliśmy głodni, od zniknięcia ojca matka niczego nie gotowała, tkwiła w kuchni i płakała z zaciśniętymi ustami, prawie bezgłośnie, a my siedzieliśmy z tym jej płaczem i z brakiem ojca. Widziała mnie już bez pejsów i w krótkim, chrześcijańskim ubraniu. Nie powiedziała ani słowa.

Dwa dni później zaś siedziałem w czerwonym chryslerze Kuma, na rozkładanym siedzisku tyłem do kierunku jazdy i sunęliśmy przez Warszawę, przez tę drugą, polską, chrześcijańską Warszawę, której nie znałem, której się bałem, której nienawidziłem i której, już to wiedziałem, staję się częścią, jadąc samochodem z gojem Kaplicą i Żydem Szapirą, podnieconymi narkotykami, alkoholem i przemocą.

I ja również czułem to podniecenie.

Za sunącym Marszałkowską imperialem Kaplicy podąża przez powietrze wieloryb, ciemnoszary, tępogłowy kaszalot. Mija reklamę Bałtycko-Amerykańskich Linji z dynamicznym liniowcem w stylu art déco, unosi się nad latarniami, nad tramwajową trakcją.

Zębata żuchwa kaszalota otwiera się i zamyka, potężne, muskularne cielsko porusza się powoli, potężny łeb dotyka dachów kamienic, strącając parę dachówek. Płetwa ogonowa muska wieżę Dworca Wiedeńskiego, drżą blaszane rynny.

Widzę go kątem oka tylko, ale widzę. Płoną mu oczy, a z rozwierającej się paszczy dobiega cicha, szumiąca pieśń. Bardzo stara. On również mnie widzi i w pieśni szepcze swoje imię.

Litani. Litani. Litani.

Jestem Litani.

Przecinamy Jerozolimskie, jedziemy do Ryfki Kij. Kulę się w fotelu.

ב

BET

Szapiro, Pantaleon i Munja zabili mojego ojca w piątek, 9 lipca 1937 roku.

W piątkowy wieczór zaczął się szabas, a w sobotę w naszym domu nie działo się nic, co się w szabas dziać powinno. Matka siedziała całą noc przy kuchennym stole. Nie zaniosła w piątkowy wieczór czulentu do piekarni. Byliśmy głodni. W końcu mój brat poszedł do sąsiadów, ludzi miłosiernych, i dostał od nich czulentu, z tym że nieudanego, nie dopiekł się; mieli dwa, nam dali resztę gorszego, za co trudno ich winić. Matka nie jadła, my zjedliśmy.

Jakub Szapiro często mówił, że ma w dupie obyczaje wymyślone trzy tysiące lat temu na pustyni. Szabasu nie przestrzegał, jadał trefne pokarmy i mówił, że chętnie czyta Marksa, jednak najchętniej czytywał tylko gazety, najlepiej czerwone, i prozę w jidysz.

W szabas 10 lipca zjadł z synami śniadanie, po czym zadzwonił do redakcji „Kurjera Warszawskiego", najważniejszej polskiej gazety, i poinformował, mówiąc zmienionym głosem przez chusteczkę, że w gliniance pod Latchorzewem znajduje się ciało człowieka i że będą dalsze informacje.

Dyżurujący redakcyjny praktykant pobiegł z tą wieścią dalej i nadano jej bieg. Dwie godziny później komisarz Czerwiński z Wydziału IV Komendy Głównej Policji Państwowej i redaktor Witold Sokoliński z „Kurjera Warszawskiego" stali nad brzegiem latchorzewskiej glinianki, paląc papierosy i rozważając, czy dobrze jest czterem posterunkowym brodzić po pas w wodzie w poszukiwaniu ciała, czy nie dobrze. Z jednej strony –

dobrze, bo upał, w wodzie ochłoda. Z drugiej – woda zapewne trupia. Coś obrzydliwego.

Redaktor Witold Sokoliński był człowieczkiem średniego wzrostu, obdarzonym szpiczastą, łysą czaszką, z nadwagą niewielką, ale szpetną, bo rozlaną i miękką niczym u eunucha. Był dziwacznie niezdarny towarzysko, nie miał podejścia ani do kobiet, ani do mężczyzn, odstraszał wszystkich nerwowym uśmieszkiem złośliwego kobolda, którym maskował stale towarzyszące mu zażenowanie. Nie najlepiej radził sobie przez to z dziennikarskimi obowiązkami, pasjonowały go wyłącznie pieniądze, których mu wiecznie brakowało, i nic nie zajmowało go bardziej niż to, ile zarabia lub zarobić może kolega z redakcji własnej czy konkurencyjnej. Wszystkich podejrzewał, że zarabiają więcej od niego, co poczytywał sobie za osobistą obrazę. Jako że był nielubiany przez kierownictwo gazety, często miał w tych podejrzeniach rację.

Do tego panicznie bał się mikrobów. W kieszeni nosił ze sobą buteleczkę spirytusu, którą odkażał dłonie, jeśli tylko zmuszony był dotknąć czegokolwiek. Bo jak wiadomo, mikroby znajdują się wszędzie. W kieszeniach niemodnych garniturów nosił dwie chusteczki: jedną do przecierania obficie pocącej się łysiny i twarzy, drugą do skrapiania spirytusem i odkażania rąk po tym, jak musiał komuś uścisnąć dłoń. Nie przysparzało mu to popularności. Klamki otwierał łokciem. Miał brzydką żonę i trzech nieudanych synów – nawet oni nie darzyli go szacunkiem.

Policjanci otwarcie Sokolińskim gardzili.

– A paszoł won, gnido… – syknął pod nosem posterunkowy Barlicki na widok dziennikarza.

To Barlicki znalazł pozbawione kończyn i głowy ciało.

– Porachunki – westchnął na ten makabryczny widok komisarz Czerwiński, zażywny warszawski mieszczanin, wyglądający bardziej na księgowego niż na policjanta. Żałowałby jednak każdy urka, który by go na podstawie powierzchowności zlekceważył.

– Żyd – powiedział posterunkowy Barlicki, wskazując na obrzezane prącie mojego ojca, któremu Pantaleon z Munją go nie odjęli.

– Nie zapłacił pewnie – dodał redaktor Sokoliński.

– Kaplicy, jak widać, lepiej płacić – podsumował Czerwiński.

– Myślisz pan, że to on...? – zawahał się Sokoliński.

– A jak. Jego modus operandi.

Sokoliński wyciągnął notes i ołówek, coś zanotował.

– Mogę zacytować?

– Oczywiście, że pan nie możesz – żachnął się Czerwiński. – Panie, życia pan własnego nie szanujesz?

Sokoliński bardzo się stropił. Niezwykle bał się przemocy fizycznej.

– Jeśli to on, Kaplica, to przecież jemu tylko o to chodzi, coś pan...? Żeby w „Kurjerze" było. Żeby się bali – zauważył po zastanowieniu.

Czerwiński przyjrzał mu się uważnie, jednak nie odpowiedział.

– Wie pan, to wszystko ma naukowe podstawy. Racjonalne. A nauka najważniejsza rzecz, nieprawdaż? Tylko naukowo można prawdy dociec. Bo ja z wykształcenia chemik jestem, rozumiesz pan. I eugenicznie rzecz biorąc, Żydzi są gorszą rasą, rozumiesz pan? To jest naukowo potwierdzone. Na-u-ko-wo.

Czerwiński pokręcił głową i zabrał się za spisywanie notatki służbowej. Redaktor Sokoliński również pokręcił głową i odpuścił. Uznał, że Czerwiński, jako prostak, za nic ma potęgę rozumu.

– Pewnie pan też wierzysz, że człowieka jakiś bożek z gliny ulepił i ziemia jest płaska – mruknął do siebie, pod nosem.

Czerwiński usłyszał to i nagle szarpnął się w stronę Sokolińskiego, całym ciałem, markując ruch, jakby zamierzał się do ciosu. Sokoliński przeraził się tak bardzo, że chciał odskoczyć, ale potknął się o własne nogi i klapnął tyłkiem w błoto.

– Żarty głupie... – zaperzył się.

Posterunkowi zapakowali ciało mojego ojca na pakę policyjnego furgonu. Redaktor Sokoliński wsiadł na rower i mozolnie, z odkrytą głową i ubłoconym siedzeniem popedałował do Warszawy. Kolarz był z niego żaden, za to nieco otyły.

Czerwiński odprowadzał go wzrokiem, dumając nad czymś.

– Spójrzcie, posterunkowy – powiedział, zamyślony, do Barlickiego. – Gdyby w tej łysej pale w ciemieniu dziurkę wywiercić, wyglądałby zupełnie...

– Zupełnie jak chuj, panie komisarzu. Wiadomo. Chuj z rękami.

Ja w tym czasie siedziałem w domu. Do drzwi naszego mieszkania zapukał łatek, chłopiec bosy i bardzo nędzny, w za dużym surducie. Wręczył mi kopertę. Dałem mu dziesięć groszy, uciekł. W kopercie był bilet na walkę bokserską w Kinie Miejskim. Powinienem był go spalić, ale nie spaliłem. Zamiast spalić bilet, poszedłem na walkę.

Pytam sam siebie dziś – dlaczego poszedłem? Pytałem też wczoraj i dziesięć lat temu, i trzydzieści lat temu, i nie wiem.

A potem, kiedy łatek uciekł, przyszła Magda.

Magda Aszer.

Nie pukała, weszła po prostu.

Była starsza ode mnie, chociaż tylko o rok. Z innej niż moja rodziny, w jej domu mówiło się po polsku, po żydowsku rodzice rozmawiali tylko wtedy, gdy chcieli, żeby dzieci nie rozumiały, w bożnicy bywało się rzadko albo wcale, na drzwiach nie było mezuzy, kuchnia nie była koszerna i czytało się „Nasz Przegląd", nie „Hajnt". Żydowskiego dzieci się nauczyły i tak, nie sposób było żyć u nas i z nami i nie mówić po żydowsku, ale Magda wolała po polsku.

Poza tym nie wyglądała na Żydówkę. Miała jasne, kędzierzawe włosy, które z zapałem prostowała, ciemnoniebieskie oczy i szeroką, słowiańską twarz o wystających kościach policzkowych. Nie była ładna, nie była też brzydka, niezbyt wysoka, muskularna, o silnych ramionach i prawie męskich bicepsach. Przez pływanie.

Myślałem potem często o tym, że Magda jest jakoś podobna do Emilii Szapiro, żony Jakuba. Miały ze sobą coś wspólnego, i to nie tylko szerokie ramiona atletek. Magda pływała, pływała z zapałem, trzy razy w tygodniu bywała na pływalni Makabi, na przystani na Jasnej Kępie, parę razy mnie zaprosiła, żebym przyszedł, i przyszedłem, i patrzyłem, jak pływa w białym kostiumie kąpielowym i w zapinanym pod szyją czepku, chociaż mój ojciec chętnie opowiadał mi historie o cadykach, którzy na widok kobiety zasłaniali oczy i nie odważyliby się przebywać blisko kobiety, jeśli nie byłoby przy nich innego mężczyzny, który mógłby ich ustrzec od grzechu. Dziś wiem, że to nie one dwie były do siebie podobne, tylko całe ich pokolenie, całe pokolenie żydowskich dziewcząt, pierwszych, które

pływały, biegały, skakały wzwyż, na Grochowie uczyły się uprawiać rolę, a potem jeszcze na dodatek nauczyły się strzelać i używały tej umiejętności zarówno w Warszawie, jak i w Palestynie.

A ja, chudy, żydowski chłopiec w mycce, z założonymi za uszy pejsami i w kapocie sięgającej poniżej kolan, patrzyłem, jak Magda pływa i jak wychodzi z wody, ściąga zapinany pod brodą czepek i suszy włosy, a pod białym kostiumem pływackim widać było sterczące sutki jej małych piersi.

Wiedziałem, że to grzech tak patrzeć. Miałem to za nic.

Gdyby mój ojciec urodził się w Warszawie, też miałby to za nic, lecz pobożny Naum Bernsztajn urodził się w Łomży, a umarł nad brzegami glinianki w Latchorzewie, do Warszawy zaś przyjechał po pierwszej wojnie już jako dorosły człowiek, mąż swojej żony, ubogi, ale pobożny Żyd z szanowanego rodu, a skoro z Łomży, to jakby pokolenie wstecz względem Żydów warszawskich. Nie wszystkich, oczywiście, ale na pewno tych, na których przez całe moje dzieciństwo patrzyłem z zazdrością, na Żydów tak samo odzianych jak chrześcijanie, wytwornych, ogolonych i europejskich. Mój ojciec, pobożny i cichy, był ich przeciwieństwem. Gdyby mój ojciec dowiedział się o moim grzechu!

Ale się nie dowiedział.

W dzień po jego śmierci, w szabas 10 lipca 1937 roku Magda weszła do naszego mieszkania, minęła moją szlochającą bezgłośnie matkę i weszła do sypialni mojej i brata mego Emanuela.

– Emanuel, idź do matki – powiedziałem, bo byłem małym, podłym egoistą. A on poszedł.

Magda usiadła obok mnie. Wiedziała. Nawet bardziej niż ja.

I jak tak obok mnie usiadła, to już została na długo, aż do teraz.

Nie umiem znieść tej ciszy, ale jeszcze bardziej od ciszy nie umiem znieść tego, co mogę usłyszeć w radio albo w telewizji. Wstaję od maszyny, idę do lodówki, nalewam sobie zimnej wody. Potem wykręcam jej numer.

– Halo...?

Nie umiem odpowiedzieć. Więc milczę. Słucham jej ciężkiego oddechu.

– Nie dzwoń do mnie. Nie możesz już do mnie dzwonić – mówi po chwili, w ciszę, po polsku. Odkłada słuchawkę.

Wtedy odezwała się do mnie tym samym głosem. To niemożliwe, żeby głos w ogóle się nie zmienił. Więc może źle pamiętam. Ale jestem pewien.

– Mojsze, jestem… – powiedziała cicho i miękko, kładąc mi rękę na kolanie, a ja pomyślałem wtedy, że ojciec nigdy by na to nie pozwolił. Żeby Magda siedziała ze mną w pokoju. Matka też by na to nie pozwoliła, gdyby ojciec żył.

A potem mnie pocałowała w czoło i dopiero wtedy zauważyła, że ściąłem pejsy. Przesunęła palcami po moich wygolonych skroniach.

– Wszystko będzie, jakoś będzie… – szepnęła.

Pocałowała mnie raz jeszcze, znowu w czoło. Próbowałem znaleźć jej usta, przecież pragnąłem jej tak, jak się pragnie pierwszej kobiety w życiu.

Jednak uciekła z ustami. Odsunęła się.

– Jestem twoją przyjaciółką, Mojsze, tylko przyjaciółką. Potrzebujesz teraz przyjaciółki. Możemy pójść do teatru.

Nic na to nie odpowiedziałem. Pięćdziesiąt lat później, kiedy się wyprowadzała, już z ostatnią walizką w ręku odwróciła się do mnie w drzwiach, ciągle wyprostowana i silna, tylko blond loki ścięte na krótsze, siwe i z trwałą ondulacją.

– Lepiej by mi było w życiu, jakbyś skończył jak wszyscy inni – powiedziała bardzo głośno.

– Magda… – jęknąłem.

– Nie mów do mnie „Magda”! – wrzasnęła i wyszła, i trzasnęła drzwiami, a ja zostałem z tą głupią odpowiedzią i brzęczącym jeszcze w uszach trzaskiem, w mieszkaniu, które gdy trzask już zgasł, zostało zupełnie ciche.

A kiedyś, kilkadziesiąt lat temu, mój dom rozbrzmiewał głosami moich synów, kiedy tłukli się na podłodze, jak dokazujące szczenięta, piszcząc i pokrzykując. Nie wiem, co się z nimi stało.

Może nie chcą ze mną rozmawiać. Może zginęli na jakiejś wojnie, na jednej z wielu wojen mojego kraju. Nie wiem, co się z nimi dzieje.

Nie wiem, dlaczego nie chce, bym mówił do niej „Magda”.

Wracam jednak do czerwonego chryslera imperial Kuma Kaplicy, w którym siedziałem na strapontenie trochę pijany, po raz pierwszy

w życiu trochę pijany.

– Moryc robi się bezczelny. Przy mnie się nie wyciąga maszyny z kieszeni – powiedział ponuro Kaplica, kiedy ruszyliśmy.

– Trudno – powiedział Szapiro, i powiedział te słowa tonem, który nawet mnie wydał się dziwnie stanowczy i arogancki.

Kaplica przypatrywał mu się chwilę, gładząc się po wąsach. Zastanawiał się.

– Trudno. Owszem. Twoja krew. Rozumie się. Brat nie stanie przeciwko bratu. Nie godziłoby się. Trzeba będzie to znieść. Jedziemy do Ryfki Kij – oświadczył nagle, decydując, że sprawa zostaje zamknięta.

Moryc był ważną figurą w warszawskim oddziale Poalej Syjon-Lewicy, studiował prawo na Uniwersytecie imienia Józefa Piłsudskiego i należał do tych młodych ludzi tamtych czasów, co to potrzebują sprawy, dla której mogą poświęcić życie, kiedy zaś ją znajdą, to po prostu poświęcają, kierując się przekonaniem, że tylko życie poświęcone czemuś odeń większemu jest warte przeżycia.

Nikt z nich nie chciał wtedy żyć życia dla życia samego. Tacy byli, wszyscy chcieli żyć dla czegoś większego, wszyscy młodzi bundowcy, kominternowcy, fołkiści, oenerowcy, syjoniści, socjaliści, komuniści, endecy. Każdy chciał żyć dla czegoś. Na jakimś poziomie nawet mogli się za to szanować nawzajem, endek z bundowcem, komunista z syjonistą, mogli uznawać jeśli nie swoje wartości, to jakość swoich charakterów.

Jakub był inny. Jakub chciał po prostu żyć. Tego Moryc nie potrafił zrozumieć.

Szofer nie pytał o adres, skinął tylko głową. Przejechaliśmy więc przez plac Bankowy, Żabią i Graniczną i dalej wzdłuż płotu Ogrodu Saskiego w Marszałkowską. Wyjechaliśmy z mojej Warszawy i im dalej na południe Marszałkowską, tym dalej od mojej Warszawy, i w końcu chrysler imperial skręcił w prawo, w ulicę Piusa XI. Do 1930 roku ulica Piusa nazywała się Piękna, ale tego wtedy nie wiedziałem.

Nie wiedziałem, bo nigdy nie zapuściłem się tak daleko. To już nie było moje miasto, to było polskie miasto.

To było miasto asfaltowych, oświetlonych ulic, czystych chodników i eleganckich szyldów, prowadzących do eleganckich lokali. To nie było

moje miasto, moje miasto od tego oddzielała niewidzialna granica niczym ocean, moje miasto było brudniejsze, biedniejsze i żywsze, pachniało inaczej, częściej śmierdziało, ulice mojego miasta mówiły innymi językami, nawet wtedy kiedy mówiły po polsku, i obchodziły inne święta, nawet kiedy obchodzili je chrześcijanie.

Zaparkowaliśmy przed strzelistą kamienicą u zbiegu Piusa XI i Koszykowej, podobną do opływanego przez dwie ulice statku, na którego dziobie znajdowała się wieża nieomalże kościelna, zwieńczona kopułą. Kamienica miała trzy piętra, wieża wyrastała wyżej.

Oczywiście – nie wiedziałem wtedy, kim jest Ryfka Kij. Ale byłem spokojny, jakby ta wiedza znajdowała się w kopercie, którą w każdej chwili mogę otworzyć. Kum wylizał papierek po kokainie, oprószając sobie wąsy białym pyłem.

– Idziemy! – rozkazał.

Bardzo się bałem. Bałem się Kaplicy i bałem się Szapiry, bałem się, a jednak chciałem z nimi pójść, bo nie chciałem już być tym małym, chudym Bernsztajnem, który patrzył, jak Szapiro wyciąga tatkę za brodę z mieszkania.

Chciałem być Szapirą.

Weszliśmy w bramę pod numerem 49. W życiu nie widziałem tak wysprzątanej bramy. Dozorca w mundurze, na oko droższym niż jakiekolwiek ubranie mojego ojca, otworzył, zanim zdążyliśmy zapukać. Ukłonił się nisko, zdejmując czapkę. Kaplica rzucił mu pięć złotych. Pięknymi, krętymi schodami wspięliśmy się na trzecie piętro, Szapiro zapukał do drzwi, zgrzytnęła zasuwka judasza, po czym drzwi się otwarły.

– Zapraszamy panów – pokłonił się nam wielki drab odziany w smoking.

Kaplica wszedł, zacierając wesoło ręce.

W mieszkaniu panował półmrok, przez korytarz weszliśmy do salonu, gdzie na sofach i otomanach siedziały półnagie dziewczęta w przeźroczystych halkach, tiulowych pelerynkach, majtkach i pończochach. Niektóre miały nawet obnażone piersi. W zasadzie nigdy wcześniej nie widziałem niczego takiego, ani obnażonych piersi kobiecych, ani takich frywolnych strojów, a jednak nie wydało mi się to niczym

niezwykłym i sam się teraz sobie dziwię, chłopiec lat siedemnaście, pierwszy raz takie widoki i nic. Ale tak to właśnie pamiętam. Nic.

Dziewcząt było siedem. Trzy blond, w tym dwie tlenione, jedna ruda, trzy brunetki.

Między dziewczętami siedziało trzech mężczyzn, dwóch w garniturach, jeden w polskim mundurze. W kącie przystojny jeszcze, acz już liniejący trochę mężczyzna w białej, smokingowej marynarce przygrywał cicho na białym fortepianie. W głębi salonu znajdował się bar, za którym kolejna biała marynarka okrywała człowieka zajętego wycieraniem szklanek. Za barem na lśniącej półce stały liczne kolorowe butelki z alkoholem. Nigdy nie widziałem na raz tylu trunków w różnych kolorach.

Wszystko mieniło się i lśniło, bar pokryty był błyszczącym rudo mosiądzem, na ścianach wisiały lustra, migotały szkiełka kryształowego żyrandola.

Na wysokim stołku przy barze siedziała szczupła, kompletnie ubrana kobieta. Kompletnie ubrana według standardów miejsca, w którym się znaleźliśmy, a o którym już wiedziałem, że jest domem publicznym, miejscem, gdzie, jakby powiedział mój nieżyjący już wtedy tatko, kobiety schodzą na złą drogę.

Według standardów mego rodzinnego domu, które wyznaczała moja nosząca perukę i skromne suknie matka, kobieta przy barze była półnaga – jej długa, czarna, lecz lśniąca setkami cekinów suknia odsłaniała szczupłe plecy i ramiona. Włosy miała ścięte nieco już staroświecko, w popularnym w latach dwudziestych stylu bob. Nosiła nawet diadem na włosach, jakby wzięty z czasów sprzed zamachu majowego.

Kaplica podszedł do niej, odwróciła się.

Nie była piękna, nie była też brzydka, urodę miała przeciętną, usta wąskie i jakby zacięte, twarz trochę przedwcześnie postarzałą, nie pasującą do młodych ramion i dekoltu, tylko oczy zupełnie inne, obce tej przeciętnej twarzy, wielkie, wilgotne, bardzo ciemne, kryjące się za niezwykle długimi, czarnymi rzęsami i zwieńczone mocnymi, ciemnymi brwiami – oczy, które mogły w sekundę zamienić się z gorących w lodowate, ale nigdy nie bywały letnie.

– Dobry wieczór, droga pani – ukłonił się Kaplica.

Podała mu dłoń w rękawiczce, Kaplica złożył na niej uroczysty pocałunek.

– Dobry wieczór, panie Kaplica. To jak zwykle zaszczyt widzieć pana u nas – powiedziała z uroczym uśmiechem.

– Czy dostąpię dziś zaszczytu pani towarzystwa? – zapytał gangster, uśmiechając się w sposób, który mógłbym nazwać filuternym, gdyby nie to, że filuterność to ostatnia cecha, jaką potrafiłbym Kaplicy przypisać.

– Panie Kaplica, te czasy już dawno temu się skończyły. Gdybyś pan miał dwadzieścia lat mniej i dwadzieścia centymetrów wzrostu więcej, to z rozkoszą. Ale pan nie masz – odparła, też z uśmiechem.

Struchlałem. Zabije ją – pomyślałem.

– A gdybym miał i dał dwa tysiące złotych więcej, pani Ryfko? – zapytał, podkręcając wąsa.

Położyła mu rękę na ramieniu.

– Drogi Kumie, ja już od dawna nie jestem kurwą – powiedziała miękko, ale w jej głosie czaiło się coś niebezpiecznego. W jej głosie była groźba, było wspomnienie czegoś, co jest tylko między nią a Kumem, jakiegoś dawnego zdarzenia. Nawet ja to wtedy słyszałem.

Albo nie słyszałem, nie wiem, nie pamiętam, nie wiem, co z tego, co piszę tutaj, wiedziałem wtedy, a czego dowiedziałem się później, ale dziś, tutaj, przy mojej zielonej maszynie do pisania wiem, że w jej głosie czaiło się coś niebezpiecznego, bo całe życie spędziłem w towarzystwie ludzi, w których głosie czai się coś niebezpiecznego.

Kaplica jeszcze igrał z tym niebezpieczeństwem.

– Ależ pani Ryfko, jakiej kurwie proponuje się dwa tysiące złotych? – zaryzykował.

– Drogiej – powiedziała lodowato i zabrała rękę z jego ramienia.

Wydała mi się wtedy kimś nieskończenie mądrym i nieskończenie potężnym, ta chuda, niezbyt ładna, zniszczona życiem opiekunka prostytutek. Milczała, patrzyła mu w oczy w taki sposób, że nie potrzebowała słów.

– No, upraszam łaski, upraszam wybaczenia, pani Ryfko – wycofał się Kaplica. – Nie może mnie pani winić, że przy kobiecie takiej jak pani, nie

posiadając dwudziestu centymetrów wzrostu więcej ani dwudziestu lat mniej, uciekam się do jedynego, co posiadam… Poza pewnym kunsztem, o którym nawet tutaj nie wypada mówić, oraz narzędziem do jego uprawiania, którego mi natura nie poskąpiła.

Zaśmiała się z żartu, jakby na pojednanie. Topór wojenny został zakopany.

– Pamiętam dobrze ten pański kunszt i narzędzie również, panie Kaplica, pamiętam, był czas, że myślałam, że rozerwie mnie na dwoje.

Śmiali się już razem. Kum wdrapał się na wysoki, barowy stołek. Nie sięgał krótkimi nóżkami do stopnia pod barem, więc tymi nóżkami dyndał.

– Kiedy to było, Ryfko, co?

– W dwudziestym drugim.

– Piętnaście lat… Czas leci szybciej, niż my dajemy radę za nim dążyć – powiedział filozoficznie Kum.

– Józefie, nalej panom koniaku – zwróciła się do barmana. – A skoro na mnie nie ma pan już szans, to co mogę panu zaproponować, Kumie?

– Madzia jest? – zapytał Kum.

Usłyszałem imię mojej miłości i zrobiło mi się lodowato, chociaż przecież wiedziałem, że nie o nią tu chodzi. A jednak.

– Czeka na pana, panie Kaplica – uśmiechnęła się Ryfka.

– To proszę ją zawołać, napijemy się najpierw – zaordynował Kaplica.

– Ależ panie Kaplica, pan przecież wie, że ona jest zbyt młoda, by pić alkohol! – droczyła się Ryfka.

– To niech jej Józef mleka z miodem zagrzeje! – Kaplica ze śmiechu aż klepał się po udzie.

Szapiro nie siadał, oparł się o ścianę, zapalił papierosa. Wstała jedna z dziewczyn, pulchna blondynka o zadartym nosku i spojrzeniu leniwym i kapryśnym, kojarzyło mi się to spojrzenie ze spojrzeniami odalisek z sułtańskich serajów, które oglądałem w albumach i książkach, jakich mój nieżyjący od dwóch dni tatko nie pozwalał nam czytać.

Wstała i podeszła do nas. Przez cienki tiul halki widziałem jej piersi, białe i krągłe, o ciemnych, płaskich sutkach.

– Zająć się młodzieńcem, panie Szapiro? – zapytała Jakuba, po czym zwróciła się do mnie: – Nazywam się Kasia.

Głos miała niski, trochę chrapliwy. Poczułem, że staje mi na widok jej piersi pod halką, staje mi nagle, gwałtownie. Podobały mi się jej piersi. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Miała jednak coś takiego w oczach, w spojrzeniu, co kazało mi być ostrożnym, co zniechęcało, ostrzegało, zapowiadało samo dno oceanów obojętności, apatii, półśmierci, na jakie Kaśka może pociągnąć, jeśli tylko jej na to pozwolić.

Szapiro spojrzał na mnie i zobaczył bladego, przerażonego żydowskiego młodzieńca w brzydkich, chrześcijańskich łachach, z odkrytą głową, z matką, która siedzi w kuchni i płacze drugi dzień, i z ojcem, który poćwiartowany spoczywa w podwarszawskich gliniankach.

– Nie trzeba – odparł. – Innym razem.

Pomyślałem, że dziewczynie zrobi się przykro, ale oczywiście się myliłem. Odczuwanie przykrości nie należało do jej zawodowych obowiązków.

– To może dla pana mogłabym coś zrobić, panie Szapiro? – powiedziała bardziej zalotnie, przysunęła się, dotknęła jego piersi i krocza.

Podeszła do nas jeszcze jedna, wyższa i chudsza, ze spiętymi, ciemnymi włosami, podeszła jakby chciała zrobić blondynce konkurencję.

– Jestem tu nowa. Ola mi na imię. Panu, panie Szapiro, to ja za darmo dam, ile razy pan będziesz chciał – powiedziała. – Pan jesteś taki fetniak, panie Szapiro, jak żaden. Jak żaden!

Zastanawiał się chwilę.

– Dziś nie trzeba, dziewczęta. Następnym razem – powiedział w końcu, jakby z żalem.

Wziął mnie pod ramię, zaprowadził do baru. Ola siadła z powrotem na swój fotel. Kasia wróciła na dno swojego oceanu.

– Siadaj. Głodny?

Skinąłem głową. Usiadł obok, zdjął kapelusz.

– Panie ober, co jest do jedzenia na ciepło? – zapytał barmana.

– Na ciepło to sztuka mięs albo gotowana golonka. Golonkę pan zjedz, polecam, lepsza.

– Zjesz trefne? – zapytał Szapiro, przyglądając mi się badawczo.

Pokręciłem głową.

– Sztuka koszer? – zwrócił się znowu do barmana.

– A jak, panie. Koszer. Cadyki z całego świata tę sztukę tu jeść przyjeżdżają, taka jest koszer – uśmiechnął się barman, nieproszony stawiając przede mną i Szapirą butelkę zmrożonej wódki Baczewski i dwa kieliszki.

Szapiro śmiał się głośno.

– Rabin Michaelson orzekł, że ta sztuka mięs jest taka koszer, panie kochany, że do końca życia możesz pan świninę w śmietanowym sosie rąbać i nic nie będzie trefne, tak pana ta przekoszerna sztuka mięs zkoszerowała.

– Ja tam jestem apykejres, mnie daj pan golonkę, chłopakowi sztuka mięs – zaordynował Jakub, ciągle się śmiejąc. – Tylko szybko, bośmy głód.

Nalał wódki, do obu kieliszków, sobie pełny, mnie pół. Podsunął mi papierosa. Palić już mi się zdarzało, więc przyjąłem. Podał mi też ogień, zaciągnąłem się.

– Żitany. Francuskie. Najlepsze – poinformował mnie Szapiro, zaciągnąłem się więc ponownie. Były mocne i smaczne, nie powiem. Do dziś lubię gitanes, ale ciężko u nas gitanes dostać, więc palę głównie, co jest. Zwykle niedobre.

A może wtedy właśnie nie paliłem? Nie pamiętam.

Oficer w mundurze wyszedł z salonu pod rękę z blondynką, która nas zaczepiała. Pozostali dwaj klienci ulotnili się gdzieś sami. Zza kotary wyszła za to dziewczynka i usiadła obok Kaplicy. Szapiro zauważył, że się jej przyglądam.

– Madzia – powiedział.

Kaplica położył jej rękę na udzie. Dziewczynka miała włosy spięte w dwa warkoczyki i strój pensjonarki. Wyglądała bardzo młodo, ciało dopiero zaczęło się jej zaokrąglać. Pomyślałem, że może wybrali taką o młodym wyglądzie i przebrali za uczennicę. W jednej z książek zabronionych mi

przez ojca czytałem o tym, że ludzie miewają dziwaczne upodobania seksualne.

– Nie gap się, bo Kaplica gotów cię strzelić – syknął bokser. – Nikt poza nim nie ma prawa jej tknąć.

– Ile ona ma lat...? – zapytałem głupio.

– Dwanaście. Zamknij się.

W tej chwili Kum spojrzał na mnie, spojrzał swoimi złymi oczami strasznego puryca. Były w tym spojrzeniu groźba i wyzwanie. Kaplica rzucał wyzwanie bezbronnemu siedemnastoletniemu Żydkowi, bo rzucał wyzwanie zawsze, wszędzie i wszystkim, całemu światu. Dlatego był Kaplicą. A może patrzył na Szapirę, nie na mnie?

Szapiro nie podjął wyzwania. Ja też odwróciłem wzrok, natychmiast. Znowu zaciągnąłem się papierosem. Barman podał nam talerze z jedzeniem. Na moim znajdowały się gruby kawałek wołowego mięsa, parujący jeszcze, dwie marchwie, kawałek selera i dwa kartofle, wszystko gotowane, całość polana była chrzanowym sosem. Byłem pewien, że całość nie jest koszerna – mięso może być wołowe, ale w sosie na pewno był jakiś nabiał. Zresztą pewnie goj gotował.

Na talerzu Szapiry legła z kolei ogromna, gotowana golonka z kością i szczeciniastą skórą, tak bardzo świńska, że prawie słyszałem pochrumkiwanie tych obrzydliwych zwierząt. Szapiro odkroił wielki, parujący kawał mięsa ze skórą i tłuszczem, zanurzył go w miseczce z musztardą, włożył do ust i pożarł z rozkoszą, jak prawdziwy goj. Pomyślałem, że powinno mi się zrobić niedobrze, ale nie, zamiast tego pomyślałem, że to wygląda smakowicie.

– W tysiąc dziewięćset siedemnastym siedziałem w Czerwoniaku w Łomży – powiedział po przełknięciu pierwszego kęsa. Spojrzał na mnie i zobaczył moje rozterki nad talerzem.

– Jedz – warknął.

Posłusznie odkroiłem kawałek mięsa i przepraszając w myślach Boga i mojego ojca, włożyłem do ust i zacząłem żuć. Nigdy wcześniej nie jadłem czegoś tak dobrego, pomyślałem wtedy. Śmietanowy, chrzanowy sos, mięso rozpadające się rozkosznie w ustach na delikatne włókna..., przeżuwałem i wszystko, co czułem, to rozkosz.

– Więc siedziałem w Czerwoniaku w Łomży – mówił dalej Szapiro. – Liczyłem sobie siedemnaście lat, tyle co ty teraz. Celę miałem numer dwieście dwadzieścia jeden. Pojedynczą. W celi podarty siennik, stołek, prycza. Nic więcej. Więzienie było pod niemieckim zarządem wojskowym.

Był już pijany, ale słuchałem go bardzo uważnie.

– Rządził Czerwoniakiem komendant nazwiskiem Schramm, rozumiesz? Schramm. Tak się nazywał – ciągnął. – Ale my inaczej go nazywaliśmy, inaczej. Mówiliśmy na niego Zdrajca. Nie rozstawał się z bykowcem i niejednego tym bykowcem zabił, a wielu pobił do nieprzytomności. Byłem zwykły, młody jęke. Siedziałem, bo przy robieniu na ślam była poruta, dolator się obudził, wielkie chłopisko było, a ja mały i chudy, jak ty teraz, trzasnął mnie w łeb i przytrzymał, syna wysłał po policję, no i wsadzili mnie na dwa lata. Zwei Jahre Gefängnis für schweren Einbruchdiebstahl, taki mi odczytali wyrok, sąd był wojskowy. Rano dawali kawę i nic więcej, na obiad litr śmierdzącej kapusty, potem o czwartej kartoflanka, taka że bardziej woda po kartoflach i siedemdziesiąt pięć gram chleba, kromeczka taka, że raz ugryźć. I powiem ci, Bernsztajn, kto przeżył rok w Czerwoniaku za niemieckiej okupacji, ten już żadnego piekła się nie przestraszy. Jak nastała Polska i mnie w końcu wypuścili, postanowiłem, że nigdy nie odmówię sobie żadnego jedzenia ze strachu przed piekłem, bo piekło było tam. I że nikt mnie więcej nie będzie bezkarnie bił, żaden Niemiec, Polak ani Żyd. Komendant Schramm był ostatnim, który uderzył mnie bezkarnie. Rozumiesz, Bernsztajn?

Nie rozumiałem, bo jadłem i po raz pierwszy od porwania ojca nie myślałem o tym porwaniu, a o jedzeniu i o niczym innym. Ale pokiwałem głową.

Kaplica popił koniaku, dał dziewczynce czekoladkę, po czym włożył rękę pod jej spódniczkę, między uda. Uśmiechnął się ciepło pod sumiastym wąsem. Dziewczynka była obojętna i wycofana, rozpakowała czekoladkę i włożyła do ust. Kaplica szeptał jej coś do ucha.

Jedliśmy w milczeniu. Kaplica po chwili zsunął się z barowego stołka, poprawił marynarkę i krawat zawiązany na sztywnym, niemodnym kołnierzyku.

– Teraz się z córunią oddalimy. – Ukłonił się nam z uśmiechem.

Wziął ją za rękę i wyszli. Dziewczynka nie protestowała.

– Skąd ona tutaj? – zapytałem.

– Sama przyszła, u Ryfki wyprosiła, to ją Ryfka wzięła – odparł Szapiro.

– Takie dziecko…?

– Uliczne dziecko to żadne dziecko. Tu ma ciepło, ubranie i jedzenie. To się dziwisz, że woli tutaj, zamiast na ulicy jeść odpadki i marznąć w łachmanach? – rzucił, popijając golonkę wódką.

Ryfka weszła za bar, wzięła dla siebie kieliszek, Jakub nalał jej baczewskiego, wypili. Szapiro, wyraźnie zafrasowany, rozłożył dłonie w bezradnym geście, jakby pokazywał: „Nic nie mogę na to poradzić". Ryfka pokiwała smutno głową. Wypili jeszcze raz.

– A ten, to co? – wskazała na mnie głową.

– Nie wiem. Się zobaczy – odparł Szapiro, wzruszając ramionami.

– Miałabym dla niego zajęcie.

Czuję się teraz temu winien. Czuję się winien tego, że Kaplica gwałcił dwunastolatkę, a ja nic nie zrobiłem, nie kiwnąłem palcem.

Tłumaczę sobie dziś, stukając w moją maszynę do pisania, że nie mogłem nic zrobić. Byłem chudym, siedemnastoletnim Żydkiem, nic nie mogłem zrobić.

Ale nie jestem pewien. Może byłem kimś innym.

Wtedy nie ośmieliłem się nawet podnieść wzroku, patrzyłem w talerz, jakbym w zawijasach sosu i gotowanych warzyw miał ujrzeć przyszłość.

I co bym ujrzał? Starzejącego się generała Mosze Inbara w pustym mieszkaniu przy ulicy Dizengoffa w Tel Awiwie, łupiącego bezradnie w klawisze maszyny do pisania i próbującego zrozumieć, jak możliwe jest życie takie, jakie przeżył.

A może kogoś innego. Może ujrzałbym Jakuba Szapirę w jakimś tanim mieszkaniu w tymże Tel Awiwie, bardzo starego, ale żywego, nieważnego, zapomnianego, wegetującego z jakiejś renty, wspominającego dni dawnej chwały?

Może nawet spisującego wspomnienia, tak jak ja, na takiej samej maszynie…

Teraz dookoła znowu zaczyna się wojna, a Mosze Inbara nikt nie potrzebuje. Tymczasem Mosze Inbar nie jest jeszcze taki stary. Mosze Inbar ma pięćdziesiąt lat doświadczenia.

Od kiedy tylko przyjechaliśmy: Hagana, potem Palmach, i całe życie tak. Wszystko, czego nauczył mnie Szapiro, okazało się bardzo przydatne w nowym kraju. Przez całe pięćdziesiąt lat robiłem to samo.

Czterdzieści lat temu razem z moimi towarzyszami z brygady Harel zrównaliśmy z ziemią Saris i nie drgnęła mi ręka, kiedy strzelałem i rzucałem granaty. Wszystkie wojny mojego kraju odłożyły we mnie pokłady wiedzy, której teraz nikt nie potrzebuje, i zamiast nad dokumentami czy mapami generał Mosze Inbar siedzi przy zielonej maszynie IBM Selectric II i pisze po polsku niepotrzebną nikomu historię, której nikt nie może przeczytać i nie przeczyta. Przecież nie wyślę tego do Ketera. Nie mogę. Niepotrzebny nikomu Mosze Inbar już trzeci miesiąc siedzi, użalając się nad sobą, przy maszynie do pisania. Patrzy na model Lockheeda L-10 Electra zawieszony nad biurkiem.

A Magda Inbar nie chce się już nazywać Inbar. Magda znowu jest Aszer. Albo jakoś inaczej. Nie chce nawet, żebym mówił do niej „Magda".

– Całe życie na ciebie zmarnowałam. Zmarnowałam na ciebie młodość, zmarnowałam dorosłość, a teraz marnuję na ciebie starość.

Gdybyś wtedy umarł, miałaby lepsze życie, to chciała powiedzieć.

Wolę myśleć o tym, o czym przez te wszystkie lata nie myślałem.

Wracam więc do chwili, w której jadłem pierwszy trefny posiłek w moim życiu, przy barze u Ryfki Kij na rogu Piusa XI i Koszykowej.

– Miałabym zajęcie dla tego chłopca – powiedziała Ryfka, mierząc mnie wzrokiem.

Szapiro trzasnął sztućcami o miedziany blat.

– Żebyś ropą i krwią pluła, jeśli jeszcze raz coś takiego powiesz!

– Och, dobrze, co to, krewniak twój jakiś? Ładny, utuczyć go trochę i by się nadał. Ale przecież ci go nie porwę. Może sam by chciał. Chciałbyś?

– Ryfka, trzymaj się z dala od tego chłopaka. Nie chciałby. Niech ci będzie, że to krewniak. Bliski.

Nie rozumiałem wtedy, co ma na myśli. Ale przecież miał rację. To krew nas połączyła. Krew Nauma Bernsztajna, mojego ojca. A dziś tamto „nadałby się" Ryfki brzmi mi jakoś pochlebnie, nie jestem homoseksualistą, ale tak brzmi, pochlebnie. Bo przecież nie o kobiety jej chodziło.

Zresztą być może ta rozmowa odbyła się kiedy indziej. Być może mówili o kimś innym, o jakimś łatku, który przyniósł pakunek? Nie wszystko pamiętam.

Za barem zadzwonił telefon. Piękny, nowoczesny siemens z czarnego bakelitu. Ryfka odebrała. To pamiętam doskonale.

Po przeciągłym „halooo" milczała przez chwilę, słuchając rozmówcy.

– Tak, są tutaj – odpowiedziała. – Naturalnie, zapraszamy serdecznie.

Odłożyła słuchawkę.

– Doktor się zapowiedział – rzuciła, nalewając kolejną rundę wódki sobie i Szapirze. – Nie wiedziałam, że on już z tej Ameryki wrócił.

– W zeszłym tygodniu. Pijany już? – zapytał bokser.

– Jeszcze nie.

– Tyle dobrego. Pewnie Pantaleona ściągnie.

Ryfka pokiwała głową.

– Zostaniesz...? – poprosiła. – Rozniosą mi interes...

– Zostanę – zgodził się.

Coś było w jego głosie, coś innego, coś, czego nie spodziewałem się usłyszeć.

Ryfka zdjęła kilka butelek z półek za barem, schowała do zamykanych szafek. Zrozumiałem, że chowa te droższe.

– Katarzyna, Ola, na dziś macie wolne, idźcie gdzieś! – krzyknęła.

– Ja też bym poszedł – powiedział pianista drżącym głosem.

– Ale tyś mi tu potrzebny, Jacku. Graj.

Westchnął i grał. Kasia i Ola podniosły się z otomany i porzucając nagle całe haremowe rozleniwienie, wybiegły szybko z salonu. Pozostałe w salonie cztery prostytutki z zakamarków kanap wyjęły puderniczki i zaczęły, a jakże, pudrować sobie nosy. Szapiro zapalił.

Patrzyłem na tatuaż na jego prawej dłoni, miecz obosieczny i śmierć.

Po kwadransie, który spędziłem nad pustym talerzem, słuchając bez zrozumienia lakonicznej konwersacji Ryfki i Szapiry, ktoś zapukał do drzwi w korytarzu, tak mocno, że słyszeliśmy to pukanie nawet w salonie.

Doktor inżynier Janusz Radziwiłek. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że jest Żydem. Nie wyglądał. Był wysoki i szczupły, miał aryjską twarz arystokraty i rysy, które wtedy wszyscy nazywali szlachetnymi, sam nie wiem dlaczego. Co może być szlachetnego w rysach twarzy? Twarz Radziwiłka wydała mi się twarzą kogoś z wyższych sfer, miał też na sobie mundur, oficerski mundur Związku Strzeleckiego, co było w moim ówczesnym mniemaniu jednoznacznie związane z kimś z wyższych sfer.

Mundur był nie lada jaki, wojskowo zielony, ze stójką i czerwonym wężykiem na tej stójce, zwieńczony okrągłą maciejówką z orłem, pod jej daszkiem okulary, jak u kogoś z wyższych sfer, okrągłe, rogowe – nadawały mu wygląd inteligencki mimo munduru.

Nawet czoło miał wysokie, pańskie, szlacheckie. Cienkie, ciemne włosy bez przedziałka zaczesane do tyłu lśniły brylantyną, kiedy tylko zdjął czapkę.

Lśniły również noski czarnych oficerek, wysokich aż do kolan, od razu widać, że robionych na miarę, z przodu wiązanych na całej długości.

Gdyby nie te buty i mundur, wyglądałby jak profesor, miał też profesorskie dłonie, smukłe, o długich palcach. Na małym palcu nosił sygnet, niczym hrabia, i w drugiej sekundzie uznałem, że wygląda bardziej jak hrabia niż jak profesor. Hrabia bardziej kojarzył mi się z oficerem niż profesor.

Nie był sam. Towarzyszył mu młody chłopak o smutnej i pięknej twarzy. Tak samo jak Radziwiłek był w mundurze Związku Strzeleckiego, jednak w szaserach zamiast bryczesów i w zwykłych trzewikach. Na pagonach miał dystynkcje sekcyjnego.

Nazywał się Eduard Tiutczew, był synem rosyjskiego arystokraty, który zamieszkał w Warszawie w 1919 roku, spłodził nieślubnego syna, po czym umarł. Był podobno dalekim krewnym poety Tiutczewa, kochał literaturę, miał osiemnaście lat i zabił już trzech ludzi.

– Dobry wieczór wszystkiemu ludziom tutaj – powiedział już na progu Radziwiłek piskliwym głosem, zupełnie nie pasującym do profesorskiej

powierzchowności, a do tego dziwaczną, złą polszczyzną. – Dobry wieczór, pani Ryfka!

Tiutczew usiadł na najbliższym krześle, zapalił papierosa, z kieszeni bluzy wyciągnął tomik z wierszami i zagłębił się w lekturze.

– Dobry wieczór, pan Szapiro! – zapiszczał Radziwiłek. Nie żydłaczył, po prostu mówił dziwacznie. Ryfka dygnęła za barem.

Moja matka zawsze bała się złej polszczyzny. Ojciec polskiego w ogóle nie cenił, chociaż posługiwał się nim całkiem dobrze, ale ojca polski świat nie interesował, Polacy i Polska byli mu równie obcy jak chociażby Portugalczycy, tyle że byli bliżej.

Ale w Lizbonie żyłby tak samo jak w Warszawie.

Matka, chociaż pobożna, trochę się jednak Polską interesowała. Nie na tyle, by czytywać polskie gazety, „Kurjera" raczej w rękach nie miała nigdy, ale polskojęzyczny „Nasz Przegląd" owszem, kiedy tylko ojciec nie widział. Dlatego mimo protestów ojca poszedłem do gimnazjum Kryńskiego na rogu Miodowej i Senatorskiej, i chociaż było to gimnazjum żydowskie, to z wykładowym polskim. Byłem tam jedynym chłopcem z pejsami, niezbyt długimi i założonymi za uszy, a jednak. Obrywało mi się za te pejsy. A w domu za mundurek, matka musiała ojcu przyrzec, że mnie w tym mundurku nie zobaczy, więc przebierałem się zaraz po przyjściu do domu w normalne, żydowskie ubranie.

Do gimnazjum chodziłem jeszcze ośmioletniego, bo poszedłem doń w 1930 roku, przed reformą. We wrześniu miałem pójść do ostatniej klasy, a w następnym roku zdać maturę i pójść na uniwersytet. Tak uradziliśmy z matką w tajemnicy przed ojcem: zostanę lekarzem. Uczyłem się przecież dobrze, zdam więc egzaminy (nie wiedzieliśmy wtedy jeszcze, że właśnie wprowadzą numerus clausus) i w 1944 roku wyjdę z uczelni jako lekarz medycyny Mojżesz Bernsztajn.

Tak chciała matka. Ja nie byłem aż tak pełen entuzjazmu jak ona, a jednak „lekarz medycyny Mojżesz Bernsztajn" brzmi o wiele lepiej niż „byle Żydek z ulicy Nalewki 26, mieszkania 6".

Lepiej nawet niż „znany z pobożności Naum Bernsztajn z ulicy Nalewki 26, mieszkanie 6", z tym że mój tatko Naum Bernsztajn nie zapłacił należnych pieniędzy Kumowi Kaplicy i w kawałkach trafił do

podwarszawskich glinianek, i już wtedy, siedząc w chrześcijańskich łachach przy barze u Ryfki Kij, wiedziałem, że z ostatniej klasy gimnazjum, matury i studiów medycznych nic nie będzie.

I nie było. I zapewne tylko dlatego dzisiaj ciągle żyję, tat-aluf Mosze Inbar, generał brygady Mosze Inbar. Lekarz medycyny Mojżesz Bernsztajn nie mógł się wydarzyć, a generał Mosze Inbar się wydarzył.

Ale u Ryfki Kij wiedziałem tylko, że do gimnazjum już nie wrócę, bo nie ma już z nami Nauma Bernsztajna, który mógłby za to gimnazjum zapłacić.

– Dzień dobry, pani miłej szczególnie! – doktor Radziwiłek ukłonił się przed jedną z prostytutek, chudą, tlenioną blondynką, wyjął pięćdziesięciozłotowy banknot z Dąbrowskim i uroczyście jej wręczył.

Prostytutka wstała z gracją. Radziwiłek podał jej łokieć, ukłonił się Ryfce i Szapirze i bez dalszych ceregieli udał się do którejś z sypialń.

– No, jak wróci, to się zacznie – mruknęła Ryfka, dolewając wody do na wpół opróżnionej butelki wódki.

Szapiro przełknął ostatni kęs golonki, przeciągnął się, wypił kieliszek.

– Wiesz, kto to jest? – zapytał mnie.

Nie wiedziałem.

– No właśnie. Każdy zna Kuma. A Doktora znają tylko ci, którzy mają go znać.

Nic z tego nie rozumiałem.

– Opowiem ci o nim – powiedział.

I opowiedział, lakonicznie i bez ozdobników. A może po prostu mówił do siebie.

Janusz Radziwiłek nie nazywał się Janusz Radziwiłek i nikt nie wiedział, jak nazywał się naprawdę. Zapewne jakoś zwyczajnie, po żydowsku, miał na imię Chaim, Mordke, Szlojme albo Mojsze, ale nikt nie wiedział jak. Liczył sobie czterdzieści cztery lata, z których pierwsze trzynaście spędził, żyjąc życiem chasydzkiego chłopca, przede wszystkim w chederze, w którym studiował Torę, Misznę i Gemarę, jak każdy chasydzki chłopiec. Pewnego razu, w roku 1905, do chederu wpadł bojowiec z rewolwerem w ręce i chustą zawiązaną na twarzy.

Uczniowie chederu od razu wiedzieli – chrześcijanin.

Mełamed pomyślał: pogrom.

Chłopcy pomyśleli: rewolucjonista.

Bojowiec z rewolwerem, żołnierz Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej, był bohaterem wyobraźni żydowskich trzynastolatków, nawet tych z chasydzkich rodzin.

– Jest tu tylne wyjście?! – wrzasnął bojowiec.

– Antlof fyn dane, du s'i nysz kan ort fa dijo![12] – krzyczał mełamed, którego młody jeszcze-nie-doktor-Janusz-Radziwiłek uznał za tchórza, skoro chce z chederu wyrzucić bohatera. Siebie samego uznał zaś za potomka Machabeuszy.

– Ja pokażę – powiedział jeszcze-nie-Radziwiłek.

Na schodach prowadzących do znajdującego się na pierwszym piętrze jeszybotu słychać już było kroki żandarmów.

Bojowiec nazywał się Jan Kaplica i nie był wtedy jeszcze Kumem. Żeby zniechęcić na chwilę pościg i dać sobie trochę więcej czasu, uchylił drzwi i strzelił dwukrotnie z oficerskiego nagana w dół schodów. W jeszybocie wybuchła panika. Uczniowie krzyczeli, mełamed schował się pod biurko. A jeszcze-nie-Radziwiłek poprowadził bojowca i dzięki jego pomocy Kaplica umknął carskim żandarmom, ocaliwszy w ten sposób swą wolność, a zapewne też i głowę.

– Jak się nazywasz? – zapytał młody, dwudziestopięcioletni Kaplica, kiedy byli już bezpieczni.

– Radziwiłł – jeszcze-nie-Radziwiłek rzucił pierwsze chrześcijańskie nazwisko, jakie przyszło mu do głowy. – Niech mnie pan weźmie ze sobą.

Kaplica roześmiał się i mozolnie ładując rewolwer, kazał jeszcze-nie-Radziwiłkowi uciekać do domu.

– Nie chcę wracać do domu. Nienawidzę mojego domu. Kocham rewolucję. W moim domu nie ma i nie będzie rewolucji. Nie mogę tam wrócić. Uratowałem wam życie. Musicie zrobić, o co proszę – wyrzucił z siebie na to jeszcze-nie-Radziwiłek, czyli powiedział to jako jakiś Chaim, Meir albo Szlojme i były to najbardziej poprawne polskie zdania, jakie sformułował w całym swoim życiu.

A Kaplica, człowiek prosty, przyjął ten argument i zabrał jeszcze-nie-Radziwiłka ze sobą.

Był dziesiętnikiem grupy bojowej, przedstawił później młodego Żyda Sosnkowskiemu, dowodzącemu organizacją w Warszawie, i to Sosnkowski powiedział, śmiejąc się, że jaki tam Radziwiłł, Radziwiłek raczej. Janusz. I tak niby-Radziwiłł został Radziwiłkiem. Do chederu już nie wrócił. Poszedł do świeckiej szkoły. Przenosił bibułę, stawał na czatach, ukrywał broń, działał, cały czas pod skrzydłami i opieką Kaplicy.

Nigdy nie wrócił do domu. Urodził się tamtego dnia w chederze – w dniu, w którym wyprowadził Kaplicę, urodził się na nowo.

W 1910 wyjechał na opłacone przez organizację studia do Szwajcarii i pozostał tam do 1918 roku, wrócił z doktoratem z chemii, wykwintnymi manierami, pieniędzmi i kiepską znajomością angielskiego, francuskiego i niemieckiego. Polskiego nigdy się dobrze nie nauczył, jidysz prawie zapomniał, hebrajskiego nigdy nie znał. Mówił więc pięcioma językami i w żadnym dobrze, przez co ludzie nie doceniali inteligencji Doktora, co było mu bardzo na rękę.

Do roboty politycznej już nie wrócił, wrócił jednak do Związku Strzeleckiego, gdzie został od razu okręgowym, wrócił do Kaplicy i towarzyszy z partii. Opierając się na strukturach Związku, zorganizował potężną bojówkę, do której przyjmował każdego, kto radził sobie z browningiem, pałką i pięścią, i do tej bojówki przyjął także boksującego weterana wojny z bolszewikami Jakuba Szapirę – aż do zamachu majowego dużo było roboty na ulicy, na marginesie której razem z Kumem budowali swoje małe imperium w Śródmieściu.

Kum zajmował się haraczami na Kercelaku i codziennym zarządem, konstytuując nieformalną administrację Dzielnicy Północnej, od Woli i Ochoty po biedabaraki na Żoliborzu pod Dworcem Gdańskim, z których rekrutowali się biegający na posyłki chłopcy, i całe północne, żydowskie Śródmieście.

Gdzie po lewej stronie Wisły w Warszawie panowała bieda, a poza paroma wyspami Europy i bogactwa bieda panowała wszędzie, tam panował też Kum. Na drugi brzeg nie sięgała jego władza wykonawcza, ale sięgała tam jego sława i tam również wzbudzał respekt. Piosenki o Kumie

śpiewano w slumsach w Annopolu, słyszał też o nim każdy łobuz Łodzi, Sosnowca i Częstochowy.

Radziwiłek zaś pozostawał w cieniu. Nie miał charyzmy Kuma, nie nadawał się na ludowego bohatera, zbyt gardził głupszymi i słabszymi od siebie i za bardzo był chciwy. Zajmował się politycznymi machinacjami i niezależnie od politycznego umocowania Kaplicy dbał o to, by nikt na ulicy nie miał wątpliwości, kto ulicą rządzi. Oprócz struktur Związku Strzeleckiego, w którego mundurze zwykle występował, był też aktywnym członkiem PPS. W taki czy inny sposób każda socjalistyczna bojówka odpowiadała przed Radziwiłkiem, bundowskie uznawały jego autorytet, a lewicowi syjoniści, chcąc nie chcąc, się nań godzili. Doktor myślał od Kaplicy szerzej i śmielej, szukał nowych rynków, nowych źródeł kapitału i pozyskiwał nowych przyjaciół. Uzupełniali się, nie darząc się może sympatią, ale zdając sobie sprawę z tego, że potrzebują się nawzajem.

Szapiro opowiedział mi to wtedy pokrótce, z pijacką swadą, pomijając szczegóły. Szczegółów dowiedziałem się sam, później, a wtedy, słuchając go u Ryfki, szybko zrozumiałem, że chodzi mu o coś więcej. Że opowiedział mi to nie tylko dlatego, bym wiedział, z kim mam do czynienia.

Gdy mówił o Radziwiłku, do salonu Ryfki wszedł Pantaleon Karpiński. Nie spojrzał nawet na dziewczęta, podszedł do baru, ale daleko od nas. Nie witał się.

– Herbaty mi zaparz – warknął niskim, dudniącym głosem.

Przerażał mnie już wtedy, wielki, wysoki na ponad dwa metry, z dziwaczną, płaską w tylnej części czaszką i z absurdalnie zapuszczonymi z tyłu włosami pod zwykłą cyklistówką, ubrany jak pierwszy z brzegu robociarz, w przykrótkawe spodnie na szelkach i koszulę bez kołnierzyka z podwiniętymi wysoko rękawami, odsłaniającymi gruzłowate, potężne przedramiona i wielkie bicepsy.

– Robi się, panie Pantaleonie – zaszczebiotała Ryfka.

Bała się go. Dziewczyny też się go bały, szeptały coś do siebie. Bał się go Józef barman, drab przy drzwiach, byłem tego pewien, chociaż go wtedy wcale nie widziałem, i bał się go pianista, tego też byłem pewien.

Tylko Szapiro się go nie bał i ta Szapiry odwaga jakoś mi się udzielała.

Z przeznaczonych do miłości pokojów najpierw wychynął Kaplica, z marynarką w ręce, w rozchełstanej koszuli, dopinając guziki w spodniach.

– Ryfka, koniaku nalej – zaordynował, nie tytułując już właścicielki burdelu „panią", po czym wdrapał się na stołek koło Pantaleona. – I niech tam któraś pójdzie się tą moją gołąbeczką zaopiekować, bo zmęczona.

Zerwały się od razu dwie prostytutki, wybiegły z salonu.

– A ty co tak siedzisz tutaj? – Kaplica przyjacielsko zainteresował się Pantaleonem.

– Rano jebałem – zabulgotał Pantaleon w odpowiedzi.

Słowa wypowiadał powoli, oddzielając je długimi pauzami.

– To co, że rano...? – zdziwił się Kaplica. – Dwa razy nie możesz?

– Nie wolno.

– Hyhy, słyszeliście go? – ucieszył się Kaplica, waląc się z uciechy po udzie. – Leoś mówi, że dwa razy dziennie jebać nie wolno.

– Nie wolno – zabulgotał znowu Pantaleon i jednym haustem wypił filiżankę wrzącej herbaty. – Kto raz dziennie jebie, ten znajdzie się w niebie. Pan Jezus tak powiedział.

Zaśmiali się wszyscy, Ryfka, Kum i Szapiro. Tylko Pantaleon się nie śmiał. Pantaleon się przeżegnał.

– To nie igraszka, bracia i siostry. Nie wolno jebać częściej. Pan Jezus się gniewa i korzeń może uschnąć.

– Korzeń? – zapytałem.

Wszyscy spojrzeli na mnie, poza Pantaleonem. Zaczęli się śmiać. Już rozumiałem, acz nie rozumiałem, co w tym takiego śmiesznego. Ryfka podeszła do mnie, nachyliła się nad barem tak, że gdybym spojrzał w jej dekolt, to na pewno widziałbym jej piersi.

– No, korzeń – powiedziała swoim aksamitnym altem. – Kutas. Chuj. Wąż. Szlang. Szmekl. Czy co tam obrzezanego nosisz w spodniach, jingełe. Korzeń uschnie, kulki zgniją. Jak będziesz częściej niż raz dziennie jebał. Będziesz? Chcesz Pana Jezusa zagniewać?

Zawstydziłem się, spuściłem wzrok. Nie wiem, czy bardziej zawstydziło mnie to, że kobieta mówi o męskim przyrodzeniu, czy to, że Żydówka

mówi w taki sposób o Jezusie. Pan Jezus. Że w ogóle wymawia to imię. U mnie w domu nikt nigdy tego imienia głośno nie wymówił. Obraza boska. Grzech imię to wymawiać.

Szapiro klepnął mnie w plecy i dolał mi jeszcze wódki.

– Pij – powiedział głośno, po czym nachylił się i dodał pijackim szeptem: – I nie zadawaj głupich pytań. Mądrych też nie. Jak czegoś nie rozumiesz, milcz, aż zrozumiesz. Nikt ci nie będzie niczego tłumaczył. Może sobie poradzisz.

Kaplica wyciągnął papierowe zawiniątka z kokainą. Podał Pantaleonowi, ten zlizał od razu cały biały proszek, po czym przeżuł dokładnie papierek i splunął nim za siebie.

Papierek spadł na nosek czarnych oficerek okręgowego Związku Strzeleckiego, doktora nauk chemicznych Janusza Radziwiłka.

Mundur leżał na nim tak samo nienagannie jak w momencie, w którym wszedł do salonu Ryfki Kij. Wszystkie guziki zapięte, pas, koalicyjka, okrągła maciejówka, odznaki strzeleckie, baretki orderów. Z tym że teraz na nosku prawego trzewika spoczywał przeżuty glut prosto z ust Pantaleona.

– Ty! – Wskazał na ostatnią z dziewczyn, siedzącą jeszcze w salonie.

Podbiegła natychmiast. Wzrokiem wskazał na nosek swojego buta. Dziewczyna spojrzała na Ryfkę, nie było to długie spojrzenie, Ryfka nerwowo pokiwała głową. Panienka rąbkiem peniuaru starła zmieszany z plwociną papier z Radziwiłkowego buta. Ryfka wzrokiem wskazała jej drzwi. Dziewczyna uciekła.

Radziwiłek podszedł do baru i wsparłszy się oń, spojrzał na Pantaleona.

Tiutczew, siedząc cały czas przy drzwiach na krześle i nie odrywając wzroku od książki, lewą dłonią odpiął pokrywę kabury z parabellum, które nosił po niemiecku, na lewym biodrze. Radziwiłek powstrzymał go jednak krótkim ruchem dłoni.

Pantaleon milczał. Radziwiłek czekał. Było widać, że nie odpuści. Nie bał się Pantaleona.

– No?

– Leoś, chuju rybi, przeproś Doktora! – ryknął Kaplica, nagle jakby zaniepokojony, że miły wieczór może zamienić się w jakąś awanturę.

– W imię boże proszę o wybaczenie – powiedział Pantaleon, patrząc tępo przed siebie i zaciskając wielkie pięści.

– Za co mnie on przeprasza? – warknął Doktor groźnym głosem, jakby wymagał skruchy od niegrzecznego sztubaka.

Pantaleon milczał, patrzył tępo przed siebie.

– Za co, kurwa? Za co, kurwa, przeprasza on?! – ryknął Doktor, waląc pięścią w miedziany blat baru.

Kaplica chrząknął.

– Za to, żem mu na buta napluł. Niechcący napluł – mruknął Pantaleon, ciągle patrząc przed siebie, na co Radziwiłek rozpromienił się natychmiast.

– Ależ nie stało nic, się nie przejmuje, pan Pantaleon, drobiazg jest, drobiazg. Kein Ding – odparł wielkopańsko i wielkodusznie. – Panna Ryfka, szklankę koniaku prosić uniżony na początek. Duża szklanka koniaku.

Podała natychmiast, a on natychmiast wypił.

– Prosić druga.

Podała i drugą. Drugą też wypił. Duszkiem.

– No, to się zaczyna – mruknął Szapiro.

– Radziwiłku kochany, co tak szybko? – zapytał Kaplica.

– Ars longa, vita brevis – odparł Radziwiłek.

– Czego? – zdziwił się Kum.

– Życi krótki, sztuka długi – wyjaśnił Doktor.

– A chuj z tobą. Ryfka, mnie też nalej – zgodził się Kaplica.

I pili już razem, wolniej, Kaplica poprosił gorących serdelków i musztardy, Ryfka przyniosła i jedli palcami, maczając serdelki w miseczce z sarepską.

– Kum drogi, ja w Ameryce widział coś takiego, że mnie się oczy otwierać teraz – zaczął Radziwiłek.

– Mhm – mruknął Kum, nie bardzo go słuchając, bo zajęty był wysysaniem tłuszczu z grubych serdelków.

– Tam one mają coś takiego, co się gangi nazywa. Jak nasza bojówka.

– Mhm. – Kum popił koniaku i sięgnął po kolejną kiełbaskę.

– Kum, ale jaki tam porządek jest. Podział. Dyscyplina wojskowa.

– U nas też jest. Od peowiackich czasów.

– Trzeba nam narkotyki sprzedawać. Największa marża.

– A to kurwy i Kercelak już nam nie wystarczą? – zdziwił się Kaplica.

– Wystarczą albo nie wystarczą – odparł filozoficznie Radziwiłek, po czym zmienił temat. – Ja dzisiaj „ABC" czytał.

– Tę antysemicką szmatę? – zdziwił się Szapiro.

– Że antysemicką to pół biedy, ale przecież to najgorsza swołocz endecka czy tam oenerowska – zdziwił się jeszcze bardziej Kaplica, dla którego nie być socjalistą oznaczało w ogóle nie być człowiekiem.

– Ja wiedzieć bardzo dobrze, co to za gazeta jest – kontynuował Doktor. – Ja ją czytam, bo muszę mieć wiedza, jak wróg myśli. Nie sądzą oni?

Zgodzili się.

– Wiedzą o ankieta?

– No wiedzą, wiedzą – odparł Kaplica. – W „Kurjerze" też o tym było. Jak wyrzucić Żydów z armii.

– No właśnie. Co my z tym zrobimy? – zapytał Doktor, pociągając duży łyk wódki z kolejnej napełnionej po brzegi szklanki.

– Niech wyrzucają. Po co nam w tej armii służyć – wzruszył ramionami Szapiro.

– Kuba! Jakie ty herezje opowiadasz – oburzył się Kaplica. – Ty, weteran! Odznaczony! Kuba, wstyd!

– Potrzebna nam ta armia jak wrzód na chuju.

– Wam, nam, komu niby? – zaperzył się Kaplica. – Kubusiu, tyś za Polskę z bolszewikami walczył i teraz takie rzeczy...?

Szapiro machnął ręką.

Doktor z kieszeni munduru wyciągnął wycinek z gazety.

– Tutaj jakiś młody emeryt oficer pisze, że dla Żydy powinen być obóz pracy, baraki z desek i dużo drut kolczasty. To ze środy jest, z siódmego lipca. Czy my jesteśmy jakiś małpa, żeby drut kolczasty? Albo jakiś Murzyn ja jestem, żeby mnie w obóz trzymać? Ja chcę wiedzieć, kto to pisać takie rzeczy.

– Jakub… – Kaplica wskazał głową kartkę. – „ABC” to są te same typki co ten Ziembiński, któregoś tak pięknie załatwił?

Szapiro podszedł, sięgnął po wycinek, przesunął po nim wzrokiem.

– Nie. Ziembiński trzyma z Falangą i oni się z „ABC” nie lubią. A kto to jest ten tutaj, to się zaraz dowiem – powiedział i schował wycinek do wewnętrznej kieszeni marynarki. – Ryfka, daj telefon.

Gdy mu go podała, wyciągnął z kieszeni cienki notesik, odszukał numer, wykręcił.

– Z redaktorem Sokolińskim poproszę. Zaczekam. Tak.

Radziwiłek spojrzał pytająco, Szapiro uspokoił go gestem dłoni.

– O, dobry wieczór, redaktorze. Mówi Jakub Szapiro. Jakub Szapiro. Wiem, że widział mnie pan dzisiaj w Metropolu, prawda?

Kaplica uśmiechnął się od ucha do ucha, aż sumiaste, podkręcone wąsiska podjechały mu pod oczy. Uśmiechnął się do swoich myśli, a myślał o przerażeniu.

Nie widziałem tego na własne oczy, nigdy nie byłem w redakcji „Kurjera”, chociaż wiele razy przechodziłem pod numerem 40 na Krakowskim Przedmieściu, róg Karowej, gdzie na dachu kamienicy pysznił się tytuł największej warszawskiej i polskiej gazety, powtórzony również na fasadzie. A jednak potrafię sobie doskonale wyobrazić, jak na trzecim piętrze, w redakcyjnym pokoju łysy łeb redaktora Sokolińskiego bieleje ze strachu na samą myśl o tym, że ktoś taki jak Jakub Szapiro zdaje sobie sprawę z jego istnienia.

Na własne oczy widział, co Jakub Szapiro może zrobić dziennikarzowi. Wiadomo.

– Słuchaj pan – powiedział Jakub. – Powiedz mi pan, kto z „ABC” zajmuje się tą ankietą o tym, że należy pozbyć się Żydów z armii. Uhm. Uhm. Tak, ja wiem, w jakiej pan pracujesz gazecie, panie Sokoliński, i wiem, że „Kurjer” to nie „ABC”. Panie Sokoliński, w dupie mam, że pan się z tą ankietą nie zgadzasz. Ja tam się zgadzam, na miękki chuj nam ta wasza armia potrzebna.

Kaplica przewrócił oczami. Szapiro uśmiechał się pod nosem, jak uczniak wycinający psikusa nielubianemu koledze.

– Słuchaj, Sokoliński, skończ mi pan tu pierdolić – zmienił nagle ton. – Chcesz, żebym wpadł się z tobą zobaczyć? Do redakcji chociażby? Czy w domu cię odwiedzić? Mickiewicza dwadzieścia siedem. Odwiedzić? Że nie trzeba, no to kto się tym tam zajmuje? Redaktor Kazimierz Bobiński, mówisz pan. Dobrze. Gdzie go najłatwiej zastać, jeśli nie w redakcji? Panie Sokoliński, nie wygłupiaj się pan... W SiM-ie. Jeszcze mi pan powiedz, jak ten Bobiński wygląda. Aha. Aha. No i świetnie. Coś wiedziałem, że się dogadamy.

Odłożył słuchawkę, uśmiechnął się szeroko.

– Zabrać się za to? – zapytał Radziwiłka.

Doktor zastanowił się chwilę. Nie wiedziałem tego wtedy, teraz już wiem, że musiał rozmyślać o swoich dalekosiężnych planach, w których polityka grała ważną rolę.

– Jeszcze nie – odpowiedział w końcu. – Trzeba to będzie zrobić, ale jeszcze nie teraz. To ja powiem kiedy.

I pili dalej.

Byli przy piątej szklance, gdy do salonu wszedł kolejny gość. Był to zażywny, stateczny jegomość o wyglądzie buchaltera w dobrze prosperującej firmie, nieco podchmielony, z zegarkiem w kieszeni kamizelki i z laską w ręku, łysiejący, wyglądający na takiego, który wiedzie życie nieskomplikowane, wygodne i pozbawione sensu.

Wkroczył, pogwizdując pod nosem, zmarszczył brwi, gdy zobaczył, że nie ma dziewcząt, po czym zauważył towarzystwo przy barze, towarzystwo zaś zauważyło jegomościa.

– A to ja przepraszam – jęknął przerażony, zrobił zwrot w tył i ruszył do wyjścia.

– Stój, bo strzelać! – ryknął Radziwiłek, z kabury przy oficerskim pasie wyszarpując browninga. Po czym strzelił nad głową jegomościa, z sufitu posypał się tynk.

Pierwszy raz w życiu słyszałem strzał z broni palnej z tak bliska, do tego w zamkniętym pomieszczeniu. Prawie spadłem z barowego stołka, dzwoniło mi w uszach. Kaplica chichotał pod nosem. Ryfka z ponurą miną wycierała szklanki. Szapiro z równie ponurą miną palił papierosa. Pantaleon gapił się przed siebie, zaciskając pięści, jakby ciągle przeżywał

upokarzające przeprosiny. Pianista, czterdziestopięcioletni lew salonowy nazwiskiem Bykow, uciekł.

Zażywny buchalter rzucił się na podłogę, przykrywając głowę dłońmi. Doktor podszedł doń z bronią w ręce.

– Co to znaczyć? Czego uciekać? – zapytał.

– Niech pan nie strzela! Żonę mam, dzieci, niech pan nie strzela – jęczał buchalter.

– Żonę ma? Ehefrau? A do burdelu chodzi?! – ryknął Doktor.

Ryfka parsknęła śmiechem, Szapiro też, Kaplica rechotał już w najlepsze, nawet Tiutczew się uśmiechnął i tylko Pantaleon ciągle trwał jak zastygły w swoim oburzeniu.

Doktor chwycił buchaltera za kołnierz i szarpnięciem postawił na nogi.

– Ja nic nie zrobiłem, nic nie zrobiłem… – mazał się jegomość.

– Nic? – zapytał groźnie Radziwiłek, dźgając swą ofiarę lufą pistoletu w pierś.

– Nic, łaskawy panie oficerze, nic… – płakał buchalter.

Doktor nagle się rozpromienił.

– Jak nic, to bawi się z nami! Pije! Już! Ryfka, koniak panowi nalać! – nakazał.

Jegomość nie dowierzał nagłej zmianie nastroju, Radziwiłek jednak, nie oglądając się na to, zaciągnął go do baru, Ryfka nalała koniaku, jegomość wypił.

Przy trzeciej kolejce trochę się rozluźnił. Wyglądało na to, iż bał się dalej, ale zaczął wierzyć, że ujdzie z życiem. Doktor obejmował go za szyję ręką, z której nie wypuszczał browninga, całował w policzek i również pił, pił szybko i dużo.

– Nazywa się? – pytał, całując buchaltera w policzek.

– Słoneczko – wyjąkał.

– Jak? – nie dosłyszał Radziwiłek.

– Słoneczko – zawstydził się Słoneczko. – Józef Słoneczko.

– Słoneczko! Ausgezeichnet! – ryknął Doktor. – Pan Słoneczko, pan jesteś moja przyjaciel! Na zawsze.

Słoneczko nerwowo potwierdził.

– Ja coś pan pokazać, pan Słoneczko! Pan patrz! Panna Ryfka, pianino, grać!

Ryfka zawołała pianistę, ten przyszedł niechętnie i dosłownie trząsł się ze strachu.

– Pan Bykow! Grać *Einzug der Gladiatoren*! – rozkazał Doktor. – Grać! Schnell!

Bykow zaczął trząść się jeszcze bardziej.

– Ja nie znam… Przepraszam najmocniej, ale ja nie wiem, nie znam… – jęczał.

– Dummkopf! – wrzasnął Radziwiłek, podszedł do pianisty, nie wypuszczając pistoletu z ręki. – Łatwość! Muzyka z cyrka! Grać! Eins, zwei, drei!

Słysząc, że ma to być muzyka cyrkowa, pianista domyślił się, o co chodzi Doktorowi. Zaczął grać i jak tylko zaczął grać, to zapomniał, że się boi.

Nawet ja znałem tę melodię, chociaż nigdy nie byłem w cyrku. Cyrk to bezbożna rozrywka, synowie pobożnych Żydów nie chadzają do cyrku. Co innego synowie martwych pobożnych Żydów. Ci, jak widać, chadzają nawet do burdelu. Czy pobożność mija wraz z życiem, czy martwy Żyd nie jest już pobożny? Nawet jeśli nie jest, to pobożność mojego ojca wisiała nade mną jak cień burzowej chmury, wielka i ciężka.

Pianista grał. Usłyszawszy pierwsze takty, skojarzyłem jednak od razu: to melodia, którą grają w cyrkach, kiedy na arenę wychodzą klauni.

Radziwiłek machał pistoletem do rytmu jak dyrygent batutą, podbiegł do baru, położył rękę na ramieniu Pantaleona.

– No, co…? Pan Pantaleon! No…! No! Pan Słoneczko buźkę zobaczyć!

Pantaleon nie reagował. Patrzył przed siebie. Nie zaciskał już pięści, ręce położył płasko na miedzianym blacie baru.

– No już! – rozkazywał Doktor. – Buźka!

Pantaleon wolno odwrócił się do Kaplicy.

– Kumie, Bóg mi świadkiem, nie zniosę tego dłużej – zadudnił.

Kaplica wychylił szklankę koniaku.

– Zrobisz, co pan Doktor każe. To rozkaz. Organizacja tego wymaga – warknął, nie przestając się uśmiechać.

Pantaleon odwrócił się od Kuma i wbił wzrok w to samo miejsce, w które wpatrywał się od wejścia Doktora. Miałem wyrażenie, że wypalił już spojrzeniem dziurę w boazerii za barem.

– Szapiro! – wrzasnął Kaplica.

– A żebyś gruz z gównem żarł… – zaklął Szapiro pod nosem.

Zaklął, ale wstał. Zachwiał się, pijany, ale tylko przez sekundę. Wyciągnął pistolet z kieszeni. Podszedł do Pantaleona.

– Chłopie, zrób, co mówi – powiedział miękko, jakby przekonywał dziecko do wypicia tranu. – Zrób. Bo poruta będzie. Zrób.

Pantaleon pociągnął nosem. Wstał ze stołka, zrobił kilka kroków i stanął w salonie. Znowu pociągnął nosem i powoli przejechał dłonią od karku w górę, wzdłuż szyi, aż do czubka głowy. Podniesione włosy przykrył czapką, opuścił ręce.

– No, patrzy, pan Słoneczko, patrzy tu! Cyrk będzie! – wrzasnął zadowolony Radziwiłek, wskazując na tył głowy Pantaleona.

Pantaleon Karpiński stał do mnie przodem. Widziałem tylko jego twarz, usta i oczy zaciśnięte we wściekłe szparki. Pan Słoneczko ujrzał zaś to, co Radziwiłek bardzo chciał mu pokazać.

– Jezu Chryste! – wrzasnął pan Słoneczko ku uciesze Radziwiłka i rzucił się do ucieczki, jakby zobaczył diabła. Radziwiłek strzelił za nim, kula musnęła watowane ramię marynarki pana Słoneczki i uderzyła w ścianę. Pan Słoneczko uciekł.

Radziwiłek spojrzał na mnie, jakby dopiero teraz mnie zauważył, i wskazał mnie pistoletem.

– Kto jest ten? – zapytał. – Kto to za parch obsrany?

– On jest ze mną – powiedział spokojnie Szapiro.

– Przyjść tu! – rozkazał Radziwiłek. – Zobaczyć!

Pantaleon stał bez ruchu. Zsunąłem się z krzesła, podszedłem.

– Tu, tu przyjść! – Radziwiłek wskazał mi miejsce przed nim. – Patrzeć!

Spojrzałem. Na tyle głowy Pantaleona Karpińskiego znajdowała się twarz. Mniejsza niż dorosła, o zamkniętych oczach i smutnych,

skrzywionych ustach. Na górnej wardze i w miejscu, gdzie miał się znajdować podróbek, wyrastały rzadkie włosy czarnego zarostu, podobnego do tego, jaki zaczął się pojawiać na mojej twarzy parę lat temu.

Zesztywniałem. Wiedziałem, co się ze mną dzieje: oto wstąpiłem do otchłani. Dotknąłem stóp Boga. A może źle pamiętam. Może wtedy tylko się bałem, otchłań przyszła później. Nie wiem.

Wstaję od biurka. Podchodzę do okna. Ulica. Tel Awiw. Wracam do biurka, do mojej zielonej maszyny do pisania i kubka z zimną kawą.

Po pięćdziesięciu latach wystarczy, że zamknę oczy, i widzę tę twarz na tyle głowy Pantaleona Karpińskiego, jej obwisłe rysy, skrzywione usta o zrośniętych wargach i zamknięte oczy. I co najstraszniejsze – jakieś ledwie uchwytne podobieństwo do pierwszej twarzy Pantaleona.

– Dziwadło! Zrób, że uśmiechała się! Pan Pantaleon! Niech uśmiecha się! – cieszył się Radziwiłek.

– Panie Doktorze, starczy już… – mitygował go Szapiro.

– Uśmiecha się! – krzyczał doktor.

Pantaleon zacisnął pięści, uśmiechnął się swoją pierwszą twarzą i druga twarz również się uśmiechnęła, jej oczy jednak pozostały zamknięte.

Zrobiło mi się gorąco, potem poczułem mdłości, a potem świat nagle zasnuła ciemność i wszystko zgasło. Zemdlałem.

Kiedy Szapiro mnie ocucił, Pantaleona już nie było.

– Jedziemy – powiedział Szapiro. – Chodź.

U Ryfki zabawa trwała w najlepsze. Kum i Doktor pili przy barze. Między nimi na barowym stołku, wypinając tyłek, klęczała Kaśka, blondynka, której piersi widziałem, kiedy tylko weszliśmy do salonu. Teraz opierała te piersi i twarz na miedzianym blacie. Doktor prawą ręką pił, a lewą gmerał jej między udami. Widziałem, że sprawia jej ból, krzywiła się, zaciskała oczy. Kum nie zwracał na nią uwagi. Ryfka zapisywała coś w wielkiej księdze, wyłożonej na blacie niedaleko twarzy blondynki. Bykow grał rzewne melodie.

– Chodź – powtórzył Szapiro.

Nie pamiętałem w tamtej chwili, że zabrał z domu mojego ojca. Nie chciałem pamiętać. Podał mi rękę, jak ojciec podaje dziecku, chwyciłem tę

dłoń i poprowadził mnie, i wyszliśmy.

Wtedy tego nie wiedziałem, ale dziś myślę, że wtedy przestałem wierzyć w Boga. I do dziś nie wierzę. Przez drugą twarz Pantaleona Karpińskiego.

Na dole już czekała taksówka, czarny chevrolet. Wsiedliśmy, ale kierowca nie ruszał.

– Chwilę jeszcze czekamy – powiedział Szapiro do kierowcy. Ten wzruszył ramionami i czekał posłusznie.

Druga twarz Pantaleona Karpińskiego coś we mnie zmieniła, jakby przestawiła jakiś przełącznik. Kiedy ją zobaczyłem, przekonanie o istnieniu Boga wydało mi się absurdalne.

Albo Bóg, albo druga twarz na potylicy Pantaleona Karpińskiego.

Zamiast w Boga, zacząłem wierzyć w potworności. W Warszawie niewiele tego było, potem, po przyjeździe tutaj, nie miałem na takie rzeczy czasu, więc tak na serio potworności pojawiły się w moim życiu po wojnie 1948 roku.

Od początku lat pięćdziesiątych prenumeruję prasę medyczną. Kupuję książki lekarskie. Przeglądam i wycinam zdjęcia i szkice. Układam z nich wielką całość. To moje dowody na to, że nie ma człowieka. Nie ma czegoś takiego jak człowiek.

Skoro są bliźnięta syjamskie, to Boga nie ma. Skoro w jednego człowieka wrośnięty jest człowiek inny, zwisa z klatki piersiowej dorosłego mężczyzny połowa drugiego, miednica i wątłe nóżki, niewielkie, jak nóżki kilkuletniego dziecka, to czym jest człowiek? Ilu to jest ludzi? Czym jest ciało? Dlaczego jest ciało?

W łazience, przed wejściem pod prysznic często przyglądam się mojemu ciału prawie siedemdziesięcioletniemu, a przecież wygląda o wiele starzej. Mam ciało starca spowite w bladą skórę, z wyjątkiem twarzy i przedramion, które pociemniały od słońca po wielu latach noszenia munduru z podwiniętymi rękawami. Skóra na ramionach jest zwiotczała, pofałdowana, ale pod nią mam jeszcze mięśnie. Brzuch mam tłusty i zaokrąglony, bo od miesiąca prawie nie wychodzę z domu, siedzę tylko przy maszynie do pisania i dużo jem, ale jestem przekonany, że gdybym tylko wrócił do reżimu, jaki narzucałem sobie na służbie, to w trzy tygodnie

wróciłbym do mojego dawnego, żylastego wyglądu. Na pewno wróciłbym. Bez trudu.

Ale cóż to jest za ciało, to ciało, które oglądam w lustrze? Czy ja się w tym ciele skrywam, czy też jestem tym ciałem?

A kim jest pół człowieka wrośnięte w pierś innego człowieka? Skoro dwoje zrośniętych bliźniąt, dzielących jedno ciało, obdarzone dwoma głowami to dwoje ludzi, a półbliźniak bezgłowy to zaledwie pasożyt, to czy człowiek jest głową? Albo raczej w głowie, schowany w głowie, tak jak ja jestem schowany w tym niewielkim mieszkaniu, w którym mieszkam od końca lat czterdziestych i które kiedyś było nasze, a teraz jest moje, i od kiedy jest moje, to prawie z niego nie wychodzę, tylko chowam się jak rak pustelnik w cudzej muszli i tak samo chowam się w muszli mojej czaszki?

Boga nie ma, skoro ktoś może mieć dwie głowy, albo co gorsza dwie twarze, Boga nie ma, bo nie ma człowieka. Czy człowiek nie jest własną twarzą? Skoro rodzą się niemowlęta bez mózgu, z krwawą, otwartą jamą czaszki kończącej się nad oczami, to kto się wtedy rodzi? Człowiek? Mięso?

Boga nie ma. Są płody z anacefalią. Ludzie z anacefalią?

Nie interesują mnie deformacje, palce zrośnięte jak szczypce kraba czy słoniowacizna, chociaż przecież często bywa równie potworna, szczupli ludzie o łydkach dwukrotnie grubszych niż torsy, niezdolni do ruchu. Albo ta sama elephantiasis w mosznie, obrzmiałej do wielkości piłki futbolowej. Nie interesują mnie straszne choroby skóry, wyrastające z głowy keloidowe rogi, zabierające człowiekowi twarz nowotwory, wszystko to jest przerażające, ale nie jest dla mnie dowodem na brak Boga. Przyglądam się im z ciekawością, ale tych zdjęć nie wycinam z medycznych żurnali, nie wklejam do mojego albumu, albumu poświęconego nieistnieniu Boga.

Ale to, że nie można nakreślić granicy między jednym człowiekiem a drugim, to jest najlepszym dowodem na to, że Boga nie ma, i ja, tat-aluf Mosze Inbar powiem to każdemu rabinowi, każdemu imamowi czy chrześcijańskiemu księdzu, jaki tylko będzie chciał słuchać: Boga nie ma, bo człowieka również nie ma. Coś jest, jakieś istoty, ale jeśli są istoty takie, w których nie sposób wyznaczyć granicy między jednym człowiekiem a drugim, to człowieka jako osoby, czyli czegoś osobnego od całej reszty świata i ludzi, człowieka, tak jak przyzwyczailiśmy się go rozumieć – nie ma.

O tym jest mój album. Mój album zaczął się od drugiej twarzy Pantaleona Karpińskiego i jej uśmiechu. Nie mam jego zdjęcia, ale pamiętam obie jego twarze, nawet dziś. I pytam sam siebie, ilu było ludzi w janusowej głowie Pantaleona Karpińskiego? Dlaczego druga twarz śmiała się, kiedy śmiała się pierwsza? Czy jest tam dwóch ludzi?

Mam w albumie zdjęcie niemowląt o głowach zrośniętych w ciemieniu, było w tym niemowlęciu dwóch ludzi? Czy może żaden, może niemowlęta, głupsze od kotów, wcale nie są ludźmi, może rodzą się jako nieludzie i dopiero ludźmi się stają, nie wiem, kiedy dokładnie, bo nic nie wiem o dojrzewaniu dzieci, nie wiem, kiedy zaczynają mówić, kiedy chodzić i co następuje pierwsze, nie wiem.

A ja sprzed pięćdziesięciu lat, ja w starym chevrolecie, czy ja to ten sam człowiek? Podobno wymieniły się w moim ciele wszystkie molekuły. Może z wyjątkiem szkliwa w zębach i kości, kiedy się nad tym zastanowić, ale przecież moje kości i moje zęby to nie ja. Ale tyle zostało ze mnie przywiezionego z Warszawy do Jaffy, wszystko się wymieniło, zostało tylko trochę szkliwa w zębach?

I pamięć. A raczej mozolne jej odtwarzanie. Co ja w ogóle pamiętam?

I czy ja, emerytowany tat-aluf Mosze Inbar i mały, chudy Żydek z Nalewek Mojsze Bernsztajn to ten sam człowiek? Co nas łączy? Moja pamięć o nim?

On nigdy nie myślał, że stanie się kimś, kim ja się stałem. Tylko ja o tym wiem. Mojsze Bernsztajn w 1937 roku nie wie o tym nic.

Mojsze Bernsztajn w 1937 roku siedział w taksówce zaparkowanej u zbiegu Koszykowej i Piusa XI, siedział i nie miał pojęcia, dlaczego czekają. Dowiedział się po chwili, kiedy sapiąc i wzdychając, do taksówki wsiadł Pantaleon.

– No to jadziem. Nalewki – rzucił krótko Szapiro.

– Się robi, panie szefie – mruknął taksiarz w skórzanym, szoferskim płaszczu, który nosił, bo prowadził taryfę, siedząc w otwartej kabinie, oddzielonej zupełnie od pasażerskiej. Było już dużo nowoczesnych taksówek, w których szofer siedział w kabinie jak w normalnym samochodzie, ale ta akurat była stara, musiała mieć z dziesięć lat.

Pantaleon usiadł naprzeciwko Mojsze Bernsztajna, czyli naprzeciwko mnie, Mosze Inbara, ale bardziej naprzeciwko Mojsze Bernsztajna. I naprzeciwko Szapiry. Zacisnął ręce na kolanach.

– No nic nie poradzisz – powiedział Szapiro, zdjęty współczuciem.

Teraz dziwię się temu współczuciu. Przecież Szapiro wiedział, że Pantaleon jest potworem, udręczonym, ale tym niemniej potworem. Wtedy się nie dziwiłem, wtedy również we mnie, nowo narodzonym ateiście, strach i odraza mieszały się ze współczuciem.

Taksówka ruszyła.

– Słyszę czasem w głowie głosy tego diabelstwa. Mówi do mnie. Wieloma głosami. Modlę się wtedy do Pana Jezusa, ale nie pomaga – wymruczał Pantaleon, wpatrując się w podłogę samochodu.

Szapiro pokiwał głową.

– Wtedy pijesz.

– Nienawidzę wódki. Wódka to zguba. Ale wtedy piję. Bo mówi mi straszne rzeczy. Diabelskie rzeczy. A ja je robię, te rzeczy, robię, co mi każe diabeł brat. I jestem głodny.

– To może bułkę z parówką? – zaproponował Szapiro i od razu, nie czekając na odpowiedź Pantaleona, wydał kierowcy odpowiednie dyspozycje tonem, którego się od niego później nauczyłem i który przydawał mi się całe życie, ale już mi się nie przydaje, bo jestem na emeryturze.

Zatrzymaliśmy się na rogu Marszałkowskiej i Jerozolimskich, przed kwiaciarnią Fuchsa, gdzie całą noc stał opalany węglem wózek z kociołkiem, w którym bulgotał ukrop, w ukropie zaś pływały parówki. Nigdy wcześniej z bliska takiego wózka nie widziałem, bo nie zapuszczałem się w te rejony, chociaż podobny stał na Krakowskim, na rogu z Trębacką i Kozią. A przede wszystkim nigdy wcześniej nie jadłem parówki.

– Chcesz? – zapytał Szapiro.

Chciałem w pierwszym odruchu głupio zapytać o koszerność, ale jednocześnie z myślą o tym, czy aby nie są trefne, pojawiła się myśl – i co z tego? Zjem trefne.

Nie byłem głodny, dopiero co jadłem. Ale nigdy wcześniej nie jadłem w nocy w taksówce parówki z ulicznego wózka i teraz będzie mój pierwszy raz, jak jem w taksówce parówkę z ulicznego stoiska.

– Poproszę – wyszeptałem.

Szapiro wysiadł, kupił trzy parówki i trzy bułki na trzech papierowych tackach, każda opatrzona hojnym kleksem musztardy, podał nam i jedliśmy w milczeniu. Taksiarz nie ośmielił się protestować przeciwko jedzeniu w taksówce.

Potem zatrzymaliśmy się na rogu Miłej i Lubeckiego, gdzie mieszkał Pantaleon.

Z rogu Miłej i Lubeckiego Pantaleon Karpiński i jego diabeł brat weszli do mieszkania, tam diabeł brat kazał Pantaleonowi wyciągnąć ze spodni wojskowy pas z grubej, starej skóry, zbudzić żonę, chwycić ją za włosy i zaprowadzić do kuchni, tam kazał mu zedrzeć z niej nocną koszulę, ułożyć z wypiętym tyłkiem na kuchennym stole i ćwiczyć pasem, ćwiczyć do krwi z zapamiętałością nieustępującej tej, z jaką niejaki Zdrajca ćwiczył bykowcem Jakuba Szapirę w latach jego uwięzienia w Łomży.

Nie było to lanie o charakterze erotycznym. Pantaleon nie był podniecony, żaden z dwóch Pantaleonów nie był podniecony.

Była to czysta przemoc, nieskażona pożądaniem. Pantaleon bił żonę, bo chciał, żeby cierpiała i wyła tak, jak wyją głosy diabła brata w jego głowie, i żona Pantaleona Karpińskiego wyła, póki nie zdarł jej z głowy czepka i nie wepchnął jej go w usta, obawiając się, że pobudzi wyciem sąsiadów, ci polecą do dozorcy i Pantaleon będzie musiał jeszcze użerać się z dozorcą, złamać mu rękę albo nos. Albo go zabić.

Siekł ją więc ciężkim, twardym pasem i sapał, i siekł, i sapał, a jej tłuste pośladki, plecy i uda spływały krwią i pękała skóra, a kiedy w końcu zemdlała, po prostu ją podniósł, bez wysiłku, gestem pieszczotliwym nieomal, zaniósł do sypialni i rzucił na łóżko, następnie wrócił do kuchni, wyjął schowaną dla gości butelkę wódki i pił, póki głosy nie ucichły.

Nie po raz pierwszy dręczyli go przełożeni, po wódkę sięgnął jednak po raz pierwszy od dwóch lat. Unikał jej zaś od 1919 roku, w którym to roku zbiegł z cyrku, gdzie pojono go wódką obficie. Pił tylko wtedy, kiedy głos diabła brata stawał się tak głośny, że nie do zniesienia.

Dwóch było na świecie ludzi, których się bał: Kum i Doktor, Doktor i Kum, nikt poza nimi nie mógłby go zmusić do pokazywania twarzy diabła brata, ale oni mogli i Pantaleon się na to godził, bo uważał, że każdy musi mieć swojego prześladowcę.

Wierzył nawet, że swoich prześladowców mają także Kum i Doktor, tyle że za bardzo ich nie widać.

Głosy w końcu ucichły, stłumione alkoholem, a wtedy Pantaleon złożył głowę pełną Pantaleona Karpińskiego i diabła brata na gruzłowatych przedramionach i zanurzył się w alkoholową ciemność. Pantaleon i brat zniknęli, przynajmniej do rana, tylko do rana, ale zawsze to ulga.

Do domu wrócił również Kum Kaplica, jak zwykle wracał. Nie lubił nocować poza domem. Pod domem Ryfki czekał nań chrysler z kierowcą, wsiadł doń, trochę wstawiony, zadowolony z życia i samego siebie i pojechał do domu, jak zwykle zasypiając po drodze.

Mieszkał daleko, praktycznie za miastem, przy samej jego administracyjnej granicy, w nierzucającej się w oczy willi na rogu Domaniewskiej i Puławskiej. Duży dom otoczony był ogrodem, w ogrodzie rosły jabłonie, a w domu – trzy dziewczyny, Zuzanna, Janina i Krystyna, dla których Kum był najsłodszym ojcem, żona zaś jego, Maria, najlepszą matką.

Służby nie mieli, Kaplica nie życzył sobie obcych w domu.

– Mam w domu cztery baby, to co, mam jeszcze za jakąś obcą kuchtę płacić? – pytał.

Maria Kaplica była prostą kobietą z ludu i również nie wyobrażała sobie tego, że ktoś miałby jej usługiwać. Tylko najstarszej z córek, Krysi, absolwentce nazaretańskiego gimnazjum na Czerniakowskiej, zdarzało się utyskiwać, że wszystkie jej koleżanki szkolne mają w domu służące i kucharki i tylko u nas wszystko trzeba samemu robić, i czy tatko jest zbyt biedny, aby kogoś zatrudnić?

Kum nie zważał na te skargi, rosły w nim ambicja i chciwość, chociaż dom, odpowiedni dla wyższej rangi urzędnika państwowego albo oficera, na przykład majora, nie był tej chciwości ostentacyjnym wyrazem, w przeciwieństwie zresztą do całkowicie ostentacyjnego chryslera.

Maria Kaplica była tęga i niepozorna, męża traktowała jak monarchę, mędrca i najwyższego kapłana jednocześnie. Bił ją czasem, jak każdy, ale niezbyt mocno i jak sądził, nigdy bez powodu, z czym się w zasadzie pokornie zgadzała, nie licząc tych momentów, w których bił ją po pijanemu. Nie dostarczała mu zresztą tych powodów zbyt często, była świetną gospodynią i kucharką. Nie obrywała więc częściej niż raz w miesiącu.

Co innego kiedy się upił. Raz po pijanemu strzelił do niej z pistoletu, ale nie trafił. Dziewczęta nie ośmieliły się wtedy nawet zejść na dół, tak pijanego ojca widywały raz do roku, na pierwszego maja. Poza pierwszym maja pił codziennie, ale nigdy do utraty kontroli nad sobą.

Pierwszego maja jednak rano występował jako jedna z głównych postaci robotniczej demonstracji, a potem szedł w miasto z najlepszymi. Wiadomo było, że ci, których wybrał do pierwszomajowej zabawy, cieszą się jego łaskami. Zawsze byli wśród nich Radziwiłek i Szapiro, tego dnia jednak nie zachodzili ani do paszteciarni na Lesznie, ani do Ryfki – u Sobenskiego i Ryfki Kij to były miejsca codzienne, pierwszy maja zaś wymagał miejsc odświętnych.

Obiadowali więc zwykle albo w Bristolu, albo u Simona i Steckiego, jedli najdroższe homary, langusty i ostrygi, rozkazując kelnerom demonstrować eleganckie sposoby spożywania tychże i żartując, że oto klasa robotnicza ustami swych przedstawicieli zażywa najwykwintniejszych luksusów. Potem koncept ten przyjął się szerzej. Po obiedzie ruszali na objazd w miasto. Zaczynali od kawiarń, Zakopianka, Szwajcarska, Bagatela Lardellego, Ziemiańska, potem przychodził czas na Adrię, Oazę i Cristal, gdzie już nie jedli, tylko pili wódkę, pili, aż prawie tracili przytomność, wtedy zażywali kokainowego proszku i pili dalej, jechali na śniadanie do Europejskiego, gdzie już czekały na nich apartamenty i najlepsze, odświętne dziewczęta, odpoczywali trochę w ich towarzystwie i dalejże, w miasto. Każdego roku było tak samo, zmieniały się twarze i lokale, nie zmieniał się program.

Do domu zjeżdżał trzeciego maja wieczorem, czasem sam, czasem z kurwami. Zwykle był już w samych spodniach i rozchełstanej koszuli, bo palto i marynarkę zagubił gdzieś po drodze, trzęsły mu się ręce, śmierdział przetrawioną wódką, wymiocinami i dymem tytoniowym.

3 maja 1935 roku strzelił do żony, bo wyraziła swoją niechęć do dwóch dziewcząt narodowości żydowskiej, które sprowadził sobie do domu, zwracając mu uwagę, że obie są chyba młodsze od najstarszej z jego córek, siedemnastoletniej wtedy Krystynki.

– Antysemitka pierdolona! – wrzasnął, bo przez cały wieczór dyskutował z towarzyszami o rosnącym antysemityzmie polskiej ulicy.

Nie trafił, kula zaryła się w ścianę, ale Maria Kaplica zrozumiała aluzję i uciekła na piętro, zamknęła się na klucz w sypialni, uprzednio zaryglowawszy drzwi do sypialni dziewcząt, młodsze Zuzia i Janka spały razem w jednym pokoju, Krysia miała własny.

Był to zresztą jeden z najszczęśliwszych trzecich maja w historii małżeństwa państwa Kapliców – licząc oczywiście te po 1919 roku, bo wcześniej ich nie obchodzono – gdyż obeszło się bez bicia, Kaplica po kwadransie zasnął na krześle przy stole, dziewczyny ulotniły się natychmiast, nie ośmielając się kraść czegokolwiek, a Kaplica spał osiemnaście godzin, następnego dnia zamówił dla żony kwiaty i wszystko zostało przebaczone.

W innych latach zdarzało mu się złamać jej przedramię, bijąc pogrzebaczem, co zabolało Marię Kaplicę mniej niż słowa, jakie wtedy wykrzykiwał, nazywając swoją wierną i oddaną żonę tłustą świnią, która zmarnowała mu młode lata i okrada go z ciężko zarobionego grosza.

Córki Kaplicy wszystko słyszały, ale i tym razem nie ośmieliły się zejść na parter, uprzedzone przez matkę, że to właśnie dziś, że dziś jest dzień, w którym tatko wróci pijany.

Następnego dnia wszyscy jak zwykle usiedli do wspólnej kolacji, Maria Kaplica miała rękę w gipsie, więc w przygotowaniu jedzenia brała udział, wyłącznie zawiadując działaniami swoich trzech córek.

Kum wypytał dziewczęta, co słychać u nazaretanek, czy im tam pierdolone zakonnice nie kładą do głów za dużo kościelnych bzdur, na co Maria Kaplica nabożnie się przeżegnała, jak zwykle przerażona bluźnierstwami męża, co go tylko skłaniało do dalszych.

Tego wrześniowego wieczora 1937 roku, po wizycie u Ryfki Kum wrócił swoim chryslerem do siebie na Mokotów, zjadł przygotowaną przez żonę kolację, żona zdała relację ze swojego dnia, który go w ogóle nie

interesował, więc nie słuchał, przejrzał wieczorne wydanie „Kurjera", zapytał o córki, nie posłuchał odpowiedzi, po czym udał się do sypialni położyć pasjansa.

Pasjans wyszedł. Kaplica zadumał się nad swoim życiem oraz sytuacją klasy robotniczej i ruchu socjalistycznego, potem przeszedł do poważniejszych rozmyślań.

– Żmiję sobie na piersi wyhodowałem, Żydek pierdolony – mruknął, myśląc o Radziwiłku.

Rozebrał się do snu, spojrzał w lustro. Przyczesał wąsy, poklepał się po okrągłym brzuchu, uniósł go, by spojrzeć na wielkie przyrodzenie, z którego rozmiarów był bardzo dumny, podrapał się gdzie trzeba i poszedł spać.

Ja zaś jeszcze nie wiedziałem, gdzie będę spał tej nocy. Nie chciałem wracać do domu, do matki i brata. Wstydziłem się tego uczucia, ale właśnie tak czułem. Byle do nich nie wrócić. I nie wróciłem.

– Będziesz spał u mnie – powiedział Szapiro, słysząc moje myśli.

Często tak mi się wydawało. Że słyszy moje myśli.

Myślałem też o teatrze, do którego miałem pójść jutro z Magdą, i wiedziałem już, że nie pójdę. Tych myśli nie słyszał.

Zatrzymaliśmy się na Nalewkach, pod numerem 40. Czternaście numerów wcześniej, na rogu Franciszkańskiej był mój dom rodzinny. Pięć minut i byłbym z moją matką i bratem.

Nigdy jednak do nich nie wróciłem. Nigdy więcej ich nie ujrzałem.

Pamiętam ich twarze, pamiętam bardzo dobrze twarz mojej matki i brata, ale pamiętam je tylko z jednej chwili, z tej strasznej chwili, w której Szapiro zabrał mojego ojca. Nie pamiętam, może nie chcę pamiętać ich z innych, lepszych czasów.

Pamiętam twarz Emanuela i strach na niej, i otępienie matki, i tak naprawdę niewiele więcej.

Szapiro zapłacił, wysiedliśmy, dozorca chrześcijanin nam otworzył, nawet u nas, w żydowskiej dzielnicy dozorca zwykle był chrześcijański. Szapiro rzucił mu parę złotych i weszliśmy po schodach na górę, Jakub otworzył mi drzwi, wpuścił przodem, jak gospodarz gościa.

Mieszkanie, powstałe z połączenia trzech mniejszych, zajmowało całe piętro i zupełnie nie pasowało do naszej dzielnicy. U nas, u Bernsztajnów mieszkanie było akurat duże, bo mieliśmy trzy izby, cóż z tego, skoro jedną podnajmowaliśmy sublokatorom. Nie było u nas bieżącej wody, klozet był jeden na podwórzu, wodę do mycia i gotowania nosiło się wiadrem z podwórkowej studni, mieszczącej się podejrzanie blisko klozetu. Grzaliśmy węglem w wolnostojących kozach. Na Nalewkach wszyscy tak mieszkali.

U Szapirów było inaczej. Jakub wykupił całą kamienicę, zapisał ją jednak na Emilię, i Szapirowie mieszkali u siebie, co się w Warszawie w kamienicach praktycznie nie zdarzało. Sklepy na parterze i lokatorzy z pierwszego piętra płacili niewielkie czynsze, dużo poniżej rynkowej wartości, bo Jakub pieniądze miał skądinąd, a potrzebował reputacji dobroczyńcy biednych. Za własne pieniądze doprowadził więc do mieszkań wodę i ogrzewanie, a dla siebie i swojej rodziny zarezerwował całe piętro, na którym połączył istniejące wcześniej mieszkania.

Mógł oczywiście po prostu się wyprowadzić i zamieszkać w którymś z pięknych, nowoczesnych osiedli na Żoliborzu, w dobrej części Śródmieścia, na Mokotowie albo na Saskiej Kępie, albo wreszcie jak Kum w willi za miastem, ale nie chciał. Dzielnica Północna, ze smrodem jej płynących ulicami rynsztoków, z zapachem czulentu w piątek i z jej niewątpliwym brudem była jedyną ojczyzną, jaką miał, i nie umiał tej ojczyzny porzucić. A skoro nie umiał, to i nie chciał. Nie chciał się asymilować. Na Nalewkach w Warszawie był u siebie, w małej Jerozolimie, zamieszkać na Mokotowie znaczyłoby zamieszkać w Polsce, a Jakub nie chciał mieszkać w Polsce, bo Jakub Polski nie lubił, ale jeszcze bardziej nie lubił asymilatorów, nie lubił tych Żydów z klas wyższych, którym Nalewki, Miła czy Smocza śmierdziały bardziej niż najbardziej śmierdzące, polskie czy ruskie wsie, bo nędza i smród polskiego chłopa nie były ich nędzą i smrodem, zaś nędza i smród Nalewek, zapyziałe geszefty, tragarze z tłumokami na plecach, cały ten pachnący czosnkiem i przyprawami przedsionek Azji to była ich nędza i ich smród, który chcieli z siebie zmyć jak najprędzej i jak najdokładniej.

Jakub nie chciał niczego z siebie zmywać. Było coś ostentacyjnego i bezczelnego w tym, jak paradował po Nalewkach w najdroższych

garniturach od Zaremby, jak przeskakiwał kałuże w butach błyszczących bardziej niż oficerki polskiego rotmistrza, jak jeździł po Dzielnicy Północnej swoim buickiem. Ludzie, nasi ludzie, żydowska biedota, nie patrzyli na niego z niechęcią, jaką mieli dla polskich panów, nie patrzyli nań z zarezerwowaną dla nich nienawiścią i strachem, nie czuli zawiści. Jakub Szapiro nosił te garnitury i jeździł buickiem niejako w ich imieniu, bo Jakub Szapiro pozostał jednym z nich. Mieszkał na Nalewkach, we własnej kamienicy, ale na Nalewkach. Nie odzywał się po polsku do tych, którzy polskiego nie lubili słuchać, i chociaż za nic miał Boga i tradycję, to swoim niedowiarstwem i pogardą dla zwyczajów nie kłuł w oczy nikogo, kogo mogłoby to zaboleć.

Na ulicy z rewerencją kłaniał się starcom, którym należał się szacunek, z tym samym szacunkiem kłaniał się żydowskim dziennikarzom i pisarzom przesiadującym w siedzibie Związku Literatów i Dziennikarzy Żydowskich na Tłomackiem 13, bo uważał ich za depozytariuszy żydowskiej tożsamości i odrębności i otaczał niewidzialną ochroną i opieką, niewidzialną dlatego, że bez wątpienia ochrony bandyty by sobie nie życzyli. Szanował nawet tych, którzy byli mu otwarcie wrodzy, jak Singer. Pobiwszy go osobiście, nie pozwoliłby, aby krzywdę wyrządzili mu Polacy. A gdyby wyrządzili – pomściłby.

Żona Szapiry czekała w kuchni. Nie mieli ślubu, a jednak wszyscy uznawali, że Emilia jest jego żoną, i chociaż w dokumentach ciągle figurowało jej panieńskie nazwisko, Kahan, to nikt nie zwracał się do niej inaczej niż „pani Szapiro". Daniel z Dawidem grali w warcaby na dywanie w skromnie i elegancko urządzonym salonie. Spojrzeli na mnie, wbili we mnie wzrok, patrzyli, ciekawi, trochę z dystansem, trochę z nadzieją, patrzyli na kogoś pomiędzy ich światem a światem dorosłych.

– To młody Bernsztajn – powiedział po prostu Szapiro. – Będzie teraz z nami.

– Jedliście? – zatroskała się Emilia Szapiro, z domu Kahan, nie kwestionując obecności nowego domownika.

– U Ryfki i parówki z wózka jeszcze. Gdzie chłopakowi pościelisz?

– W gościnnej sypialni. Wiesz, że tej amerykańskiej lotniczki ciągle nie znaleźli? Tak się boję o nią... W gazecie dzisiaj czytałam.

Jakub zastanowił się chwilę. W pierwszym odruchu pomyślał, że co go obchodzi jakaś amerykańska lotniczka. W drugim – że go zasmuciła ta wiadomość. Miał nadzieję, że ją znajdą.

Wskazali mi miejsce. Emilia przyniosła pościel.

Położyłem się, po raz pierwszy w życiu tak bardzo nie u siebie. Jakub jak zwykle położył synów spać, potem Szapirowie zamknęli się w sypialni, ja nie umiałem zasnąć. Wstałem, usiadłem przy oknie.

Za oknem, nad ulicą Nalewki unosił się szary kaszalot. Łypał na mnie płonącym okiem, wielkim łbem zahaczał o kominy.

Litani, jestem Litani. Popiół twych włosów, Sulamit – zaśpiewał, obnażając pełną zębów żuchwę, a potem zwinął się, zanurkował między kamienicami i zniknął mi z oczu.

GIMEL

W Warszawie na placu Bankowym, w Szpitalu Ujazdowskim, na Żoliborzach oficerskim i dziennikarskim, na Mokotowie, na Saskiej, na wyścigach konnych, w Belwederze, w Ministerstwie Spraw Wojskowych, na Hożej i na Marszałkowskiej Jom Kipur wypadło w środę, 15 września 1937 roku od narodzenia Chrystusa, wypadło i nieszczególnie komukolwiek rzucało się w oczy. Przeszło niezauważenie. W „Kurjerze" z 16 września o przebiegu Jom Kipur ani słowa nie napisano.

W Jerozolimie dzień Jom Kipur minął spokojnie. Przy Ścianie Płaczu gromadziły się tłumy wznoszących modły. Za dęcie w szofar wbrew obowiązującym przepisom policja aresztowała niejakiego Ariego Kaczera, członka Betaru. W bóżnicy w jerozolimskim Starym Mieście znaleziono bombę, która jednak nie wypełniła tego, do czego ją przeznaczono, albowiem nie eksplodowała.

W Warszawie na Gęsiej, na Smoczej, na Nalewkach, na Nowolipkach, na Karmelickiej, na Miłej, na Lesznie i na wszystkich innych żydowskich ulicach Dzielnicy Północnej, Pragi, Pelcowizny i Powiśla Jom Kipur wypadło w środę, 10 tiszri 5698 roku od stworzenia świata. W „Naszym Przeglądzie" obchodom Jom Kipur poświęcono całą szpaltę.

We wtorek wieczorem żydowskie ulice Warszawy wyludniły się zupełnie, autobusy i tramwaje kursowały puste, wszyscy pobożni Żydzi poszli do synagogi na Kol Nidrej, a ja, Mojsze Bernsztajn, po raz pierwszy w dorosłym, świadomym życiu nie poszedłem do synagogi na Kol Nidrej.

Od czasu mojej bar micwy chodziłem tam zawsze z moim ojcem, jak każdy żydowski chłopiec. Najpierw ojciec odprawiał kaparot: dla

odkupienia grzechów kręcił nad głową białym kogutem, a potem koguta zabijał, matka oblewała go wrzątkiem, skubała pióra, patroszyła. Lubiłem widok kogucich wnętrzności. Następnie matka brała tasak i dzieliła koguta na części, aby rozdać biednym. Głowy już nie miał, matka najpierw ucinała mu łapki i szyję, do rosołu, potem odrąbywała mu nogi, odrąbywała mu skrzydła, a potem beznogi i bezskrzydły korpus rozdzielała tasakiem na dwie części, każda z jedną suchą, kogucią piersią.

Potem szedłem z ojcem do synagogi.

Po prawicy i lewicy kantora stawali mężczyźni ze zwojami Tory, a kantor śpiewał po aramejsku o przysięgach, które składać będziemy przez cały rok między tym Jom Kipur a następnym. Kol nidrej, weesarej, uszewuej, wacharamej, wekonamej, wekinusej, wechinujej.

Wszystkie nasze przyszłe przysięgi i obietnice uważajcie za nieważne.

Ojciec tłumaczył mi, że nie oznacza to bynajmniej, iż pobożny Żyd może nie dotrzymywać słowa. Tłumaczył, że ma to oznaczać jedynie odkupienie za te obietnice, których dotrzymać nie zdołamy mimo dobrej woli, z jaką je składaliśmy.

A może to Szapiro mi opowiadał o swoim ojcu, może to ojciec Szapiry tłumaczył znaczenie Kol Nidre, nie mój?

Ciało mojego ojca podzielone jak ciało koguta na kaparot.

Redaktor Sokoliński zrelacjonował w „Kurjerze" znalezienie każdej kolejnej części ciała Nauma Bernsztajna. Ostatnia znalazła się głowa, zawinięta w ojcowski chałat razem z dokumentami, i wszystko stało się jasne.

Nie chciałem o tym słyszeć. Od dwóch miesięcy żyłem już nowe życie. Chwyciłem chude ciało mojego ojca za kostki, zakręciłem nim trzykrotnie nad głową i złożyłem je w ofierze, jak koguta.

Między kamienicami przełamuje się powoli w powietrzu krępe cielsko kaszalota, pąkle wrośnięte w jego grubą skórę, otwiera się powoli zębata żuchwa.

Litani. Litani. Litani.

Nigdy nie zatroszczyłem się o pochówek ojca. Nie zmówiłem kadiszu. Nie wiem, czy ktokolwiek zmówił. Myślę, że tak, ale nie wiem. Był, zniknął, nie ma go.

– Daa mame in brido zene awek ka Lomże, cy de szwesto ijo – powiedziała Emilia Szapiro przy którymś z moich pierwszych śniadań w ich mieszkaniu, z Emilią, Jakubem i chłopcami. – Jankiew ot zaj giegiebm s'gielt[13].

Jej jidysz nosił w sobie ten prawie niesłyszalny, a jednak obecny ślad tego, że od dziecka po polsku mówiła równie dobrze jak po naszemu. Jakub spojrzał na nią nagle, znad talerza.

Milczałem. Jadłem. Smakowało mi. Jakub dał im pieniądze i wyjechali. Mają się dobrze gdzieś daleko. Ale może mówili to do chłopców?

Później chodziliśmy ćwiczyć w sali gimnastycznej Gwiazdy na ulicy Leszno, w pożyczonym od Szapiry za dużym stroju gimnastycznym, i bandażowałem sobie dłonie.

Szapiro sam już nie ćwiczył. Nie uważał się już za boksera, teraz był trenerem. W ciągu dwóch miesięcy dzielących jego ostatnią walkę i Jom Kipur przytył wyraźnie, przynajmniej kilka kilogramów, i musiał dać sobie poszerzyć kamizelki i marynarki.

Teraz uczył młodzików bandażowania dłoni.

Nadgarstek jest najważniejszy. Widziałem wielu bokserów, którzy już nie byli bokserami, bo nie dbali o nadgarstki i już nie mogli nikogo strzelić tymi dłońmi zwisającymi z przedramion jak główki zwiędłych tulipanów. Bandażowałem więc starannie, czując na sobie wzrok kaszalota.

Unosił się nad ulicą Leszno i wciągał w nozdrza zapach potu chłopców, młodzieńców i mężczyzn skaczących na skakankach, bijących w skórzane worki treningowe, walczących z cieniem, robiących przysiady i pompki.

Czekał. Śpiewał cichą pieśń łowcy.

Szapiro tymczasem zaczął trening na tarczach z młodym chłopakiem, mniej więcej w moim wieku, ale wyższym nieco i lepiej rozwiniętym fizycznie. Trenował z zażartością rottweilera. Ja przyglądałem się z boku, czekając na swoją kolej.

– Lewa, rotacja, idziesz, idziesz, hak, idziesz! – krzyczał Jakub.

Rękawice uderzały o tarcze na jego dłoniach: pach, pach, pach, jak oklaski, szybko, raz za razem. Jakub wrzeszczał, pracował na nogach jak przystało na boksera, prezentował chłopcu tarcze, to na wprost, to bokiem,

to w dół do haka, to kładł na brzuch, żądając ciosów na korpus, a młody bokser uderzał w nie z trzaskiem, szybkimi, luźnymi ciosami.

– Rotacja...! – wykrzykiwał Szapiro i zakreślał tarczą obszerny sierpowy.

Chłopak nurkował pod zmierzającą w stronę jego głowy tarczą, schodził nisko na nogach i natychmiast kontrował swoim sierpem, z drugiej strony, z miłym dla ucha trzaśnięciem uderzając w przygotowaną już przez trenera tarczę na drugiej jego ręce.

– Nogi, pracuj, pracuj, pracuj!

Pracował, nogi cały czas w ruchu, jakby podłoga była z rozżarzonej stali.

– Pracuj, kurwa, co to jest, chuju rybi, co to jest, tak to se dupę możesz podcierać, pracuj, pracuj, lewa, lewa, co to za szmata jest, pracuj, lewa, lewa, lewa, długa ma być ta lewa, długa ręka, co to kurwa za kikut jest! Wyciągnij! Rotacja! Pracuj, kurwa, raz, unik, lewa, prawa, lepiej, pracuj, kurwa, ruszasz się, lewa, prawa, pracuj, co, kurwa, stoisz, zamyśliłeś się, kurwa, pracuj, unik, prawa, pracuj! hak, lewy sierp, zejście, zejście, kurwa, lepiej, dłuższa ręka, dłuższa, nie kikuty, zaczep, lewy, prawy, lewy sierp, dobrze! Noga pode mnie, wchodź, dobrze, dystans trzymaj, co to jest, kurwa, co to jest, kalika jakiś, lewy, prawy, unik, pode mnie wchodź, pode mnie, noga, dobrze, ta sama seria, lewy, prawy, unik, prawy, sierp, co to jest, moja babka macha rękami, ta sama seria, pracuj, lewy, prawy, unik, prawy, sierp, gardę trzymaj, chuju rybi, następnym razem cię zaznaczę, ta sama seria, lewy, prawy, unik, prawy, sierp, nóż kurrrrwa, ręka, gardę trzymaj, ręka, co to jest, kurwa, to jest boks? to jest boks? to gówno? kalika jeden, wynocha z klubu, lewa, leeeeewa, pracuj, garda, rękę wyżej, bo zaznaczę, ręka, nóż kurrrrwa...!

Zaznaczył. Trzasnął chłopaka tarczą w skroń, chłopak się zatoczył i siadł na ringu, rozglądając się niewidzącym wzrokiem.

Zostawiłem matkę i brata. Nie ma ich. Zniknęli. Wyjechali do Łomży. Nikogo nie ma. Nikt nie został. Wszystkich zostawiłem. Tylko ja zostałem. Litani wciągał w nozdrza zapach mojego potu, obmacywał mnie cichą pieśnią.

– No, dobrze, dobrze, wstawaj, świetnie, postęp jest! – wrzasnął Szapiro, nagle zadowolony ze swojego ucznia, jakby moment wcześniej wcale nie beształ go od ostatnich.

Zostawiłem matkę i brata. Bo chciałem boksować. Bo chciałem zobaczyć Szapirę, jak wchodzi na ring.

Bandażowałem dłonie. Nadgarstek, dłoń na krzyż, kostki, dookoła kciuka, znowu nadgarstek. Potem stanąłem pod ścianą, przyglądałem się.

– Masz długie palce, jak ja – zauważył kiedyś Szapiro, dociągając taśmę bandaża na mojej lewicy. – Mówili mi od początku, że to są palce pianisty, nie boksera. No to się zdziwili potem.

Mój ojciec podzielony na części unosił się w odmętach wód, a ja uczyłem się chodzić, trzymać ręce, chować szczękę za prawą pięścią i lewym barkiem.

Byłem jak niemowlę, które podnosi się na własne nogi po raz pierwszy, opierając się o ścianę.

Na sali Gwiazdy narodziłem się na nowo. Trzymałem łokcie blisko, kiedy Szapiro uderzał sierpem i prostym.

Do dziś stawiam kroki, których nauczyłem się wtedy, do dziś chodzę drogami, które wtedy odkryłem, do dziś słucham słów, które wtedy do mnie wypowiedziano.

Miałem siedemnaście lat. Zostawiłem matkę i brata, i ciało mojego ojca podzielone na kaparot.

* * *

Dni były do siebie bardzo podobne, a jednocześnie tak różne od wszystkich ubiegłych dni mojego poprzedniego życia – każdy z nich był podniecający jak grzech i wieczorem kładłem się spać w niecierpliwym oczekiwaniu dnia kolejnego.

Nocami budziłem się z krzykiem, wtedy przychodziła do mnie Emilia Szapiro i głaskała mnie po głowie. Wiedziałem, że gdzieś tam, między kamienicami, podwórkami, nad Wisłą i nad mostami chowa się Litani, szary kaszalot o płonących oczach.

– Śpij, chłopczyku, śpij… – mruczała do mnie po polsku. Kładła się przy mnie i tuliła mnie uściskiem matczynym, a przecież nie była moją matką, ciepła, pachnąca kobietą albo wodą kolońską Szapiry.

Czasem budziłem się i słuchałem, jak spółkują z Jakubem, słuchałem jej jęków, a potem rano patrzyłem na nią w kuchni i myślałem o tych jękach.

Każdego ranka mechanik z garażu Dynasy podstawiał buicka. Byłem już po przygotowanym przez Emilię śniadaniu, zawsze pojawiał się chleb z masłem, mleko, czasem ser albo wędlina. Wszystko trefne i wszystko pyszne, przygotowane i podane mi z miłością, jakiej wcześniej nie zaznałem.

Była ciepła, troskliwa, o nic mnie nie pytała, niczego ode mnie nie oczekiwała, o nic nie prosiła, niczego nie wymagała. Często mnie dotykała.

Wtedy pomyślałem, że jest lepsza od mojej matki rodzonej. Dziś nie wiem. Nie pamiętam. Nie pamiętam, jaka była moja rodzona matka. Lepiej pamiętam Emilię Szapiro.

Nie, to nieprawda. Dokładnie pamiętam, jaka była moja rodzona matka. Moja kochana żydowska mamełe nie była kochaną żydowską mamełe. Pamiętam jej odrętwienie, kiedy Szapiro zabrał ojca, aby go poćwiartować.

Teraz wiem, czy raczej domyślam się: moja żydowska matka musiała mnie kochać. Ale nigdy nie czułem się kochany. Może nie miałem kiedy.

Jakie to śmieszne, myślę dziś, stary generał piszący na maszynie o tym, że matka go nie kochała. Ile krwi mam na rękach… A myślę o tym, że matka mnie nie kochała, tat-aluf Mosze Inbar pisze na maszynie, że matka go nie kochała.

Promieniował z niej chłód, który nie znikał, nawet gdy nas tuliła. Gdy całowała, jej usta pozostawały zimne, chociaż wargi miała ciepłe zwyczajnym ciepłem ludzkiego ciała. A może wcale nas nie całowała.

Emilia Szapiro była ciepła i miękka jak ciasto na szabasową chałę, które sama czasem wyrabiała, ugniatała, a ja patrzyłem na to zahipnotyzowany, jej smukłe palce zagłębiające się w ciasto, ciasto między jej palcami. Chciałem być tym ciastem. Chciałem, żeby włożyła we mnie ręce.

Patrzyłem, jak kocha swoich synów, jak kocha ich ciałem, rękami, głową. Jak ich całuje, jak utula ich do snu, jak ich karmi, jak o nich dba.

Patrzyłem, jak kocha swoich synów Jakub. Był zupełnie innym ojcem niż mój, niż wszyscy ojcowie, jakich znałem, i sądzę, że był zupełnie inny niż jego ojciec.

Ojciec Jakuba chętnie używał pięści i rózgi, Jakub nigdy nie uderzył dziecka.

Jakub strzelał do ludzi, podrzynał gardła niewinnym starcom, ale nigdy nie uderzył dziecka. Nie wiem dlaczego. Cierpienie dziecka jest tyle samo warte, ile cierpienie dorosłego lub starca, czyli nic. Ale Jakub taki po prostu był.

Jakub traktował swoich synów poważnie. Jakub traktował mnie poważnie. Jakub rozmawiał z Danielem i Dawidem jak z małymi ludźmi. Małymi, ale ludźmi.

Ledwie ich sobie przypominam. Zatarli mi się w pamięci. Byli bliźniętami, dwujajowymi, a mimo to podobnymi do siebie, lecz nie tym nieludzkim podobieństwem bliźniąt jednojajowych. Daniel był chyba tym bardziej refleksyjnym, melancholijnym dzieckiem, wolał książeczki i drewniane klocki, Dawid raczej łobuzował.

Nigdy już nie wróciłem do domu. Mijałem moją rodzinną kamienicę setki razy, nigdy nie wszedłem nawet na podwórko. Nigdy nie zobaczyłem już matki ani brata. Nie zmówiłem kadiszu za mojego ojca. Nie wiem, gdzie pochowano jego poćwiartowane ciało, do dziś nie wiem, co się z tym ciałem stało.

Jadłem śniadanie i patrzyłem na Emilię, jak krząta się w kuchni. Nie wiedziałem wtedy, że już nigdy nie zobaczę matki ani brata, wiedziałem jednak, że nie chcę do nich wracać. Szapiro nie jadł, bo prosto po śniadaniu jechaliśmy do paszteciarni na Lesznie, gdzie śniadał przy stoliku z Kaplicą, Radziwiłkiem i gazetami.

Pozwalali mi usiąść z boku, Szapiro zamawiał mi kawę, nie słyszałem ich rozmów, bo zawsze mówili półgłosem, ale wiedziałem, o czym mówili.

Piłem więc kawę, potem szliśmy piechotą kawałeczek do sali Gwiazdy, która również znajdowała się na Lesznie. Szapiro, póki boksował, był zawodnikiem Makabi, ale do sali Gwiazdy miał bliżej i to w Gwieździe wolał trenować młodzików. A ponieważ był Jakubem Szapirą, to mógł trenować, gdziekolwiek mu się podobało i wszędzie był mile widziany.

Pierwszego dnia dostałem od Szapiry granatowe spodenki gimnastyczne, białą koszulkę na ramiączkach, miękkie białe skarpety i czarne pantofle bokserskie za kostkę, z białymi sznurówkami.

Założyłem to wszystko na siebie. Szapiro nosił identyczny strój. Pokazał mi, jak się bandażuje dłonie, więc zabandażowałem i zacząłem naukę chodzenia.

Zostawiłem matkę. Zostawiłem brata. Zostawiłem ciało mojego ojca w nieznanym miejscu, jakbym cisnął ich wszystkich w otchłań.

W otchłani niech pozostaną. Na zawsze.

Po jednym z moich pierwszych treningów pojechaliśmy na Kercelak, jak w każdy wtorek i piątek, na które tradycyjnie wypadały dni targowe. Wolę to wspominać, wolę wspominać te nasze obchody po targowisku niż ojca mego, brata i matkę. Towarzyszyłem mu wtedy po raz pierwszy.

Na Kercelaku Jakub jak zwykle zaparkował buicka od strony Okopowej i poszliśmy dalej, w stronę Wolskiej i Chłodnej, ja za nim jak cień, między przykrytymi brezentem budami, gdzie każdy sprzedawał wszystko, z budki, stoiska, straganu, i gdzie towarzyszył nam chór powitań, wraz z dzwonkami tramwajów linii T i Z.

– Dzień dobry panu, panie Szapiro. Szacunek, panie Szapiro. Pan Jakub, jaka przyjemność. Szaconek, panie Szapiro. A gitn tueg reb Szapiro, a gitn[14].

Witał się każdy, sprzedająca kartofle i buraki baba i aspirujący sklepikarz, właściciel stoiska z garniturami za dwadzieścia złotych, handlujący starzyzną Żyd i biedak, mający wszystkiego na sprzedaż trzy pary damskich pończoch, prawie nie używanych, które powiesił sobie na przedramieniu i którymi potrząsał, jakby wierząc, że w ten sposób ściągnie kogoś chętnego wydać złotówkę; witał się gołębiarz przy klatkach pełnych gruchających ptaków, witał się sprzedawca mandolin i gitar, przy którego stoisku rozlegało się nieustające brzdąkanie, a także rezydujący na podwyższeniu z desek niczym na scenie bazarowy krawiec wyznania mojżeszowego i jednocześnie niepraktykujący ateista, obsługujący terkoczącą maszynę marki Singer, na której na miejscu i od ręki dokonywał ekspresowych przeróbek.

Teraz nie szył, czekał klientów. Gładził czarny, podniszczony lakier maszyny, swojej jedynej żywicielki, jakby dotykał grzbietu krowy, na której mleku żyje cała rodzina. Nazywał się Józef Sztajgiec i wszystko, czego chciał od życia, to szyć na Kercelaku.

My szliśmy dalej.

Wraz z pozdrowieniami tłum się przed nami rozstępował – odsuwały się okrywające ramiona kraciastymi pledami baby, ustępowali miejsca brodaci Żydzi w chałatach biednych i bogatych, ale częściej biednych, biedacy w samych koszulach, nieco zamożniejsi w marynarkach, swetrach i lekkich paltach, czasem trafiła się tu sukienka, czasem elegancki trencz, ale rzadko, bardzo rzadko, na Kercelaku zaopatrywała się przede wszystkim Czerwona Wola, gdzie trenczy raczej nie noszono.

Na głowach meloniki, kapelusze, cyklistówki, mycki, damskie kapelusiki, ale więcej wiejskich chust.

Nie wszyscy znali Jakuba Szapirę. Wszyscy sprzedający, ale z klientów tylko niektórzy. A jednak kiedy tak szedł przez tłum, nie musiał się przepychać. Tłum rozstępował się sam. Było w Jakubie coś, co mówiło im, że muszą się rozstąpić, coś takiego, co niegdyś sprawiło, że przed Mojżeszem rozstępowały się wody.

Szapiro miał tylko jedną rzecz do załatwienia, spieszyło mu się, więc nie odpowiadał na pozdrowienia.

Pod tym względem mógł pozwolić sobie na więcej niż Kum.

Kum był jak ojciec. Nie mógł ignorować pozdrowień, musiał na nie życzliwie odpowiadać, bo tylko to gwarantowało, że nikt nie stanie w obronie kogoś, kogo Kum musi ukarać. Jeśli Kum ignorował czyjeś pozdrowienie, to oznaczało dla zignorowanego kłopoty. Niełaskę. A niełaska Kuma to coś, na co lepiej sobie nie zasłużyć, wszyscy to wiedzieli.

Sprawę do załatwienia miał Szapiro w mieszczącej się na Kercelaku restauracji. Było to podłe miejsce, ulokowane w drewnianej budzie, z której wystawały bezładnie żeliwne rury z pieców służących do tego, by warzyć najprostsze jedzenie: flaki, bigos, najtańsze serdelki z wody, sznycle po warszawsku i pulpety.

W środku stoliki ustawione były tak gęsto, że nie zmieściłby się już ani jeden więcej. Panował tu zwyczaj bezwzględnego dosiadania się, tutaj przychodziło się zjeść, nie przesiadywać, ale Szapiry to oczywiście nie dotyczyło.

Kiedy weszliśmy do środka, właściciel, tłuste chłopisko nazwiskiem Choromańczyk, gwizdnął i wzrokiem wskazał drzwi dwóm gawroszom, wycierającym właśnie chlebem talerze po flakach. Wyszli natychmiast, mijając Szapirę, mięli czapki w rękach.

– Dzień dobry, panie Szapiro – szepnęli chórem.

Jakub powiesił kapelusz na stojaku, siadł przy stoliku, strzelił palcami na obsługę, zamówił flaki po warszawsku i stopkę wódki.

Flaków dostał podwójną porcję, wódki całą flaszkę. Wyciągnął z kieszeni cienki notesik i wieczne pióro.

Nie musiał ogłaszać, że jest. Było wiadomo. I ten, kto miał przyjść, wiedział doskonale, że ma przyjść. I że Jakub Szapiro nie powinien czekać.

Przyszedł więc Tolek Gołębiarz, posiadający od strony Leszna sto dwadzieścia klatek z gołębiami, zwykłymi, rasowymi i udającymi rasowe, zostawił dwadzieścia złotych. Przyszła baba sprzedająca blaszane wiadra w części bazaru z towarami żelaznymi, między Okopową a Chłodną, zostawiła dwadzieścia trzy złote. Szapiro zanotował.

Przyszedł właściciel solidnej, zamkniętej i ogrzewanej budy, mieszczącej antykwariat pieniężny, gdzie handlowano wszystkim: od carskich złotych monet po waluty japońskie, stare, carskie papierowe ruble, powojenne marki z czasów hiperinflacji. Ukłonił się, pozdrowił Jakuba w jidysz, położył pięćdziesiąt złotych, pięćdziesiąt złotych trafiło do kieszeni marynarki Jakuba, do notesika zaś odpowiedni wpis.

Przyszedł zawadiacki sprzedawca mandolin, zostawił dwadzieścia. Wpis.

Przyszedł też szewc Borowski. Jakub spojrzał na niego, kiedy wszedł do knajpy, i od razu wiedział, że jest kłopot.

– Panie Szapiro, kochany panie Szapiro… – zaczął nieśmiało Borowski.

Szapiro przewrócił dwie kartki.

– W zeszłym tygodniu też pan nie zapłaciłeś – powiedział.

– Panie Szapiro, bo żona moja chce córkę wydać i trzeba wesele… – prawie rozpłakał się Borowski.

– Myślisz pan, że kto panu więcej krzywdę zrobi, żoneczka czy pan Pantaleon, co?

– Panie Szapiro, pan nie znasz mojej żony… – Borowski nie żartował.

Szapiro mimo wszystko się roześmiał.

Odsunął talerz z flakami, nalał sobie jeszcze wódki, wypił. Podszedł do Borowskiego i strzelił go krótkim, szybkim hakiem w splot słoneczny, jakby wąż kąsał.

Borowski zwalił się na ziemię. Szapiro położył mu nogę z butem na szyi.

– Jutro. Przyniesiesz pan do paszteciarni Sobenskiego zaległe czterdzieści złotych i dwadzieścia kary, łącznie sześćdziesiąt. Zrozumiano?

Borowski tylko jęknął.

– I nie zawiedź mnie pan, panie Borowski. Bo będą pana z glinianek po kawałku wybierać i tylko gajerek będzie pana w trumnie do kupy trzymał.

Jakub spojrzał na zegarek. Nie było jeszcze południa, a już pobił człowieka.

Borowski wymknął się z jadłodajni.

Po nim przyszli jeszcze inni, na końcu zapłacił Choromańczyk, Jakub skończył flaki i poprosił o zapakowanie prowiantu na wynos, co gruby oberżysta zrobił niezwłocznie, dorzucił nawet butelkę przyzwoitego wina, zdecydowanie spoza restauracyjnej oferty.

Tak wyglądało wtedy nowe życie Mojżesza Bernsztajna.

Treningi w sali Gwiazdy. Kercelak. Czasem wizyta u Ryfki.

W domu Emilia. Zabawy z dziećmi Jakuba i Emilii, Danielem i Dawidem.

Na Jom Kipur, ponad dwa miesiące od chwili mojego zamieszkania u Szapirów, umiałem już trochę chodzić jak bokser i miałem swoje rękawice.

Wiadomo też było na mieście, przynajmniej w naszej jego części, że jestem domownikiem Szapiry i szybko zrozumiałem, że idąc ulicą, nie jestem już Mojsze Bernsztajnem, synem Nauma. Jestem Mojżesz, chłopiec, który chodzi z Szapirą. Kilku pobożnych Żydów, których znałem z poprzedniego życia, przestało odpowiadać na moje uprzejme pozdrowienia, owszem. Ale ilu było wcześniej pobożnych Żydów, którzy zauważali moje istnienie? Teraz sklepikarze pierwsi mówili: A gitn tueg, dem bucho, a gitn! Me'ot ach du lang nysz giezeen, nemc zach epes, nemc!

[15] i częstowali słodką bułką albo jabłkiem. Łobuzy, z którymi wcześniej przyszłoby mi się bić albo przed którymi musiałbym uciekać, schodziły mi z drogi.

Byłem chłopak Szapiry. Pierwszy raz w życiu byłem kimś.

A może mnie wcale nie było.

* * *

W wigilię Jom Kipur, zamiast na Kol Nidrej, poszedłem z Magdą do teatru, na *Jadzię wdowę* Ruszkowskiego w scenicznej adaptacji Tuwima. Grali to w Teatrze Polskim. Mieliśmy pójść do teatru w dzień po śmierci mojego ojca, ale nie poszliśmy. Poszliśmy dopiero ponad dwa miesiące później, w wieczór przed Jom Kipur.

Umówiliśmy się na placu pod Powszechnym Zakładem Ubezpieczeń Wzajemnych, na rogu Kopernika i Sewerynowa, tuż obok teatru. Nie mogłem pokazywać się u niej w domu. Chłopak Szapiry, wiadomo. Mieszkała niedaleko, na Smoczej 33, blisko rogu z Gęsią. Nie chciałem też, żeby pokazywała się w mieszkaniu Szapiry.

Stała tam, czekała na mnie. Spojrzałem na zegarek, który miałem po raz pierwszy, założony na lewym nadgarstku: nie spóźniłem się. To ona była za wcześnie. Uśmiechnęła się, widząc ten gest.

Miała na sobie granatową, prostą sukienkę z białym kołnierzem i czarne pantofle na płaskim obcasie. Jasne loki ułożyła starannie.

– Jesteś – powiedziała po prostu.

W ciągu tych dwóch miesięcy widzieliśmy się tylko parę razy, na ulicy. Kłaniałem się jej, pozdrawiałem, odpowiadała na pozdrowienie. Po raz pierwszy i drugi nie zatrzymywałem się, bo szedłem z Szapirą.

– Podoba ci się ta dziewczyna, co? – zapytał za drugim razem, kiedy ją minęliśmy. Był gorący, sierpniowy wieczór. Wracaliśmy z treningu, niosłem na ramieniu płócienną torbę z rękawicami, pantoflami i strojami gimnastycznymi.

– To tylko przyjaciółka – odparłem.

Szapiro zaczął się śmiać i śmiał się już całą drogę do domu. W domu opowiedział o wszystkim Emilii.

Było mi wstyd, szczególnie przed nią.

Emilia się nie śmiała. Zaciągnęła mnie przed duże lustro, stanęła za mną, trzymając mnie za ramiona. Przyglądała się mojemu odbiciu.

– Zmężniałeś. Jesteś jak mój Jakub. Możesz się podobać dziewczętom – wyszeptała mi do ucha.

Zawstydziłem się jeszcze bardziej. Wtedy tego nie rozumiałem, bo nie znałem natury tego uczucia, ani natury i złożoności innych uczuć, nie wiedziałem, co się dzieje w moim sercu i w moim ciele, ale pożądałem żony Jakuba Szapiry tak samo, jak pożądałem Magdy Aszer, a jednocześnie inaczej. Bardziej i nie tak bardzo.

– Jakub, chodźże tu...! – zawołała męża.

Wszedł do pokoju z kawałkiem kiełbasy w jednej ręce i gazetą w drugiej.

– Patrz, jak on wygląda.

Jakub spojrzał na mnie i ja spojrzałem na siebie. Byłem już innym Mojsze. Byłem chłopakiem Szapiry. Chudym, żydowskim chłopcem w za dużych spodniach i marynarce, i starej koszuli w kratkę. Koszule miałem dwie, ubranie jedno. Skronie wygolone, na górze włosy dłuższe, z przedziałkiem.

– Trzeba go jakoś odziać – powiedziała Emilia.

Szapiro spojrzał na moje odbicie w lustrze i skrzywił się, jakby dopiero teraz dojrzał moje złachane ciuchy.

Dwanaście godzin później stałem w przymierzalni zakładu krawieckiego.

– Pan Szapiro! – ucieszył się na nasz widok krawiec.

Poranek był sierpniowy i warszawski. Na Nalewkach pachniał czulent, gdzie indziej pachniały wonne rezedy. Pracownia krawiecka Tadeusza Zaremby mieściła się na Koszykowej 52, w jednej z pięknych kamienic tej szykownej ulicy pachnącej właśnie rezedami. Nie zapuszczałem się tutaj w moim poprzednim życiu, ale poznałem ją już, zajeżdżając z Szapirą i Kumem do Ryfki Kij, zaledwie kilkanaście domów dalej, pod numerem 68.

Za kryształowymi szybami witryn po obu stronach wejścia stały korpusy krawieckie, na których upięto zestawy koszul, marynarek, krawatów

i muszek. Dobrze je pamiętam: po lewej brązowe tweedy w kratkę i jodełki, przygotowane już na jesień, do tego wełniane krawaty, obok parasole, kraciaste cyklistówki i ażurowe rękawiczki do prowadzenia samochodu; po prawej smoking i frak plus lśniący cylinder, laska i białe rękawiczki z jeleniej skóry.

Weszliśmy do środka.

– Pan Szapiro! – ucieszył się na nasz widok krawiec, jak już pisałem, ale nie ucieszył się obecny w zakładzie klient. Był to wysoki, smukły i siwowłosy mężczyzna z angielskim wąsem i w granatowym garniturze, na oko też angielskim. Przeglądał właśnie próbki materiałów koszulowych, odwrócił się odruchowo, kiedy weszliśmy, i przyglądał się nam o dwie sekundy za długo i z wyraźną odrazą.

Owszem, Szapiro był ubrany bardzo przyzwoicie, w dwurzędowy garnitur z szarej flaneli, w oczywisty sposób, chociaż nie ostentacyjnie kosztowny. Jak mi się dziś wydaje, dwukolorowe, czarno-białe golfy granicę ostentacji już przekraczały, podobnie jak złote spinki z czerwonymi rubinami w mankietach, na które akurat miał ochotę.

Wysoki mężczyzna z angielskim wąsem skrzywił się. Czytał Szapirę, jakby czytał książkę, z łatwością właściwą ludziom jego klasy, ludziom jego aryjskiej urody, wzrostu i dumy, o której jeszcze nie wiedziałem, że jej nienawidzę, a jednak już nienawidziłem.

Spotkały się ich spojrzenia, Szapiry i człowieka przeglądającego próbki koszulowych materiałów.

Wysoki, smukły starszy pan z angielskim wąsem wiedział od razu, z kim ma do czynienia. Żydek. Bandzior. Apasz. Gangster. Nie chciał mieć do czynienia z żydowskim urką z Nalewek. Obecność żydowskiego urki z Nalewek w luksusowym zakładzie Zaremby obrażała wrażliwość klasową starszego pana – a jak okazało się później, również etniczną.

Klient spojrzał na Zarembę z wyrzutem. Krawiec stropił się.

– Panie Ziembiński, już do pana wracam, Piotr zajmie się tymczasem panem Szapirą i naszym młodym gościem – powiedział, kiwając na czeladnika.

Pan z angielskim wąsem był wyraźnie oburzony, że został wymieniony w jednym zdaniu z panem Szapirą. Zatrzasnął wzornik z próbkami białej

i niebieskiej bawełny egipskiej, chrząknął, zastrzygł wąsem.

– Żegnam, panie Zaremba – rzekł tak chłodno, jakby właśnie oświadczał, że niniejszym nieodwołalnie zmienia krawca.

Wziął z wieszaka szary homburg i wyszedł, zamykając za sobą drzwi z ostentacyjnie obraźliwą delikatnością.

– Proszę wybaczyć – mruknął Zaremba.

– Panie Ziembiński...? – zapytał Szapiro, wyraźnie zaciekawiony.

– Owszem, pan prokurator Ziembiński – odparł Zaremba.

– Czy on ma coś wspólnego z Andrzejem Ziembińskim, bokserem?

– Tyle, że go spłodził. Więc czym mogę panu służyć, panie Szapiro?

Panu czy pańskim pieniądzom? – pomyślałem, kiedy Zaremba pytał, czym może służyć, bo byłem młody i głupi i nie rozumiałem, że to na jedno wychodzi. Chwilę później stałem już na środku zakładu z rękoma uniesionymi na wysokość ramion, czeladnik zaś brał ze mnie miarę, notując zmierzone krawieckim metrem wartości. Moje chude ciało wymierzone i zapisane w krawieckim formularzu zamówienia.

Zaremba z Szapirą wybierali materiał na garnitur. W końcu Szapiro pokazał mi próbkę ciemnoszarej flaneli w delikatny, prawie niewidoczny prążek.

– Podoba się?

Kiwnąłem głową. W życiu nie widziałem tak pięknego materiału.

– Jeden rząd na trzy, kamizelka, dwie pary spodni, dwie białe koszule, dwie niebieskie, krawaty czarny, szary, granatowy i granatowy w prążek, skarpet cztery pary – zarządził Szapiro.

Sto osiemdziesiąt złotych płatne gotówką. Na żydach można kupić najtańszy garnitur za dwadzieścia pięć; najlepszy u Jabłkowskich za sto. Nigdy nie miałem niczego droższego niż za dziesięć złotych. Szapiro wyłożył całą kwotę od razu, odliczył z grubego pliku banknotów w kieszeni, jakby za bułki płacił.

– Za tydzień młodzieniec łaskawie stawi się na przymiarkę – odparł Zaremba.

Stawiłem się. Wcześniej poszliśmy jeszcze do Kielmana, zamówić buty.

Miesiąc później zamiast na Kol Nidrej do bożnicy poszedłem z Magdą Aszer na *Jadzię wdowę* do Teatru Polskiego.

Po jej pierwszym spojrzeniu od razu wiedziałem, że widzi kogoś innego.

Idąc ulicą, przeglądałem się w witrynach. Byłem kimś innym, pierwszy raz tak ubrany, w garniturze, w lśniących bucikach, w białej koszuli i czarnym krawacie, niczym puryc, nawet z białą chusteczką w kieszonce marynarki.

A zanim wyszedłem, Szapiro przyjrzał mi się uważnie i z zadowoleniem, po czym odpiął z nadgarstka zegarek marki Glashütte.

– Daj rękę – powiedział i zapiął zegarek na mojej lewicy. – To automat, nie musisz go nakręcać. Nakręca się sam od ruchu ręki.

– To może powinien nosić go na prawej – dodała stłumionym głosem Emilia z kuchni. Szapiro wybuchnął śmiechem.

Podglądała mnie, gdy się onanizowałem. Wtedy tego nie wiedziałem. A może mówili o którymś ze swoich synów?

Leżałem na moim łóżku w jednej z trzech sypialni mieszkania Szapirów, zsunąłem kołdrę i myśląc o ciele Emilii Szapiro i o ciele Magdy Aszer, onanizowałem się powoli, uważając, by nie wydać żadnego dźwięku.

I wtedy zobaczyłem ją, w uchylonych drzwiach, ledwie widoczną w wątłym świetle ulicznych latarni. Sięgnąłem raptownie po kołdrę.

– Nie przestawaj – powiedziała tak, że nie mogłem przestać i nie przestałem.

Patrzyła na mnie, a ja czułem się gwałcony i przez to kochany, nie spotkało mnie w dotychczasowym życiu nic bardziej podniecającego. Patrzyła na mnie jak na Jakuba.

Szapiro śmiał się, ale oprócz zegarka Glashütte dał mi dwadzieścia złotych na bilety i kawę po teatrze. Wcześniej nie dawał mi żadnych pieniędzy, a ja nie ośmielałem się prosić. Miałem odłożone swoich pięćdziesiąt, chowałem je jednak na czarną godzinę, na moment, w którym Szapiro wyrzuci mnie z domu, a przekonany byłem, że moment ten nadejdzie niechybnie i że również nie ma dla mnie powrotu do domu rodzinnego, po tym jak porzuciłem moją matkę i brata.

Magda czekała pod Powszechnym Zakładem Ubezpieczeń Wzajemnych, w skromnej sukience z białym kołnierzem i patrzyła na mnie, na mnie

w nowym, pierwszym prawdziwym garniturze, który leżał jak ulał. W moim ciemnoszarym garniturze od Zaremby nie byłem już chudym Żydkiem z Nalewek, byłem szczupłym, eleganckim młodzieńcem o semickiej urodzie.

Jest wielka różnica między Żydkiem z Nalewek a szczupłym, eleganckim młodzieńcem o semickiej urodzie.

Dzień wcześniej przeczytałem w „Kurjerze", że z Mostu Poniatowskiego do Wisły skoczyła średnio ubrana kobieta w zamiarze samobójczym. Do dzisiaj to pamiętam, bo pomyślałem wtedy o moim nowym garniturze. Dziennikarz „Kurjera" odnotował skrupulatnie, iż kobieta była ubrana średnio. Właśnie tak. Średnio.

Mogła być ubrana dobrze, mogła być ubrana biednie, mogła być ubrana średnio. Ani dobrze, ani biednie. Średnio. I to średnio było ważne w kontekście jej samobójczego skoku. Skoczyła do Wisły średnio ubrana. Więc może żona sklepikarza. Albo służąca donaszająca ubrania po dobrej pani. Albo żona skromnego urzędnika. Albo sama skromna urzędniczka. Ale taka właśnie skoczyła do Wisły, średnio ubrana.

Nie skakała do niej nieszczęśliwa, chora, znienawidzona, zrozpaczona, znudzona, apatyczna, nie skakała ze złamanym sercem, z miłości ani nawet dla żartu, ani z powodu zakładu, ani z głupoty, nie potknęła się, strasząc kogoś skokiem, skoczyła do Wisły średnio ubrana.

I średnio ubraną wyłowił z Wisły patrol policji rzecznej, który akurat przebywał w pobliżu łodzią motorową.

Czy patrol średnio ubraną kobietę wyłowił żywą, czy martwą – w „Kurjerze" nie napisali. Na pewno jednak była średnio ubrana.

Magda Aszer, czekająca na mnie na placu przed Powszechnym Zakładem Ubezpieczeń Wzajemnych, była średnio ubrana. Ja byłem ubrany dobrze, tak by o mnie powiedziano.

Z mostu rzucił się do Wisły młodzieniec dobrze ubrany, w typie semickim.

W mieszkaniu przy ulicy Dizengoffa w Tel Awiwie znaleziono ciało emerytowanego tat-alufa Mosze Inbara. Powodem śmierci było prawdopodobnie samobójstwo. Policja w toku śledztwa wykluczyła udział osób trzecich. Zgon musiał nastąpić przed kilkoma tygodniami, policję

zawiadomili sąsiedzi, zaniepokojeni zapachem wydobywającym się z mieszkania. Po hebrajsku brzmiałoby to jakoś inaczej.

– Prezentujesz się… – powiedziała Magda z podziwem. Nie widziała mnie jeszcze w moim nowym ubraniu.

Uśmiechnąłem się do niej, dumny z mojej nowej prezencji.

– Szapiro cię tak wystroił? – dodała z cynizmem, którego wcześniej w jej głosie nie słyszałem, a potem słyszałem go długo, przez całe życie.

Jakby stał nade mną. Zawsze w jego cieniu.

I już nie byłem dobrze ubranym, smukłym młodzieńcem o semickiej urodzie. Znowu byłem chudym Żydkiem z Nalewek, którego wystroił Szapiro. Zmilczałem to i poszliśmy do teatru. Kupiłem bilety, które wcześniej telefonicznie zarezerwowałem na własne nazwisko, wymawiając je z niejakim wstydem. Wydawało mi się zresztą, że kasjerka, słysząc to „Mojżesz Bernsztajn", westchnęła cicho. Ale pewnie tylko mi się wydawało.

Siedliśmy na widowni, w czwartym rzędzie. Pierwszy raz byłem w polskim teatrze, a jeszcze na dodatek był to Teatr Polski. Nie rozmawialiśmy.

Sztuki nie pamiętam, chociaż śmiałem się, kiedy wypadało. Wydaje mi się, że parę rzędów za nami siedzieli Szapiro z Emilią, ale może tylko mi się wydaje?

Rolę główną grała Modzelewska. Patrzyłem na Magdę obok mnie, na skórę na jej przedramionach, słuchałem jej śmiechu i próbowałem poczuć jej zapach, ale nie mogłem, bo siedząca przed nami pani w pięknym kapeluszu, który zasłaniał mi część sceny, pachniała zbyt mocno, chanelem piątką zresztą, acz wtedy oczywiście tego zapachu nie rozpoznawałem, bo skąd miałbym rozpoznawać perfumy, których mała buteleczka kosztowała pięćdziesiąt złotych.

Wydawało mi się, jak już powiedziałem, że kilka rzędów za nami siedzą Szapiro z Emilią, że na nas patrzą, widziałem ich parę razy kątem oka, słyszałem ich głosy w antrakcie.

Magda też skropiła się perfumami, tanimi, z Warszawskiego Laboratorium Chemicznego – ich zapach poczułem dopiero później, kiedy poszliśmy na spacer do Ogrodu Saskiego, pod fontannę. Siedliśmy na

ławce. Ciągle nie rozmawialiśmy. Było już ciemno i siedzieliśmy blisko siebie, i wtedy poczułem delikatny zapach jej perfum.

– Podobała ci się sztuka? – zapytałem głupio, a Magda mnie pocałowała.

Pierwszy raz. Byłem zbyt zaskoczony, żeby zareagować tak, jak powinien w moim mniemaniu zareagować mężczyzna. Zwłaszcza że to ona pocałowała mnie.

Mój ojciec uznałby, że mężczyzna w żadnym wypadku nie mógłby znaleźć się sam na sam z dziewczyną na ławce w ciemnym parku. To wielki grzech.

Szapiro od pocałunków przeszedłby dalej, do czynów, które następować powinny po pocałunkach.

Widziałem, jak bierze swoją żonę. Szedłem w nocy do ustępu, a oni zostawili uchylone drzwi i w półmroku widziałem jego potężne plecy i pośladki, i słyszałem, jak jego biodra uderzają o wypięty tyłek klęczącej przed nim na czworakach Emilii. Jęczała, szeptała coś, on robił swoje w milczeniu.

Byłem podniecony tym widokiem i stałem tam jak zahipnotyzowany.

Emilia spojrzała wtedy przez ramię.

– Chcesz się przyłączyć? – zapytała.

Uciekłem. Goniły mnie ich śmiech i jęki. Może zresztą wcale o to nie zapytała.

Rano, przy śniadaniu, uśmiechali się porozumiewawczo, oboje, ale ani jednym słowem nie nawiązali do tego, co stało się w nocy.

Bałem się i uciekłem, ale tak naprawdę chciałem się przyłączyć. A może tylko mi się to śniło, może wcale nie widziałem, jak Szapiro bierze swoją żonę, a Emilia nigdy nie zaprosiłaby mnie do ich małżeńskiego łoża?

Magda mnie pocałowała, a ja nawet nie położyłem dłoni na jej piersiach.

Uśmiechnęła się.

– Chłopak Szapiry, tak o tobie mówią, wiesz? – zapytała.

Nie odpowiedziałem.

– Chłopak Szapiry, a taki nieśmiały. Urocze.

Na Nalewki wróciliśmy spacerem przez opustoszałe już plac Bankowy, Tłomackie, Przejazd. Minęliśmy Pasaż Simonsa. Nie trzymaliśmy się za

ręce. Nie chciała, abym ją odprowadzał pod sam dom, a ja nie umiałem nalegać.

Stanęliśmy na rogu Nalewek i Świętojerskiej, przy składzie artykułów dziecięcych Cytryna. Wczesny wieczór był jeszcze ciepły, letni, więc tak sobie staliśmy. W milczeniu. Nie chcieliśmy iść dalej. Dalej była Gęsia, Magda skręci w Gęsią i pójdzie do siebie, a ja pójdę dalej na Nalewki 40, do Szapirów.

Dalej była również kamienica, w której nie było już mojej matki i mojego brata.

– Chcesz papierosa? – zapytała Magda.

– Ty palisz...? – odpowiedziałem, znowu idiotycznie.

– No, czasem. Jak nie trenuję.

– Nie trenujesz?

– Już za zimno – wyjaśniła mi, idiocie.

W torebce miała paczkę. Poczęstowała. Nie miałem ognia, idiota, więc mi przypaliła.

– Dzisiaj Jom Kipur – powiedziałem, żeby powiedzieć cokolwiek.

Całe życie bałem się milczenia.

– Idziesz jutro na manifestację? – zapytała.

Wzruszyłem ramionami. Oczywiście, że idę na manifestację. Jestem chłopak Szapiry. Wszystkie chłopaki Szapiry idą na manifestację.

Uśmiechnęła się. Pocałowała mnie w policzek, odwróciła się i uciekła, a ja wróciłem do Szapirów.

Siedzieli w salonie, czytali oboje, chłopcy już spali. Emilia i Jakub wyglądali, jakby nigdzie nie wychodzili. Jakub w aksamitnej, wiązanej bonżurce o pikowanych klapach, jakiej poza nim bez wątpienia nie nosił nikt na Nalewkach, Emilia w jedwabnej, eleganckiej podomce we wzór paisley.

– Nalej sobie koniaku i usiądź z nami, poczytaj – polecił Szapiro.

Nalałem i usiadłem. Sięgnąłem po jakąś książkę z półki. Była w jidysz. Upiłem łyk koniaku. Nie smakował mi.

Wtedy zadzwonił telefon.

– Odbierz – polecił Jakub.

Odebrałem, oświadczając, że to mieszkanie państwa Szapirów.

– Z Jakubem trzeba rozmawiać mi – powiedział Doktor.

Podałem słuchawkę Szapirze, pozwolił mi zostać przy telefonie i słuchać rozmowy.

– Czas nadszedł – oświadczył Radziwiłek oficjalnym tonem, jakby obwieszczał nadejście Mesjasza. – Trzeba się wreszcie zająć tym emerytowanym porucznikiem, co chciałby Żydów do lagrów zamykać.

Szapiro natychmiast przypomniał sobie sprawę sprzed dwóch miesięcy. Redaktor Sokoliński jako odpowiedzialnego za ankietę wskazał Bobińskiego z „ABC". Szapiro westchnął cicho.

– Nie wzdychać mi tu. Załatwi to?

– Załatwi, załatwi... – odparł Jakub.

Radziwiłek odłożył słuchawkę bez pożegnania. Jakub sięgnął do książki telefonicznej, odnalazł numer do kawiarni SiM. Zadzwonił, zapytał, czy jest może na sali pan Bobiński. Był.

– Muszę jechać – powiedział Jakub do Emilii. – Młody jedzie ze mną.

Emilia wzruszyła ramionami, nie odrywając wzroku od książki. Za długo go znała, by robić mu awantury.

Ja byłem już ubrany, musiałem więc chwilę zaczekać, aż przebierze się Jakub, następnie wsiedliśmy do buicka i z fasonem zajechaliśmy na Królewską 11 pod SiM, czyli Sztukę i Modę.

Szapiro założył granatowy, dwurzędowy garnitur, białą koszulę i bordowy krawat, aksamitne, domowe pantofle zamienił na czarne wiedenki i kiedy wszedł do pełnej kawiarni, kilkanaście damskich spojrzeń otaksowało go natychmiast od stóp do głów.

Mnie w jego cieniu nie było widać zupełnie, to zrozumiałe – Szapirze taksujące spojrzenia wystawiły najwyższe noty. Za garnitur, owszem, ale przede wszystkim za to, czym go wypełniał, za to wielkie, bokserskie ciało, teraz pełniejsze w pasie, i za pewność siebie, i spokój, które z kolei wypełniały to potężne cielsko właśnie.

Jasne wnętrze SiM-u zastawione było małymi, kwadratowymi stoliczkami, przy nich stały proste krzesła zaopatrzone w poręcze. Na ścianach wisiały obrazy, jacyś osiemnastowieczni polscy szlachcice

z wąsiskami i w kontuszach, niektórzy w perukach i bez wąsów. Przy stoliczkach siedziało towarzystwo damsko-męskie, artystyczno-dziennikarskie, odstawione wieczorowo i na bardzo wysokim poziomie.

Wiedziałem, że bardzo tu nie pasujemy, my, dwaj żydowscy proletariusze, i czułem się tam bardzo nie na miejscu; to nie był Metropol ani nasz burdel Ryfkowy, to było ich miejsce.

Szapiro jednak wszedł tu jak do siebie, chociaż nigdy wcześniej w SiM-ie nie był. Jego pewność siebie i spokój miały mocne fundamenty – w wewnętrznej kieszeni marynarki, w grubym, ściągniętym recepturką zwitku miał pięć tysięcy złotych, w drugim pięćset dolarów. W prawej kieszeni płaszcza tkwił pistolet. W lewej kieszeni spodni miał dwieście złotych w drobnych nominałach, w prawej kastet, w mięśniach moc, by go użyć, w sercu gotowość do przemocy. To go fundowało, to stanowiło o jego potędze i znaczeniu: siła, pieniądze i odwaga, gotowość, by w każdej chwili złamać prawo, pójść do więzienia, jeśli trzeba.

I tylko gdzieś głęboko w środku Jakuba Szapiry drzemało coś czarnego. Wtedy tego nie wiedziałem, teraz, pięćdziesiąt lat później, w innym świecie, to wiem.

Jakub Szapiro był najsilniejszym mężczyzną, jakiego znałem w życiu, a znałem wielu silnych mężczyzn. Znałem Dajana. Znałem ludzi z jednostki 101, na przykład Ariela Szarona. Nie zaprosili mnie wtedy, nie służyłem w 101, bo tam brali tylko kibucników – tak im się wtedy wydawało, że tylko ktoś urodzony w kibucu albo moszawie nadaje się do obrony Izraela; bolało mnie to, że uznali, że ja się nie nadaję, ale znałem ich wszystkich, tych ogorzałych od słońca, szczupłych mężczyzn z podwiniętymi do łokci rękawami mundurowych bluz, skorych tak samo do strzelania, jak i do śmiechu.

Znałem ich wszystkich, a jednak nigdy, przez całe moje życie nie poznałem nikogo takiego jak Szapiro, tak wewnętrznie silnego, zdecydowanego, zdeterminowanego we wszystkim, co akurat robił.

Widziałem w telewizji radziecki lodołamacz o napędzie jądrowym „Arktika", który w siedemdziesiątym siódmym dotarł na biegun północny, krusząc po drodze lód grubości czterech metrów. Miał podwójny, pancerny kadłub, reaktory jako napęd i mógł przeć przez lód, który zatrzymałby każdy inny statek świata. Szapiro był kimś właśnie takim.

Albo inaczej: był jak kaszalot, największy aktywnie polujący drapieżnik, pozornie ociężały, leniwy, ale gdy trzeba – szybki i zabójczy.

A jednak w środku, gdzieś pod splotem słonecznym, drzemała w Szapirze mała, twarda, czarna kulka, ziarno, jądro krystalizacji, wokół którego od lat nawarstwiało się wszystko to, czego na zewnątrz Szapiry nie widać.

Upiorne dzieciństwo, najnędzniejsza z nędznych, bo żydowska nędza pod panowaniem cara. Ojcowski pas. Uliczne bójki. Strach.

Potem jeden, decydujący moment, w którym ojciec podniósł nań rękę z rózgą, a Jakub tę rękę powstrzymał, chwycił w nadgarstku, ścisnął i zrozumiał, że ojciec już go nigdy nie uderzy, bo on, Jakub, jest od ojca silniejszy. Wyrwał mu wtedy rózgę z ręki, przewrócił na ziemię i nie przejmując się wrzaskami matki, siekł go tą rózgą, aż się złamała, a potem zabrał mu z portfela garść papierowych rubli, wyszedł z mieszkania i już nigdy tam nie wrócił. Zaraz potem wybuchła pierwsza wojna światowa.

Samodzielne dorastanie nastolatka w okupowanej przez Niemców Warszawie pod panowaniem cesarza i Hansa Beselera. Głód i zimno. Potem to wszystko, co działo się z nim w okopach, kiedy walczył z bolszewikami. Znowu strach, znowu głód, znowu zimno, samotność, opuszczenie.

A potem twarze tych wszystkich, których zabił, żeby pokonać strach, głód, zimno, samotność. Znam te twarze, jakbym je widział jego oczami. Opowiedział mi o nich.

Twarz Nauma Bernsztajna, któremu podrzyna gardło. Ja, Mojsze Bernsztajn, syn tego, którego musi zamordować, wczepiony w jego rękaw.

Z tej małej, twardej, czarnej kulki czasem wybucha straszny gniew Szapiry. Czasem zaś inne rzeczy.

Ale wtedy, w SiM-ie, nawet on sam o niej, ukrytej głęboko, zapomniał. Był taki, jakim widziały go klientki kawiarni – potężny, silny, o bokserskiej urodzie i sex appealu właściwym mężczyznom nie stroniącym od przemocy. Takim go widziały, gdy spoglądały nań ukradkiem, zbyt dobrze wychowane, aby wstać od stolików, przy których rozmową zabawiali je wątli intelektualiści, wypomadowani aktorzy czy biedujący poeci; wstać, podejść do niego i podać mu bilecik z numerem telefonu.

Albo z adresem, datą i godziną.

Tak, były na to zbyt dobrze wychowane, a może i zbyt mądre. A jednak jakoś te bileciki do niego trafiały, wsuwane pod drzwi szatni po walkach, przynoszone przez umyślnych do paszteciarni Sobenskiego, czy podrzucane przez sowicie opłaconych, dyskretnych kelnerów. Po śmierci kardynała Richelieu, jak gdzieś czytałem, znaleziono przy jego łóżku skrzynię pełną nierozpieczętowanych listów od kobiet, błagających o jedną godzinę jego nocy. Szapiro nie miał takiej skrzyni na bileciki od kobiet, ponieważ zwykle po prostu te bileciki miął i wyrzucał. Od dam z wyższych sfer o wiele bardziej wolał uczciwe kurwy, które bilecikami się nie posługiwały.

Tymczasem rozejrzał się za mężczyzną pasującym do opisu, jaki przedstawił mu redaktor Sokoliński jeszcze w lipcu, identyfikując redaktora odpowiedzialnego za ankietę o usunięciu Żydów z wojska.

Zauważył go niemalże od razu.

Kazimierz Bobiński był przeciętnego wzrostu, bardzo smukły, miał trzyczęściowy, szary, angielski garnitur w delikatny prążek, skarpetki karminowe, koszulę białą i nieskazitelną, chabrowy krawat, spinki w mankietach bardzo drogie, buty wypolerowane, włosy zaczesane na brylantynie, paznokcie wypielęgnowane, cienki wąsik przystrzyżony milimetr nad linią oddzielającą karmin wargowy od skóry i trzy milimetry poniżej linii nosa. Jakuba Szapirę dostrzegł sekundę po tym, jak ten do SiM-u wszedł, w kolejnej zaś się w nim zakochał. Mnie nie zauważył wcale. Kryłem się w cieniu Jakubowym, Jakubowa charyzma czyniła mnie niewidzialnym.

Spodziewał się tej wizyty. Sokoliński go nie ostrzegł, zbyt się bał, ale opowiedział o tym paru kolegom i po dziennikarskim światku rozniosła się wieść, że niejaki Szapiro poszukuje Kazimierza Bobińskiego. Bobiński zaś, w przeciwieństwie do Witolda Sokolińskiego z „Kurjera", nie bał się ani trochę, Bobiński się na to spotkanie cieszył.

Siedział teraz przy stoliku z doktorem Wojciechem Zaleskim, naczelnym „ABC" i głównym teoretykiem oenerowskiej ekonomii, poszukującym trzeciej drogi między kapitalizmem a komunizmem i snującym marzenia o wielkiej, katolickiej Polsce bez proletariatu i bez Żydów, socjalistów i degeneratów.

Zaleski perorował o konieczności wykluczenia Żydów z życia gospodarczego i publicznego i zmuszeniu ich do emigracji za pomocą wszelkich koniecznych sankcji i szykan.

Mówił o tym, jakby czytał artykuł w swojej gazecie lub jakby ćwiczył wiecowe przemówienie, niespecjalnie zwracając uwagę na swojego rozmówcę. Bobiński zresztą już go nie słuchał.

– Wojtusiu drogi, są teraz trochę ważniejsze sprawy niż wykluczenie Żydów z życia gospodarczego i społecznego – przerwał mu wreszcie. – Poza tym nudzisz strasznie.

– Niby jakie…? – zaperzył się Zaleski.

– Korolec.

Korolca, ważnego działacza ONR-„ABC”, pobili cztery dni wcześniej sprawcy nieznani, acz o afiliacji znanej i jasnej dla każdego, kogo pobicie Korolca mogło interesować.

– Pozwolimy bepistom robić, co im się podoba? Tadzio Gluziński dopiero co wyszedł ze szpitala. Pięć żeber złamanych, trzy zęby wybite, pęknięta czaszka!

– Racja, racja… – Zaleski wyraźnie się zasmucił, po czym wrócił do swojego wiecowego tonu, deklamując: – Bratobójcze walki są najgorsze. Powinniśmy bić Żyda, pepeesowców i bolszewików, a tłuczemy się z Bolem i jego ludźmi, którzy przecież…

– Kwasieborski i Wasiutyński – odparł lakonicznie Bobiński.

Były to nazwiska dwóch kluczowych działaczy ONR-Falangi.

Zaleski zastanowił się chwilę.

– Na pewno…?

– Tak. Tak na miesiąc w szpitalu. Ale żeby nie bardziej. A ty, Wojtusiu drogi, a może ty idź już sobie, co? Bo ja mam tu ważną sprawę – odparł władczym tonem.

Zaleski spojrzał nań, zaskoczony, na co Bobiński ruchem głowy wskazał mu Szapirę. Zaleski żachnął się i oburzony wstał i wyszedł, nie płacąc rachunku.

Szapiro usiadł na jego miejscu. Podniósł rękę, zamówił kawę, którą kelnerka szybko przyniosła. Bobiński zamówił szampana.

– A pan się napijesz…? – wskazał gestem kieliszek.

Szapiro odmówił alkoholu. Ja stanąłem z boku, oparłem się o ścianę, wsadziłem ręce do kieszeni gestem podpatrzonym u warszawskich apaszy i tak zostałem.

Jakub zerknął na mnie tylko raz, uśmiechnął się pod nosem, pokręcił głową.

Milczeli.

– Pan jesteś niezwykle piękny – przerwał ciszę Bobiński.

– Słucham…? – zdziwił się Szapiro.

– Niezwykle piękny. Masz pan w sobie coś z antycznego posągu, te pańskie ramiona, barki, panie Szapiro, twarz przecież wcale niekoniecznie semicka, grecka równie dobrze mogłaby być, czyż nie?

– Hm, no nie wiem… – odrzekł Szapiro.

– Zapewniam pana. Gdy na pana patrzę, mięknie moje twarde wcześniej przekonanie, iż Żydów należy zmusić do emigracji na Madagaskar. Natomiast twardnieje mi coś innego.

Szapiro parsknął kawą.

– No już, już, nie bądź pan taki święty, panie Jakubie. Przecież żadna z pana dziewica, znasz pan życie lepiej niż ja. No, ale powiedz pan, co pana do mnie sprowadza?

– Ta ankieta o wyrzuceniu Żydów z wojska… – odparł Jakub, zmuszając się do powagi.

– Ach tak. Nie chciałbym pana urazić, ale kłamał też nie będę, no cóż, takie są moje poglądy. Żydzi się do wojaczki nie nadają. I w ogóle uważam, że powinniście wyemigrować.

– Moja żona też tak uważa, redaktorze Bobiński.

– Syjonizm jest mi, jako nacjonaliście, bliski. Albo madagaskaryzm. Z tym że pana akurat to ja bym wolał zatrzymać, panie Szapiro… – rozmarzył się redaktor.

– Ja się nigdzie nie wybieram – Szapiro postanowił podjąć grę. – To jest moje miasto.

Bobiński zatrzepotał długimi rzęsami.

– I ja mógłbym być pański, jako mieszkaniec tego miasta – zaproponował.

Szapiro machnął ręką, zniecierpliwiony.

– No dobrze, ja tu z panem flirtuję, a pan przecież czegoś konkretnie musisz chcieć ode mnie. Z wielką przykrością stwierdzam, że zapewne to nie afekt tu pana do mnie sprowadza.

Właśnie w tej chwili Szapiro zauważył, że Bobiński w ogóle się go nie boi. Był zaskoczony odwagą kryjącą się w tym wymuskanym ciele, a jednak była to odwaga niewątpliwa.

– Chcę nazwisko i adres emerytowanego oficera, który w numerze z siódmego lipca odpowiedział na waszą ankietę – powiedział Jakub po chwili zastanowienia, w której milczał, a Bobiński, uśmiechając się, popijał szampana.

– Nagle pana Szapiro interesuje jakiś artykuł z lipca. Teraz. Dziwne.

– Dziwne czy nie, chcę to nazwisko. I adres.

– Ale zapewne pan rozumiesz, że ja panu pod żadnym pozorem nie mogę tego zdradzić?

Szapiro skinął głową. Rozumiał.

– I zapewne zechcesz mi pan zagrozić przemocą, jeśli panu nie powiem, nieprawdaż?

Jakub rozłożył bezradnie ręce, pokazując, że jeśli zostanie do tej ostateczności zmuszony, to owszem.

– Och, to takie podniecające! Pan jesteś taki męski! Tutaj, dookoła – Bobiński zatoczył ręką krąg, jakby opasując nim wszystkich bywalców kawiarni – same minogi. Krągłouste. Bez kręgosłupa. Wymoczki. Obleńce. Pizdy damskie. A pan, panie Szapiro, ech, aż mi dech odbiera.

Jakub uśmiechnął się, autentycznie zakłopotany.

– No, ale co do przemocy, panie Szapiro, to prawicę zaciskam właśnie w kieszeni na rękojeści małego browninga szóstki, z którym się nie rozstaję. Wolałbym zacisnąć dłoń na czymś innym, cieplejszym niż zimna stal, czymś, co tylko mogę sobie wyobrażać, no ale sam pan rozumiesz, że sytuacja zmusza. Szóstka to żaden kaliber, ale z tej odległości, pod stołem,

w brzuch, w krocze, z ciężkim sercem, ale, no co będę panu mówił, sam pan wiesz.

– Wiem – odparł Szapiro, bo wiedział.

– A gdybyś mnie pan chciał potem napaść, to ja się bez ochrony z bojówki już od dzisiaj nie ruszę, mimo że to są wyjątkowo nudne, polskie, ideowe i kartoflane, brzydkie chłopaczyska. Zasadnicze takie. Okropność. Pan masz swoich ludzi, oczywiście, może być strzelanina, ale czy jakiś tam porucznik rezerwy jest tego warty? Nie sądzę.

– Nie jest – zgodził się Szapiro, bo też nie był.

– Więc mam inną propozycję – Bobiński ściszył głos. – Chodź pan do mnie. Daj mi się panem zająć, rozebrać, kąpiel zrobię. Wycałuję pana tak, jak żadna baba pana nie wycałowała, i nic się pan nie martw, dziewictwa pańskiego skalać nawet bym się nie ośmielił próbować. Gdybyś pan jednakże mnie chciał, to owszem, czemu nie. I ja panu potem powiem nazwisko tego nieszczęśnika i adres też, tylko będę musiał sprawdzić w redakcji.

– Czy ja panu wyglądam na kurwę? – zagadnął Jakub, bardzo cicho, ale słyszałem wyraźnie, że mała czarna kulka w jego piersiach zaczyna pulsować i gotowa w każdej sekundzie eksplodować strasznym gniewem Jakubowym.

– Ależ skąd. Za to ze mnie jest kurwisko straszne, panie Jakubie – odparł Bobiński, rozbrajając Jakuba szczerością. – I strasznie się w panu zakochałem, od pierwszego wejrzenia.

– No to będziesz pan cierpiał z tej miłości, bo ja jednak wyłącznie dziewczęta.

Bobiński pokiwał głową, zamilkł. Siedzieli tak w milczeniu kilka minut, każdy czekał. Bobiński zamówił jeszcze szampana. Jakub rozważał różne opcje. Z jakiegoś powodu wiedział, że nie może po prostu wziąć Bobińskiego za kołnierz i wyprowadzić z kawiarni, bo ten nie zawaha się strzelić. Miał do czynienia z odważnym człowiekiem, na pewno.

– Zostawmy amory. Porozmawiajmy jak mężczyźni. O polityce. Wiesz pan, że się duże zmiany szykują?

– A jakież to? – zainteresował się uprzejmie Jakub.

– A na tak zwanych szczytach władzy. Zdaje się, że marszałek za pośrednictwem niejakiego Koca dogaduje się z radykalną częścią ruchu narodowego, reprezentowaną przez niejakiego Bola. Bola Piaseckiego.

– Słyszałem o Bolesławie Piaseckim. Taki polski hitlerek, tylko głupszy – odparł Szapiro.

– On wcale nie jest głupi, ten Piasecki. I ma wielkie ambicje i jeszcze więcej bezwzględności. Kto wie, możesz pan mieć rację, gdyby pojawiły się odpowiednie warunki, to mógłby zostać kimś takim jak Hitler.

– Pan chyba zapominasz z kim ta mowa.

Bobiński tylko się uśmiechnął.

– Wiem, że dobrze się pan poznałeś z niejakim Andrzejem Ziembińskim, prawda?

Jakub potwierdził skinieniem głowy, a ja zaraz sobie przypomniałem, jak brązowa rękawica skrywająca dłoń z wytatuowanym mieczem i hebrajskim słowem „śmierć" uderzyła Ziembińskiego hakiem w podbródek, jak ten zwiotczały opadł na deski ringu, jak drgały mu kończyny, gdy leżał.

– No, to Piasecki jest jego szefem – ciągnął Bobiński. – Ziembiński to jego prawa ręka. Oprócz boksowania, z którego pan go znasz, studiuje również prawo i ma ojca prokuratora.

– Poznaliśmy się.

– Z ojcem? Na pewno pana pokochał. Ten to dopiero Żydów nie lubi, panie piękny...! W każdym razie Ziembiński ma swoje ambicje, ale też nie jest jak te inne studenciaki z dobrych domów, Ziembiński lubi ulicę, kastet, lubi, jak mu krew szybciej płynie. Piasecki na ulicę nie wychodzi, to jest mózg, nie ramię. I bardzo się pilnuje, bez rewolweru się nie rusza nigdzie. Pan się lepiej tym zainteresuj, panie Jakubie, bo mnie się zdaje, że to może pana żywotnie dotyczyć. Nas zresztą też się pilnuje, jako że aktualnie z Bolem jesteśmy na wojennej ścieżce. Ale my w każdej chwili możemy się do niego przyłączyć, chociaż na razie się przed tym wzdragamy. Wy natomiast macie gorzej, rozumiesz pan? Was ogólnonarodowa jedność i porozumienie raczej nie obejmą, rozumiesz pan? Skończy się rządowe poparcie dla takich jak Kaplica. Jak marszałek się dogada i zrobi, co podobno zrobić może, to nikogo w ministerstwie nie będzie obchodziło, że

Kaplica jest starym bekiem. I wszyscy polecicie. W dół. A bepiści, z tymi ich sraczkowatymi bluzami i czarnymi bryczesami, też polecą. W górę. Rozumiesz pan, panie Szapiro?

– A pan jak się w tym lokujesz? – zapytał Jakub. – Jaki jest pański stosunek do tego Piaseckiego?

– Och, to piękny chłopiec, bardzo piękny – rozmarzył się Bobiński.

– Nie o to pytam. – Jakub roześmiał się szczerze.

– Wiem. Muszę jednak zastrzec wcześniej, że do pańskiego męskiego, zwierzęcego charmu to się ten wychuchany chłopaczek nie umywa. Ja się w tym lokuję tak, że my w „ABC" uznajemy falangistów Bola za sprzedajnych wichrzycieli, którzy wszystko zrobią, żeby się skumać z trzymającymi władzę, panie Szapiro. Ale czekaj pan… Chodziło panu o odpowiedź na ankietę, którą opublikowaliśmy siódmego lipca…?

– Tak.

– Tam gdzie emerytowany oficer proponował, żeby Żydów z armii zamknąć w obozach, że wystarczą deski i drut kolczasty?

Szapiro skinął głową.

– W takim razie powiem panu – odezwał się nagle redaktor.

– Za co?

– Za nic. Z sympatii. Z zachwytu może. Bo nic mnie ten emeryt nie obchodzi, a pan jesteś piękny. Nazywa się Jerzy Zieliński. Nawet adres pamiętam, bo prosty. Kobielska osiem, mieszkanie też osiem. Na Grochowie. Może dlatego panu powiedziałem, że zdaje mi się, że ten cały Zieliński właśnie z Bolem trzyma. Właśnie dlatego.

Szapiro zanotował adres w cienkim, małym zeszyciku, który nosił zawsze ze sobą, po czym wstał.

– To czemu go pan publikowałeś u siebie? – zapytał.

– Bo dobrze pisze – wyszczerzył się w uśmiechu Bobiński. – Nie myśl pan o mnie źle, panie Jakubie.

– Panie Bobiński… – zaczął Jakub i urwał, jakby szukał słów.

– Tak…?

– Jutro jest manifestacja, Wolską na plac Bankowy, wiesz pan?

– Wiem.

– Nie idź pan na kontrmanifestację. Taka przyjacielska rada. Będą kefiry. Po co miałoby się panu coś stać.

– Skoro pan tak mówisz, to i nie pójdę.

– Z pana jest porządny człowiek, panie Bobiński… Jak na faszystę.

– I wzajemnie, panie Szapiro.

Ukłonili się sobie. Jakub zapłacił za kawę i wyszliśmy. Załatwione.

Następnego dnia na manifestację przyjechaliśmy jako ostatni, w kolumnie trzech samochodów: pierwszy chrysler Kaplicy, dalej buick Szapiry ze mną w środku, na końcu Radziwiłek w swoim tylnosilnikowym, małym mercedesie 170H, prowadzonym przez Tiutczewa. Pogoda była piękna, idealna, by manifestować, ciepło, czyste niebo, ale nie upał.

Pod siedzibą Związku Zawodowego Metalowców na Wolskiej 44 zebrał się tłum.

– No, z dziesięć tysięcy ludzi jest – zamruczał Pantaleon, gapiąc się przez okno.

Szapiro pokiwał głową.

Potem wiele razy widziałem, jak potrafią oszacować liczebność wielkiego zgromadzenia ludzkiego. Doświadczenie. Też się nauczyłem. Przydawało się wiele razy. Kiedy stałem w kolejce po dzienną rację brudnej wody pitnej podczas oblężenia Jerozolimy w 1948 roku i ze mną stało pięć tysięcy ludzi z wiadrami i puszkami, czekając na tę wodę.

Zawsze nienawidziłem tłumów. Bałem się tłumów. Wielu ludzi w jednym miejscu, plecy przy brzuchach, ramiona przy ramionach, usta przy ustach, oddechy na karku, chciwe, zręczne dłonie doliniarzy. Na Kercelaku czy w Pasażu Simonsa, przepychający się przechodnie i potem wszystkie tłumy wszystkich lat mojego życia.

– Nienawidzę tłumów – mruknął Szapiro i poczułem, że jest mi bardzo bliski, bardzo dla mnie ważny.

Zgromadzeni pod siedzibą związków stali karnie, spokojnie, w milczeniu. Nad tłumem wznosiły się transparenty.

„PPS WOLA”

„PRECZ Z WYZYSKIEM”

„ROBOTNICZA KREW”

„PRECZ Z ANTYSEMITYZMEM”

„ROBOTNICY WSZYSTKICH KRAJÓW ŁĄCZCIE SIĘ”

Siedziałem na tylnym siedzeniu buicka, za Pantaleonem. Przyglądałem się uparcie jego potylicy, pamiętałem przecież, co kryją jego gęste, czarne włosy.

Diabeł brat Pantaleona spał. Myślałem o tym, czy mógłbym go zbudzić. Czy by mnie przebudzony ujrzał. I co mógłby o mnie pomyśleć. I czy powiedziałby o tym, co myśli, Pantaleonowi.

Czy Pantaleon był jego właścicielem? Czy to diabeł brat był właścicielem Pantaleona?

Co szeptał mu na mój temat nocami?

Buick, chrysler i mercedes zaparkowały niczym rządowa kolumna. Szapiro wyjął ze schowka pistolet, jakiego wcześniej u niego nie widziałem: duży, trzynastostrzałowy browning high power. Dziewiątka, na tę samą amunicję co parabellum.

Dobry pistolet. Kaddafi nosi pozłacanego high power, Husajn też, Ali Ağca strzelał do papieża z high power. A ja zawsze wolałem amerykańskie czterdziestki piątki. Czterdziestka piątka robi lepsze dziury w ludziach. I jest amerykańska, a nie europejska, jak wszystkie dziewiątki. A ja nie lubię Europy.

Wolę Amerykę, dużo bardziej wolę Amerykę.

Europę przestałem lubić, zanim tak na dobre nauczyłem się o niej myśleć, że jest, a już na pewno na długo przed tym, zanim o sobie kiedykolwiek pomyślałem, że mógłbym być Europejczykiem.

Jakim Europejczykiem?

Jestem tat-aluf Mosze Inbar, od czterdziestu z górą lat walczę z Arabami na Bliskim Wschodzie, gnałem jeepem po pustyni, uciekając przed ruskimi czołgami z syryjskimi, jordańskimi, egipskimi załogami, paliłem te czołgi. Od manifestacji na Wolskiej nie minęło dziesięć lat, a ja mówiłem już po arabsku tak, że przed Egipcjaninem mogłem udawać Syryjczyka, a przed Syryjczykiem Egipcjanina; jaki ze mnie Europejczyk? Jaki ze mnie kiedykolwiek był Europejczyk?

Jestem tat-aluf Mosze Inbar.

Niestety, emerytowany, a Magda Aszer mieszka z jakimś gachem i nie chce, bym mówił do niej „Magda".

Wracam więc do czasów, w których byłem Mojżeszem Bernsztajnem, lat siedemnaście, chudym chłopakiem, który nawet nie wpadłby na to, by myśleć o sobie, że jest Europejczykiem, zwłaszcza w kontekście amunicji, do jakiej przystosowany był pistolet browning high power.

Szapiro przeładował i zabezpieczył z odwiedzionym kurkiem.

– U ciebie maszyna jest? – zapytał Pantaleona.

Ten kiwnął głową, pokazał rękojeść nagana.

Ja, siedemnastoletni Żydek, kiedyś z Nalewek, a teraz znikąd, siedziałem na tylnym siedzeniu i drżałem na widok ich broni. Ze strachu i z podniecenia.

Szapiro zdjął kapelusz, sięgnął ponownie do schowka, wyciągnął robociarską cyklistówkę.

– Idziemy.

Wysiedliśmy. Szapiro i Pantaleon rozglądnęli się dookoła, po ulicy, po dachach. Szapiro zdjął marynarkę, podwinął rękawy koszuli, po czym prawą dłoń zaciśniętą na rękojeści browninga ukrył w prawej kieszeni spodni, niby swobodnie, a jednak napiętą.

Pantaleon sięgnął do kieszeni, podał mi krótką pałkę: ciężki rulon z grubej skóry, wypełniony ołowianym śrutem. Pomyślałem, że wygląda jak penis jakiegoś ciężkiego bydlęcia, którego siła teraz na mnie spływa.

Fascynowała mnie moc wielkich zwierząt. Nigdy nie byłem w zoo, ale wystarczył mi widok wielkiego, pociągowego perszerona o włochatych kopytach, z potężnymi mięśniami grającymi pod grubą skórą. Patrzyłem zawsze niby urzeczony, jak ciągną wypełnione węglem wozy, na letnisku w Świdrze widziałem zaś na pastwisku czarnego byka o gładkiej, lśniącej sierści i wyobrażałem sobie, jak walczy z niedźwiedziem, i zwycięża, nie mogła przegrać z niedźwiedziem ta masa skręconych, gruzłowatych mięśni.

To teraz moja moc, ja, chudy Żydek Mojsze Bernsztajn trzymam w ręku rdzeń samczej, zwierzęcej siły, penis bestii.

– W kieszeń spodni schowaj – polecił chrapliwym głosem Pantaleon.

Schowałem. Blisko mojego, o ileż wątlejszego penisa.

Szapiro podniósł rękę i strzelił palcami, od tłumu manifestantów oddzieliło się kilkunastu chłopa, robociarskie typy. Prawe ręce trzymali w kieszeniach marynarek lub spodni. Nauczyłem się już, że to oznacza, iż te ukryte dłonie zaciśnięte są na kolbach pistoletów.

Stanęli przy samochodach.

Szapiro skinął głową, dając znak, że wszystko w porządku, i dopiero wtedy Kaplica i Radziwiłek wysiedli, pierwszy ociężale, drugi sprężyście. Kaplica miał na sobie jedno z jego wielu niemodnych i drogich ubrań, Radziwiłek i Tiutczew mundury Związku Strzeleckiego.

Ruszyli w stronę tłumu, ja z nimi, mały Żydek Mojsze Bernsztajn w drogim garniturze od Zaremby, ze skórzaną pałką w kieszeni.

Kaplica zręcznie wspiął się na sklecone ze skrzynek podium. Rozległy się brawa!

– Niech żyje Kum! – krzyczeli.

A potem zaczęli skandować:

– Ka-pli-ca, Ka-pli-ca, Ka-pli-ca!

– Krzycz ze wszystkimi – mruknął mi do ucha Pantaleon.

Wrzeszczałem. Ka-pli-ca! Ka-pli-ca! Ka-pli-ca! Rozumiałem jakoś, że w ostatecznym rozrachunku to temu małemu, łysemu człowieczkowi w brzydkim ubraniu zawdzięczam moje nowe życie, nowy garnitur, pocałunek Magdy i spojrzenia Emilii Szapiro.

Jakub Szapiro nie wrzeszczał, Jakub Szapiro się rozglądał.

Kaplica podniósł rękę i tłum zamilkł.

– Cóż to znowu za antysemickie hece uprawiają gamonie z oeneru? Endeckie kurwy?! – zawołał Kum.

Gdy padło słowo „kurwy", tłum zamruczał z radości, jak wielkie, wieloludzkie psisko, połechtane wulgarnym określeniem wspólnego wroga.

– Cóż to znaczy, Żydów chcą z armii wyrzucać? Bojkoty robić? Nie wiedzą, że robotnik robotnikowi bratem? Wczoraj na Grochowie szyby w żydowskich oknach powybijali! Tak! Konkrety, towarzysze, nie gadanie samo...

Tu sięgnął do kieszeni, wyjął kartkę papieru, odsunął daleko od oczu, przeczytał.

– W mieszkaniu Zelika Arocha, przy ulicy Osieckiej trzydzieści dwa. I w mieszkaniu Icka Glaszmidta, na Tubiańskiej dwanaście. Jacyś oenerowscy gówniarze! A gdzie szacunek dla prawa? W Berlinie dla Żydów wprowadzono osobne ławki, na żółto pomalowane, czy u nas ma być tak samo? Nie o taką Polskę walczyliśmy z zaborcą, nie o taką wykrwawialiśmy się w wojnie dwudziestego roku!

Robotnicy klaskali. Słysząc o wojnie dwudziestego roku, Szapiro uśmiechnął się pod nosem.

– Po chuju fest się Kum na wojnie wykrwawił, dobre sobie – mruknął pod nosem, ale jakby do mnie.

– Tak...? – zapytałem.

– Całą wojnę siedział zadekowany w Warszawie, nosa nie wyściubił, nawet kiedy byli już pod samym miastem – odparł cicho Jakub. – Chętnie do carskiego żandarma zza winkla strzelał, ale okopy to mu nie w smak.

– Nie pozwolim na to! – wrzeszczał Kaplica. – Pokażemy tym polskim faszystom, co znaczy robotniczy gniew! Tak jak nasi walczą w Hiszpanii, nie poddamy się!

Ja go jednak już nie słuchałem. Przyglądałem się Jakubowi Szapirze i próbowałem nadążać za jego spojrzeniem, które powoli, celowo przesuwało się po otoczeniu. Nie wiedziałem wtedy, co zrobić, by patrzeć w taki sposób, nie umiałem tak patrzeć, ale teraz przecież wiem: człowiek pozostaje napięty, ale zupełnie spokojny, napięty nie jak łuk, ale jak kusza, którą z cięciwą zaczepioną na orzechu można było odłożyć i zostawić nawet na długo. Skupiony jest na patrzeniu, cały jest patrzeniem i widzeniem. Każdy szczegół jest ważny.

Jakub Szapiro patrzył i jednocześnie analizował, świadomie czy nie, nie wiem, ale analizował. Pamiętam to, jakbym siedział w jego głowie.

Czy ten świński blondyn o brzydkiej cerze nie zachowuje się zbyt niespokojnie?

Czy tych dwóch nie szepcze podejrzanie?

W tłumie musi być prowokator, na pewno jest prowokator, na pewno takiego wysłali, może być policyjny, może być endecki, który to

prowokator, czy prowokator spróbuje dzisiaj prowokacji, czy tylko zda po wszystkim raport na łapsach?

Wiele razy tak patrzyłem. Ale wtedy patrzyłem inaczej. Wtedy patrzyłem na Jakuba Szapirę. Tak, wiedziałem, że to on zabił mojego ojca, a jednocześnie nie wiedziałem. Nie wiedziałem, chociaż musiałem wiedzieć. Byłem mu za to wdzięczny, chociaż bardzo kochałem Nauma Bernsztajna, pobożnego Żyda, mojego ojca, który nie zobaczył tych wszystkich okropności, jakie zobaczyli wszyscy później, bo miał swoją osobistą, prywatną okropność, poderżnięte gardło, ciało poćwiartowane jak ciało koguta na kaparot.

Gdyby Jakub Szapiro na polecenie Kuma nie zabił mojego ojca, nie złożył zeń ofiary, to nigdy nie wyjechałbym z Warszawy.

Jakub Szapiro był piękny i kochałem go.

Odezwała się orkiestra dęta, chorąży unieśli socjalistyczne, czerwone sztandary i zatknęli je w osadach skórzanych bandolierów.

– Krew naszą długo leją katy… – zaintonował Kaplica, unosząc w górę zaciśnięty, lewy kułak, szczęśliwy, w swoim żywiole, pełny uzasadnionej, samczej dumy przewodnika stada.

– …wciąż płyną ludu gorzkie łzy, nadejdzie jednak dzień zapłaty, sędziami wówczas będziem my! – odpowiedział lud, unosząc po robotniczemu w górę lewe pięści, szczęśliwy, że jest ktoś, kto im przewodzi, kto nimi kieruje, komu mogą zaufać, opiekun, ojciec, wódz.

Ruszyliśmy. Idziemy. Tak dobrze to pamiętam, owo unoszące, umacniające poczucie przynależności, ale też, skoro szedłem ramię w ramię z Szapirą, poczucie przewodzenia tłumowi.

Idziemy.

Najpierw idzie bojówka, dopiero potem robotnicy. Więc najpierw my.

Szapiro, Pantaleon, inni, karnie jak wojsko, czwórkami. Pierwszych pięć czwórek – ręce w kieszeniach spodni i marynarek zaciśnięte na pistoletach, na maszynach, czujne spojrzenia, zaciśnięte usta. Ja szedłem przy Szapirze, jakby poza porządkiem, jak indeks między dwoma czwórkami, poza szykiem.

Drugich pięć czwórek to ciężkie zabijaki, szturmówki w prawicach, przy nodze, do ziemi, jak szabla w dłoni oficera pocztu sztandarowego, tyle że

robotnicza. Potem rezerwa, pochowane w spodniach kastety, noże, krótkie pałki. Między nimi mignął mi Moryc Szapiro, brat Jakuba. Przez moment tylko, ale go zauważyłem i Jakub też go zauważył.

Potem sztandary. Orkiestra. Potem lud.

Śpiewamy.

Dalej więc dalej, dalej więc, wznieśmy śpiew.

Nasz sztandar płynie ponad trony,

niesie on zemsty grom, ludu gniew,

wolności zwiastując siew.

A kolor jego jest czerwony,

bo na nim robotnicza krew!

Ja też śpiewam. A kolor jego jest czerwony. A kolor jego jest czerwony, bo na nim robotnicza krew. A kolor jego jest czerwo-o-ny, bo na nim robotnicza krew!

Tłum jak wielkie zwierzę.

Jonaszem jestem w trzewiach wieloryba, pożartym, lecz nie strawionym. Wielka masa żywego, zwierzęcego ciała, bliższa bóstwu niż człowiekowi.

Sto osiemdziesiąt ton wielorybiego ciała w oceanie, jeśli postawić je obok człowieka, staje się bóstwem, pogańskim bożkiem z tłuszczu i mięśni – w jego wnętrznościach mieszka prorok.

Ja mieszkam w tłumie. Jestem Jonaszem, w kieszeni mam wypełnioną ołowiem pałkę. Tłum waży sześćset ton, tyle, co cztery płetwale, sześćset ton ludzkiego cielska, a kolor jego jest czerwony, bo na nim robotnicza krew.

Idziemy Wolską, w stronę Starego Miasta, idziemy powoli i śpiewamy. Z okien czasem ktoś powiewa flagą, czerwoną, biało-czerwoną, krzyczy: „Niech żyje!”.

Na Chłodnej dołączają do nas bundowcy i Poalej Syjon-Lewica, chwilowo w stanie rozejmu, pochody mieszają się ze sobą, pamiętam to tak dokładnie, chwila zamieszania, pokrzykiwania przodowników i pochód formuje się ponownie, polskie transparenty, transparenty w jidysz, a ja zaraz za Szapirą, Szapiro rozluźniony i uważny, idziemy dalej. Za naszą

bojówką bojówka Bundu, prawilne, zadziorne chłopaki, potem bojówka Poalej Syjon, wśród nich widzę Moryca Szapirę.

Policję napotykamy dopiero na Elektoralnej, na rogu z Solną, pod niską, rozłożystą kamieniczką Frybesa. Znudzony patrol konny, granatowe mundury, szable i pistolety w pochwach, twarze zacienione wielkimi daszkami, paski czapek zapięte pod brodą. Patrzą na nas bez emocji. Jeden bardziej niż demonstracją wydaje się zainteresowany witryną sklepu reklamowanego wywieszką „Ubiory".

Gdy mija ich Kaplica, salutują mu bezwstydnie. Kaplica też unosi dwa palce do kapelusza.

Na placu Bankowym jest ich trochę więcej, kilkunastu posterunkowych, zastęp konnych w luźnym szyku pod domem handlowym Lesserów. Stoją rozluźnieni, czekają, patrzą w inną stronę.

Nasz pochód się zatrzymuje, na plac wchodzi tylko czoło.

– Coś policmajstrów mało przyszli dzisiejszego – mówi Radziwiłek.

– Wiedzą, że nie ma po co przychodzić – wzrusza ramionami Kaplica.

Wtedy dopiero dostrzegamy kontrmanifestację. Mniejszą od naszej. Większość w studenckich czapkach i po cywilu. Kilka grupek w jasnych, mundurowych bluzach spiętych koalicyjkami i w ciemnych beretach. Wychodzą od strony Senatorskiej, ze skweru przed Bankiem Przemysłowym Polskim i pałacem Mniszchów.

– Jak myślisz...? – pyta Kaplica, wskazując ich głową.

– Bratniak, bepiści z Falangi, same studenciaki kurwy, poważnych ludzi tam nie widzę – odpowiada Szapiro, cały czas czujny, napięty. – Ale może być strzelanie.

– Nie odważą, faszyści – orzeka Radziwiłek, przesuwając sztywny kapelusz na tył głowy.

A ja tylko stoję, stoję w milczeniu zaraz za Szapirą i Kaplicą i słucham, i patrzę, i stoję tam tak samo, jak teraz siedzę przy zielonej maszynie do pisania i spisuję to, co zapamiętane.

Pantaleon ponuro kiwa głową i wyjmuje z kieszeni nagana, otwiera pokrywę i po kolei sprawdza wszystkie siedem komór bębna. Myślę o jego diablim bracie, co mu szepcze i szepcze, i szepcze.

Strzelaj strzelaj strzelaj uderz dźgnij zabij strzelaj.

– Mogą się odważyć, faszyści – kpi Szapiro, a Radziwiłek nawet nie zauważa żartu. – W maju ostrzelali bundowski pochód.

– Nie odważą – dobitnie mówi Radziwiłek i z kieszeni marynarki wyjmuje zaciśniętą na rękojeści pistoletu prawicę.

– Schowajcie maszyny, schowajcie. Wyjąć zawsze można – uspokaja ich Kaplica i chowają broń, niechętnie. – Podnieście mnie.

Podnoszą go Szapiro z Pantaleonem.

– Orkiestra! *Warszawiankę tysiąc dziewięćset piątego*! Śpiewać! – krzyczy Kaplica.

Więc śpiewamy.

Naprzód Warszawo, na walkę krwawą, świętą a prawą, marsz, marsz, Warszawo.

I wchodzimy na plac Bankowy. Naprzód, Warszawo. Przed szereg manifestacji narodowców wybiega tuzin bojówkarzy, ruszają w naszą stronę, zatrzymują się, rzucają kamieniami, kostkami rwanymi z ulicy. Ktoś dostaje w łeb, zalewa się krwią, pada.

– Przepuścić! – wrzeszczy Szapiro i nasza bojówka, zbrojna w pistolety, się rozstępuje, przed manifestację wybiega kilku z tylnych szeregów, i na faszystów lecą butelki, kamienie. Nie cofają się.

– To nie tylko studenciaki – mruczy Szapiro. – Jest tam bojówka z Narodowej Partii Robotniczej, to są twarde chłopaki. Poza tym są i takie studenciaki jak Ziembiński.

Wskazuje na jednego z endeckich bojówkarzy.

– Tam, widzicie? Przylazł, wredny blond skurwysyn. Tam stoi, razem z bojówką z NPR.

Bojówkarze NPR wyglądają zwyczajnie, robociarsko, jak każdy w naszej czy jakiejkolwiek innej manifestacji. Ziembiński między nimi jest kimś z innego świata, innej rasy.

Góruje nad nimi o głowę, innym jedzeniem jako dziecko karmiony i innymi może genami kształtowany, w mundurowej bluzie i czarnych bryczesach, prawą rękę trzyma w kieszeni w oczywistym geście, nie rzuca kamieni ani butelek, wydaje tylko rozkazy.

– Idziemy. Maszyny zostają w kieszeniach. Munja, rurka – komenderuje Kaplica i podwija rękawy koszuli. Munja podaje mu krótką, stalową rurkę.

Rozumiem, że to również do mnie, więc ruszamy.

Ja trzymam się z tyłu, za Szapirą, i czuję wielką rozkosz, kiedy widzę, jak lekko podbiega do najbardziej na czoło wysuniętego faszysty, robotniczego bojówkarza z NPR, ten zamachuje się szeroko, jak cepem, Szapiro nurkuje pod tym zamaszystym sierpem, widzę to jak na zwolnionym tempie, faszysta w czarnym berecie jest zdziwiony, jakim cudem ten wielki Żyd nagle jest tak blisko i z boku i wtedy wielki Żyd krótkim hakiem wbija mu mosiężne kłykcie kastetu w podbródek, pcha w pierś i dzielny bojówkarz zapada się w ciemność, zanim jeszcze jego bezwładne ciało legnie na bruku. Następni już biegną na pomoc, pierwszego Szapiro kładzie krótkim kopnięciem nad kolano, jeszcze dziś słyszę ten cudowny trzask kości.

Potem następny, znowu tak samo, bokserska rotacja pod ciosem, w ręce przeciwnika pojawia się nóż, kontrola noża, kastet w skroń, odepchnąć ciało, następny proszę.

Ziembiński już widzi Jakuba. Waha się. Cofa, nie dąży do konfrontacji.

Kaplica, mały i ruchliwy, tłucze rurką po łbach, przedramionach i kolanach, łamiąc parę kości.

Pantaleon wrzeszczy i wali pięścią w twarz człowieka, którego trzyma pod pachą, jakby nie widział, że człowiek jest już nieprzytomny. Ale Pantaleon wie, że masakruje nieprzytomnego. Pantaleon chce, aby twarz człowieka, którego trzyma pod pachą, od dziś była już zupełnie inną twarzą, więc tłucze w nią pięścią, jakby tłukł kamieniem, łamie nos, kości jarzmowe, szczękę, wybija zęby, ale nie zabija, bo tylko na żywym człowieku nowa twarz będzie wieczną pamiątką Pantaleonowego gniewu, szału i ciemności. W końcu puszcza bezwładne ciało na bruk, podnosi ręce do góry, rozkłada dłonie i wrzeszczy, ryczy jak byk, i idzie w stronę narodowców, jakby chciał ich pożreć.

Z prawicy spływa mu krew własna pomieszana z krwią ofiary.

Falangiści zaczynają się cofać. Widzą, z kim mają do czynienia, widzą, że nie biją się z robotnikami. Nie mają nikogo takiego jak Szapiro, Pantaleon, Munja, Kaplica, jak my. Falangiści to ideowcy, nawet ci twardzi, robotniczy. My jesteśmy zawodowcami. Cofają się więc, bez popłochu,

Szapiro kładzie jeszcze dwóch, Pantaleon ryczy wściekły, że nikogo nie może dosięgnąć.

Ziembiński wzywa do odwrotu.

Nasza orkiestra cały czas gra, nasi robotnicy cały czas śpiewają.

Wtedy pada pierwszy strzał.

Przynajmniej tak mi się wydaje, że to strzał, tak samo jak innym. Nagle jedni i drudzy rozbiegają się w panice, narodowcy chowają się za niskim murkiem fontanny, po swojej stronie, a my po drugiej, kładąc się na bruku.

– Nie strzelać, to petarda, petarda!!! – krzyczy Szapiro, ale jest już za późno.

Pantaleon wyciąga łapę z naganem nad murek fontanny i strzela na oślep. Kula uderza w łokieć chłopca z trójzębem, chłopiec jest jednak wykuty z kamienia i stoi niewzruszenie, podpierając dalej wielką misę fontanny. Kaplica wali z browninga w powietrze, żeby przypadkiem nikogo nie trafić, bo zabity faszysta oznacza kłopoty. Narodowcy odpowiadają ogniem, też wysoko, nad głowami, bo zabity socjalista oznacza kłopoty, a zabity urka oznacza kłopoty ogromne, zapewne konieczność ucieczki z miasta albo ukrywania się.

My też wolelibyśmy takiego na przykład Ziembińskiego nie zastrzelić.

Oba pochody cofają się w panice, robotniczy i narodowy. Na placu zostają bojówkarze. To znaczy z jednej strony my, a z drugiej bepiści i paru twardych, robociarskich chłopaków z dawnej Narodowej Partii Robotniczej.

Wtedy słyszę gwizdki. Strzały ustają. Z dziedzińca Pałacu Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu wychodzi w zwartym szyku niewidoczna wcześniej kompania Rezerwy Policji Państwowej, groźni, w głębokich, niemieckich hełmach oraz kryjących korpusy i uda stalowych pancerzach okopowych, z owalnymi tarczami i pałkami, jakby z innej epoki, jak średniowieczni woje.

Za nimi wyjeżdża szarozielony tank wodny – policyjny samochód pancerny z polewaczką zamiast kaemu. Ruszają też konni. Tank przyspiesza i bez żadnych zapowiedzi zaczyna lać równo po nas i po narodowcach.

– No, to przyjechali z Golędzinowa – mruczy pod nosem Kum.

– Zwijamy się! – krzyczy Szapiro.

Wtedy Kaplica wstaje, podnosi się zza murka fontanny. Chowa pistolet do kieszeni.

– A gówno! A chuja tam, zwijamy! Gówno! – wrzeszczy. – Jestem Kaplica, do stu kurew, nikt mnie nie będzie wodą studził, to jest moje miasto!

Idzie w stronę policji.

– Zastrzelą go – szepcze Szapiro.

Ale strumień wody omija małego bandytę.

– No co, może chcecie obeszczać starego Kuma, co?! – krzyczy Kaplica, stojąc naprzeciwko policjantów w pancerzach. Rozkłada szeroko swoje krótkie rączki, jakby ich zapraszał.

Zatrzymują się. Polewaczka przestaje pompować wodę.

Do Kuma podchodzi dwóch mundurowych, salutują, rozmawiają krótko, ale nie słyszymy o czym. Kum jest uśmiechnięty i zadowolony, już się odwraca, kiedy zza kordonu policjantów w pancerzach przepycha się komisarz Czerwiński z Wydziału IV Komendy Głównej Policji Państwowej, z całą swoją mieszczańską zażywnością.

– Nu, in ot yz du decu de drajo[16] – wzdycha Szapiro.

– Stać! – krzyczy Czerwiński. – Stać! Aresztować go!

Mundurowi jakby nie słyszeli rozkazu. Odwracają się i patrzą w inną stronę. Wiedzą, że Kaplica zna adres każdego z nich. Czerwiński, który ma reputację człowieka dysponującego całą odwagą dostępną warszawskim policjantom, aresztuje więc Kaplicę sam. Kaplica z uśmiechem oddaje mu broń, wyciąga ją z kieszeni dwoma palcami, żeby przypadkiem policjant nie pomyślał, że Kum chce strzelać.

– Spokojnie, panie komisarzu, wszystko się dobrze skończy.

– Milczeć! – warczy Czerwiński, zły i bezradny.

Zabierają Kaplicę za kordon, pakują do samochodu, odjeżdżają.

– Zwijamy się – mówi Szapiro i kręci ręką nad głową, wysyłając sygnał do czoła pochodu. – Policmajstry już się nimi zajmą.

Policjanci w pancerzach i konni ruszają w stronę narodowców. Narodowcy rzucają się do ucieczki, konni płazują ich szablami,

przyglądamy się temu z wielką satysfakcją. Żaden policjant nawet nie patrzy w naszą stronę.

Tak to właśnie pamiętam.

* * *

Wstaję od maszyny.

Wyglądam przez okno. Nic specjalnego, ta sama ulica, słońce, biel. Odwracam się. Chciałbym założyć mój mundur. Otwieram szafy, w których na nagich wieszakach wisi pustka po ubraniach Magdy. Szukam munduru. Oliwkowych prostych spodni i wpuszczanej do nich bluzy z krótkim rękawem, z baretkami moich licznych odznaczeń nad lewą kieszenią i spadochroniarskimi skrzydełkami nad prawą. Szukam też czerwonego beretu i brązowych, spadochroniarskich butów, w cholewkach, do których chowa się nogawki spodni.

Nie ma. Nigdzie nie ma mojego munduru. Przetrząsam całe mieszkanie, są moje cywilne garnitury, koszule z długim i krótkim rękawem, krawaty, w szufladach walają się brzydkie buty, ale nie ma munduru.

Może zabrała. Dobrze, trudno, po co mi mundur, jestem na emeryturze. Ważne, że mam pistolet, moją starą, wierną czterdziestkę piątkę z powycieraną oksydą. W szufladzie biurka, w skórzanej, brązowej kaburze.

Dotknięty nagłym strachem wracam do mojego biurka, otwieram szufladę. Nie ma.

Dzwonię do Magdy. Sygnał, czekam długo, w końcu odbiera.

– Halo...? – mówi jej głos, głos starej kobiety.

– Zabrałaś mój mundur i broń? – pytam bez wstępów.

Odpowiada mi milczenie. Słyszę jej oddech. Nie odłożyła słuchawki, trzyma ją przy uchu i milczy.

– Magda, zabrałaś mój mundur i broń? On ci kazał?

– Nie mów do mnie „Magda” – odpowiada wolno i słyszę, że jest bardzo smutna.

– Zabrałaś czy nie?

– Potrzebujesz pomocy – mówi.

Odkładam słuchawkę.

Wracam do maszyny. Jeszcze raz sprawdzam wszystkie szuflady biurka. Broni nie ma. Przez sekundę myślę, że może nigdy jej tu nie było, ale to już oznaczałoby szaleństwo, nie chcę popaść w szaleństwo.

Trzeba pisać.

Po manifestacji pojechaliśmy do Ryfki, gdzie stałem się już częstym gościem, towarzyszącym Jakubowi Szapirze wszędzie, jak cień. Nocami słuchałem, jak spółkuje z Emilią, w dzień trenowaliśmy razem w sali Gwiazdy, chodziliśmy zbierać pieniądze od kramarzy i pić kawę, i wódkę, i na spacery, i przejażdżki autem, i sprawunki wszelakie, wszędzie ja za nim, Mojżesz Bernsztajn, mały cień wielkiego Jakuba Szapiry.

Szapiro był podniecony walką, niespokojny, nie siadał, ruszał się cały czas, podskakiwał niczym na ringu.

– Wódki nam nalej – zakomenderował.

Staliśmy przy barze. Szapiro, Radziwiłek, Pantaleon, Munja i ja. Tiutczew na tym samym krześle przy drzwiach co zawsze czytał *Чужое небо* Nikołaja Gumilowa. Radziwiłek, bardzo spokojny, wraz z Pantaleonem sączyli herbatę.

Wódkę piliśmy z Szapirą i Munją, Bykow w swojej kremowobiałej marynarce od smokingu grał szlagiery, a kiedy wszyscy byli już bardzo pijani, to grał, co mu się podobało, improwizował, i tego grania lubiłem słuchać najbardziej.

Wypiliśmy już po trzy mikadki, Szapiro poprosił o smażoną wątróbkę, którą mu bez zwłoki przyniesiono.

Dziewcząt była tylko trójka, ze względu na porę. Pulchna blond Kasia z obfitymi piersiami o płaskich sutkach, pogrążona w oceanie obojętności, Ola i Sonia, szczupła i czarna, do której Szapiro miał pewną słabość.

Przyszedł też Moryc, co mnie zdziwiło, bo wydawało mi się, że ktoś taki nie będzie chciał pić wódki w burdelu. Ani nawet herbaty.

Dziwię się teraz, skąd wtedy wiedziałem tyle o Morycu. Jakub nigdy o nim nie mówił, w ogóle o nim nie mówił, tyle co widziałem go w Metropolu, potem ani razu, a jednak wiedziałem, wiedziałem doskonale.

Moryc nie przyszedłby pić wódki w burdelu.

Moryc nie przyszedłby również do burdelu w celu, w jakim się zwykle chodzi do burdelu.

Moryc miał sumienie. Moryc miał cel w życiu. Moryc wierzył w ideę żydowskiego państwa w Palestynie. Moryc nie robił niczego, czego nie uznawałby za przynajmniej pośrednio służące idei żydowskiego państwa w Palestynie. Kiedy Moryc otwierał rano oczy, otwierał je dla żydowskiego państwa w Palestynie. Kiedy wstawał z łóżka, wstawał dla żydowskiego państwa w Palestynie. Jadł, oddychał, uczył się, śmiał, pracował, żył dla przyszłego żydowskiego państwa w Palestynie.

I trudno było mi jakoś uwierzyć, że dla przyszłego żydowskiego państwa w Palestynie Moryc może pić wódkę w burdelu u Ryfki.

A dlaczego tak się stało, że urodzeni w domu podobnym do mojego, w pobożnym żydowskim domu, Jakub i Moryc mieli swoje życia tak zupełnie inne, będąc w końcu tak podobni? Fizycznie nawet, obaj potężni, pozornie ociężali, rośli, ale też obaj zdecydowani, charakterni, mocni.

Ryfka nalała wszystkim. Wypiliśmy.

– Dawaj telefon – powiedział Szapiro.

Ryfka podała mu aparat. Wykręcił numer, czekał.

– Panie Bykow, cicho – warknął do pianisty, który natychmiast przestał grać. – Halo. Tu Szapiro mówi. Dzień dobry pani. Tak. Szapiro, Jakub Szapiro. Chciałem rozmawiać z panem Litwińczukiem. W sprawie pana Kaplicy. Pani jesteś nowa? Dobrze, pani powiesz panu sekretarzowi Litwińczukowi, że w sprawie pana Kaplicy. Poczekam.

Czekał ze słuchawką przy uchu, mrugnął do mnie porozumiewawczo. Albo do Ryfki. Do kogoś w każdym razie mrugnął.

– Halo, tak, dzień dobry, Szapiro. Dzień dobry panu sekretarzowi. Owszem, w sprawie Kaplicy. Tak, zgadza się, aresztowany. Nie, proszę pana, nie poczekamy, aż to się wyjaśni. Nie. Rozumiem.

Milczał przez chwilę, słuchając jakiegoś wywodu w słuchawce. W końcu demonstracyjnie przewracając oczami, odsunął ją od ucha.

– Dobra, słuchaj pan, panie Litwińczuk – powiedział innym tonem. Ciszej, jakby sycząc, a ja w tym innym tonie słyszałem tyle samo siły i zdecydowania, ile widać było w nim, kiedy wchodził na ring.

– Nie, zamknij się pan i słuchaj. Albo odłóż pan tę słuchawkę, idź pan do premiera i powiedz mu, że spławiłeś pan Jakuba Szapirę, wspólnika w interesach pana Jana Kaplicy. Tak, Kuma. Kuma Kaplicy, tak. Tak, ten Szapiro, uhm. Nie, mistrzostwo Warszawy w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym. Tak. Ale drużynowo.

Na dźwięk słowa „wspólnik" siedzący obok nad herbatą doktor Radziwiłek drgnął, aż zadzwoniła filiżanka na spodku, które trzymał przed sobą w powietrzu. Ja to drgnięcie zauważyłem i jestem pewien, że Szapiro też, ale poza nami nikt.

– Pan chyba nie wiesz, że pan Kaplica z panem Felicjanem dobrze się znają jeszcze z czasów Frakcji Rewolucyjnej. Nie wiedziałeś pan? To już pan wiesz. Pan premier będzie na pewno z pana zadowolony. Tak? Dobrze. Dobrze. Proszę pana, nie wiem, który komisariat. Pewnie na dwunastkę, na Daniłowiczowską. Ale skąd ja to mam wiedzieć? Czy ja jestem ministrem spraw wewnętrznych, czy pan premier Składkowski, co? Kto ma wiedzieć? No. Liczę na to. Dobrze. Będziemy czekać pod tym numerem. Do widzenia, panie Litwińczuk.

Odłożył słuchawkę.

– Zadzwonią – powiedział Jakub. – Czekamy. Trzeba będzie Kuma odebrać od razu, bo się wścieknie. Daj jeszcze wódki.

Dała.

– Pytanie, jak długo jeszcze pan premier będzie premier, żeby do premier zadzwonić w takiej sprawie – powiedział Radziwiłek beznamiętnym tonem, jakby prosił o więcej chleba.

Jakubem, ciągle podnieconym walką i zawadiacką rozmową telefoniczną, miotało. Podskakiwał przy barze.

– Co też Doktor mówi? – zdziwił się wesoło, chociaż pamiętał przecież niedawną rozmowę z Bobińskim w SiM-ie.

– A różnie mówić na mieście – odpowiedział Radziwiłek, nie zmieniając tonu. – Mówić, że Śmigły coś szykuje. Mit diesem Oberts, wie heißt er? Obóz Zjednoczony Polski?

– Z pułkownikiem? Z OZN? To może z Kocem?

– Ja, ja. Oberst Kotz. Adam Kotz. Na, to i on marszał Rydz mit diesem Oberst chcą może i zamach jakiś? Kotz się z Falanga dogadać? Tak, tak.

Zrobić sojusz z nacjonalisten?

– Sanacja z Falangą? – Jakub dziwił się coraz bardziej.

– Tak, tak. Premier obalić. Prezydent obalić. Rydz-Śmigły sam prezydent. Tak, tak – kiwał głową Doktor.

Jakub wzruszył ramionami.

– Czy nas to w ogóle dotyczy? – zapytał.

– A dotyczyć, dotyczyć! – odparł Doktor. – Oni Żydów nie kochają wcale.

Jakub odwrócił się, postanowił zmienić temat na atrakcyjniejszy i dał szturchańca bratu, który do tej pory stał w milczeniu przy barze, skupiony, chociaż swobodny.

– Moryc, Moryc, poruchać przyszedłeś, jingełe, poruchać? – śmiał się pijany trochę Jakub, a ja jakoś widziałem, że tą rubasznością maskuje coś, co jeśli nie było pewnego rodzaju obawą przed Morycem, to na pewno było respektem.

Munja i Pantaleon pili ponuro, w milczeniu.

– Ch'bi giekime ousrejdn a wort myt dijo – odparł Moryc w końcu. – Zach ibebetn[17].

– Tak i pogadajmy, ale skoro towarzystwo mieszane, to po polsku może?

– Dus zene jidysze injunym, yz lome rejdn jidysz. Rywkie, gis mi araa, a glezele![18]

Nalała. Wypił.

– Jankiew, di mis awekfurn myt mijo kan Erec Jisruel. Dortn yz indzo cykinft. Du zene nur di szmokes fyn Falangie. Nysz ka gite caatn kime far indz yn Pojln![19]

– Bo tam to wszyscy Żydów kochają, co? Wszyscy tylko czekają, żeby się wynieść na pustynię, żebyśmy mogli se tam kurwa państwo zrobić. A czemu nie na Madagaskarze, co? – odwarknął Jakub, uparcie po polsku.

Moryc zawahał się na chwilę. Gestem wskazał Ryfce kieliszek. Nalała, wypił.

– Ty tam jesteś potrzebny, Jankiew. W organizacji. Będą bilety, wszystko opłacone. Dla ciebie, Emilii i chłopców. Pociągami do Konstancy, stamtąd

statkiem. Organizacja opłaci pierwszą klasę, bo przecież wiadomo, że wielki pan Jankiew Szapiro potrzebuje wygód.

– Ja do żadnego kibucu nie pójdę – warknął Jakub i wypił.

– Nie musiałbyś. Przecież nikt tu nie chce zrobić z ciebie rolnika, Jankiew. Żyłbyś, jak by ci się podobało. Potrzebujemy cię w Haganie. Hagana potrzebuje takich ludzi jak ty, żołnierzy. Mocnych, silnych ludzi. Rolników mamy dość.

Jakub rozumiał, ile to Moryca kosztowało, przełamać swoją dumę i powiedzieć coś takiego jemu, Jakubowi, którego życiem pogardzał i którego niemoralnością się brzydził. I rozumiał, dlaczego Moryc płacił tę cenę. Dla sprawy zrobiłby wszystko.

– Nie jestem żołnierzem, jestem bandytą i bokserem.

– Jesteś, jesteś... Jankiew, tam lada dzień wojna wybuchnie znowu z całą mocą, jak w zeszłym roku, rozumiesz?

– Przecież ma być rozejm, państwo żydowskie mają zrobić podobno. Emilia mówiła. Jak on się nazywa, Peel...?

– Peel. To Emilia musi ci mówić takie rzeczy? Gazet nie czytasz? Co z ciebie za mężczyzna? – zaperzył się Moryc.

– Czytam to, co mnie obchodzi, a obchodzi mnie to, co mnie dotyczy. Sport i kronika kryminalna, i wiadomości z miasta. Czemu mieliby mnie obchodzić jacyś Arabowie w dalekich krajach? – prowokował go Jakub.

Moryc żachnął się, może zbyt teatralnie, jakby chciał wdać się w kłótnię, ale nagle odpuścił.

– S'wet gur nysz zaan fyn dejm icto, Jankiew[20] – powiedział poważnie.

– Fyn wues?[21] – Jakub też spoważniał i dopiero teraz przeszedł na jidysz, jakby był to w jego mniemaniu język przeznaczony do spraw poważnych.

– Fyn de jidyszo medine yn Erec. Ch'majn icto. Bald wet men arestirn Al-Hussejni in szo. Alc wet zach unajbn fyn's naj. Di Hagana daf hubm zelno. Menczn wi di, Jankiew[22].

– Ch'by nysz ka zelno[23] – powtórzył Jakub i wypił.

– Due dewart inc nysz ka gits[24].

Przyglądaliśmy mu się, Moryc, Ryfka za barem i ja. Widzieliśmy, że Jakub się namyśla. Że się waha.

Wstaję od maszyny. Myślę o tamtej chwili, pamiętam wszystko tak dokładnie. Bar, na fotelach pod ścianami siedzą znudzone dziwki, tak dobrze pamiętam ich imiona i twarze, Ola, Sonia, pulchna Kasia, Bykow gra na fortepianie, za barem Ryfka Kij.

Moryc milczy, powiedział już wszystko.

Jakub zapala papierosa, zaciąga się głęboko i wypuszcza dym nosem.

Życie Jakuba się przed nim rozgałęzia. Jakub stoi przed decyzją.

Jakub myśli o jakichś niedookreślonych palmach, piaskach i oazach, które zna tylko z kiepskiej jakości fotografii przedrukowywanych w gazetach. O Arabach w białych chustach na głowie. O bojownikach Hagany w tropikalnych mundurach z szortami i w tureckich fezach na głowach.

Myśli o ulicach, które kocha i zna i na których jest znany i kochany. Na tych ulicach uchyla się przed nim każdy kapelusz. Dziewczęta w kawiarniach proszą o autograf i rumienią się, kiedy pyta, czy nie poszłyby z nim na spacer – nigdy nie odmawiają. Rzeźnik odkłada dla niego najlepsze kawałki. Policjanci mu salutują, bo oto idzie wielki bokser Jakub Szapiro, idzie albo jedzie swoim pięknym samochodem ze swoją piękną żoną i pięknymi synami.

A tam, co tam będzie? Piasek. Karabiny. Rozkazy. Palmy.

Jakub pali papierosa, stoi nagle znieruchomiały, nie wiem, czy w rzeczywistości, czy tylko w moich wspomnieniach, ale stoi znieruchomiały, w szarym, dwurzędowym garniturze, białej koszuli, granatowym krawacie i czarno-białych golfach, stoi, łokciem opiera się o bar i podejmuje decyzję.

– Spierdalaj, Moryc – mówi po polsku, bardzo głośno i wyraźnie. – Spierdalaj.

Radziwiłek uśmiecha się pod nosem, chłepcząc w milczeniu herbatę. Pantaleona i Munji rozmowa braci Szapirów nie interesuje.

Ja stoję z tyłu, schowany, i wszystko zapamiętuję.

Moryc kręci głową.

Czasem jest tak, że człowiek mówi głośne „nie” i to „nie” na całe życie go grzebie. Gdyby miał odwołać – nie odwoła. Dumny jest z tego wielkiego „nie”. A jednak na całe życie go ono grzebie.

Dobrze, bardzo dobrze pamiętam ten moment. I chcę go opisać.

Jakub opierał się łokciem o bar. Palił papierosa.

– Spierdalaj, Moryc – powiedział. – Spierdalaj.

Moryc pokręcił głową, wzruszył ramionami, wypił jeszcze kieliszek, podszedł do Jakuba i zamachnął się, aby uderzyć go w szczękę sierpem. Jakub uchylił się bez trudu, odepchnął brata, stanął w pozycji.

– No, chodź, gówniarzu… – warknął, a Moryc ruszył w jego stronę, jednak nie dotarł doń, gdyż na drodze stanął mu Radziwiłek i rozdzielił braci.

– Nu, już. Kaniec. Tu się nicht schlagen, jasne? – powiedział.

Moryc uniósł ręce.

– Yz faan! Gajc yndr’erd![25]– warknął i wyszedł.

– Jebać mi się chce – powiedział Szapiro.

Dziewczęta zerwały się jak na komendę, podeszły doń wszystkie trzy, w tym Kasia, którą pamiętałem najlepiej z mojej pierwszej wizyty u Ryfki i kolejnych też. Popatrywała na mnie czasem, ale bardziej na Szapirę.

Szapiro wybrał Olę i Sonię. Kasia wróciła na dno swojego oceanu. Szapiro spojrzał na Ryfkę.

Pamiętam doskonale ich spojrzenia, Jakuba i Ryfki.

Kochali się kiedyś, to było jasne. I ona go dalej kocha, to też było jasne. A on wybrał Emilię, to jest oczywiste. Ma dzieci z Emilią.

Ryfka nie ma dzieci. I nagle wiedziałem: Ryfka nie może mieć dzieci. Wiedziałem również, że Ryfka nie jest prostytutką.

Nie wiem, czy to by cokolwiek zmieniło, gdyby była.

– Zajmijcie się nim dobrze, dziewczęta. Tak jak lubi – powiedziała matowym głosem Ryfka Kij.

Objął je. Poszli do pokoju. Ja zostałem, nie poszedłem z nimi przecież, popijałem małymi łykami wódkę przy barze i nikt nie zwracał na mnie uwagi, byłem małym, niewidocznym Żydkiem z Nalewek, Mojsze Bernsztajnem, lat siedemnaście.

A przecież wiem doskonale, co się tam wyrabiało, w najlepszym z wszystkich pokojów Ryfki. Co wyrabiał Szapiro z dziewczynami. Najpierw patrzył trochę, bo lubił patrzeć, jak się całowały i rozbierały, potem pierdolił je na zmianę i w różnych konfiguracjach, brutalnie, charczał przy tym i wrzeszczał, ale nie dochodził.

W końcu obydwie leżały zupełnie wyczerpane, z obolałymi kroczami, a on miotał się po pokoju ze sterczącym chujem, pił, kładł płytę na brązowym talerzu przenośnego gramofonu HMV, kręcił korbką i puszczał amerykańską muzykę, Bing Crosby, Benny Goodman, Count Basie, słuchali razem, kładł się do łóżka, pił, pracowały nad jego przyrodzeniem ustami i dłońmi, wszystko na nic, w końcu zasnęły, a on zwiotczał, nie osiągnąwszy tego, co osiągnąć próbował, więc pił dalej, kiedy już nie mógł, zażywał kokainę i pił dalej, dziewczyny już spały w wielkim łóżku, a on nie mógł zasnąć, trząsł się, leżał między nimi, nie mógł już pić, więc tylko leżał i się trząsł, a potem krzyczał, skowyczał, płakał, zwinięty jak wielki, ludzki embrion, nagi, brudny, spocony.

Wtedy przyszła Ryfka, obudziła płatne dziewczyny, kazała im się wynosić i położyła się przy nim, objęła go, okryła, głaskała po włosach.

– Emilia… – wyszeptał, a ona na to nie zważała.

– Szo Jankiew, szo. Dus byn-ach. Szo, szo…. zaj rijyk, Jankl, rijyk…[26] – szeptała.

Chciała tylko, żeby się uspokoił, a on trząsł się w jej ramionach, nie wiedział, gdzie jest, nie wiedział, co się z nim dzieje, był tylko bólem, strachem, rozpaczą – tym wszystkim, czym nie mógł być i nie bywał w świetle dnia. Płakał.

Nie pamiętam, co się ze mną wtedy działo. Może piłem ostrożnie wódkę przy barze, tam gdzie wszyscy?

Może poszedłem z jakąś dziewczyną? Nie wiem. Wszyscy czekali u Ryfki na jeden telefon, taka była procedura.

Radziwiłek wypił swoją herbatę i zażyczył sobie dziewczynę.

– Kaśka pójdzie – powiedziała Ryfka zza baru. – Tylko niech jej pan nie popsuje jak ostatnio, panie Doktorze, dobrze? Przez tydzień nie mogła pracować.

– Nie wolę Kaśki – odparł zimno doktor. – Po inne zadzwoni Ryfka.

– Ale żadna inna z panem już nie chce pójść, panie Doktorze. – Spuściła wzrok.

– Albo pani Ryfka jaka dziewczyna znaleźć, albo ja sobie wezmę pani Ryfka – powiedział Radziwiłek.

– To pan będziesz miał z Jakubem do czynienia – warknęła nagle, zupełnie zmieniając ton.

Radziwiłek gapił się na nią swoim rybim, zimnym wzrokiem. Zrozumiałem wtedy, że groźba była poważna i Doktor istotnie obawiał się Jakuba Szapiry.

– W imię Ojca, Syna, Ducha Świętego, amen – powiedział Pantaleon, bo dopił trzecią filiżankę herbaty. – Poszedłbym do domu, Doktorze? Jest pozwolenie?

Radziwiłek kiwnął głową. Przy barze został oprócz nas jeszcze Munja.

– Niech Kaśka będzie zatem – powiedział w końcu Doktor. Ryfka skinęła głową.

Pantaleon poszedł do domu. Bykow zamknął fortepian i wyszedł za nim. Munja wypił swój litr, co na jego mikrą posturę zdawało się niemałą ilością, umościł się na kanapie w burdelowym salonie i zasnął, pochrapując.

Kaśka podniosła się ze swojej otomany, nie opuszczając jednak dna oceanu swojej obojętności. Radziwiłek udał się na pokoje, ona poszła za nim.

Ryfka poszła do Szapiry.

– Pilnuj telefonu, jingełe. I nie zaśnij mi tu – rozkazała.

Za nią wyszły kucharka i kuchta. Zostałem sam. Po chwili minęły mnie dwie zaspane dziewczyny, które wziął sobie na noc Jakub. Założyły lekkie palta i poszły odsypiać swój zawód – i znowu byłem sam.

Co wtedy robiłem, czekając? Nie pamiętam. Słyszałem przez ścianę wrzaski i domyśliłem się, że to krzyczy Kaśka – nie były to wrzaski rozkoszy. Zrobiło mi się przykro, Kaśka wydawała się miłą dziewczyną. Lubiłem ją. Potem krzyki ucichły.

Przechadzałem się po salonie, wyglądałem przez okno. Zasłony wydzielały stęchły zapach kurzu, więc rozsunąłem je, otwarłem przeszklone drzwi i wyszedłem na balkon na wąskiej fasadzie kamienicy

rozcinającej ulice Piusa XI i Koszykową niczym dziób statku. I ja stałem na tym dziobie jak kapitan kamiennego statku, spoglądając w głąb ulicy Koszykowej, w stronę politechniki i koszar.

Noc była ciepła, jeszcze letnia. Było cicho, wciąż paliły się latarnie. Raz przejechał samochód, dwa razy dorożka, raz nocny tramwaj przecinający Koszykową z Chałubińskiego. Spojrzałem w głąb salonu na stojący zegar, czwarta, a więc do świtu jeszcze prawie dwie godziny. Wróciłem na balkon i zobaczyłem go znowu.

Unosił się nad politechniką i patrzył na mnie. Oczy mu płonęły, śpiewał, wołał mnie.

Jestem Jonaszem – pomyślałem.

Jestem Jonaszem. Z utrapienia mego wołam do ciebie, Panie.

Nagle zadzwonił telefon. Odwróciłem się od kaszalota. Podbiegłem, aby odebrać, ale przy aparacie był już Jakub, pojawił się jak spod ziemi, ogolony, pachnący wodą kolońską, w garniturze i elegancko zawiązanym krawacie.

Odebrał. Ja nie zdążyłem.

– Halooo? Tak. Świetnie. Już jedziemy.

Za nim do salonu weszła Ryfka, w zmiętej sukience i potarganych włosach.

– Puszczają go...? – zapytała.

– Puszczają. Jak zawsze.

– Gdzie go trzymali?

– Tak jak mówiłem, w dwunastym. Na Daniłowiczowskiej.

Do salonu wkroczył Radziwiłek, zręcznie usiadł na wysokim stołku przy barze. Był tylko w mundurowych spodniach i rozchełstanej koszuli. Podrapał się przez koszulę po brzuchu.

– Jajecznica a kawa! – ryknął nagle, jakby wypowiedzenie tych słów normalnym głosem było niedopuszczalne przed świtem.

– Puszczają Kuma. Trzeba jechać – powiedział Szapiro.

– Mogą i cesarz japoński puszczać. Ja pośniadam wpierw – odparł doktor.

Pomyślałem, że Jakub próbuje wyczytać z tonu głosu Radziwiłka coś więcej.

– Wszyscy może zjemy – zakończyła spór Ryfka. – Nie potrwa to długo. A jak się Kasia czuje, Doktorze?

– Śpi – rzucił.

– Zjedzmy więc – powiedział Szapiro, a ja wiedziałem, że była to zgoda płynąca po trosze z bezradności, służąca tylko temu, by nie stracić twarzy w tym małym spięciu z doktorem.

W kuchni jeszcze nikogo nie było, więc Ryfka sama poszła przyrządzić kawę i jedzenie.

– Idź, zobacz co u Kasi – polecił mi Szapiro.

Wstałem, poszedłem, ciągle jakby niezauważany, przeoczany, niedostrzegalny. Nie pamiętam, czy Szapiro poszedł ze mną. Wydaje mi się, że poszliśmy tam razem, owszem. Zapaliłem światło w pokoju. Albo Jakub zapalił.

Kasia leżała w krwawej pościeli, na plecach, naga i sama też krwawa.

Krew zaschnęła grubą skorupą na jej pulchnych udach. Twarz miała zmasakrowaną, perkaty nosek złamany, oczy podbite, powieki nabiegłe krwią, jakby właśnie zeszła z ringu, napuchnięte tak, że bez wątpienia nie była w stanie ich otworzyć.

Szapiro dotknął jej szyi.

– Żyje – mruknął. – Ale ledwie.

Widziałem, jak wzbiera w nim gniew, rodzi się w brzuchu, pod splotem słonecznym, mała, twarda, czarna kulka, która powoli rośnie, aby nagle eksplodować, wypełnić całe ciało, uderzyć do głowy, do gruczołów, ścisnąć przeponę.

– Zabiję skurwysyna – warknął, odwrócił się na pięcie i ruszył do salonu, wpadł tam jak byk wpada na arenę corridy i rzucił się na Radziwiłka, uderzył pięścią w doktorski łeb, Doktor spadł z hokera przy barze, a Szapiro dopadł go na podłodze, Doktor otrzeźwiał szybko, odepchnął boksera, poturlali się razem, okładając się pięściami, i nagle obaj zastygli w bezruchu, jak skamieniali.

– Nu, maładiec, drgnie tylko, a Eduard ci łeb przestrzeli – wysapał przyciśnięty do podłogi Doktor.

Potylicy Szapiry dotykał wylot lufy. Lufa prowadziła do pistoletu parabellum. Parabellum tkwiło w dłoni Eduarda Tiutczewa. W drugiej dłoni Tiutczew ciągle trzymał tomik poezji Gumilowa, założywszy palcem miejsce, w którym przerwał lekturę. Zamierzał zaraz do niej wrócić. W sercu Tiutczewa nie było nic, ani strachu, ani żądzy mordu, ani gniewu, zupełnie nic. Serce Tiutczewa było puste.

Z drugiej strony szyi Szapiry dotykało ostrze brzytwy, której uchwyt znajdował się w wypielęgnowanej dłoni Radziwiłka. Naciął już skórę, po ostrzu ściekała kropelka krwi.

– Uspokoił się, uspokoił? – pytał Doktor.

– Uspokoił – powiedział w końcu Szapiro, rozłożył ręce i powoli zlazł z Doktora, wstał, cofnął się. Tiutczew też się cofnął, ale nie schował broni do kabury.

Doktor wstał również. Wytarł brzytwę w serwetkę, złożył, schował do kieszeni.

– Cieszy się, żem nie zabił – powiedział spokojnie. – I przeprosi. Natychmiast.

– Spierdalaj, Radziwiłek – odparł Szapiro.

– Bardzo mnie to nie podobać się. Jakby ja zabił, to nie słuchałby plugawe słowa. Cieszy się, że ja nie zabił – oświadczył Doktor, wstał, gestem zezwolił Tiutczewowi się oddalić, otrzepał się z wyimaginowanego kurzu i wrócił do baru, do kawy. – Kiedy ta jajecznica będzie?

Szapiro stanął przy barze, obok Radziwiłka. Z kuchni pachniało już podsmażanym boczkiem i kawą.

– Ja ci tego, łajdaku, płazem nie puszczę – wyszeptał.

Radziwiłek wzruszył ramionami. Ryfka wróciła z jajecznicą i kawą, postawiła jedzenie na barze.

– Idź do Kaśki – szepnął Szapiro, spuszczając wzrok. – Zadzwoń po karetkę najpierw. Do szpitala trzeba ją zabrać.

– Właśnie ze szpitala dzwonili.

– Co?

– Maryla. Klient. Na wyjeździe była, właśnie się dowiedziałam.

– Kurwa mać...! – wściekł się Jakub. – Co to jest, pomór jakiś?

– Zawsze tak jest – odparła Ryfka. – Może na filtrach coś do wodociągu dolewają, bromu czy tam czegoś, i wszystkim masowo w Warszawie chuje stawać nie chcą, a jak nie stają, to się dziewczynom obrywa. Co, Doktorze? Nie stanął? Trzeba było laleczkę potłuc?

Doktor wzruszył ramionami i jadł dalej ze smakiem swoją jajecznicę, wysysając skwarki przed połknięciem. My nie jedliśmy. Szapiro napił się tylko kawy, wziął płaszcz, z szafki za barem wziął też aparat fotograficzny, małą, zgrabną leicę.

Ryfka splunęła na podłogę.

– Oby ci korzeń usechł, bydlaku, oby cię w dupę wyruchali – przeklęła Radziwiłka cicho. Doktor słyszał przekleństwo, ale nie zareagował.

– Jedziemy – powiedział Szapiro.

Przy drzwiach minęliśmy Tiutczewa. Czytał. Podniósł wzrok znad książki i przyglądał się Szapirze smutnymi oczami bez złości, raczej z zaciekawieniem.

Zeszliśmy na dół. W ciemnościach na godzinę przed świtem zaczynał się powoli ruch. Chrześcijańscy robotnicy zmierzali do fabryk. Koszykową przechadzał się policjant. Wsiedliśmy do buicka i pojechaliśmy na Daniłowiczowską przez budzące się powoli miasto.

Kaszalocie oczy mogą się chować w głąb ciała i wysuwać na zewnątrz, zmieniając pole widzenia zwierzęcia. Nawet kiedy płoną. Widziałem go, gdy jechaliśmy Marszałkowską, płynął nad nami, potem zatrzymał się nad Ogrodem Saskim, kiedy skręciliśmy w Królewską, i straciłem go z oczu, bo dniało.

Zamajaczył mi jeszcze nad więzieniem, kiedy wjechaliśmy w Daniłowiczowską, i nad kominami mydlarni Pulsa widziałem cień jego potężnego cielska, taneczny i powolny rytm płetwy ogonowej.

Zaparkowaliśmy pod XII Komisariatem, mieszczącym się w dawnej bóżnicy.

Szapiro wyciągnął z kieszeni pistolet, schował pod siedzenie. Wysiedliśmy. Kaszalota już nie było, zostało tylko jego ogniste spojrzenie, jego wbity we mnie wzrok.

Weszliśmy na komisariat. Kum czekał na nas w holu, siedział na krzesełku założywszy nogę na nogę, czytał gazetę.

Zastanawiałem się, dlaczego nie wyszedł sam, skoro jest już wolny. Mógł przecież wyjść przed komisariat, wziąć dorożkę albo taksówkę i pojechać, gdzie by chciał.

Mógł, ale nie chciał. I zaczynałem to już wtedy jakoś rozumieć. Kaplica był monarchą i potrzebował monarchicznego traktowania.

– Przyjaciele moi! – zakrzyknął wesoło na nasz widok i podniósł się z krzesła.

Policjant zasalutował, kiedy wychodziliśmy, wsiedliśmy wszyscy do Jakubowego buicka i pojechaliśmy do willi Kuma, na rogu Puławskiej i Domaniewskiej. Jechaliśmy w milczeniu, Kum był zmęczony, nie odzywał się, przypatrując się ulicom budzącego się miasta.

– Mam adres tego oficerka emeryta – powiedział Szapiro, kiedy dojechaliśmy na miejsce.

– Tego od wyrzucenia Żydów z wojska? Tego, co go Doktor chciał?

– Tego właśnie. Kobielska osiem, mieszkanie osiem. Bobiński mi dał, bo oni się teraz z Piaseckim nie lubią, a ten oficerek, okazuje się, od Piaseckiego jest, mimo że go w „ABC" publikowali.

– No to będziesz go musiał odwiedzić, Kuba.

– Zrobi się. Dzisiaj. Najpierw muszę coś załatwić na Żoliborzu, potem pojadę po oficerka na Grochów. Doktor Radziwiłek natomiast skatował Kaśkę – Szapiro zmienił temat, przypominając sobie o pobitych prostytutkach. – Do szpitala trzeba było wysłać. Leży na sali razem z Marylką.

Kum rozłożył bezradnie ręce.

– Jeśli zrobi to jeszcze raz, to go zabiję – warknął Szapiro. – Niech mu Kum powie. Zastrzelę jak sobakę. Nawet nie będzie wiedział, co go trafiło.

– Nie zastrzelisz, Jakub, nie zastrzelisz – mruknął Kaplica, wysiadając. – Chyba że dostaniesz taki rozkaz. Wtedy będziesz strzelał. Dobrego dnia tymczasem, synku, ja muszę sobie odpocząć teraz, nie będzie mnie dziś na mieście.

Szapiro pokręcił głową, widziałem, jak wrze w nim gniew, gdzieś w brzuchu, pod żebrami, paruje do głowy. Ale nie zrobił nic.

Ja też nie. Siedziałem po prostu na tylnej kanapie buicka, niewidoczny, mały Mojsze Bernsztajn, taki mały ja, taki nikt.

Jakub wrzucił bieg, zawrócił i ruszył na Żoliborz.

7

DALET

Pamiętam, tak dobrze pamiętam, jak stoimy pod drzwiami żoliborskiego, inteligenckiego mieszkania. Szapiro wciska guzik elektrycznego dzwonka. Na szyi zawiesił leicę. Po chwili drzwi, zablokowane łańcuszkiem, uchyla chłopczyk na oko dziesięcioletni, w pięknym marynarskim ubranku. Jakub waha się przez sekundę, ale tylko przez sekundę.

– Jest ojciec?

– Śniada – odpowiada chłopczyk.

– Odsuń się – komenderuje Jakub, chłopiec nie rozumie, ale się odsuwa, Jakub kopie w drzwi, łańcuszek pryska, chłopiec krzyczy, a my wbiegamy do mieszkania, ja za nim, jak zawsze, jak cień.

Mieszkanie zamożne, ale nie bogate, nowoczesne, salon, dwie sypialnie, kuchnia – wpadamy od razu do kuchni, z której kobiecy i męski głos krzyczą na syna, co to za hałasy.

Siedzą przy stole, mężczyzna w krawacie, ale bez marynarki, wysoki, dość przystojny, przedwcześnie postarzała kobieta i córka z warkoczykami. Nie zdążyli się zorientować, co się dzieje, Jakub ma w dłoni nóż sprężynowy, podbiega do mężczyzny, bierze szeroki zamach zza głowy i wbija mu nóż w dłoń, przygważdżając ją do blatu stołu.

Wszyscy wrzeszczą. Wtedy Jakub wyciąga pistolet.

– Zamknąć mordy, inteligencka swołoczy – mówi cicho i jest coś takiego w jego głosie, straszna groźba, że milkną. Mężczyzna z ręką przybitą do stołu trzęsie się, drugą dłonią obejmuje unieruchomiony nadgarstek i czuje, że na spodniach w kroczu rośnie mu ciepła, ciemna plama.

– Przyprowadź tu tego gnojka – nakazuje Jakub kobiecie. – Jeśli uciekniesz, to nie zobaczysz swojej córki żywej.

Kobieta wraca po kilkunastu sekundach. Ogarnia dzieci ramionami, wciska się z nimi w kąt jasnej, nowoczesnej kuchni. Dzieci nie płaczą, wtulają się twarzami w jej suchą klatkę piersiową, prawie nie oddychają.

Kobieta sprawia na mnie wrażenie kogoś przyzwyczajonego do przemocy. Dzieci też. Miałem takich kolegów w chederze, których ojcowie bijali częściej i mocniej niż pozostałych. Można ich było rozpoznać po tym, jak przyjmowali lanie od mełameda, bez sprzeciwu, bez wrzasków, z pustymi oczami, jakby opuścili swoje ciała.

– Coś zrobił...? – pyta cicho i rozumiem od razu, że pyta o to męża.

Mąż milczy, Jakub też ignoruje jej pytanie.

Chwyta mężczyznę lewą ręką za wypomadowane włosy na ciemieniu, chowa pistolet, prawą wsuwa w kastet i uderza.

Pierwszym ciosem łamie mężczyźnie nos. Drugim wybija przednie zęby. Uderza tak, żeby nie ogłuszyć, chce, żeby czuł. Trzecie uderzenie znowu w nos, kość wcześniej złamaną gruchocze, miażdży, nos mężczyzny zmienia całkowicie kształt, wygina się w literę c, puchnie w oczach. Krew leje się dwoma wartkimi strumieniami, na krawat, na białą koszulę i na jajka sadzone.

Czwarte uderzenie nie następuje, nie musi. Mężczyzna leży twarzą na stole, nieprzytomny.

– Pani mąż, a wasz ojciec, drogie dziatki, był wczoraj w burdelu pod naszą opieką, u Ryfki Kij. Był tam chyba pierwszy, a na pewno ostatni raz. Nie był zadowolony z usług naszej dziewczyny, bo ta nie chciała dać się jebać w dupę, więc uderzył ją kilkakrotnie w twarz, wybijając jej zęby i łamiąc nos. Pomyślałem, że udzielę mu lekcji dobrego wychowania. Wy, Polacy z dobrych domów, cenicie dobre wychowanie, prawda?

– Zrób fotografię – polecił mi, podnosząc zmasakrowaną głowę pana domu za włosy.

Nie znałem się na fotografii, ale zrobiłem. Albo Jakub zrobił sam. Nie pamiętam. Jakub puścił łeb swojej ciągle nieprzytomnej ofiary i wyrwał z jej dłoni nóż.

– Macie telefon?

Kobieta o zaciśniętych ustach kiwa głową.

– W salonie – szepcze.

Jakub idzie do salonu, wybiera numer.

– Daj Ryfkę – rzuca do telefonu.

– Ryfka, skurwysyn dostał, co mu się należało. Powiedz Marylce. Dostanie też zdjęcia. Tak, Ryfka, wiem. Wiem, że zostałaś bez dziewczyn. Wiem, że jemu też się należało. Tak. Ryfka, nie każdemu można wpierdolić i urżnąć chuja, niestety.

Odkłada słuchawkę, po czym wyrywa kabel z aparatu.

– Zwijamy się – rzuca do mnie i wychodzimy, zbiegamy ze schodów, wsiadamy do buicka.

– Jedziemy na piknik, mój drogi – rzuca wesoło, ale gdzieś pod powierzchnią tej wesołości, gdzieś bardzo głęboko słyszę drżenie. Jakub się boi. To nie jest fizyczny strach, fizycznie Jakub Szapiro nie boi się nikogo ani niczego na tej ziemi, Jakub Szapiro nie boi się Hitlera razem z jego Legionem Condor, walczącym w Hiszpanii przeciwko Republice. Jakub Szapiro nie boi się Franco, Stalina, Rydza-Śmigłego. Nie boi się rekinów ani niedźwiedzi, nawet polarnych. Nie boi się kul, noży i pałek, ani tych, którzy nimi władają.

Jakub Szapiro jednak czegoś się boi.

Uśmiecha się, mówi o wyjeździe na piknik, a jednocześnie myśli o synach.

Myśli o Morycu, swoim bracie. O Emilii, swojej żonie. Myśli o niewinnych.

Kolejna cienka warstwa ciemnej substancji odkłada się na czarnej perle w brzuchu Jakuba. W tej warstwie chrupot kości twarzy mężczyzny z mieszkania na Żoliborzu, jego strach, przerażenie jego dzieci i żony, w tej samej warstwie prostytutki Maryla i Kasia, pobite, zmasakrowane.

Marylkę Jakub pomścił, Kasi nie mógł.

– Giewalt fa giewalt. Andesz kien dus nysz zaan![27] – mówi do siebie Jakub, kiedy siedzimy już w samochodzie i jedziemy po Emilię i chłopców. Mówi, jakby sam siebie próbował przekonać do praw, według których żył całe życie.

Kilka dni później Marylka dostaje fotografie. Leży w białej, wykrochmalonej pościeli Szpitala Starozakonnych na Czystem, przy łóżku stoją Ryfka i Jakub i stoję ja, Marylka ma w rękach fotografie o brzegach ozdobnie wycinanych, widać na tych fotografiach człowieka, który ją pobił, i jest on pobity bardziej niż ona. Marylka kiwa obandażowaną głową, oddaje zdjęcia.

– Dziękuję – szepcze.

I nagle rozumiem, że to ujęło jej bólu. Rozumiem i nie rozumiem jednocześnie, ale wiem to, widziałem, zaobserwowałem. Fotografie zmniejszyły jej cierpienie, chociaż przecież nie to fizyczne. Ale jakieś zmniejszyły.

To dzieje się kilka dni później. A tego samego dnia, w którym mścimy się za Marylkę, musimy wedrzeć się do jeszcze jednego mieszkania, musimy dalej obracać to śmiertelne koło, nieść przemoc i przyjmować przemoc, jak w boksie, otrzymujesz cios, oddajesz, zjadasz, a potem ciebie coś zjada, pochodzisz od Boga i wracasz do Boga, pochodzisz z ziemi i wracasz do ziemi, kiedy jedzą cię mikroby, to jest przemoc, i kiedy zgniatasz pająka, to jest przemoc, wszystko jest przemocą – więc pojechaliśmy odwiedzić jeszcze jedno mieszkanie, z Żoliborza na Grochów, po drodze zabierając Munję z paszteciarni, i po chwili staliśmy pod plugawymi raczej drzwiami z numerem 8, na drugim piętrze kamienicy przy ulicy Kobielskiej na Grochowie. Nie byliśmy u siebie. Musieliśmy uważać.

Munja, który przyjechał tu z nami, został na czatach przy samochodzie, z dłonią w oczywistym geście zaciśniętą na kolbie schowanej w kieszeni maszyny; widzę go przez okno klatki schodowej, mały, czujny szczurek, gotów ukąsić. Szapiro i ja pod drzwiami. Szapiro z teczką, w nowym garniturze od Zaremby i w lekkim, angielskim prochowcu ściągniętym paskiem w talii, ja też elegancko ubrany.

Mimo wczesnej pory paru łebków po drodze przyglądało nam się uważnie, teraz stoją w bramie, ale potrafią rozpoznać mocnego, więc żadnemu nie przychodzi do głowy podejść do zaparkowanego na Kobielskiej buicka, skoro straż przy nim pełni ostentacyjnie uzbrojony Munja.

Szapiro odstawia na chwilę teczkę i zakłada rękawiczki z cienkiej, czarnej skóry, aby ukryć hebrajski tatuaż z mieczem na prawej dłoni i puka

do drzwi. Po chwili drzwi się uchylają, zamknięte jednak ciągle na łańcuszek. Przez szparę wygląda nieogolony, zaspany łeb faceta w podkoszulku.

– Czy pan porucznik Zieliński? – pyta Szapiro.

– A kto pyta? – pytaniem odpowiada zaspany łeb.

– Proszę pana, jestem Mróz, redaktor Mróz, z gazety „ABC". Opublikowaliśmy w lipcu pański list w odpowiedzi na naszą ankietę o wykluczeniu Żydów z wojska, spotkał się z bardzo życzliwym przyjęciem i chcielibyśmy z panem porozmawiać o dalszej współpracy.

– Mróz, z „ABC", tak? Jakoś sobie nie przypominam… – porucznik Zieliński nie jest już zaspany, przygląda się podejrzliwie.

– Z „ABC". Od niedawna jestem w stolicy, wcześniej działałem we Lwowie. Przysyła nas doktor Zaleski. Mamy też dla pana to zaległe honorarium. W gotówce. – Szapiro wyciąga z kieszeni kopertę, a ja podziwiam jego zapobiegliwość. – Możemy wejść?

– A to jakieś honorarium miało być?

– Miało, oczywista rzecz, tylko przez niedopatrzenie to opóźnienie karygodne. Dlatego stawiam się z nim osobiście, żeby pana przeprosić jeszcze.

Porucznik waha się jeszcze chwilę, przygląda się Jakubowi, pewnie frapuje go semicka uroda Szapiry, jednak odryglowuje łańcuszek.

– Proszę. Tylko u mnie bałagan straszny, starokawalerski, wybacz pan.

Wchodzimy. Mieszkanie jest maleńkie, jeden pokoik, stół, dwa krzesła, brudny barłóg, umywalka. Toaleta na klatce, wspólna.

Dopiero teraz dostrzegam, że porucznik Zieliński porusza się o kuli. Ma jakieś czterdzieści lat, jest bardzo chudy i zaniedbany. Prawa nogawka jest zawinięta i przypięta agrafką dziesięć centymetrów pod kolanem. I widzę nagle w oczach Szapiry wahanie. Mimo że wcale nie widzę jego oczu. Po prostu wiem, że na widok tej nogi z zawiniętą nogawką Jakub się waha. Pięść zacisnął już na ukrytym w kieszeni kastecie, ale teraz rozluźnia palce, puszcza mosiądz.

– Proszę siadać – wskazuje Jakubowi krzesło przy stole.

Jakub siada, ja stoję przy oknie, skromnie, jak trzeba.

– Nie częstuję niczym, bo nic nie mam – mówi Zieliński. – Skoro pan dajesz jakieś honorarium, to sobie kupię coś do jedzenia, herbatę, wódki trochę. Tak że dobrze, żeś pan przyszedł. Dziwiłem się, że panowie opublikowali, skoro ja jestem raczej bepista, a tutaj „ABC”… A że płacicie, to się jeszcze bardziej dziwię, ale każdy pieniądz się przyda.

– Nie kochamy się za bardzo ostatnio, ale przecież narodowa sprawa ważniejsza niż frakcyjne spory. – Szapiro grał jak z nut, jak rasowy aktor. – Takie małe gesty liczą się bardzo, kiedy trzeba odbudować jedność ruchu narodowego. A czemu pan to do nas wysłałeś, do „ABC”?

– Bo „ABC” ktoś przynajmniej czyta, a te nasze falangistowskie gazety, daj pan spokój…

– Pańska noga…? – zapytał Szapiro. – Nie wiedzieliśmy…

– Pisałem, że jestem inwalida wojenny. Pod Komarowem, postrzał, rana niewielka, gangrena, odjąć było trzeba.

– Gdzie pan służyłeś? – dopytywał Szapiro.

– W czterdziestym piątym pułku strzelców kresowych. Pan też weteran? – odparł Zieliński

– Dwudziesty pierwszy piechoty. Plutonowy.

– „Dzieci Warszawy”… – pokiwał głową Zieliński.

– Uhm. Krzyż Walecznych dali.

– Możeś im pan do tego dobrze wyglądał – zaśmiał się Zieliński.

– Jak to? – nie rozumiał Szapiro.

– No pan masz taką trochę semicką kompleksję, nie? Uszedłbyś pan za Żydka, proszę wybaczyć. Proszę się nie obrażać, ja wiem, że pan jesteś dobry Polak, pan dużo dobrego dla Polski tym pisaniem w „ABC” robisz, ja tylko o urodzie mówię – tłumaczył nieco skonfundowany Zieliński.

Szapiro zamilkł. Gapił się na porucznika rencistę i milczał.

– To jak z tym honorarium? – zainteresował się Zieliński. – Bo wiesz pan, rentę mnie taką dali, że żyć się nie da. Na jedzenie nie starcza. Nie dojadam. Inwalida wojenny, weteran, a nie dojadam, takie mamy żydowskie porządki w Polsce.

– Nie jestem z „ABC” – powiedział nagle Szapiro, patrząc Zielińskiemu w oczy.

– Co? – zdziwił się porucznik.

– Nazywam się Jakub Szapiro.

– Szapiro… – Zieliński zaczął nagle rozumieć.

Jakub wstał. Wyciągnął z kieszeni kastet, nie ściągając cienkiej rękawiczki starannie założył go na prawicę.

Zieliński nie był durniem. Szybko połączył fakty. Równie szybko zdał sobie sprawę, że nie ma szans w fizycznej konfrontacji z tym ważącym sto kilogramów Żydem. Nie miałby szans nawet na dwóch nogach, nie mówiąc już o tym, że właśnie zauważył, iż kieszeń płaszcza wybrzusza się w oczywisty sposób.

Nie ruszał się więc ze swojego stołka, siedział i przyglądał się Szapirze. Domyślałem się jego wściekłości na samego siebie. Zwiedziony wizją koperty tak łatwo uwierzył, że ten rosły typ o urodzie w oczywisty sposób żydowskiej i chuligańskiej jednocześnie może być redaktorem „ABC”.

– Inwalidę wojennego będziesz bił? Bo żeś żołnierz, to akurat prawda, to widać – powiedział.

Szapiro stał przed nim i widziałem, że się waha.

Nie zawahał się, podrzynając gardło Naumowi Bernsztajnowi. Nie zawahał się ani na moment. A dziś się wahał. Chociaż nie przyszedł tu zabijać. Wahał się uderzyć porucznika Zielińskiego.

Sięgnął lewą, nie spętaną kastetem dłonią do kieszeni, wyciągnął wycinek z gazety.

– „ABC. Nowiny Codzienne” z siódmego lipca: „Należy żydów jednocześnie pozbawić pełni praw obywatelskich oraz obciążyć pogłównem, z zamianą na obowiązek pracy przymusowej na rzecz państwa w wypadku uchylania się od pogłównego, jako ekwiwalentu służby wojskowej”?

Zieliński przełknął ślinę.

– Jak się pan nie zgadzasz z tym, co tam napisane, to pan polemikę napisz do którejś z tych waszych gazet, a nie do autora z kastetem, nie? Czy to takie wasze żydowskie obyczaje? – odparł.

– „Przydzielenie Żydom robót ziemnych ma na celu osiągnięcie maximum korzyści przy minimum kosztów. Do zorganizowania robót

ziemnych potrzebne są tylko łopaty i kilofy, parę starych kotłów, deski na barak i dużo drutu kolczastego" – czytał dalej Szapiro i nagle zrozumiałem, po co to robi.

Czytał to, żeby wzbudzić w sobie wściekłość potrzebną do tego, by zrobić Zielińskiemu to, co uważał, że zrobić mu powinien.

Ale by zarżnąć Nauma Bernsztajna, nie musiał wzbudzać w sobie niczego. Nauma Bernsztajna, mojego ojca, zabił tak, jak ludzi zabija powódź, ogień, wiatr albo piorun. Tak, jak תוום, którą miał na prawicy wytatuowaną. Jak śmierć.

– Dużo drutu kolczastego, kurwo jedna? – zapytał Szapiro, zaciskając palce na kastecie.

Wściekłość wzbierała w nim tak, jak wzbierają fale rozkoszy, gdy porusza się w ciele kobiety.

– Drutu kolczastego dużo ci potrzeba, chuju? – powtórzył, podniecając powoli własny gniew.

Podał Zielińskiemu wycinek.

– Czytaj – rozkazał. – Ostatni ustęp. Organizacja Obozów Pracy. Czytaj, kurwo.

– „Organizację obozów pracy przymusowej dla żydów proponuję powierzyć młodym emerytom W.P., zarówno oficerom, jak i podoficerom. Do nadzoru pracy żydów użyć należy wysłużonych podoficerów. Da to gwarancję, że żydy muszą pracować solidnie, bez żadnych wykrętów" – oficer przeczytał drżącym głosem.

Szapiro zrobił krok w jego stronę.

– I co, chciałbyś mnie zamknąć w obozie? Jak jakiegoś Hotentota? – zapytał. – Chciałbyś sobie popilnować? Do roboty pozaganiać?

– Rób, co musisz, parchu, tylko oszczędź mi już tego pierdolenia – odpowiedział Zieliński, unosząc głowę. – Jeszcze się doczekasz, że was wszystkich zamkniemy za drutami.

Szapiro uderzył. Tylko raz, krótkim, prawym sierpem w lewą skroń. Zieliński z hukiem zleciał z krzesła i nieprzytomny padł na podłogę.

– Bierzemy go – powiedział do mnie Szapiro.

I wzięliśmy. Albo sam go wziął, nie pamiętam, Zieliński był chudy jak szczapa, poza tym nie miał nogi, zawsze to parę kilogramów do noszenia mniej.

Z Zielińskim na ramieniu Szapiry zeszliśmy na dół.

– Otwórz kufer – polecił Munji Jakub, wychodząc na ulicę.

Munja był zaskoczony, ale bez ociągania się otworzył bagażnik, po czym na wszelki wypadek wyjął z kieszeni browninga. Jakub wrzucił Zielińskiego do bagażnika, którym nie tak dawno podróżował ku swojemu kresowi mój ojciec Naum Bernsztajn, po czym sięgnął w głąb i wyjął zwój drutu kolczastego, który tam zawczasu schował, i skrępował nim emerytowanemu oficerowi Wojska Polskiego ręce za plecami.

– Masz, chuju rybi, swój drut kolczasty – powiedział i zatrzasnął klapę.

Wsiedliśmy do buicka, a kiedy odjeżdżaliśmy, ruszył za nami jeden z wystających w bramie łebków na zbyt dużym dlań rowerze.

Skręcił za nami w Rębkowską, wciąż nadążając, z Rębkowskiej w prawo w Grochowską, tam Szapiro wcisnął gaz i urwaliśmy się mu bez trudu.

– I tak nas znajdą – mruknął Munja.

– Pokluczymy trochę – odpowiedział Jakub i z Grochowskiej skręcił w aleję Zieleniecką, z której pojechał prosto na Most Poniatowskiego.

Kiedy przecinaliśmy Wisłę, spojrzałem w górę rzeki i ujrzałem go znowu. Unosił się w powietrzu nad Portem Czerniakowskim, prawie pionowo, ze zwisłym bezwładnie ogonem, wielki jak autobus, szary. Spał.

Szapiro otwarł przepustnicę, buick ryknął ośmioma cylindrami i wtedy Litani otworzył jedno oko i to oko zapłonęło.

Kaszalot spojrzał na nas i ujrzał nas, ujrzał nas takimi, jakimi byliśmy, Munję, Szapirę i mnie. Szapiro rzucił okiem przez lewe ramię i nagle z całej siły wcisnął hamulec, tak mocno, że Munja walnął twarzą w zegar w pokrywie schowka na rękawiczki, a Zieliński bezwładnie uderzył w przegrodę oddzielającą bagażnik od części pasażerskiej, ja zdążyłem się oprzeć o fotel pasażera i wyszedłem bez szwanku.

Opony zapiszczały, buick zatańczył i zatrzymał się.

Szapiro włączył neutralny bieg, wcisnął pedał hamulca i patrzył przez okno, jak urzeczony.

Wtedy zrozumiałem, że też go widzi.

Litani patrzył na nas jednym okiem i otworzył paszczę, i zaśpiewał.

Nie rozumiałem słów, ale wiedziałem, o czym jest ta stara pieśń i Szapiro też wiedział.

Litani śpiewał o swej władzy i swej potędze z głębokości. Czy ktoś nadzieje mnie na hak, czy ktoś język mój obwiąże liną? Czy szydłem przebije mi nozdrza, czy ktoś uczyni mnie swoim niewolnikiem?

Wszystko pod niebem należy do mnie, nikt nie założy mi wędzidła.

– Kurwa mać twoja zasrana! – wrzasnął Munja płaczliwie.

Z nosa płynęła mu krew.

– Zawrzyj twarz – warknął Szapiro i nie patrząc nań nawet, rzucił mi chusteczkę z kieszeni marynarki.

– Po coś hamował, chuju rybi, tak bez ostrzeżenia?! – darł się dalej Munja.

Litani wciągnął oczy w głąb ciała, przewalił się przez prawy bok, machnął wielką płetwą ogonową i popłynął przez powietrze w dół Wisły, w stronę Saskiej Kępy i Gocławia.

– Nos mam złamany, kurwa, chujów tysiąc, nos sobie o ten pierdolony sikor automobilowy złamałem! – krzyczał Munja.

Szapiro wolno odwrócił się na siedzeniu, a potem nagle, zanim Munja zdążył spostrzec, co się dzieje, miał do czoła przyciśniętą lufę Jakubowego pistoletu, małego colta 1903 z perłowymi okładzinami rękojeści, które przebłyskiwały spod palców Szapiry.

– Otwórz mordę nieproszony jeszcze raz, a wylądujesz, szczurze, w bagażniku obok tego skurwysyna – wyszeptał strasznym głosem Jakub.

Znowu widziałem, czułem czarną kulkę gniewu uciskającą, pulsującą pod przeponą. Wiedziałem, że może wybuchnąć w każdej chwili.

Munja uniósł ręce.

– Spokojnie, szefie, już…

Szapiro odwrócił się, schował pistolet do kieszeni, położył ręce na kierownicy.

Trąbiąc wniebogłosy, minął nas mały, ciężarowy opel, a ja widziałem, że Jakub przez sekundę rozważa, czy za nim nie pognać, nie dogonić, nie

zajechać drogi, nie wyciągnąć kierowcy z szoferki i nie zatłuc, skopać na śmierć.

Ale nie pognał.

Odetchnął głęboko, wysprzęglił, pociągnął dźwignię zmiany biegów do siebie i powoli ruszył mostem w dół, prowadził i oddychał głęboko, starając się uspokoić.

Z mostu skręcił w Solec, z Solca za kościołem w Wilanowską i zaparkował pod kamienicą pracowników Banku Polskiego u zbiegu Wilanowskiej właśnie, Czerniakowskiej i ulicy Okrąg.

Munja spojrzał nań pytająco, ciągle przyciskając chusteczkę do nosa.

– Kiedyś tu mieszkałem. Na Wilanowskiej. Jeszcze z Ryfką. W takim pięknym, jasnym mieszkaniu, okna wychodziły na ulicę i kościół. Nikt mnie nigdy nie kochał tak, jak ona mnie wtedy w tym mieszkaniu kochała – powiedział niespodziewanie cicho, do siebie, a jednak do nas.

– Szefie, i po to tu przyjechaliśmy? Dla wspomnień i sentymentów?

– Zadzwonić muszę. Pilnuj auta – wyjaśnił Jakub, otrząsnąwszy się nagle ze wspomnień.

Skinął na mnie, wysiedliśmy. W kamienicy była publiczna rozmównica, o której nie wiedziałem, ale Szapiro wiedział. Poszperał w kieszeni, znalazł dwadzieścia groszy, wrzucił do aparatu, zadzwonił.

– Powiedz Kumowi, że będziemy za dziesięć minut z szorią. Żywy jest. Zrób miejsce na zapleczu, żeby go trzymać – rzucił do słuchawki bez powitań i przedstawiania się, a rozłączył się bez pożegnania.

Wróciliśmy do auta.

Munja oddał Szapirze zakrwawioną chustkę.

– W dupę se ją wsadź – doradził mu życzliwie Jakub i ruszyliśmy Czerniakowską do Książęcej, potem Nowym Światem i Krakowskim dalej, przez Tłomackie na Leszno.

Szapiro zaparkował pod paszteciarnią Sobenskiego. Razem z Munją wzięli pod ramiona przytomnego już porucznika Zielińskiego i wciągnęli do lokalu.

W środku przy stoliku siedzieli Kaplica z Radziwiłkiem, nieopodal herbatę popijał Pantaleon, na stojąco.

– No, Kuba, toś wymyślił, przynosić go tu… – powiedział Kum i wstał, aby się przyjrzeć kalece.

– Nie chciałem sam decydować.

Zieliński leżał na podłodze, na boku. Przypięta wcześniej agrafką pod kikutem nogawka odpięła się i leżała na podłodze pusta, zwiędła jak flak.

– I co, ścierwo faszystowskie, jak ci teraz, co? – zapytał Kum wesoło, podchodząc do Zielińskiego. – Wesolutko, co?

– Ja się was nie boję, skurwysyny. Możecie mnie zabić, moje życie to gówno, nie ma na tym świecie niczego, za czym miałbym tęsknić. Nic nie mam. Nie mam nogi, nie mam kobiety, nie mam przyjaciół, na kurwy mnie nie stać, zresztą i tak chuj mi nie staje od dawna, na wódkę mnie nie stać, na suchy chleb mnie ledwie stać. Tyle żeby nie umrzeć z głodu, nic więcej. Wszystko mi już zabraliście, żydowska sitwo, pijawki, wszystko. Nogę oddałem Polsce, ale okazało się, że to wasza Polska, żydowska Polska Piłsudskiego i chałaciarzy i ta Polska się na mnie odesrała. Nic nie mam. Po chuj komu takie życie? Sam bym się dawno zabił, ale to grzech. Możecie mnie zabić. Nie zależy mi. Nie boję się. Nie ujdzie wam to płazem, parchy zafajdane – odpowiedział hardo Zieliński. – Znajdzie się na was polski Hitler w końcu i zamknie was w obozach, jak w Afryce Anglicy Murzynów w obozach pozamykali, poczekajcie, a się doczekacie.

Szapiro popatrzył nań z pewnym podziwem. Trzeba było jednak wielkiej odwagi, aby przemawiać w ten sposób, leżąc na podłodze bez nogi i z rękami związanymi na plecach drutem kolczastym.

– Pierdolone, zasrane Żydy – dodał jeszcze Zieliński i splunął im pod nogi.

– A tu się mylisz, bo ja jestem Polak – powiedział radośnie Kum i kopnął jeńca w usta. – Polak, socjalista i antysemityzm mnie brzydzi. I takie małe hitlerki jak ty, ścierwo.

Zieliński wypluł strugę krwi i wybitych zębów.

– Chuj fam wszystkim na grób – wybełkotał przez zmasakrowane usta. – Żydy, fofjalisty, bofszefiki, jedno fdradzieckie nasienie.

Radziwiłek dokończył swój pasztecik, popił kawą, wstał i podszedł do Zielińskiego.

– Ja bardzo faszysta słuchać nie lubię, jak brzydko mówi, nie lubię – obwieścił.

– Zamknijcie go na zapleczu – rozkazał Kum. – Panie Sobenski, zrób pan gdzieś tam miejsce.

Pantaleon i Munja wzięli broczącego krwią Zielińskiego za związane ramiona i zaciągnęli na zaplecze.

Pamiętam to bardzo dokładnie. Jeden but wlokący się po podłodze i luźna nogawka, i krew.

– Kumie, co teraz z nim zrobimy? Do glinianki? Puścimy? Po co to wszystko w ogóle? – zapytał Szapiro.

– A mnie nie pytaj, Doktora pytaj, Doktor go chciał – rzucił Kum, wzruszając ramionami.

Szapiro zwrócił się do Radziwiłka.

– Co z nim zrobić, Doktorze?

– Ja się zajmę, nie martwi się – odpowiedział Radziwiłek. – Na razie zostawią go tu, Tiutczew go potem gdzieś zabierze, żeby tu panu Sobenskiemu nie przeszkadzał. Nie martwi się.

– Świetnie, bo ja się dzisiaj z żoną, bratem i bratową na piknik za miastem umówiłem – powiedział Jakub i było coś wyzywającego w tonie jego głosu, a może w błahości tej informacji, i było to tak wyraźne, że zauważył to nawet Kum i niezadowolony zmarszczył brwi, spojrzał karcąco na Jakuba.

Radziwiłek nie zareagował wcale, dojadł swój pasztecik, dopił kawę, wyszedł.

Za kontuarem telefon, Sobenski odebrał.

– Panie Szapiro, pani Ryfka pana prosi.

Szapiro podszedł do telefonu, sięgnął przez kontuar po słuchawkę.

– Dziękuję, Jakub – powiedziała Ryfka.

– Nie za szto – odpowiedział Jakub i odłożył słuchawkę.

Mam już dość pisania. Wstaję od maszyny. Podchodzę do okna.

Ten sam widok co zawsze. Arabski chłopiec pcha wózek, na który załadował wielką stertę mebli, starych albo stylizowanych na stare, piętrzą

się nogi z giętego drewna i pasiaste obicia foteli i kanap. Już go tutaj widziałem. Mam wrażenie, że nawet meble są tak samo ułożone jak kiedyś.

Mijają go samochody. Obok kiosku z gazetami ortodoks pali papierosa, czeka na coś. Mija go dziewczyna w mundurze, na plecach ma czarny karabin, lufą w dół.

Cisza. Okno nie przepuszcza żadnych dźwięków.

I nagle ciszę przerywa dzwonek do drzwi. Podchodzę, patrzę przez wizjer, to Magda. Otwieram.

Wchodzi.

– Jak się masz? – pyta.

Wzruszam ramionami.

Wchodzi do salonu, dotyka skóry worka bokserskiego.

– Trenujesz coś?

Ponownie wzruszam ramionami.

– Tyle, żeby do końca nie skapcanieć.

To nieprawda, wcale nie trenuję.

Przestałem, kiedy Magda odeszła. Nigdy nie pozwoliła mi powiesić w domu worka, musiałem nawet dla prostej, rutynowej techniki chodzić do klubu. Więc kiedy odeszła, poszedłem do sklepu sportowego i kupiłem worek, skórzany, niebieski, wielki, osiemdziesiąt kilogramów wagi, i zawiesiłem w salonie, na samym środku. Musiałem poprosić znajomego złotą rączkę, żeby zamontował hak w suficie, sam nie potrafię. Zamontował. Zawiesił.

Od tego czasu mijam ten worek w naszym ciasnym salonie codziennie i nigdy go nawet nie dotknąłem, a dzisiaj go dotknę. Jak tylko Magda wyjdzie.

Kiwa głową.

– Jak święta przeżyłeś?

Nie rozumiem, o co jej chodzi, więc nie odpowiadam.

– Zabrałaś mi pistolet? Mundur? – pytam.

Przygląda mi się długo, uważnie, ale nic nie odpowiada. Podchodzi do odbiornika radiowego, włącza, przestawia na fale krótkie i szuka częstotliwości.

– Kiedyś lubiłeś posłuchać Wolnej Europy, a od pierwszego stycznia przestali zagłuszać, wiesz? – pyta.

Podchodzę, wyłączam radio.

– A jak się chłopcy mają? – pytam.

Znowu mi się przypatruje. Wzdycha. Bardzo, bardzo ciężko.

– Ja tego nie wytrzymam dłużej, wiesz? – mówi. – Tego udawania. Grałam trochę w tę twoją grę, ale już dłużej nie chcę grać.

Wzruszam ramionami. Magda zabiera torebkę i wychodzi.

Jak tylko zamknęły się za nią drzwi, wyciągnąłem z szafy bandaże i owinąłem dłonie.

Szapiro pięćdziesiąt lat temu pokazał mi, jak się bandażuje ręce, i dalej bandażowałem dokładnie tak samo jak wtedy na sali Gwiazdy.

Zawiązałem. Boksowałem całe życie. Inni grali w tenisa albo w piłkę nożną, a ja boksowałem. Trochę trenowałem gówniarzy, wrzeszczałem wtedy na nich tak, jak trener wrzeszczał na smarkacza w Gwieździe pół wieku temu.

Rozgrzałem się – krążenie ramion w przód, w tył, lewa w przód, prawa w tył i na odwrót, przeskoki. Potem skakanka.

Kiedy skaczę, podskakuje mi dziadowskie sadło na brzuchu i cyckach. Śmiesznie to wygląda.

Przećwiczyłem technikę przed lustrem, jeszcze bez rękawic, żeby dobrze było widać ułożenie pięści: proste, kroki, sierpy, haki, bloki, zbicia, rotacje, uniki, potem układy i serie, wszystko. Zajęło mi to czterdzieści pięć minut i pot już płynął ze mnie strumieniami, i dostałem zadyszki, ale taką zadyszkę trzeba przetrwać, więc przetrwałem, wciągnąłem rękawice, zasznurowałem, pomagając sobie zębami. Teraz mają takie na rzepy, ale ja wolę sznurowane.

I zrobiłem dobry trening na worku. Po raz pierwszy, od kiedy odeszła. Strzelałem w worek rękawicami, aż z sufitu sypał się gips. Sąsiedzi nie odważą się poskarżyć.

No, może jednak nie waliłem aż tak energicznie, jak mi się wydawało.

A potem się obudziłem. Nie miałem zawiniętych dłoni. Śniłem tylko ten trening. I jestem zbyt zmęczony, aby zrobić go na jawie.

Ale Magda chyba była tutaj naprawdę.

Bardzo trudno mi wstać z łóżka.

* * *

Pojechaliśmy na Nalewki 40, Jakub zatrąbił, po chwili Emilia z chłopcami zeszli na dół i wpakowali się w trójkę na tylną kanapę, razem ze mną, Dawid na kolanach matki, Daniel obok mnie.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – powiedział Jakub. – Nie rozstaliśmy się w zgodzie.

– Właśnie dlatego to dobry pomysł – odpowiedziała, tak pewna siebie, jak pewne siebie są kobiety, gdy w oczywisty sposób przerastają mężczyzn w rozumieniu emocjonalnych subtelności.

Z Nalewek pojechaliśmy na Gęsią, gdzie zaraz obok cmentarza żydowskiego mieszkał Moryc, w jednym pokoju z narzeczoną. Bez ślubu. Pobiegłem po nich, zeszli po chwili, Moryc miał na sobie sportowe ubranie, pumpy, kraciaste skarpety, lekką marynarkę i kaszkiet. Jego narzeczona, świecka, żydowska i eteryczna brunetka imieniem Zofia, była w sukience w kwiaty. Ścisnęła się z nami na tylnej kanapie, Moryc siadł obok Jakuba. Podał mu rękę, na zgodę.

– Zaa nysz bajz of mijo fa de awanture[28]– powiedział pierwszy, jakby upokarzając się trochę, ale Jakub od razu zrozumiał, że odpuszczając i nie żywiąc dalej urazy, Moryc w rzeczywistości okazuje mu moralną wyższość, jak zawsze.

– Ch'wel trachtn wegn daan Erec Jisruel[29] – odparł więc, by nie pozwolić bratu umościć się wygodnie w tej moralnej wyższości człowieka idei nad ulicznym bandytą, który żyje tylko dla siebie samego.

Pojechaliśmy Okopową na Kercelak, gdzie Jakub miał sprawy do załatwienia.

Wysiedliśmy wszyscy, Emilia, Moryc i Zosia wzięli chłopców na racuchy, sprzedawane z ręki przez wiejską, zakutaną w chusty babinę, na samym skraju placu.

Jakub poszedł do knajpy Choromańczyka pobrać należne mu pieniądze, wszystko odbyło się sprawnie, w notesie pojawiły się stosowne adnotacje,

gotówka trafiła do wewnętrznej kieszeni palta i wróciliśmy do samochodu, przy którym czekali już Emilia, chłopcy i Moryc z Zosią.

– Daj poprowadzić – poprosił Moryc.

Jakub zatrzymał się na chwilę, na chwilę poczuł ciężar gotówki w kieszeni płaszcza, bandyckiej gotówki, i zrozumiał, że prośba Moryca jest rozgrzeszeniem z tego ciężaru. Moryc, prosząc o przejażdżkę, naprawdę prosił o pokój. Jakub bez słowa, za to z uśmiechem podał mu kluczyki i przez chwilę byli jak bracia, których nic nie dzieli.

– Tylko tata może autem jeździć! – krzyknął Daniel, a może Dawid, nie pamiętam który.

Jakub zaśmiał się i usiadł na siedzeniu pasażera, Moryc za kierownicą, my znów ścisnęliśmy się z tyłu i pojechaliśmy Towarową, minęliśmy Rogatki Jerozolimskie na placu Zawiszy i dalej Grójecką.

Moryc nie był dobrym kierowcą, brakowało mu doświadczenia, szarpał samochodem, ale Szapiro cierpliwie tłumaczył i objaśniał.

Jeśli nie był to pokój, to był to przynajmniej rozejm.

Na wyjeździe z Ochoty nawierzchnia się popsuła, kocie łby tonęły w błocie, przy drodze zamiast kamienic stały drewniane chaty, upstrzone tylko drutami elektrycznymi, znakiem nowoczesności.

Z szosy krakowskiej Moryc w końcu skręcił w lewo, zajechaliśmy pod lotnisko, rozłożyliśmy się na trawie z jedzeniem i piciem.

Moryc z Zosią przywieźli sandwicze i białe wino, Jakub miał pakunek od Choromańczyka, Emilia wzięła gefilte fisz. Jedliśmy i pili wszyscy.

– W przyszłym roku wyjeżdżamy – powiedziała nagle Zosia.

Przyglądałem się jej. Była bardzo piękna, młodsza i szczuplejsza od Emilii i obiektywnie rzecz biorąc, pewnie była od niej ładniejsza, mnie jednak Emilia podobała się bardziej.

– A gdzie wyjeżdżacie? Na długo? – zainteresował się Jakub.

– Na zawsze. Do Palestyny. W lutym.

– No, w każdym razie chcę jeszcze ten ostatni semestr zaliczyć – dodał Moryc.

– Mimo getta? – zapytała Emilia. – Po tym, jak to w zeszłym roku wyglądało, kiedy te skurwysyny zablokowały uniwersytet na cały miesiąc?

Moryc rozłożył bezradnie ręce. Jakub pociągnął z butelki duży łyk wina.

– Bratniak to wymusza. A Wspólna Pomoc nie da im rady. Trzy czwarte chrześcijańskich studentów czyta „ABC". Dlatego też, Kuba, trzeba wyjechać. Oni się w końcu dogadają z sanacją.

– Wiem – ponuro odpowiedział Jakub. – Mówił mi to jeden taki z „ABC".

– Ty to masz znajomych, brachu – pokręcił głową Moryc. – W każdym razie parę lat i będą dogadani na bank. Nic tu po nas. Moglibyście pojechać z nami – mówił dalej Moryc. – Statkiem z Konstancy.

– Podobno szykują zamach stanu – powiedziała Zosia, unosząc się znad kosza.

– Kto? – zainteresował się Jakub.

– Śmigły, Koc. No, oni – wyjaśniła.

– Po co im zamach stanu, skoro mają całą władzę, przecież to sanatorzy – zaśmiał się Jakub. – Najwyżej dogadają się z faszystami, dokooptują ich do rządu, i tyle.

Moryc ukrył uśmiech. Wiedział, co teraz nastąpi, i cieszył się na to małe upokorzenie brata.

– Śmigły z Kocem chcą uderzyć w całą sanacyjną lewicę. We wszystkie te sierotki po Piłsudskim – tłumaczyła cierpliwie Zosia, tonem dobrej nauczycielki. – Chcą im zrobić taką polską noc długich noży. Wykosić Sławka i Mościckiego, a nawet i resztę.

– I kto ma to koszenie robić?

– Bepiści. Dogadali się podobno z Piaseckim. Mają już listę proskrypcyjną. Po to im jest ten cały Ozon przecież. Całe miasto o tym trąbi.

Jakub słuchał uważnie i Moryc był zaskoczony bardzo i przyjemnie, że Jakub nie poczytuje sobie za ujmę, iż młodsza odeń o lat dziesięć panienka tłumaczy mu polityczne zawiłości. Może jednak jego brat nie był tak zacofanym prostakiem, jak mu się czasem wydawało?

– A my w tym jak? – zapytała Emilia.

– My, czyli kto...? – zaczepił ją Moryc.

– Nie wiem. My. Żydzi – odparła.

– Ale którzy? Bund? My? Skurwysyny z Betaru? Gamonie z Agudy? – dopytywał Moryc, mówiąc „my", miał oczywiście na myśli Poalej Syjon-Lewicę.

– No to różnie pewnie. Betarowcy przecież chcą tego samego, co ci pierdoleni faszyści: żeby najlepiej wszyscy Żydzi z Polski wyjechali do Palestyny – odparła Zosia.

– No, powiedzmy, że Piaseckiemu i kolegom jest zupełnie obojętnie, gdzie Żydów wyrzucą, byleby nas wygnać z Polski, każdego najlepiej z jedną walizką. Przecież im chodzi o pieniądze, o nasze majątki – zaprotestował Moryc.

– Ta, szczególnie o twój – zaśmiał się Jakub.

– Betarowcy chcą żydowskiej Palestyny – Moryc kontynuował, niezrażony. – Tyle że wzorem Żabotyńskiego nie rozumieją w ogóle kwestii społecznych i gospodarczych.

– W dupie mam Palestynę, kwestie społeczne i gospodarcze.

– Wiem, wiem… – machnął ręką Moryc.

Zza wielkiego hangaru lotniska wyłonił się samolot, średniej wielkości, niezwykle nowoczesny wtedy, z dwoma silnikami w skrzydłach i o podwójnym usterzeniu pionowym. Silniki już pracowały na niskich obrotach, kołował w stronę pasa startowego. Pod szeregiem czterech okien widniał napis POLSKIE LINJE LOTNICZE LOT.

– Co to za samolot? – Jakub zwrócił się do Moryca, który, jak wiedzieli wszyscy jego bliscy, niezwykle kochał awiację, tą niepowtarzalną miłością, jaką każdy progresywny umysł tamtych czasów żywił do techniki. Miłością, która brała się z nadziei na to, że technika może zmienić ludzką kondycję.

– Lockheed L-10 Electra – Moryca uprzedził Daniel. – Wujek Moryc mnie nauczył! Wszystkie rozpoznaję, lockheeda, junkersa, douglasa, wszystkie!

– I to jest dobry samolot? – Jakub pojednawczo postanowił dać bratu przyjemność snucia opowieści o jego pasji.

– Bardzo. Trzysta kilometrów na godzinę prędkości, zasięg tysiąc sto, dziesięciu pasażerów. Ta amerykańska lotniczka Amelia Earhart w takim właśnie się wybrała w lotniczy rejs transpacyficzny.

– To w zasadzie nie najlepiej świadczy o aeroplanie. Bo przecież ona zaginęła, prawda? W gazecie czytałem. I nie ma dalszych wiadomości.

– Jeszcze się znajdzie, zobaczycie! – zapewniła Emilia.

– Można takim polecieć do Grecji. Jest regularne połączenie – ciągnął Moryc. – Jak się ma pieniądze. Raz, dwa na miejscu. A z Grecji, z Salonik statkiem do Jaffy.

– A przypadkiem nie jest tak, że Anglicy teraz nie wpuszczają? – wątpił Jakub.

– Nie wpuszczają. Ale organizacja pomoże – zapewnił Moryc. – Zobaczycie.

Byliśmy wtedy szczęśliwi, pamiętam. Nawet ja, milczący i prawie niewidzialny świadek tego wszystkiego, mały Bernsztajn w eleganckim garniturze, cień Jakuba, cień człowieka, ślad człowieka, nawet ja byłem wtedy szczęśliwy, kiedy siedzieliśmy w ciepły, wrześniowy dzień na trawie nieopodal lotniska, aż do zmierzchu patrząc na startujące samoloty.

Po lockheedzie wystartował wielki DC-2, potem trójsilnikowy junkers, oba z oznaczeniami LOT-u. DC-2 podobał mi się najbardziej, junkers wydawał mi się śmieszny z tym śmigłem w nosie obok śmigieł w skrzydłach.

A potem nad budynkiem lotniska, nad jego wieżą zobaczyłem wielkiego kaszalota, jego ciało nie przecinało powietrza jak smukłe cygara samolotowych kadłubów, tylko przewalało się w nim, jakby powietrze było gęste.

I patrzył na mnie. Albo na Jakuba. I jego oczy płonęły czerwonym ogniem. Otworzył zębatą paszczę i wypowiedział słowa, które były słowami, ale których nie umiem, nie mogę zapisać.

Jakub też go widział, patrzyliśmy obaj. Reszta naszej wycieczki, Emilia, Zosia, Moryc, chłopcy zdawali się kaszalota nie dostrzegać, ale przecież wiem, on był tam, nad wieżą kontroli lotów, unosił się w powietrzu i wiem, że przypłynął tam za nami, za mną i za Jakubem, to na nas patrzył.

Zakłapał paszczą, powiedział coś raz i jeszcze i przewalił się przez bok, machnął wielką płetwą i zanurkował, zniknął za budynkiem, odpłynął.

Litani.

– Więc na uczelnię wracasz, tak? – Jakub dopytał, kiedy już zaczęło zmierzchać i pakowaliśmy koce, naczynia i resztki jedzenia do bagażnika, w którym wcześniej podróżowało kilku nieszczęśników, w tym mój ojciec.

Mój ojciec, Naum Bernsztajn, jego ciało podzielone jak kogut na kaparot. Głowa oddzielona od korpusu, ramiona oddzielone, nogi oddzielone. Kolor wykrwawionego mięsa na rozcięciach, jak mięso u rzeźnika. Krew mojego ojca wsiąkła w ziemię, krew Nauma Bernsztajna, który nie miał pieniędzy, by zapłacić Kaplicy, i nie chciał uciekać, nie umiał się bronić.

– Wracam – odparł Moryc.

– I będziesz siedział w wyznaczonych ławkach, jakbyś był jakimś Murzynem? Może wam je na żółto pomalują, jak Hitler ławki w parku? Albo zablokują uniwersytet na miesiąc, jak w zeszłym roku?

– U nas ławki podobno mają być oznaczone numerami indeksów. Na SGH i politechnice literami. Ale już tylko jeden semestr. Potem wyjeżdżamy. Wyjedźcie z nami, Jakub. Tam jest nasze miejsce.

Jakub zamyślił się na chwilę, uśmiechnął się do siebie, pokręcił głową z niedowierzaniem.

– A kiedy zaczynacie zajęcia? – zapytał.

– Siódmego października.

– Przyjdziemy.

– Nie chcę, żebyście przychodzili.

– Moryc, chcesz być sam, mając z drugiej strony Ziembińskiego i jego bojówkę?

Moryc Szapiro nie odpowiedział.

– Przyjdziemy, czy chcesz, czy nie. To jest nasze miasto. Żaden hitlerek w bryczesach nie będzie nam mówił, gdzie mamy siedzieć na wykładach w naszym mieście.

– „Nam”? Jakub, a kiedy ty spędziłeś chociaż kwadrans na jakimś wykładzie? – Moryc zemścił się za kąśliwą uwagę Jakuba o Morycowym majątku, czy raczej jego braku.

Był od Jakuba dziesięć lat młodszy. Jako malca trzyletniego, jeszcze przed wojną, rodzice oddali go na wychowanie zamożniejszym krewnym z Częstochowy, po czym umarli. Kiedy Jakub wrócił z wojny, odebrał brata kuzynom i wziął na wychowanie do siebie. Sam żył wtedy dość burzliwie, więc brata często zostawiał pod opieką zaprzyjaźnionych ciotek, ale nigdy

tej opieki nie zaniedbał i nigdy nie był w jego życiu nieobecny dłużej niż kilka tygodni. Posłał go najpierw do bundowskiej freblówki CISZO, czyli Centrale Jidysze Szuł Organizacje na Krochmalnej, gdzie nauczanie było dwujęzyczne, po polsku i w jidysz, i oba języki Moryc opanował pięknie i bez akcentu.

Trzeciego i czwartego, hebrajskiego i francuskiego, nauczył się w Męskim Gimnazjum „Laor" na Nalewkach nieopodal pasażu Simonsa, za które Jakub płacił pięćdziesiąt złotych czesnego miesięcznie i za te pięćdziesiąt złotych miesięcznie Moryc szybko intelektualnie przerósł niegłupiego przecież brata oraz zgodnie z profilem nowej szkoły został lewicowym syjonistą. Nie był też typem kujona i popychadła – nie stronił od bitki i był szybki w pięści, a ulica bała się go nie tylko dlatego, że wszyscy wiedzieli, kim jest Jakub.

To zresztą szybko stało się dla Moryca balastem, którego ze wszelkich sił starał się pozbyć. Po maturze nie zapisał się na uniwersytet, wbrew woli brata. Wyprowadził się od Jakuba, wynajął pokoik w muranowskiej ruderze, zdobył źle płatną pracę biurową, a pozostały czas przeznaczał na pracę organizacyjną w Poalej Syjon-Lewicy.

W końcu po paru latach poszedł na studia, studiował niezbyt pilnie i marzył, marzył o Palestynie. Po hebrajsku mówił płynnie, jakby urodził się w kibucu pod palmami, nie pod przerosłym grzybem stropem mieszkania numer 31, przy ulicy Nowolipki 23.

– Musimy wyjechać do Palestyny, Jakub – powtórzył.

A potem się rozstaliśmy i każdy wrócił do swoich zajęć, Moryc do zebrań i pogadanek, Jakub do haraczy na Kercelaku i trenowania młodzików Gwiazdy.

Nocami kochał się z Emilią, a ja słuchałem ich miłości.

Rano śniadał z synami, a ja słuchałem ich rozmów. Parę razy w tygodniu jeździliśmy do Ryfki, czasem brał sobie dziewczynę, czasem pił i wtedy płakał, i wył nocami, a Ryfka go tuliła i całowała, i tylko przy niej bywał zupełnie bezbronny, jakby miękki wypełzał z bokserskiego pancerza.

Przy Emilii nie płakał, dla niej nakazał sobie być opoką.

Zaczął również gromadzić pieniądze i wymieniać je na złoto. I zaczął rozmawiać z Morycem.

O kibucach i moszawach.

O polityce Komisji Mandatowej. O przemówieniu ministra Edena i jego ośmiu tysiącach ludzi na osiem miesięcy. O Special Night Squads Orde'a Wingate'a i o samym Wingacie i jego ekscentrycznych wybrykach. O specjalnych jednostkach Hagany, wśród których ktoś taki jak Jakub Szapiro miałby się świetnie odnaleźć.

Jakub słuchał i marzył.

W tym czasie w mieście wiele się działo.

Pod koniec września redaktor Bobiński wracał mile podochocony i w uroczym towarzystwie pewnego młodzieńca z kolacji w Bristol-Barze. Młodzieniec miał mieszkać na Dobrej, tak powiedział redaktorowi, dozorca miał być bardzo życzliwy i nie robić żadnych wstrętów; młodzieniec zapraszał pana redaktora na wino oraz na rozmowę o perspektywach faszyzmu włoskiego i wyższości koncepcji narodu jako wspólnoty kulturowo-historycznej, nie zaś po niemiecku definiowanej rasistowsko, na podstawie zasady krwi.

Gdy zeszli Karową w dół Skarpy, a pora była późna, mijali jedną z bram. Z bramy wyszło sześciu.

Mieli na sobie bepistowskie mundury, jasne bluzy, czarne bryczesy, Bobiński zaś był człowiekiem bardzo inteligentnym i od razu zrozumiał, że o perspektywach faszyzmu włoskiego z młodzieńcem, który właśnie co sił w nogach biegł w stronę Wisły, już nie porozmawia, nie zakosztuje też jego ust, nie przeczesze dłonią jego jasnych włosów ani nie poczuje słodkiego ciężaru jego muskularnego ciała.

Sięgnął więc do kieszeni po swoją szóstkę, wyciągnął, wymierzył.

– Precz, skurwysyny – warknął.

Precz nie poszli. Strzelił od razu, kiedy się nań rzucili. Musieli liczyć, że nie pociągnie za spust. Trafił jednego w ramię i sekundę później leżał już na ziemi, zaś dwie sekundy później stracił przytomność, kiedy okutym butem kopnęli go w skroń.

Nieprzytomnego wrzucili na pakę ciężarówki marki Ford.

Obudził się trzy kwadranse później, gdy wylano na niego wiadro wody, nagi, za plecami związane miał ręce, za które, boleśnie w ramionach

wykręcone, podciągnęli go w górę, ku powale, za pomocą sznura przerzuconego przez krokiew.

Na krześle nieopodal siedział Andrzej Ziembiński w pięknym garniturze i palił papierosa. Gdy wypalił, zgasił go Bobińskiemu na czole, a następnie kopnął go w krocze, po czym zapytał, czy to on zdradził tożsamość Zielińskiego, po czym ludzie Ziembińskiego pociągnęli sznur, ramiona Kazimierza Bobińskiego wyskoczyły ze stawów i poczuł, jakby wyrywane ze stawów ramiona rozrywały go na dwoje i wył, i w tym wyciu zdołał przekazać, że powie im wszystko.

Powiedział o Szapirze.

Ziembiński aż zadrżał z podniecenia, słysząc nazwisko swojego wroga.

– Wsadźcie temu pederaście zdrajcy butelkę w dupę, a potem kula w łeb, do worka, wór obciążyć kamieniami i do Wisły – rozkazał Ziembiński.

Kazimierz Bobiński zaczął myśleć intensywnie o smaku ust pewnego chłopca, z którym spędził upojne dwa tygodnie w Rzymie zeszłego lata, smaku wina i makaronu w małej restauracyjce na Trastevere, o widoku Alp z okien samolotu i o miękkości dłoni matki Kazimierza Bobińskiego, Aurelii Bobińskiej, z domu Rataj, potem bardzo cierpiał, a potem umarł, a potem jego ciało spoczęło w Wiśle i tam już pozostało.

Andrzej Ziembiński tego wieczora nie miał już ochoty pracować i dopiero rano udał się do swojego przywódcy, Bolesława Piaseckiego.

Spotkali się na śniadaniu w Bristol-Barze, tym samym, z którego poprzedniego wieczora wyszedł redaktor Bobiński z chłopcem zdrajcą.

Ziembiński poinformował przywódcę, iż emerytowanego inwalidę wojennego, porucznika Jerzego Zielińskiego porwał najprawdopodobniej Jakub Szapiro, bokser, bandzior i człowiek znanego gangstera Kuma Kaplicy i że należy obmyślić plan, jak dorwać Jakuba Szapirę, bo to nie będzie tak proste jak z Bobińskim.

Bolesław Piasecki, dwudziestoletni blondyn o włosach ułożonych w staranne fale i z żółtym wąsikiem, przełknął wielki kęs jajecznicy i odparł, że już o tym wie, ponieważ wczoraj wieczorem skontaktował się z nim niejaki doktor Janusz Radziwiłek, wysokiej rangi oficer Związku Strzeleckiego, a jednocześnie współpracownik Kaplicy i ważna figura ruchu robotniczego i socjalistycznego Woli, Ochoty i północno-

zachodniego Śródmieścia, i zadeklarował, że porucznik Jerzy Zieliński jest w jego mocy i że jest gotów o tym rozmawiać, a on, Piasecki, ma wspaniały pomysł na rozwiązanie pewnego drobnego, ale istotnego, technicznego problemu, który wyniknął po całonocnej wczorajszej konferencji z pułkownikiem Kocem, to znaczy problemu wpływów i zdolności mobilizowania ulicy, jakie posiada indywiduum znane jako Kum Kaplica, z powiązaniami w kręgach lewicy sanacyjnej i cieszące się równocześnie wielkim szacunkiem mętów społecznych lewobrzeżnej Warszawy.

Ziembiński pomyślał, że na darmo cierpiał i umarł Kazimierz Bobiński i że w sumie szkoda człowieka i działacza, lecz z tą wiedzą nie zdradził się przywódcy.

Piasecki zaś powiedział, że ma co do Radziwiłka pewien specjalny plan i że jest z nim zaraz umówiony, jeśli zaś Ziembiński ma przy sobie broń, to niech się z nim wybierze niedaleko stąd, na Powiśle, tam się bowiem umówili, a strzeżonego, wiadomo…

Ziembiński broń miał, więc poszli.

Radziwiłek, będąc wielkim amatorem słodyczy, zasiadał w małej cukierni Jankowskiego, na Powiślu, przy ulicy Radnej 19, jeden dom od rogu Browarnej. Cukiernia była małym, skromnym lokalem na miarę ubogiej publiczności Powiśla, pięć stolików z marmurowymi blatami pod jedną ścianą, pod drugą bufet z gablotą pełną słodyczy, na zapleczu kuchnia.

Radziwiłek jadł pączka i pił kawę. Był sam i w galowym mundurze oficera Związku Strzeleckiego, w pasie z koalicyjką, w bryczesach i w lśniących, wysokich butach, gdyż uznał, że sprawy, które ma do załatwienia, dobrze wspomóc autorytetem munduru. Przy stoliku w drugim kącie ciasnej salki siedział Tiutczew, odwrócony bokiem, jakby wcale tu razem z Radziwiłkiem nie przyszedł, nie jadł, nie pił i rozmyślał tylko, czy będzie strzelanie.

Kiedy weszli Piasecki z Ziembińskim, Radziwiłek nie podniósł się z miejsca, niegrzecznym gestem wskazując Piaseckiemu krzesło. Tiutczew czekał.

– Bolesław Piasecki jestem. Ale ręki panu nie podam – zaczął gość i usiadł.

– Siada tu, panie Piasecki, mnie nie pańskie uściski są potrzebne – żachnął się Radziwiłek całkiem poprawną polszczyzną, jakże inną od łamanej, jaką posługiwał się w naszym towarzystwie. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Piasecki zamówił tylko kawę. Z pogardą patrzył, jak Radziwiłek zamawia trzeciego pączka z nadzieniem różanym i je go ze smakiem, za to zupełnie bez manier.

– No i? – zapytał w końcu.

Doktor zdmuchnął okruszki z rękawa mundurowej bluzy.

– Mam tego łajdaka – odparł. – I mogę go ukarać za te paskudztwa, które wypisywał w tej waszej gazecie, albo mogę go wam oddać z powrotem.

– Nie chcemy go z powrotem. Do niczego naszej sprawie ten kaleka alkoholik nie jest potrzebny. Ludzki balast.

Radziwiłek zamyślił się chwilę i popatrzył na faszystę z uznaniem, jakie żywi się przez chwilę dla przeciwnika tyleż odrażającego, co wytrawnego.

– A jednak spotykasz się pan ze mną – powiedział w końcu.

Piasecki uśmiechnął się szeroko. Radziwiłek przyglądał mu się i powoli zaczynał rozumieć, że gówniarza nie powinien lekceważyć.

– Ukarz go pan – powiedział. – Brutalnie. Ale tak, żeby to spadło na Kaplicę.

Radziwiłek wzniósł oczy ku niebu. Z którego jakby mu spadł ten młody faszysta.

– A co w zamian będę za to miał, panie Piasecki?

– Dużo się w Polsce zmieni niedługo. A pan sobie zajmiesz miejsce Kaplicy i będziesz miał naszą sympatię, kiedy już w Polsce się dużo, ale to naprawdę dużo zmieni. I wiesz pan, ci, którzy Kaplicę chronili do tej pory, różne Sławki i inni tacy, już go nie ochronią.

– Ale pan wiesz, że ja jestem Żyd, prawda? – zapytał poważnie Radziwiłek, strząsając okruszki z gorsu oficerskiego munduru.

– W nowej Polsce, dobry człowieku, to może się tak zdarzyć, że o tym, kto jest Żyd, a kto nie jest, decydował będę ja – uśmiechnął się Piasecki, z pewnością siebie, której bezczelność imponowała nawet Radziwiłkowi.

– Kiedy? – zapytał po prostu Doktor, ignorując obraźliwego „dobrego człowieka”.

– Za kilka dni. Ósmego października.

– Dasz mi pan jakieś gwarancje? – Radziwiłek pytał dalej.

– Słowo. No to chyba tyle, tak…? – zapytał ponownie Piasecki, unosząc się z krzesła.

– Nie, jeszcze nie – usadził go Doktor. – Pan mógłbyś próbować w Kaplicę uderzyć na wiele innych sposobów. Nie poświęcając jednego z bądź co bądź waszych.

Piasecki zastanowił się chwilę, pogładził się po wąsach. Uznał, że nie warto kłamać.

– Moja organizacja ma ważne zadanie do wykonania. Być może najważniejsze w historii naszego narodu – zapalił się nagle. – Polska musi być wielką albo zginąć. Nikt inny tej wielkości jej nie da, tylko my, ja, moja organizacja. Imperium nasze powstanie i powstanie nawet, jeśli powstać będzie musiało z naszej krwi, rozumiesz pan? Nie rozumiesz pan, bo wy myślicie inaczej, ale tak jest. A organizacja moja zdaje się chwiać. Mamy wrogów wewnątrz naszego ruchu i wśród, co oczywiste, naszych przeciwników. Potrzebujemy ofiary, ofiary, która nas wzmocni i zjednoczy.

– Szukacie takiego waszego Horsta Wessela, ja? Albo Gustloffa – zapytał Radziwiłek, którego zapał Piaseckiego rozczarował. Miał go za kogoś inteligentniejszego, wszelki entuzjazm uważał zaś słusznie za oznakę głupoty.

Bolo uśmiechnął się pod wąsem.

– Niech i tak będzie. Szukamy naszego Horsta Wessela albo Gustloffa.

– No tak, tutaj mamy bohatera wojennego, a kuternogi alkoholika ze względów organizacyjnych nie żal. Sprawa jasna.

– Jasna. Pan mi za to powiedz, po co panu to było. Ten Zieliński. Ja rozumiem, antysemita, ale mało to antysemitów? Ja też jestem antysemita.

Radziwiłek gapił się nań, bawiąc się leżącą na stole strzelecką maciejówką.

– On tam napisał o deskach i drucie kolczastym. Żeby nas w obozach zamknąć – powiedział w końcu.

– I dlategoś go pan porwał? Bo napisał o deskach?

Radziwiłek wzruszył ramionami i uśmiechnął się do swoich myśli.

– Panie Radziwiłek. Ja zatelefonuję stąd do pewnego prokuratora, który może nam w tym pomóc. Myślę, że będzie tu szybko. To ojciec jednego z moich ludzi, mojej prawej ręki. Poczekasz pan?

– Poczekam. Tylko niechże już nie muszę z panem gadać – zgodził się.

Siedział więc, jadł pączki i czekał.

Prokurator Ziembiński przyjechał po kwadransie, Radziwiłek wstał, podali sobie dłonie, potem Ziembiński przywitał się z Piaseckim, usiedli, zamówili kawę i Doktor i młody oenerowiec wyłożyli mu wszystko, co mieli do wyłożenia. Prokurator odpowiedział, przedstawiając swoją propozycję rozwiązania sprawy, leżącej w ich wspólnym, jak się okazało już jakiś czas temu, interesie.

– I jeszcze jedno – na zakończenie dodał. – Chcę też przymknąć Szapirę.

– Nie ma mowy. On jest kluczowy, żeby to wszystko trzymać w kupie, to raz. Potrzebuję go – odmówił Doktor.

– Do jasnej cholery, ten morderca chodzi do mojego krawca! Nie mogę szyć sobie ubrań w tym samym zakładzie co morderca! – uniósł się prokurator.

– Nie krzycz pan – powiedział spokojnie Radziwiłek, wpatrując się w Ziembińskiego swoim pozbawionym wyrazu spojrzeniem martwej ryby.

Ziembiński przestraszył się tego spojrzenia. Nie bał się prawie niczego, a tego spojrzenia się przestraszył.

– Kaplica będzie musiał panu wystarczyć, panie prokuratorze. Szapiro to uliczny bohater, ludzie go kochają. A mnie nie. Powinno być na odwrót, ale nic z tym nie zrobię. Pozwolę panu zabrać im Szapirę i w końcu jakiś gnój wsadzi mi w plecy majcher albo kulkę. Nie dam go panu, panie prokuratorze.

– Ja sobie nie życzę spotykać bandytów u mojego krawca!

– To zmień pan krawca – Radziwiłek powiedział to w sposób, w jaki Maria Antonina z monarszą dezynwolturą doradzała biednym, by zamiast

chleba jedli ciastka.

Prokurator chrząknął, przygładził angielski wąs. Przez chwilę nie umiał się pogodzić z porażką, im dłużej zaś się z nią wewnętrznie nie zgadzał, tym stawała się dlań wyraźniejsza. W końcu wstał, pożegnał się chłodno i wyszedł razem z Piaseckim.

Radziwiłek zamówił kolejnego pączka z różanym nadzieniem.

Tak to jakoś musiało wyglądać. Tak to sobie wyobrażam, tak odtwarzam na podstawie tego, co mi kiedyś opowiedziano, co wyczytałem, tak to jakoś musiało być.

* * *

Nie pisałem od kilku miesięcy. Albo dłużej. Nie wiem. Nie jestem pewien. Dawno nie pisałem, ale dzisiaj siadam znowu do maszyny do pisania i piszę.

A jednak były to na swój sposób piękne czasy. Wtedy.

Kilka dni po tym, jak pojechaliśmy na piknik, Jakub dał mi mój pierwszy pistolet, hiszpańską szóstkę, nauczył, jak strzelać, rozbijaliśmy kulami butelki w lasku na Bielanach, daleko za CIWF-em, staliśmy ramię w ramię, strzelając, pistolety w prawicach uniesionych wysoko, lekko zgiętych w łokciu, niczym na zawodach strzeleckich, jak pięknie pryskały butelki po piwie, które ułożyliśmy na drewnianej poprzeczce, raz, raz, raz, raz.

Chyba tak było, tak mi się wydaje. A może to tylko Jakub strzelał. Ale żyliśmy.

A dzisiaj, teraz, nie ma już życia.

Dzisiaj rano w telewizji dowiedziałem się, że zabili Abu Jihada. W Tunisie.

Nasi komandosi zabili. Nie przyznajemy się do tego. A ja dowiaduję się z telewizji i mogę tylko zgadywać, że to nasi komandosi, a nawet nie wiem, która jednostka, chociaż oczywiście mam swoje domysły. Tylko domysły. A powinienem być jednym z tych, którzy opiniują całą akcję. A za dwa, trzy lata od teraz powinienem być kimś, kto zaplanuje całość. Ale już nie będę.

Nie zgarbię się nad sztabowymi papierami. Nie będę się też już czołgał w piasku z karabinem w ręku przez noc ani nie wbiję noża w szyję

wartownika, to wszystko już za mną.

Skończyły mi się papierosy. Ale nie wychodzę już z mieszkania, w ogóle.

Mam wrażenie, jakbym zapomniał hebrajskiego. Myślę już tylko po polsku. Jidysz zapomniałem dawno, dawno temu.

Dawno nie pisałem. I dzisiaj też nie planowałem pisać. Maszyna pod pokrowcem. Zjadłem trochę zeschniętego chleba, dwa pomidory, popiłem coca-colą, włączyłem telewizor. W telewizji była retransmisja walki Holyfielda z de Leónem, sprzed tygodnia, więc obejrzałem całą.

W pierwszej rundzie de León tańczył wokół Holyfielda, garda nisko, odważnie. Tak samo Jakub walczył z Dorobą Drugim. Zmieniał rytm kroków, walił hakami na korpus, Holyfield wyprowadził ledwie parę prostych, jeden sięgnął celu.

W drugiej zaatakował, przyparł de Leóna do lin i zaczął okładać, w kontakcie, hakami po korpusie. Raz, raz, raz, z tępą zajadłością, jakby rozbijał mięso na kotlety, Polki tak robiły, pamiętam, od święta rozbijały świńskie mięso na schabowe kotlety, wieprzowina była droga. Emilia, piękna Emilia, żona Szapiry, też rozbijała świńskie mięso na kotlety, jak Polki, jak Holyfield żmudnie i zajadle okładający korpus de Leóna.

Nawet tutaj słyszę czasem te uderzenia tłuczka w mięso, rozbijanie, bach, bach, bach, ale może już mi się tylko wydaje, może to jakieś dawne powidoki.

Ale słyszę, z góry, z dołu, tłuką mięso tłuczkami.

Nie wiem.

Zostawiłem mojego brata. Zostawiłem moją matkę. Już na zawsze. Nie chciałem zostawić ich już na zawsze. Potem, już z Palestyny, napisałem do nich list, potem kolejny, nigdy mi nie odpisali, odpisać by zdążyli, bo napisałem w styczniu 1939 roku. Mogli odpisać. Nie odpisali. Może zmienili adres? Nie odpisali. Może przyjechali do Palestyny? Tak sobie mówiłem całe życie. Może pojechali do Nowego Jorku. Może do Palestyny. Może cokolwiek. Nie próbowałem ich szukać, chociaż przecież właśnie ktoś taki jak ja mógłby ich znaleźć. Znajdowałem innych, kiedy dostawałem taki rozkaz albo kiedy mnie o to proszono.

Holyfield obijał korpus de Leóna, cały czas przyciskając go do lin, potem przeniósł swoją młóckę na głowę de Leóna, de León próbował

odpowiedzieć parę razy, ale słabe były te ciosy, słabiutkie. Po drugiej rundzie komentator zapytał siedzącego na widowni Tysona o walkę, ten coś bredził, nie wiem, nie znam angielskiego. Tyson miał beżowy garnitur i wygolony na kędzierzawym łbie przedziałek. Nie lubię Tysona.

Po wypowiedzi Tysona retransmisja miała skrót i była od razu runda siódma. Holyfield trafił kilkakrotnie de Leóna w głowę, tak że ten już ledwie utrzymał się na nogach. W ósmej była już masakra: de León stał tylko dlatego, że opierał się o liny, Holyfield masakrował mu głowę, w końcu sędzia przerwał walkę.

Byłem pełen podziwu dla przegranego de Leóna. Dostać takie lanie i stać dalej… No, to było coś. Potem były wiadomości i podali informację o śmierci Abu Jihada. Potem wziąłem prysznic i zadzwoniłem do Magdy.

– Halo? – odebrał męski głos. Po polsku.

Odpowiedziałem również po polsku. Po polsku zapytałem gnidę, kim jest, co robi w mieszkaniu mojej żony, jakim prawem odbiera telefon i czy wie, kim ja jestem, i czy na pewno chce ze mną zadzierać. Z kimś takim jak ja.

– Słuchaj, to znowu on dzwoni… – powiedział dalej po polsku, głośno, ale nie do słuchawki.

Usłyszałem, że Magda coś odpowiada z głębi jej nowego mieszkania, ale głos był tak stłumiony, że nie usłyszałem co. I nic już więcej nie usłyszałem, bo po tej odpowiedzi odłożył słuchawkę.

Więc pewnie powiedziała mu, żeby odłożył słuchawkę.

A teraz już chyba wrócę do pisania. Tylko najpierw coś zjem. I może jeszcze potrenuję. Nie wiem, kto mi przynosi jedzenie, bo w lodówce zawsze coś jest. Skromnie, ale zawsze coś. Może Magda, moja kochana, droga Magda Aszer, która była ze mną przez całe życie, od Warszawy do Tel Awiwu, może to ona przynosi mi jedzenie, kiedy śpię, przecież ma klucze.

Albo któryś z moich synów, Awiram albo Joaw, moi synowie, obaj mogą z podniesioną głową nazywać się Sabrami, może któryś z nich przychodzi nocami, wdzięczny, że moja alija pozwoliła im narodzić się w ziemi Izraela, a nie w przeklętej, przesiąkłej krwią Polsce, i z tej wdzięczności napełnia mi lodówkę. Mam puszkę z mielonką, jajka, kilka pomidorów.

Nie, zjem po treningu.

Zakładam więc dres, bandażuję dłonie, starannie, powoli. Zamierzam rozgrzać się na skakance, ale nie umiem już podskakiwać na skakance, zawija się o stopy, więc zamiast tego skipping, potem bieg bokserski.

Ciało mnie nie słucha. Widzę się w lustrze. Stary dziad. Wyglądam dwadzieścia lat starzej. Mam sześćdziesiąt osiem, wyglądam na osiemdziesiąt osiem.

Próbuję biegu bokserskiego i nie mogę na to patrzeć, nogi nie odrywają się od podłogi, człapię tak w miejscu, jak starzec. Ledwie unoszę dłonie na wysokość ramion, w żałosnej, starczej parodii tego, co kiedyś było prostymi, sierpami i hakami, dynamicznymi, jakby ktoś strzelał batem.

Widzę w tym lustrze Jakuba Szapirę na treningu pięćdziesiąt lat temu, widzę, jak jego muskularne nogi w szybkim skippingu ledwie dotykają podłogi, stopy muskają ją, odbijając się natychmiast, pięści wylatują przed siebie i wracają do szczęki, jakby ciągnęły je niewidzialne sprężyny, cały jest sprężyną, naciągniętą, elastyczną i taki potem jest w ringu, ani na sekundę stopy nie zostają w jednym miejscu i całe ciało się rusza w tej jego tajnej, nierozgryzionej choreografii, głowa na boki, w górę i w dół, po okręgu i po trójkącie, skomplikowane układy dłoni w rękawicach, stóp i bioder, żadnej spontaniczności, tylko setki różnych kombinacji znanych na pamięć układów kończyn, korpusu i głowy i szukanie, szukanie, szukanie, szukanie dziury między pięściami przeciwnika, między liniami ciosów i płaszczyznami zasłon i zbić, i dziura się znajduje; w tę dziurę Jakub Szapiro jak nikt potrafił wrzucić swoją rękawicę i przeciwnik walił się na ziemię, a Szapiro mógł zapalić papierosa, bo z tajemniczego powodu jego płuca potrafiły działać mimo tytoniowego dymu.

Był jedynym znanym mi bokserem, który potrafił palić nawet jeszcze na dzień czy dwa przed walką, a potem mimo wszystko nie stracić oddechu.

Kiedyś też taki byłem.

A teraz ja w lustrze, starzec. Luźna skóra na sflaczałych ramionach. Drżące kolana.

Ale nie, nie pozwolę sobie na to. Spinam się w sobie, jeszcze minuta biegu bokserskiego, próbuję odrywać stopy od ziemi, ale jak przyklejone,

próbuję zadawać ciosy, ale nie mogę, nie umiem, nie umiem, ale próbuję i w końcu czuję straszny ból w klatce piersiowej i padam na podłogę.

Przytomność odzyskuję po godzinie. Już nie boli, tylko biodro mam stłuczone. Czołgam się do stołu, opieram się, wstaję, ściągam rękawice. Smażę sobie jajka, kroję chleb, próbuję jeść, ale nie mam apetytu. Robię kawę, wracam do biurka, w którego szufladzie nie ma już mojego pistoletu.

Magda zabrała, na pewno. Albo Awiram. Albo Joaw. Ktoś z nich zabrał. I mój mundur też.

Ściągam zielony pokrowiec z maszyny. Chcę znowu pisać.

Chcę napisać o tym, jak zaczął się rok akademicki 1937/1938, jak Moryc poszedł na zajęcia.

* * *

Przyszli na salę wykładową wmieszani w tłum żydowskich studentów, wszyscy mieli nawet studenckie czapki, usiedli w żydowskim sektorze, rozrzuceni między nimi, nie zorientowali się ani profesor, nie rozpoznający jeszcze studenckich twarzy, ani chrześcijańscy studenci z Bratniaka. Pantaleona tylko zostawili na korytarzu, bo najwyższego z żydowskich studentów przerastał o głowę i zbyt zwracałby na siebie uwagę. Jakub wziął piętnastu ludzi, studentów z Bratniaka jest siedemdziesięciu, ale tutaj jakość kombatantów liczy się bardziej niż liczba.

Moryc Szapiro wszedł jako ostatni, zamknął drzwi sali, odczekał, aż profesor zajmie miejsce za katedrą, po czym usiadł na chrześcijańskim miejscu.

– Wypierdalaj do siebie, brudny parchu – zwrócił się do Moryca siedzący obok student w weleckim deklu na głowie.

Moryc uśmiechnął się doń szeroko.

– Wypierdalaj do żydowskiej ławki, albo cię tam wyniosę na kopach. – Weleta uniósł się z ławki.

– Będziesz tego bardzo żałował – odparł Moryc.

Weleta trzasnął go pięścią w ucho, Moryc się nie uchylał, chciał, żeby ten pierwszy cios go dosięgnął i zabolał.

– Proszę państwa, co się tam dzieje? – zapytał oburzony profesor z majestatu swej katedry.

– Żydek siada w nie swojej ławce! – ktoś krzyknął.

– Proszę przestrzegać usta… – zaczął profesor, ale nie skończył, bo w porę zauważył lecącą w jego stronę butelkę, którą z właściwą sobie wprawą cisnął Munja. Uchylił się przed nią i schował za katedrę.

I tak się zaczęło.

Weleta próbował uderzyć Moryca po raz drugi, ale tym razem młodszy Szapiro uchylił się sprawnie, chwycił Polaka za nadgarstek i ramię, szarpnął, obalił, założył dźwignię na rękę.

Weleta krzyczał, że się poddaje, ale Moryc nie puszczał, póki w ramieniu coś nie chrupnęło i student stracił przytomność.

Wtedy wstali Jakub i jego ludzie, ukryci w sektorze dla Żydów, i ruszyli na Polaków.

Pierwszego Jakub kopie w brzuch, potem wali hakiem w szczękę i studenciak w deklu korporacji Patria na głowie przewala się przez poręcz balkonu Auditorium Maximum niczym szmaciana lalka i spada na dolny poziom, wali się na pulpity i oparcia, łamiąc sobie obie ręce.

Zagipsują mu potem te ręce, poskręcają prawą śrubami i przez osiem tygodni tyłek będzie mu musiała podcierać matka, jak za dawnych lat.

Drugiego Pantaleon Karpiński na głównym poziomie auli wali luźną, otwartą dłonią w łeb i chłopiec wiotczeje jak flak po wątrobiance, i wpada między rzędy siedzisk, nieprzytomny.

To pierwszych dwóch.

– Gwałt! Wezwać policję, wezwać policję! – drze się profesor Paliński za swoją katedrą i kuli się w sobie, bo widzi już, że olbrzymi Pantaleon Karpiński rusza w jego stronę, wrzeszcząc i przeskakując rzędy siedzeń, jakby biegł przez płotki na olimpiadzie.

Nic piękniejszego, niż bić kogoś takiego jak profesor, myśli Pantaleon, kogoś, kogo na co dzień bić nie można. Żadna frajda sprać biedaka, wytarmosić chałaciarza, co nie zapłacił, ale pobić kogoś, kto nosi surdut i binokle, kogoś, kto mieszka w domu z kilkorgiem służby i ma wypielęgnowane paznokcie, to przyjemność bardzo rzadka i tym większą radość sprawia jej antycypacja.

I stoi teraz Pantaleon Karpiński na podwyższeniu katedry, trzymając profesora Palińskiego za włosy i przykładając mu do skroni rewolwer. Profesorowi z profesorskiego nosa leje się krew. Profesorskie binokle leżą na podłodze, zmiażdżone Pantaleonowym butem.

Bezładna bijatyka nie ustaje. Walczą między ławkami i pulpitami i ludzie Szapiry mają zdecydowaną przewagę, jednak trudno uznać endeckich studentów za pokonanych, bo jest ich zbyt wielu i na miejsce obalonych zaraz wstępują nowi.

Wtedy Szapiro daje znak Pantaleonowi i Pantaleon odrywa na moment lufę nagana od profesorskiej skroni, podnosi broń nad głowę i strzela w wysoki sufit auli. Profesorowi, przekonanemu niezbyt logicznie, że słyszy huk śmiertelnego strzału, puszczają zwieracze.

Tumult zamiera.

– Pan profesor teraz zacznie wykład – mówi Pantaleon i lufa rewolweru wraca ku profesorskiej skroni.

– To jest gwałt, zamach – słabym głosem odpowiada profesor, przyglądając się bezsilnie jak w kroczu rośnie ciemna plama. – Ja protestuję.

– Wykładać! – ryczy Pantaleon.

I pan profesor zaczyna drżącym głosem swój wykład prawa rzymskiego.

– A panowie studenci siadają tam, gdzie kto stoi – mówi Szapiro, również z pistoletem w dłoni. I w wielu innych dłoniach pojawiają się browningi, walthery i nagany.

Panowie studenci siadają. Munja blokuje wejścia do auli za pomocą metalowych prętów.

Panowie studenci grzecznie słuchają wykładu przez kwadrans, zaciskając pięści i obmyślając zemstę, albo, w przypadku co bardziej bojaźliwych, zmawiając w myślach pacierze, czyniąc akty żalu i prosząc chrześcijańskiego Boga, by uchronił ich przed śmiercią.

Po kwadransie do sali wykładowej wpada policja.

W tym samym czasie kiedy policja wyważa zablokowane drzwi do Auditorium Maximum, całkiem nieopodal, dosłownie kilkaset metrów od

auli marszałek Rydz-Śmigły i pułkownik Adam Koc wychodzą z Pałacu Rady Ministrów, gdzie wzięli udział w burzliwym zebraniu prezydium tejże Rady Ministrów i teraz udają się piechotą, bo dzień jest piękny, do równie nieodległej restauracji Simona i Steckiego.

– Widział pan marszałek? – pyta Adam Koc, podsuwając Śmigłemu pod nos pierwszą stronę „Kurjera".

– Świeże langusty, homary i ostrygi od dzisiaj u Simona i Steckiego – odczytuje na głos marszałek. – No to jasność mamy.

Mogliby zajść do Bristolu, ale u Simona i Steckiego jest dyskretniej. Towarzyszy im, zachowując uprzejmy dystans, trzech umundurowanych i uzbrojonych funkcjonariuszy Brygady Ochronnej. W kaburach zgodnie z przepisem browningi gotowe do strzału: nabite i odbezpieczone.

Na zebraniu prezydium oprócz wszystkich ministrów, premiera Składkowskiego, wojewodów, licznych asystentów i sekretarzy był obecny również prezydent Rzeczpospolitej, Ignacy Mościcki.

Pułkownik Koc otwarcie oskarżył wojewodę śląskiego Grażyńskiego o sabotaż jego dzieła rozbudowy Obozu Zjednoczenia Narodowego.

Pułkownik Koc domagał się również likwidacji związków zawodowych.

– Zamiast związków powołajmy zawodowe korporacje, tak to w Austrii zrobił Dollfuss i utrzymał Schuschnigg – perorował, gestykulując niby ksiądz na homilii. – Zlikwidujmy wszystkie partie polityczne, a ich struktury włączmy w struktury Obozu. Polska nie potrzebuje partii politycznych, Polska potrzebuje jedności – mówił, ku wściekłości ministrów Zyndrama-Kościałkowskiego, Kwiatkowskiego i Poniatowskiego, znanych ze swoich liberalno-lewicowych poglądów i związanych z grupą zamkową, czyli stronnictwem prezydenckim.

Teraz marszałek Śmigły-Rydz i pułkownik Adam Koc mają sprawy, o których prezydent, a szczególnie premier nie powinni nic wiedzieć. I do rozmowy o takich sprawach świetnie nadaje się niedostępna dla ogółu klientów loża u Simona i Steckiego, gdzie właśnie zasiadają.

Kelner rozlewa do kieliszków starkę i podaje śledzia w oliwie, sardynki i befsztyk tatarski na przystawkę.

Śmigły czeka, aż kelner wyjdzie. Gładzi się po łysinie. Kelner wychodzi. Niby dyskrecja to pierwsza cnota kelnera, ale nigdy nie wiadomo.

– Raportuj – nakazuje.

– Część pan marszałek słyszał.

– Raportuj resztę. O stanie przygotowań tej naszej, jak to się mówi w Sowietach, czystki.

Koc popija starki, zakąsza, wstaje od stołu, wygląda za drzwi loży.

– Nikogo tu nie wpuszczajcie, przodowniku – mówi do funkcjonariusza Brygady Ochronnej. – Do odwołania. Nikogo. Broń w ręku.

Ochroniarz kiwa głową, salutuje, wyciąga z kabury wielkiego browninga hp, Koc wraca do stołu.

– Bezpośrednim dowodzeniem całą operacją zajmie się wiceminister Paciorkowski. Uderzenia koordynował będzie pułkownik Wenda. Ma doświadczenie.

– Oj ma! – zgadza się Śmigły z uśmiechem, przypominając sobie perfekcyjnie przeprowadzone przez Wendę „zaginięcie" generała Zagórskiego sprzed dziesięciu lat, popijając małymi łykami starkę i dziobiąc widelcem befsztyk.

– Ano właśnie.

– A kto się zajmie fizyczną realizacją? Kto pójdzie do kogo trzeba i naciśnie na spust? – pyta marszałek, przełknąwszy tatara.

– Bepiści, to znaczy młodziaki od Piaseckiego, to raz. Już ćwiczą w Golędzinowie strzelanie i rzucanie granatami – Koc na wszystko miał gotową odpowiedź.

– Czy my temu Piaseckiemu przypadkiem nie dajemy do ręki niebezpiecznego narzędzia? – marszałek samemu sobie wydaje się niezwykle przenikliwy, zadając to pytanie.

– Teraz damy, potem odbierzemy. Zasięg przewidujemy na tysiąc pięćset osób, z czego większość, wiadomo. Niektórych zamkniemy w Berezie, paru najważniejszych w więzieniach.

– Kogo w więzieniach?

– Prezydenta, to po pierwsze.

Śmigły uśmiecha się szeroko. Jest w końcu jak najgorszego zdania o Mościckim.

– Zamkniemy też Piłsudską, Sławka i Prystora. Piłsudską potem puścimy, jeśli obieca, że będzie trzymała mordę. A pan, panie marszałku, będzie wtedy w Bukareszcie, razem z Piaseckim. Bo to wszystko w nocy z dwudziestego piątego na dwudziestego szóstego zrobimy.

– A Sławoj…? – pyta Śmigły.

– Ze Sławojem się okaże. Może współpracować. Premierem oczywiście nie zostanie, damy mu jakieś ministerstwo na pociechę. Ale nie sprawy wewnętrzne, oczywiście. Gdyby jednak zmienił zdanie, no, to wiadomo. Ale nie zmieni. To nie ten typ.

– A ten skurwysyn Kościałkowski?

Koc teatralnym gestem wskazuje ziemię.

– No, to wybornie – cieszy się marszałek, by zatroskać się zaraz. – Ale półtora tysiąca, to dużo…

– Dużo, ale tyle nam wyszło, jak się ich wszystkich policzyło – odpowiada pułkownik, dolewając starki do kieliszków. – Trzeba jednocześnie machnąć PPS, komunistów, starych endeków i sporo naszych. Tyle nam wyszło.

– Ale czy to nie za dużo? Ilu Hitler machnął w trzydziestym czwartym? – martwi się Śmigły. – Uniesiemy tyle?

– Koło setki, podobno. Ale on miał już opozycję załatwioną, został mu tylko do zrobienia porządek u siebie. A my, panie marszałku, musimy zrobić ordnung jednocześnie ze starymi towarzyszami Sławka, zamkowymi i antyobozowcami, z PPS-em z ich bandytami jak ten cały Kaplica z Kercelaka, z endekami, ludowcami, z wszystkimi.

Marszałek wychyla kieliszek.

– Ale półtora tysiąca? Ilu ludzi do tego będzie trzeba?

– Jakieś pięć tysięcy – mówi Koc z wyraźną dumą w głosie.

– Mamy struktury do tego?

– Mamy ludzi od Bola, to raz. Dwa, zorganizowaliśmy trójki zaufanych młodszych oficerów, do stopnia kapitana włącznie, w razie konieczności każda może się rozdzielić, biorąc po dwóch sprawdzonych sierżantów czy kaprali. Trzy, wciągniemy w to policję polityczną, acz oni nie będą czyścić, tylko aresztować, aresztowanych się gdzieś ewentualnie zgromadzi i wyczyści grupowo.

Marszałek słucha uważnie, kiwa głową i na znak uznania tym razem sam nalewa wódki do kieliszków. Piją, nabijają obaj na widelce drżące płaty śledzia, zakąszają.

– Adaś, a klechy? – troska się marszałek, z pełnymi ustami.

Koc przełyka śledzia, wydyma lekceważąco wargi.

– Prymas wyda oświadczenie, że potępia zbrodnie, pofukają o przemocy, po czym się z nami dogadają, bo jak inaczej? Jak zobaczą, jak tu ładnie posprzątaliśmy, to sami przyjdą, bo to w części dobrzy Polacy, to raz, a dwa, to się przestraszą, żebyśmy z nimi też porządku nie zrobili. A jak jeszcze zabierzemy się za Żydów, to już w ogóle tylko nam będą klaskać…

– A właśnie, Żydki, co z Żydkami…? – dopytuje Śmigły.

– Nie wiem jak z Agudą, nic nie rozumiem, o co tym dzikusom chodzi. Rozpracowujemy to. Kierownictwo Bundu i Poalej Syjon trzeba będzie na wszelki wypadek machnąć. Z betarowcami się dogadamy, obiecamy im szkolenia, broń, błogosławieństwo na drogę i kopa w dupę, niech jadą do Palestyny z Arabami się użerać, czy na Madagaskar, byle pojechali. Niech pan marszałek się nie martwi. Ja będę dyskretnie doglądał, jak tam sobie Paciorkowski i Wenda radzą – zapewnia pułkownik. – I z Rumunii wróci pan do nowej Polski, panie marszałku. Zlikwidujemy partie. Życie będzie się opierało na dwóch filarach: na Obozie i na wojsku, oba będą się zbiegały w osobie pana marszałka. Zjednoczony sejm wyznaczy pana marszałka na stanowisko Naczelnika Państwa, zgodnie z najlepszą tradycją, od Kościuszki przez marszałka Piłsudskiego.

– A jak to umocujemy w konstytucji? – zamyśla się mile połechtany w swojej próżności Rydz.

– A coś tam się napisze – bagatelizuje zadowolony z siebie pułkownik. – Jak się w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym napisało małą konstytucję. Trzeba się będzie jeszcze zastanowić, co w ogóle zrobimy z Żydami. Słyszał pan marszałek oczywiście, że od tego roku akademickiego zrobili wszędzie praktycznie getta ławkowe?

– Ano słyszałem, oczywiście – zgadza się Rydz.

– Z tym nie ma co walczyć. Taka jest wola narodu. Tam i ówdzie jest już numerus clausus. Wprowadzimy w ciągu dwóch lat numerus nullus i nie będziemy przyjmować nowych, tym co studiują pozwolimy skończyć, jeśli

zobowiążą się do emigracji, i zamysł jest taki, żeby do czterdziestego drugiego, najdalej czterdziestego trzeciego roku na żadnej polskiej uczelni nie było ani jednego studenta Żyda. Od przyszłego roku przestaniemy przyjmować poborowych Żydów, oficerom zaproponujemy emeryturę i powoli będziemy ich przyciskać mocniej.

– A w zamian za służbę wojskową co? – pyta Rydz.

– Specjalny podatek wojskowy. W tej chwili celujemy raczej w pogłówne ściągane od każdego w wieku poborowym, acz są głosy za tym, że lepiej opodatkować gminy, niż użerać się z każdym biednym parchem o te parę złotych. Potem, sukcesywnie, odbierzemy żydowskim lekarzom prawo do wykonywania zawodu, tak samo inne wolne zawody. W domyśle, gdzieś do roku tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego wywłaszczenie co większych majątków, jeśli który nie będzie chciał emigrować. Nieruchomości i tak odbierzemy, ruchomości pozwolimy zachować, jeśli sami emigrują. I tak dalej. Aż wszystkich zmusimy, żeby się z Polski wynieśli. Albo się ewentualnie zasymilowali.

– Zasymilowali? – dziwi się Śmigły.

– Egzamin z języka polskiego, chrzest i tak dalej. Nie przemyśleliśmy tego jeszcze dokładnie. Ale jest parę takich jednostek, które warto byłoby zachować. Pracujemy nad tym – odpowiada Koc.

Śmigły skinął głową w sposób, który oznaczał, że oficjalna część rozmowy została zakończona. Tak to sobie przynajmniej wyobrażam, znałem wielu generałów i każdy z nich potrafił właśnie skinięciem głowy dać do zrozumienia, że część oficjalna się zakończyła.

Koc wstał, odwołał wartownika z Brygady Ochronnej, wezwali kelnera, jedli homary, langusty i ostrygi, pili białe wino, a na koniec Śmigły zażądał dziewcząt, pojawiły się więc dziewczęta.

* * *

Byłem człowiekiem Szapiry. Miałem piękny garnitur, nie miałem jeszcze pistoletu, tylko wypełnioną ołowiem, skórzaną pałkę. Oddychałem pełną piersią. Umiałem już nurkować pod sierpowymi, nie spuszczając wzroku z przeciwnika, skręcać się, uginając nogi, i wracać zaraz, gdy rękawica tego, z kim walczę, muśnie włosy na mojej głowie, wracać, wyskakiwać

poza zasięgiem jego pięści i z tej rotacji wyprowadzać swój sierp w szczękę albo na żebra.

Kiedy do Auditorium Maximum wbiegli nieumundurowani policjanci, Szapiro wykrzyczał hasło:

– Ewakuacja!

Umówione zostało to wcześniej ze studentami, przy wsparciu Moryca i żydowskich organizacji samopomocowych, na ten sygnał więc wszyscy żydowscy studenci podnieśli się z miejsc i zaczęli tłoczyć się do wyjść z audytorium, robiąc przy tym tyle zamętu, ile tylko się dało.

W zamieszaniu policjanci nie byli w stanie odróżnić nas od studentów, wszyscy mieliśmy takie same studenckie czapki z daszkiem i wymknęliśmy się bez trudu, rozbiegając po uniwersyteckich korytarzach, by korzystając z zamieszania, opuścić gmach różnymi wyjściami i rozproszyć się po mieście.

Jakub i Pantaleon, i ja, który towarzyszyłem im jak cień, wbiegliśmy w Traugutta i zwolniliśmy kroku, pozbyliśmy się też studenckich czapek, minęliśmy pałac Czapskich, kiedy z Czackiego wypadł chevrolet master i stanął w poprzek drogi, z samochodu wyskoczył zaś Andrzej Ziembiński z pistoletem w ręku. Musiano powiadomić go telefonicznie o naszej uniwersyteckiej awanturze.

Wymierzył w Pantaleona, który znajdował się na przedzie, po czym strzelił, ale Pantaleona chybił, trafił za to odległą o kilkaset metrów kamienicę Wróblewskich, pod numerem 22 na Krakowskim Przedmieściu.

Kula odłupała kawałek tynku, a Ziembiński pociągnął ponownie za spust, jednak drugi strzał nie padł – zamek hiszpańskiej astry przyciął łuskę w oknie wylotowym, na to zaś, by szarpnąć zamek do tyłu i usunąć zacięcie, Ziembiński nie miał już czasu, Pantaleon podbił mu rękę z pistoletem i zaatakował. Ziembiński sprawnie uchylił się przed szerokim cepem Pantaleona i jako wprawny bokser byłby mu dał radę zapewne, gdyby się tylko boksowali, jednak Karpiński rzucił się nań i obalił go niczym zapaśnik, przygniótł swym imponującym ciężarem i zaczął okładać pięściami po głowie. Pistolet wypadł Ziembińskiemu z ręki.

– Weźmy go! – krzyknął Jakub, jednak wtedy z samochodu wysiadł ktoś jeszcze.

Miała około dwudziestu pięciu lat, tak na oko, była wysoka i szczupła, i raczej nie była ładna. Być może była piękna, to zależało, jak na nią spojrzeć, ładna jednak na pewno nie. Miała wielkie, ale bardzo szeroko rozstawione oczy, jakby rozepchnięte na skronie, i wyglądała trochę tak, jak ci obcy o szczupłych ciałach i wielkich oczach, których teraz w telewizji pokazują Amerykanie, ale wtedy oczywiście nikomu takie skojarzenia nie przychodziły do głowy. Ciemnobrązowe, lecz nie czarne włosy nosiła ułożone w modne fale, a na sobie spodnie i lekki sweterek.

Podniosła z ulicy pistolet Ziembińskiego, sprawnie przeładowała, usuwając zacięcie, wymierzyła w Pantaleona i Jakuba.

– Zostawcie go – powiedziała.

Wtedy Jakub na nią spojrzał, a ona patrzyła na Jakuba i wydarzyło się to, co często się działo, kiedy dziewczęta patrzyły na Jakuba: spodobał się jej, z czego nawet sobie nie zdawała sprawy, bo przecież mierzyła doń z pistoletu. Ale było coś takiego w Jakubie, co sprawiało, że kiedy kobiety go zauważały, to zaczynały o nim myśleć i marzyć.

Była siostrą Andrzeja Ziembińskiego i na imię miała Anna. Czego wtedy nie wiedzieliśmy, ale później się dowiedzieliśmy.

– Idźcie… – powiedziała.

Pantaleon włożył rękę do kieszeni, w poszukiwaniu rękojeści rewolweru, ale Jakub powstrzymał go gestem.

– Idziemy, nie trzeba strzelać, idziemy… – powiedział łagodnie, a Annie spodobał się jego głos. Mimo to ciągle mierzyła doń z pistoletu.

Pantaleon puścił Ziembińskiego i wstał, potem poszliśmy, ostrożnie, Anna cały czas trzymała nas na muszce, aż na placu Małachowskiego schowaliśmy się za kościół ewangelicki i zniknęliśmy jej z oczu.

Anna pomogła wtedy bratu wsiąść do samochodu, otarła mu krew i usiadła za kierownicą.

– Kto to był? – zapytała.

– Żydowski bandyta, Jakub Szapiro. Walczyłem z nim kiedyś w ringu i przegrałem – odpowiedział jej brat.

My zaś bez przeszkód wróciliśmy do Jakubowego mieszkania i już się zeń tego dnia nie ruszaliśmy. Chłopcy nie poszli do szkoły, siedzieli całe popołudnie z Jakubem i Emilią, grali w karty i czytali *Szatana z siódmej klasy*

Makuszyńskiego, chociaż Jakub narzekał, że czytają ciągle te polskie książki, że żydowskie powinni czytać. Potem słuchaliśmy radia.

W radiu o pracy profesora Samuela Dicksteina pogadankę wygłosił profesor Stępowski, była audycja dla młodzieży wiejskiej, a potem o dziewiętnastej premierowe słuchowisko Elżbiety Szemplińskiej-Sobolewskiej pod tytułem *Chiromantka*, którego wszyscy wysłuchali w tym uroczystym skupieniu, w jakim już nikt nigdzie grającego w tle radia nie słucha. Po słuchowisku Emilia przełączyła na drugi program, gdzie szła muzyka z płyt.

Na kolację jedliśmy chleb z masłem, ser i pomidory. Popijaliśmy białym winem. Jakub nalał też Danielowi i Dawidowi, na palec, rozcieńczył wodą.

– Po co wam to było, Jakub? Ta awantura na uniwersytecie? – zapytała Emilia. – To tylko kwestia dumy? Że żaden Polak nie będzie zakazywał Szapirze siadać na wykładzie, gdzie mu się podoba?

– A to nie wystarczy? – odpowiedział. – Miałem skurwysynom pozwolić na wszystko, jak rok temu?

Emilia zamyśliła się na chwilę. Napiła się wina.

– Wystarczy – przyznała mu rację.

Milczeli. On milczał, bo chciał się przygotować do tego, co ma do powiedzenia, musiał zebrać w sobie jakąś siłę, żeby powiedzieć to głośno. Ona milczała, bo wiedziała, że chce jej coś ważnego powiedzieć.

– Chciałem ci powiedzieć, że masz rację. Wyjedźmy, Emilia. Do Palestyny. W tym kraju niedługo będzie tak samo jak u Hitlera. Ja wiem, że Anglicy nie wpuszczają teraz, ale Moryc to załatwi, przez organizację. Wstąpię do Hagany. Będę robił to samo, co tutaj, tylko z jakimś pożytkiem większym niż tylko moja kieszeń.

Milczała chwilę. Patrzyła na własne dłonie ze ściągniętymi brwiami, mądra i silna.

– Wyjeżdżamy do Palestyny, chłopcy – powiedziała w końcu. – Musicie się uczyć hebrajskiego. Jak wujek Moryc.

– Tylko muszę najpierw uporządkować tu sprawy. Zebrać pieniądze, nie będziemy tam nędzarzami. I wyjedziemy.

Napełnił winem szklanki, jej i swoją.

– Za Palestynę – powiedziała.

– Za Palestynę. Do diabła z Polską.

– Ja nie chcę jechać do Palestyny – powiedział Daniel. – Nie mam tam żadnych kolegów. I nienawidzę hebrajskiego.

– Ja też nie chcę – dodał Dawid. – To jest daleko i tam jest tylko piasek i nie ma pani Chai, która nas uczy polskiego. Ja nie chcę jechać gdzieś, gdzie nie ma pani Chai.

Uspokajali ich oboje, Jakub z Emilią, tak jak trzeba w takiej sytuacji uspokajać ośmiolatków, bardzo trudno uspokoić ośmiolatków, mądrych już na tyle, że nie wszystkie słowa rodziców biorą za dobrą monetę.

Potem położyli chłopców spać, wypili jeszcze jedną butelkę i kochali się, a ja podglądałem, jak wielkie, ciężkie cielsko Jakubowe spoczywa na ciele Emilii, a Emilia patrzyła na mnie zza jego ramienia i widziała mnie, i wiedziała, że patrzę. Objęła go nogami w pasie.

Wtedy Jakub poczuł, że ich obserwuję. Tak mi się wydaje, że to właśnie poczuł. Zerwał się, odwrócił i usiadł na łóżku.

– Kto tam jest? – zapytał w ciemność, po omacku szukając leżącego na nocnym stoliku pistoletu.

– Nikogo tam nie ma, Jakub, chodź do mnie – powiedziała najmiększym z głosów, jakby uspokajała narowiącego się konia. Tylko kobiety potrafią mówić tym głosem, tylko mądre kobiety. – Nikogo nie ma. Chodź.

Położyła dłoń na jego kroczu. Popatrzył chwilę w ciemność, niespokojny, oddychał szybko, po czym jednak wrócił do niej, a ja wróciłem do mojego pokoju i patrzyłem przez okno na Litaniego, który przez to samo okno patrzył na mnie.

Jestem Jonaszem. Z głębokości wołam do ciebie, Panie.

W tym samym czasie, w tej samej Niniwie i pod tym samym krwawym spojrzeniem kaszalota Eduard Tiutczew w zaroślach Kępy Potockiej i w świetle zawieszonej na gałęzi latarki dokonał brzytwą ostatniego cięcia na ciele porucznika Jerzego Zielińskiego, oddzielając genitalia porucznika Jerzego Zielińskiego od reszty ciała porucznika Jerzego Zielińskiego. Porucznik Jerzy Zieliński jeszcze żył, ale nie odczuwał bólu, odurzony solidną dawką morfiny i alkoholu. Ostatnie trzy tygodnie podłego życia spędził przykuty kajdankami do kaloryfera w kuchni małego mieszkania

Tiutczewa, gdzie zabrano go prosto z paszteciarni Sobenskiego i gdzie Tiutczew traktował go o tyle dobrze, co obojętnie, strzegąc jako atutu, którym Radziwiłek zamierzał rozegrać swoją partię.

I teraz nastał w końcu czas, by kartę „porucznik Jerzy Zieliński" rzucić na stół. Radziwiłkowi zależało, by podczas autopsji stwierdzono jasno, że torturowano żywego człowieka, nie trupa. Cierpienie i będące jego efektem męczeństwo były ważnym elementem tego zagrania. Morfina i alkohol były zaś inicjatywą Tiutczewa. Dając Zielińskiemu wódki i wstrzykując morfinę, kierował się zarówno litością, jak i rozsądkiem, nie miał ochoty szarpać się z wrzeszczącym na torturach więźniem czy ryzykować nadejścia jakiegoś przypadkowego przechodnia, zaintrygowanego wrzaskami.

Chociaż, z drugiej strony, wiadomo, w Warszawie mieszkają mądrzy ludzie i słysząc wrzaski z zarośli, raczej przyspieszą kroku, niż się nimi zainteresują. Tak czy inaczej, wstrzyknął Zielińskiemu całą buteleczkę. Jego cierpienie nie było mu do niczego potrzebne.

Jerzemu Zielińskiemu zostało zaś jeszcze kilka minut nieprzytomnego życia, ale tak naprawdę umarł dawno temu.

Umierał całe siedemnaście lat i jedyne, co w nim zostało, to przekonanie, że został zdradzony. Przez swoje pozbawione nogi ciało, przez żydowską Polskę, przez cały rodzaj kobiecy, który żegnał go gorąco, kiedy szedł na front, żegnał, całował, machał chusteczkami, obiecywał wiele, wpychał nawet język do ucha po tym, jak te obietnice do ruszającego następnego dnia na front porucznika wyszeptał.

Kładł mu rodzaj kobiecy, w postaci narzeczonej, na kroczu dłonie, kiedy podporucznik Jerzy Zieliński ruszał na front w zielonym, angielskim mundurze, z niemiecką szablą i rosyjskim rewolwerem przy boku. A kiedy porucznik Jerzy Zieliński wrócił z wojny bogatszy o medale i wyższy rangą o stopień, uboższy zaś o nogę, rodzaj kobiecy stracił wszelkie nim zainteresowanie. Narzeczona porucznika nie czekała, aż wojna się skończy, i jeszcze zanim Zieliński zubożał o nogę, wyszła za mąż za pewnego zamożnego wychrztę nazwiskiem Majewski, który posiadał w Łodzi trzy sklepy kolonialne, dwadzieścia procent udziałów w browarze, do tego samochód i dwie kamienice w Warszawie, w dolnej połowie ciała

zaś dwie kompletne nogi oraz wielkie, grube obrzezane prącie, którym sprawiał dawnej narzeczonej porucznika wiele rozkoszy.

Wtedy jeszcze porucznik Zieliński łudził się, że jako inwalida i bohater wojenny szybko znajdzie pocieszenie po tej żydowskiej kurwie, rychło jednak okazało się, że nikt nie chce beznogiego wojskowego emeryta bez majątku ani posady, za to z rosnącym każdego dnia, ba, godziny każdej kapitałem goryczy, wściekłości i żalu, do których gdzieś w okolicach zamachu majowego dołączyła zwykła, a więc zupełnie czarna, bo pozbawiona nadziei rozpacz.

Nasza matka, siostra i kochanka, a ich ojciec, brat i kochanek, nasza czarna boginka o tłustym ciele Wenus z Willendorfu i wielkiej paszczy rozszerzającej się jak szczęki anakondy, połykająca nas powoli, od nóg albo od głowy, ale zawsze do końca.

Tiutczew wyciągnął *Подорожник* Achmatowej i czytał, czekając, aż Zieliński umrze. On też znał smak jej zębatych ust, jej czarnej paszczy, lecz nauczył się żyć z nią w zgodzie, pozwolił jej się połknąć bez walki, stopił się z nią i zgniło, i umarło w nim wszystko, co nie było rozpaczą, i stał się jej awatarem, obojętnym półbogiem stąpającym lekko po brukach warszawskich.

Gdy Zieliński umarł z upływu krwi, Tiutczew schował Achmatową do kieszeni i zgodnie z rozkazem Radziwiłka włożył martwemu Zielińskiemu w pozbawione już zębów usta jego okrwawione i sflaczałe, bo odcięte genitalia, następnie zapakował wątłe ciało porucznika do dwóch jutowych worków, zarzucił sobie pakunek na plecy i stękając, zaniósł do zaparkowanego przy Godowskiej Radziwiłkowego tylnosilnikowego mercedesa, zapakował do bagażnika z przodu i pojechał na Krakowskie Przedmieście, róg Karowej, gdzie zaparkował pod redakcją „Kurjera Warszawskiego". Wysiadł, rozejrzał się, była trzecia nad ranem i wokół pusto. Wyciągnął pakunek z bagażnika, posadził pod latarnią, rozwiązał worek i ściągnął twarde, jutowe płótno poniżej ramion ofiary, tak by było widać okrwawioną głowę, następnie powiesił ofierze na szyi kartkę, na której widniał napis: „Z pozdrowieniami dla wszystkich antysemitów w imieniu polskich socjalistów Kum Kaplica", wsiadł do mercedesa i odjechał. Zatrzymał się przy najbliższej rozmównicy, z której zatelefonował do mieszkania redaktora Witolda Sokolińskiego.

Dziennikarz odebrał od razu, telefon miał przy łóżku.

– Gotowyje. Jedź do redakcji. Sprowadź fotografa – powiedział i odłożył słuchawkę.

Sokoliński westchnął ciężko, odrzucił kołdrę, wstał i zaczął się ubierać.

– A ty gdzie...? – warknęła żona.

– Do pracy...

Popatrzyła na niego z pogardą.

– Po tych nocnych telefonach pomyślałabym przez chwilę, że do jakiejś kurwy nocami jeździsz, ale przecież wiem, że za darmo żadna ci nie da, a na płatne pieniędzy nie masz, boś nędzarz.

– No i po co mi tak mówisz... – zasmucił się Witold.

– Bo to prawda – warknęła pani Sokolińska, odwracając się do ściany, i miała rację.

Witold westchnął ponownie, wziął palto i kapelusz, wyszedł z mieszkania, wsiadł na rower i z mozołem popedałował na Krakowskie Przedmieście.

Litani patrzył z radością na zmasakrowane i znieważone ciało porucznika Jerzego Zielińskiego.

Jest coś niemożliwego w kaszalocim ciele, w jego proporcjach i liniach. Kiedy spojrzysz na szkielet człowieka, widzisz, że odpowiada on mniej więcej człowieczemu ciału. Szkielet kaszaloci zapowiada zupełnie inne zwierzę, podobne raczej do gigantycznego delfina, zwierzę o długim, zębatym dziobie. Nic nie zapowiada wielkiego, tępego łba wypełnionego przejrzystym olejem, który po zetknięciu z powietrzem staje się mlecznobiały i przypomina spermę.

Gdzież mu przy tym do obłych, opływowych ciał delfinów i orek, wyglądających, jakby projektowali je nie Bóg ani natura, lecz przemyślny inżynier, specjalista od hydrodynamiki i okrętów podwodnych. Kaszalot jest dziwaczny. Kaszalot swoim tępym jak taran łbem rozpycha wody oceanów, panoszy się w nich. Nieproporcjonalnie mała szczęka zwisa pod łbem, jakby należała do innego zwierzęcia.

Patrzy na mnie tak, jak patrzy na kałamarnicę, którą zamierza pożreć.

Kaszaloty nie gryzą ani nie rozszarpują swojej zdobyczy, wsysają ją, wciągają w całości. Nawet te o złamanych szczękach polują skutecznie.

Wielkie kałamarnice bronią się, oplatając tępe głowy swoimi mackami, kałamarnicze dzioby przeciwko kaszalocim szczękom, macki zdolne głęboko naciąć grubą, kaszalocią skórę.

Litani śpiewa. Pieśnią mnie widzi, nie oczami. Oślepłe kaszaloty polują tak samo sprawnie jak widzące; aby polować pod wodą, nie potrzebują światła ani wzroku, widzą świat swoją pieśnią, która odbita od kałamarnicy albo ryby, wraca do nich i przez pełne spermacetu głowy rezonuje o kości czaszki.

Tą pieśnią Litani dotyka we mnie tego, co wolałbym, by pozostało ukryte.

Wszystko jednak zostanie obnażone. Nic nie ukryje się przed jego pieśnią i jego płonącym wzrokiem.

ה

HE

Do paszteciarni na Lesznie następnego dnia wybraliśmy się dużo wcześniej niż zwykle, jeszcze po ciemku, przed ukazaniem się pierwszych gazet. Było nas trzech, Szapiro, Pantaleon i ja, a miasto było uśpione, czarne i głuche.

Usiedliśmy przy stoliku, Sobenski zaparzył świeżą kawę i podał jeszcze ciepłe, pachnące paszteciki, wytrawne i słodkie, do tego serdelki z wody, chleb, musztardę i jajka na twardo. Pijąc i jedząc, czekaliśmy na pierwsze gazety.

Najpierw umyślny przyniósł „ABC" i „Nasz Przegląd".

– „Bezprzykładny atak żydowskich gangsterów" – Jakub odczytał głośno tytuł z „ABC".

– Ja sobie, kurwa, wypraszam – zabulgotał Pantaleon Karpiński. – Ja jestem dobry Polak, katolik, robotnik i socjalista. A gangsterzy to są w Ameryce.

– Dalej jest jeszcze lepiej. Wspaniale. „Najwyraźniej niezadowoleni z prób ograniczenia wpływów mafii żydowskiej na uniwersytecie uzbrojeni bandyci pogwałcili cywilizowane obyczaje, sterroryzowali rewolwerami bezbronnych studentów chrześcijańskich i pogwałcili majestat profesora".

– Co pogwałcili? – zapytał zdziwiony Pantaleon.

– Majestat. „Dopiero spóźniona i niemrawa interwencja policji przegnała zbrodniarzy z terenu Uniwersytetu imienia Józefa Piłsudskiego. Nikt nie został aresztowany". Daj „Przegląd".

Podałem. Jakub szybko przerzucił kartki.

– Nic...? – zdziwił się. – A, nie, jest. Mała notka. „Bijatyki na Uniwersytecie imienia Józefa Piłsudskiego efektem antysemickiej polityki nacjonalistycznych organizacji studenckich".

– Było warto, panie Szapiro? – zadudnił Pantaleon. – Kum nie będzie zadowolony.

– Nie będzie. Ale musiałem coś zrobić – odpowiedział Jakub.

Zza lady wychynął właściciel paszteciarni, pan Sobenski. Dolał kawy, doniósł pasztecików.

– Ja to rozumiem, panie Szapiro. Czasem tak jest, że trzeba coś zrobić. Ja to rozumiem – odpowiedział Pantaleon po chwili.

– Wie pan, panie Pantaleonie, jak im pozwolimy bez protestu na wszystko, to gdzie to nas doprowadzi? Co dalej? Zamkną nas za drutami? Trzeba się postawić. Bo inaczej będą myśleć, że wolno im wszystko. I przyjdzie jakiś polski hitlerek i będzie jak u Hitlerka. Jemu też się nikt nie stawiał i sam pan wiesz, co się tam dzieje.

– Takich jak ja podobno zamykają w szpitalach i tną na żywca, żeby sprawdzić, co mamy w środku. Naukowcy.

– Wiwisekcje robią? – zdziwił się Szapiro. – Ale komu?

– Dziwadłom, panie Jakubie. Wynaturzeniom. Tak mi powiedział jeden człowiek, co go jeszcze z cyrku znam. Że robią na wynaturzeniach takich jak ja badania. Eksperymenta. Pogaństwa jakieś też, ofiary. Pana Boga oni nie szanują, panie Szapiro. Ani mojego, ani pańskiego.

– Ja nie mam żadnego boga, panie Pantaleonie – zaprotestował Szapiro.

– Każdy ma Pana Boga, takiego, jakiego mu los przeznaczył. Chrześcijańskiego, żydowskiego albo jakiegoś tam chińskiego czy murzyńskiego. I ten Pan Bóg każdego przez los mu przeznaczonego posiada tak, jak ludzie posiadają zwierzęta. Więc może karmić, a może zagłodzić. Kochać i dać spać przy kominku, jak pańcia jakaś kochanemu pieskowi, albo zbić kijem. Albo gardło poderżnąć, wypatroszyć, obedrzeć ze skóry, mięso pożreć, resztę wyrzucić. Tak też może Pan Bóg z każdym przez los mu przeznaczonym uczynić.

– Bajki pan pleciesz, panie... – zaczął Jakub, ale nie skończył, bo drzwi paszteciarni otwarły się z trzaskiem i do środka wpadł Kum, wściekły jak pokąsany przez gzy byk.

Był ubrany niestarannie, w rozchełstanej koszuli bez kołnierzyka i krawata i w płaszczu narzuconym na ramiona. W ręku miał gazetę.

– Co to ma, kurwa, znaczyć?! – ryknął.

– Kumie, już tłumaczę – zaczął Jakub pospiesznie. – Ja wiem, że nie pytałem o pozwolenie. Ale nie było czasu. Mój brat miał siedzieć w ławce jak jakiś człowiek gorszej kategorii?

– Szapiro, co ty mi tu o jakimś uniwersytecie pierdolisz – warknął Kum i rzucił gazetę na stolik. – Co to ma, kurwa, znaczyć?

Na pierwszej stronie „Kurjera Warszawskiego" znajdowała się reprodukcja dwóch fotografii. Na jednej, bardzo niewyraźnej, znajdowały się zwłoki porucznika Jerzego Zielińskiego. Na drugiej zawieszony na martwej szyi Zielińskiego kartonik. I artykuł Witolda Sokolińskiego.

„Jan Kaplica – polski herszt żydowskich bandytów".

– Radziwiłek go wziął jeszcze tego samego dnia, jakeśmy go tu przywieźli, trzy tygodnie temu... To znaczy ten jego Rusek, Tiutczew, i chyba u Tiutczewa w mieszkaniu go trzymali, nie interesowałem się, nie moja sprawa – zaczął tłumaczyć Szapiro.

– Nie twoja? Nie twoja? To teraz mamy! Gdzie jest Radziwiłek? – zapytał Kum. – Po to mu był!

Szapiro spojrzał na Pantaleona. Już rozumieli.

– Sobenski, dzwoń do pana Radziwiłka do domu – polecił Jakub, ale wszyscy wiedzieli, że nie odbierze. Sobenski zadzwonił. Radziwiłek nie odebrał.

Już wiedzieliśmy. Już rozumieliśmy. Świat się obraca, przewartościowują się jego hierarchie. To, co było wyniesione, upada. Kum też wiedział.

Wiedział jednak, że nic nie jest jeszcze przesądzone, wiedział, że można i należy walczyć.

Do paszteciarni wpadł za to ten sam łatek, który kiedyś przyniósł mi bilety na mecz bokserski Makabi z Legią.

– Idą tutaj, Kumie, idą...! – wrzasnął, zgrzany biegiem, rozchełstany.

– Do chuja pana... – zaklął Kaplica. – Kto idzie?

– Falanga!

– Gdzie?

– Teraz na placu Piłsudskiego, pójść mają na Tłomackie – wysapał chłopiec.

– Dużo?

– Kilkuset.

– Broń?

– Kije w rękach, maszyny po kieszeniach. Krzyczą „bić Żyda” i „wielka Polska narodowa”.

– Hinty są?

– Nie widziałem.

Kum chwycił chłopca za ramiona, pochylił się i patrząc mu w oczy z tak bliska, że wąsami dotykał jego piegowatego nosa, powiedział:

– Słuchaj, smarku. Leć mi teraz na jednej nodze na Kercelak, do jadłodajni Choromańczyka, łap samego pana Choromańczyka i mów, że Kaplica każe natychmiast wołać wszystkie zdatne do bitki pięści, noże i maszyny, jasne?

Łatek, przywykły do funkcjonowania jako goniec, ruszył, nie pytając o nic i w wielkim pośpiechu.

Ilu takich potem widziałem, takich jak on, w Warszawie i w Palestynie, na wojnach, w których brałem udział albo którym się przyglądałem.

Nerw wszystkich miejskich wojen domowych, walk ulicznych, rewolucji, przewrotów i zamieszek, dziesięcio- albo czternastoletni chłopcy, miasto znający na wylot, niepozorni na tyle, aby ujść policyjnej kontroli, mądrzy, sprytni, przemykający się zakamarkami z prostymi rozkazami w głowach. Nazwiska, adresy, polecenia. Zabić. Połamać nogi. Zapłacić. Wypuścić. Złapać i przyprowadzić.

Pobiegł.

Szapiro stał już za ladą, wybierał numer na tarczy telefonu.

– Gdzie telefonujesz? – zapytał Kaplica.

Wiedziałem, że jego bandycki mózg pracuje teraz na całej obliczeniowej mocy, jak mózg elektronowy radzieckiego statku kosmicznego podczas startu.

– Do partii. Muszą ruszyć swoje bojówki. Zaraz zadzwonię do Makabi… Halo…? Dzień dobry, Szapiro mówi, mamy tutaj porutę…

Szapiro żądał jak najszybszej mobilizacji bojówki partyjnej, ale Kaplica już nie słuchał.

– Dobrze. Choromańczyk puści wici – odparł Kaplica, wyciągnął z kieszeni browninga, sprawdził magazynek, przeładował.

Pantaleon przejrzał komory w naganie.

– Ja się zawsze zastanawiam, jak wy tak tę broń sprawdzacie, to rano żeście nie sprawdzili? – zapytał Szapiro.

– Co? – nie zrozumiał Kum.

– No jak Kum rano wkłada maszynę do kieszeni, to wkłada ją tam, nie wiedząc, czy ma w środku naboje?

Kaplica spojrzał na Szapirę nierozumiejącym spojrzeniem, jak na wariata.

– O co ci chodzi, Jakub?

Szapiro machnął ręką. Swojej broni nie sprawdzał, zawsze była naładowana, nie musiał tego sprawdzać. Jeśli strzelał, to uzupełniał magazynek. Po prostu.

– Szybko się zebrali. Gazeta dopiero wyszła – powiedział.

– Musieli wiedzieć wcześniej. Wszystko ustawione. Dajcie mi plan miasta! – zażądał Kaplica. Sobenski przyniósł zaraz, rozłożyli na stoliku.

– Pójdą z Tłomackiego w stronę Woli – powiedział Kum.

– Chyba że się zajmą naszą Biblioteką i Instytutem na Tłomackiem. Albo synagogą.

Kum zastanawiał się chwilę, gapiąc się w mapę.

– Panie Pantaleonie, a pan jak myślisz?

Pantaleon spojrzał w sufit, wsłuchując się w głos diabła brata.

Pantaleon wierzył, że diabeł brat swoimi zarośniętymi oczyma widzi rzeczy, których nie sposób zobaczyć oczami ludzkimi. Poczuł, jak diabeł brat wykrzywia swoją małą twarz w grymasie płaczu.

– Pójdą na Kercelak.

– Lesznem?

– Lesznem – odparł Pantaleon z pewnością wyroczni.

Kaplica spojrzał na plan, dotknął mapy tłustym palcem w okolicach skrzyżowania Leszna i Żelaznej.

– Tu ustanowimy perymetr. Na wysokości Żelaznej, przy tej szkole Collegium. Jeden oddział będzie czekał przy Ogrodowej, drugi na Nowolipiu pod szpitalem. Uderzym w środek ich pochodu, rozdzielim ich na dwoje. Do tego czasu Choromańczyk przyjdzie z chłopakami z Kercelaka i uderzy od tej strony. Za tył wezmą się policmajstry. Właśnie! Jakub, na policję dzwoń!

– Nie najlepszy klimat ostatnio w kwestii hintów… – zaczął Szapiro.

– Dobra, dzwoń do Sławoja. Albo nie, sam zadzwonię. A pan, panie Sobenski, bierz pan dechy i zabijaj witrynę, nie chcę, żeby mi mój lokalik zdewastowali. Biegiem! Pomóżcie mu.

Sobenski zabrał się do roboty. Deski na taką okazję miał zawsze przygotowane na zapleczu. Wyszliśmy z Szapirą i Pantaleonem pomóc. Nad Warszawą zaczynało wschodzić słońce, a Litani patrzył na nas swoją pieśnią, patrzył oczyma pozbawionymi litości, zagarniał nas pod swoją władzę.

Niedługo śpiewał. Niedługo. Jeszcze chwilę poczekajcie.

W oceanie kaszaloty pożerają kałamarnice. Czym żywi się Litani unoszący się nad Warszawą? Czarne mleko.

Kaplica wyszedł na ulicę. Był blady.

– Jedziemy – powiedział po prostu.

Wsiadł do swojego chryslera, my do buicka Szapiry, ja z tyłu, Pantaleon obok Jakuba.

– Odmówili mu – stwierdził Pantaleon.

– Myślę, że nawet gorzej.

Pojechaliśmy. Wieści rozniosły się szybko, więc ulice żydowskiej dzielnicy były wyludnione. Interesów nie pootwierano, wiele witryn właściciele pospiesznie zabijali deskami, jak Sobenski.

Nikt nie był tutaj zaskoczony takimi wieściami. Intensywność ulicznych zamieszek w Warszawie to słabła, to rosła w siłę, czasem nawet parę lat był spokój, jak na przełomie lat dwudziestych czy trzydziestych, rok 1937 był

jednak wyjątkowo burzliwy, zwłaszcza na tle dość spokojnej pierwszej połowy lat trzydziestych, i każdy zapobiegliwy warszawski sklepikarz był na okoliczność zamieszek przygotowany.

Ulice rozbrzmiewały pospiesznym stukotem młotków, patrzyłem jak przybijają deski, by ochronić kosztowne szyby witryn, zwijają szyldy, jeśli da się je łatwo odczepić, chowają donice z kwiatami, ławeczki i tak dalej i robią to bez oburzenia, tak samo jak chowaliby dobytek przed zapowiadanym gradem czy burzą.

Nie jechaliśmy daleko, można było pójść piechotą, ale wiadomo, że w takich sytuacjach lepiej mieć auto pod ręką. Samochody zaparkowaliśmy na ulicy Wolność, pod Domem Noclegowym dla Bezdomnej Młodzieży.

Kiedy wysiadaliśmy, nagle wyobraziłem sobie los mój, Mojżesza Bernsztajna, którego Jakub Szapiro nie wziąłby pod swoje skrzydła, tylko pozostawił bezlitosnej warszawskiej ulicy, samotnego pod płonącym spojrzeniem i okrutną pieśnią Litaniego.

Albo: Jakub Szapiro chciałby wziąć mnie pod swoje skrzydła, wysłałby mi bilet na mecz bokserski Makabi z Legią, ale ja bym ten bilet podarł czy odsprzedał, bo po co miałbym, ja, żydowski chłopiec z pobożnej rodziny, iść na mecz bokserski?

Więc nie idę, zostaję z matką i bratem, nie porzucam ich i co się z nami dzieje?

Kamienicznik wypowiada nam mieszkanie: mojej matce, bratu i mnie, bo bez ojca kim jesteśmy, wdową z dwójką sierot. Tułamy się po niechętnych krewnych – trzy osoby to za dużo, by przyjąć nas tak po prostu pod dach.

Nie potrafię sobie przypomnieć tych krewnych. Ale mieliśmy ich, to na pewno, mieliśmy wielu krewnych. I wszyscy w końcu nas przeganiają. Lądujemy na ulicy.

Co się dzieje z moją matką i bratem, nie wiem.

Czy moja matka zaczęłaby się prostytuować, ona, tak pobożna, a przy tym zimna jak kamień Żydówka? Czy raczej żebrałaby tak samo jak te wszystkie żebraczki żydowskie i chrześcijańskie, którym Warszawa pokazała swoje zwykłe, okrutne oblicze?

A ja? Może trafiłbym właśnie tutaj, do Domu Noclegowego dla Bezdomnej Młodzieży. Jadłbym cienką zupę i cierpiał prześladowania ze strony chrześcijańskich dzieci. Kazaliby mi uczyć się pacierza i czynić znak krzyża, i całować krucyfiks. Nurzaliby moją głowę w toalecie. Wyrwaliby mi pejsy. Ściągaliby mi spodnie i naśmiewali się z obrzezanego prącia. Kopali w jądra. Bili w twarz, a ja nie umiałbym się bronić, bo przecież nie chodziłbym z Jakubem Szapirą trenować do sali Gwiazdy, nie wiedziałbym, jak trzymać ręce, jak zejść przed ciosem, jak zrobić rotację pod niezdarnym sierpowym, by wyskoczyć z drugiej strony i zwalić prześladowcę na ziemię jednym uderzeniem w miejsce, w którym żuchwa łączy się z czaszką, albo jeszcze dalej, za ucho.

A potem co? Za rok wykopaliby mnie stamtąd, a za dwa nadszedłby rok 1939 i co by ze mną było? Sam bym wcześniej do Palestyny nie wyjechał, bo za co, bo jak...?

Jakub Szapiro poderżnął gardło Nauma Bernsztajna, by uratować życie Mojsze Bernsztajna, bym żył, bym mógł zostać generałem Mosze Inbarem, przejść mój szlak bojowy po to tylko, aby teraz siedzieć przy maszynie, nie wychodzić z domu, po prostu być i spisywać swoje wspomnienia.

Uratowany przez Jakuba ruszam za Kumem, Pantaleonem i Jakubem samym, biegniemy na wyznaczone miejsce zbiórki u zbiegu Wolności, Nowolipia, Żelaznej i Żytniej, pod Szpitalem świętej Zofii, który jest przy tym szpitalem ginekologicznym.

Kumowi szybko brakuje oddechu, zwalnia, przystaje, chwyta się płotu, czekamy na niego. Jakub i Pantaleon są podnieceni, rozluźnieni, Jakub przeskakuje z nogi na nogę, rozgrzewa szyję i ramiona jak przed walką na ringu, Pantaleon wykręca sobie stawy, aż trzaskają, przeczesuje długie włosy, delikatnie dotyka palcami twarzy diabła brata na potylicy.

Dobiega do nas Kum, zasapany, zziajany, spocony, z pistoletem w ręku.

– Nie na moje lata, nie na moje już... – sapie.

– Tu się rodzą ludzie, a myśmy się tu uroczyście zebrali na umieranie – mówi Pantaleon, wskazując na szpital. – Nasze albo wrogów naszych. Taki jest porządek spraw świata tego. Jeden się rodzi. Jeden umiera. Pan Jezus palcem pokazuje: ten się ma urodzić, a ten umrze. Ludzie się zamieniają

miejscami. Ten, co się rodzi, zajmuje miejsce tego, co go Pan Jezus palcem pokazał do umarcia.

Kum i Szapiro nie słuchają, tylko ja słucham. Munja pali papierosa i mruczy coś pod nosem w języku, którego nie rozpoznaję.

Nasi ludzie zbierają się powoli. Przesuwamy się w dół Żelaznej, w stronę Leszna, Falangę już słychać, a nas jest ciągle tylko dwudziestu trzech, za to doborowych, bo najszybciej zbiegli się nie robotnicy, ale mocne chłopaki z gangu, zaprawione zabijaki. Marynarki pościągali, poodwieszali na płot, spokojni, że nikt ich nie tknie, w dłoniach kastety, pałki, noże i brzytwy.

– U kogo maszyna jest, ręka do góry – pyta Kaplica.

Podnosi się rąk dwanaście. Rewolwery, pistolety i dwie oberżnięte dubeltówki.

– Strzelamy od razu? – upewnia się jeszcze Szapiro.

Patrzę na jego dłoń z sinym tatuażem, zaciskającą się na rękojeści pistoletu, miecz obosieczny i cztery hebrajskie litery תּוּמ, śmierć.

– Od razu. Przed kontaktem. Pierwsza salwa w tłum, bo jak strzelimy nad głowami, to się tylko ośmielą i pójdą w naszą stronę, masą nas zaleją, przemogą. A jak padnie kilku rannych i kilka trupów, to reszta się zesra i ucieknie. I potem wystarczy nad głowami strzelić, żeby ich za dużo nie pozabijać. Komuś sumienie zabrania?

Nikt się nie zgłasza. Oczywiście, że nikomu sumienie nie zabrania. A w głosie Kuma czai się przecież znana groźba, zdolna każde sumienie uśpić.

– No. Dobrze. Maszyny w rękę i idziemy. Z dwudziestu metrów walą pistolety, z pięciu obrzyny. Jasne?

Broń już nie chowa się po kieszeniach, broń trzymamy w dłoniach. Ruszamy.

Idziemy w dół Żelaznej, sto metrów.

Słychać już szum Falangi, nadchodzą od Śródmieścia. Są już blisko.

– Pięćdziesiąt metrów – mówi Pantaleon, dotykając twarzy diabła brata pieszczotliwym gestem.

– Gdzie hinty? – cicho pyta Szapiro.

– Nie wiem – odpowiada Kum bezradnie i Szapiro po raz pierwszy widzi Kuma tracącego bezwzględną pewność siebie. – Idziemy. Czerwony sztandar w górę. Idziemy. Chuj z policjami.

Biegniemy. Pamiętam to tak dokładnie. Od rogu Leszna dzieli nas dwadzieścia metrów, biegniemy, maszyny w uniesionych dłoniach, wypadamy zza rogu, Szapiro naciska na spust dużego browninga.

– Nie strzelać! – krzyczy Kaplica i próbuje zawrócić cały gang. – Hinty!!!

Na czele pochodu Falangi kroczą powoli policjanci w niemieckich hełmach i pancerzach okopowych, ze stalowymi tarczami i pistoletami w rękach. Podnoszą pistolety i zaczynają strzelać.

Musimy natychmiast zawrócić, uciekać, więc zawracamy, uciekamy, buty ślizgają się na bruku, Pantaleon się wywraca, ale Szapiro chwyta go pod ramię, ciągnie, strzelając na oślep za siebie w stronę endeckiej manifestacji, biegniemy razem. Kule z policyjnych pistoletów przelatują blisko naszych głów, tak blisko, jak cienka jest granica między życiem a śmiercią.

Nigdy nie potrafiłem tego zrozumieć. Jak to jest. Pochylisz głowę pięć centymetrów w lewo – żyjesz. Pochylisz głowę pięć centymetrów w prawo, pocisk uderzy w kości czaszki, przebije je, zniszczy to, co drzemie w płatach czołowych, czyli człowieka, te tajemne iskry między neuronami, w których cali jesteśmy, bo poza tym to nas wcale nie ma.

Władimir Demichow przeszczepił głowę, barki i przednie łapy szczeniaka na szyję owczarka niemieckiego. Jakieś dwadzieścia lat po tym, jak uciekaliśmy ulicą Żelazną przed polską policją w niemieckich hełmach.

Psie głowy na jednym psim ciele zachowywały się w sposób skorelowany, jednak próbowały się pogryźć. Pantaleon nienawidził swojego brata diabła, a jednocześnie śmiali się razem i umierali razem…

Gdzie zaczyna się jeden człowiek, a kończy drugi?

Zaprawdę, powiadam wam, nie ma czegoś takiego jak człowiek.

Pięć centymetrów w lewo, żyjesz, pięć centymetrów w prawo, trup. Ty i bliźni, dwóch ludzi. Bliźnięta dwujajowe, dwóch ludzi. Bliźnięta jednojajowe, dwóch ludzi. Bliźnięta syjamskie, zrośnięte płatem skóry, dwóch ludzi. Bliźnięta syjamskie posiadające dwie głowy, trzy ręce i resztę

ciała wspólną, dwoje ludzi. A jedna głowa, a dwa ciała, to jeden człowiek? A jeśli głowy i mózgi są zrośnięte, to ilu ludzi?

Pantaleon to jeden człowiek czy dwóch? A ilu z nas, nie wiedząc nawet o tym, nosi w sobie brata czy siostrę wchłoniętych, z których została w nas tylko cysta, jednak kiedy się poczęli, byli osobnymi ludźmi, a jeśli byli, to czy dalej są? Jak ich wtedy policzyć?

A kiedy nie możemy się doliczyć ludzi w ciele, to nie ma człowieka.

Jest tylko myślące mięso, różne jego kawałki, nie ma osób. Osoba to coś osobnego. Już prędzej po łacinie ma to sens, bo persona to maska, z etruskiego słowa „phersu", maska to coś, co zakładamy na myślące mięso, żeby reprezentować tę naszą urojoną osobność, persona to coś nieprawdziwego, nieprzyrosłego do mięsa twarzy.

Pięć centymetrów w lewo, żyjesz, pięć centymetrów w prawo, trup.

– Do samochodów! – wrzasnął Kaplica. – Potem do mnie.

Wtedy policyjna kula trafiła go w lewe przedramię.

Pięć centymetrów w lewo, żyjesz, pięć centymetrów w prawo, trup.

Potknął się, krzyknął z bólu, zaklął głośno, ale biegł dalej, szybko przebierając krótkimi nóżkami.

To trzecia kula, która w ciągu pięćdziesięciu siedmiu lat życia Kaplicy zdołała przerwać powłoki jego niewielkiego i pękatego ciała.

Pierwsza była jednocześnie ostatnią kulą w bębnie rewolweru policjanta, rosyjskiego hinty. Rewolwer był amerykański, marki Smith & Wesson, kaliber .44 Russian, policjant był carski, gruby i strzelał bardzo kiepsko, rok był zaś 1905, był styczeń i była rewolucja. Do uciekającego z placu Grzybowskiego Kuma, który jeszcze nie był Kumem, a po prostu Jankiem Kaplicą, policjant strzelił sześć razy i dopiero szósta kula dosięgła młodego wtedy i szczupłego rewolucjonisty i naderwała skórę na lewym udzie. Kaplica wywrócił się na śliskim bruku, a kiedy spojrzał za siebie, zauważył, że policjant rozpaczliwie usiłuje otworzyć łamany rewolwer, by wyrzucić zużyte łuski i załadować nowe naboje. Jan Kaplica spokojnie więc wymierzył ze swojego browninga, strzelił i trafił żandarma w czoło.

Nie był to bynajmniej pierwszy człowiek, jakiego zabił, ani pierwszy carski policjant.

Pierwszego człowieka zabił w 1897 roku, mając siedemnaście lat, i to zabił go gołymi pięściami, bo ów w 1937 od czterdziestu lat już martwy człowiek ukradł wtedy Kumowi buty, co było nierozważne, jako że był od Kuma młodszy, mniejszy i słabszy. Sam więc ściągnął na siebie ten los.

Pierwszego carskiego policjanta zabił na tym samym placu Grzybowskim, dwa miesiące wcześniej, w listopadzie 1904 roku, podczas pierwszej zbrojnej akcji Organizacji Bojowej PPS, z czego był niezwykle dumny do końca swoich dni i o czym chętnie opowiadał każdemu, kto chciał albo musiał słuchać.

Druga rana od kuli była najpoważniejsza i Kaplica ledwie się wtedy wylizał, było to w grudniu 1922 roku, w czasie zamieszek po wyborze Narutowicza na prezydenta, Kum już był wtedy Kumem, kula kalibru 7,63 z pistoletu systemu Mausera przebiła mu płuco i ledwie go odratowali. Strzelał młody endek. Młodego endeka w kilka sekund później zastrzelił Jakub Szapiro.

Sprawcy trzeciej rany od kuli nie ukarał na miejscu ani Kum, ani Jakub. Nie było na to czasu. Uciekaliśmy.

Dobiegliśmy do aut zaparkowanych na ulicy Wolność.

– Jedziemy naokoło, przez Wolę, Ochotę i Rakowiec, nie Śródmieściem – zakomenderował Kum, ściskając krwawiące ramię. – I rozdzielamy się.

Za kierownicę chryslera siadł Munja. My wsiedliśmy do Szapirowego buicka i ruszyliśmy, skręcając z Wolności w Okopową i zaraz w prawo w Żytnią, żeby nie zbliżyć się nawet do Leszna i Kercelaka, gdzie ochraniane przez policję endeckie bojówki robiły swoje.

Jak się później okazało, Choromańczyk zdołał zebrać pięćdziesięciu ludzi, ale na widok liczebnej przewagi falangistów i ewidentnie sprzyjającej im policji, czego w tych rejonach miasta nie widziano od zamachu majowego, uznał, że nie ma co ryzykować, i po prostu rozbiegli się po całej dzielnicy.

Kiedy narodowcy pod wodzą Ziembińskiego wtargnęli na Kercelak, targowisko zastali puste.

Stragany pozamykano, sprzedawców nie było. Narodowcy zdołali dorwać tylko dwóch żydowskich przekupniów, którzy zbyt ciężko objuczeni towarami, zwlekali z ewakuacją. Oberwało im się więc mocno.

Pierwszego, handlującego wiadrami Samuela Gerszoma chłopcy pobili za pomocą drzewców od szturmówek, złamali mu rękę i wybili dwa przednie zęby, wykrzykując, że to za porucznika Zielińskiego. Nie zdążył uciec, ponieważ taszczył ze sobą trzydzieści wiader i podobnie jak porucznik Zieliński nie miał jednej nogi, którą przed laty utracił za sprawą tramwaju.

Samuel Gerszom nie czytywał gazet i nigdy nie słyszał o poruczniku Zielińskim, nie za dobrze też rozumiał po polsku, ale akceptował swój los i razy, jakie otrzymywał, bo w swojej mądrości wiedział, że ktoś musi cierpieć na świecie, a teraz akurat padło na niego.

Cicho dziękował Najwyższemu, niemo poruszając skrwawionymi wargami, kiedy w końcu, pozbawiwszy go zębów, pieniędzy i towaru, zostawili go w spokoju, i chyłkiem uchodził z Kercelaka do swojego mieszkania na Gęsiej.

Drugim był krawiec Józef Sztajgiec, dokonujący przeróbek odzieży na podwyższeniu na samym środku Kercelaka.

Uciekłby, gdyby porzucił swoją maszynę do szycia, czarno lakierowanego singera, którego przewoził na dwukołowym wózku, w specjalnej, własnoręcznie i na miarę wykonanej walizie z grubej, woskowanej tektury, z krawędziami okutymi paskami cienkiej, mosiężnej blachy.

Uciekłby, gdyby pozostawił za sobą maszynę do szycia marki Singer, wózek i własnoręcznie wykonaną walizkę, jednak Józef Sztajgiec nie mógł porzucić swojej maszyny do szycia marki Singer. Resztę tak, ale nie maszynę. Bez maszyny do szycia marki Singer Józef Sztajgiec nie byłby już Józefem Sztajgiecem. Byłby tylko jednym z trzystu pięćdziesięciu tysięcy warszawskich Żydów, a przy tym nikim. Biedakiem bez sensu w życiu, bez powołania, bez obowiązku.

Nawet z maszyną był biedakiem, bez maszyny pewnie przymieraliby głodem on i jego rodzina, jednak maszyna do szycia marki Singer go określała, czyniła go kimś konkretnym, opisanym, Józefem Sztajgiecem krawcem.

Józef Sztajgiec nie uciekł od razu, kiedy zaczęli krzyczeć, że idą bić, bo przy maszynie Józefa Sztajgieca stała klientka, która przyniosła marynarkę

męża. Mężowi się powodziło, powodzenie odkładało się w pasie i marynarkę trzeba było poszerzyć. Poprzedni krawiec przezornie zostawił w tym celu naddatek materiału na biegnącym przez środek pleców szwie, więc robota nie była trudna. Józef już kończył, kiedy zaczęli krzyczeć i ostrzegać. Józef nie porzucił jednak swojego zlecenia.

Przebiegali obok niego zwoływani przez Choromańczyka zabijacy, straganiarze zwijali swój dobytek, a on szył, przekonując jednocześnie klientkę, że praca musi być wykonana, nic się nie dzieje, pani szanowna się nie denerwuje. Jedną sprawą było to, że uważał, iż praca musi być wykonana, drugą, że nie chciał stracić obiecanych za przeróbkę dwóch złotych.

W końcu oddał marynarkę, kobieta rzuciła mu pięć złotych, krzyknęła, że reszty nie trzeba, i pobiegła. Sztajgiec bardzo się ucieszył z takiego utargu i jął pakować maszynę do tekturowej walizki i składać drewniany stolik, na jakim zwykle stała. Wszystko to musiał jeszcze zapakować na wózek, pobiegł więc pod jadłodajnię, gdzie chował go pod daszkiem, i wtedy dopadli go po raz pierwszy, ale się wyrwał. Nie był inwalidą jak Gerszom. Nie był też zabijaką, nie umiał się bić, ale miał sprawne nogi i żadnego balastu z sadła, uciekłby w zaułki, zgubił prześladowców.

Ale nie mógł zostawić maszyny. Zostawił wózek, porwał tylko walizkę z singerem, ale nie był w stanie uciec. Dopadli go na rogu Chłodnej, pobili do nieprzytomności, złamali nos, szczękę i pięć żeber, zafundowali wstrząs mózgu i krwotok wewnętrzny.

Przede wszystkim zaś zabrali maszynę do szycia marki Singer. Nie ukradli, nie zniżyliby się do kradzieży. Wyjęli maszynę z tekturowej walizki i roztrzaskali o bruk.

Potem pełni świętego gniewu przewrócili kilka pospiesznie opuszczonych straganów i pokręcili się bez celu, napompowani adrenaliną, gotowi do starcia, do którego zabrakło im przeciwników, równie rozjuszeni co rozczarowani.

Spróbowali podpalić jadłodajnię Choromańczyka, ale nie dali rady, w nocy padał deszcz i wszystko było zbyt wilgotne, by zająć się ogniem.

W końcu policja zwinęła się do koszar, a pozbawieni jej niespodziewanej ochrony falangiści słusznie poczuli się nieswojo i szybko udali się do

przyjaźniejszych im dzielnic.

Sztajgieca dobrzy ludzie zanieśli na płaszczu do Szpitala Starozakonnych na Czystem. Kiedy odzyskał przytomność, zapytał o maszynę.

– Panie, co pan mi o jakiejś maszynie, pan masz wielki krwotok wewnętrzny z pękniętej śledziony! – odpowiedział okrutny lekarz.

– A co to takiego krwotok wewnętrzny? – zapytał słabym głosem Sztajgiec, tak mi przynajmniej o tym opowiadano.

– No krwawisz pan, ale w środku ciała – odparł niecierpliwie lekarz.

– Pan mnie masz za jakiś dureń? Przecież krew to właśnie w środku ciała się znajdować powinna – roześmiał się Sztajgiec i umarł. Tak mi przynajmniej o tym opowiedziano.

My zaś zajechaliśmy na podwórze Kaplicowej willi.

Chrysler Kaplicy już tam był. Razem z nami zajechała taksówka z kierowcą w odkrytej szoferce. Kierowca nosił skórzany płaszcz i palił wielką, wygiętą fajkę, dokładnie to pamiętam, a z taksówki wysiadł doktor. Nie znałem go, ale miał kozią bródkę w szpic, okrągłe okulary i lekarski neseser; wyglądał jak doktor, więc był doktorem.

Weszliśmy do środka razem z nim.

– Tu jestem! – krzyknął Kaplica.

Siedział w kuchni przy stole w samych spodniach, po ramieniu ciekła mu krew ze świeżej rany. Przed nim na stole stała butelka wódki. Palił papierosa.

Pani Kaplicowa przygotowywała wrzątek. Na jej twarzy czerwieniał ślad po świeżym uderzeniu. Dziewcząt nie było. Munja stał przy oknie z pistoletem w dłoni i ze zwątpieniem w sercu.

– Drasnęli tylko – powiedział Kum. – Kula poszła dalej. Szyj to pan. A wy siadajcie, napijcie się. Trzeba się naradzić.

Patrzyłem, jak doktor odkaża i oczyszcza ranę, jak zakrzywioną niczym haczyk igłą przebija bez znieczulenia skórę Kaplicy, jak igła ciągnie za sobą chirurgiczną nić.

Ile razy mnie szyli? Na tych wszystkich wojnach tutaj. Po sześciodniowej, po Jom Kipur, po wszystkich. Tyle ran, tyle dziurek po

igłach i chirurgicznej nici.

Wstaję od maszyny do pisania, idę do łazienki, przed lustro, ale nie umiem znaleźć blizn. Zgubiły się w starczej, pomarszczonej skórze, w jej bruzdach i w łuszczącym się naskórku. Skoro blizny znikają, to wszystko znika.

A przecież pamiętam, odłamek na Synaju, kiedy byłem przy sztabie Joffego. Chyba to był Joffe. I chyba to był sztab. Nie pamiętam, to przecież już dwadzieścia lat. Odłamek zostawił ranę na żebrach, niedaleko od miejsca, w którym wojna na mundurze zostawiła granatowo-biało-czerwoną baretkę.

A teraz nie umiem tej blizny znaleźć.

Nie umiem znaleźć własnej twarzy. Zgubiła mi się moja twarz, gdzieś między oczami a lustrem – stoję w łazience, światło zapalone i nie widzę własnej twarzy, widzę tylko nieokreśloną plamę między włosami, widzę z osobna wszystko, nos, oczy, resztki włosów, obwisłe policzki, wielkie uszy, wory pod oczami, siwe pieńki zarostu, ale nie widzę swojej twarzy, nie umiem znaleźć własnej twarzy, nie mam twarzy.

Wychodzę więc z łazienki.

Zębata paszcza czarnej Wenus z Willendorfu. Nie ma twarzy ani szyi, tylko głowę pokrytą żłobieniami włosów, jej paszcza otwiera się tam, gdzie znajdować by się mogło gardło, jej paszcza jest zaskoczeniem i z zaskoczenia ogarnia nas czernią i ciemnością, dławi i dusi.

Muszę zadzwonić do Magdy, do mojej Magdy, tylko w niej moja nadzieja.

Nie pisałem o niej, ale przecież ona była w tym wszystkim, była cały czas obecna, tyle że poza głównym nurtem zdarzeń. Tylko ona łączy mnie z tamtymi czasami.

Nie wiem, dlaczego przestałem o niej pisać. Ostatnie wspomnienie z teatru, a potem jakby nic nie było, a przecież było, Magda Aszer, moja Magda, pierwsza i jedyna kobieta mojego życia.

Nie licząc Emilii Szapiro. Tak bardzo były do siebie podobne, Magda i Emilia, nowe Żydówki, nowe kobiety, takie Żydówki, jakich wcześniej świat nie widział, sportowe, pewne siebie, silne, takie Żydówki potem zbudowały nasze państwo, ryły tępymi narzędziami nieurodzajną, suchą

ziemię w naszych kibucach i moszawach, ziemia rodziła owoce, a ich lędźwie rodziły prawdziwych Izraelczyków, wyrosłych z ziemi Izraela, Sabrów.

Nie goliły głów, nie wierzyły w gusła, żyły.

Ale z Emilią było inaczej, zupełnie inaczej. O tym opowiem później.

Pamiętam, że Magda była na sali, kiedy pierwszy raz wszedłem do ringu. Wcześnie wszedłem do ringu, bardzo wcześnie. Niewiele jeszcze umiałem. Moim przeciwnikiem był chłopiec młodszy ode mnie i mniejszy, moim sojusznikiem były oczy Magdy Aszer, siedzącej samotnie na drewnianych trybunach. Nikt poza nią nie zwracał uwagi na dwóch chudych chłopców w ringu, nawet Szapiro, który nieopodal skakał na skakance, aby rozluźnić się po swoim sparringu.

Czułem się dziwnie pewny siebie. Sędziował mój rówieśnik, spocony po swoim treningu, wyposażony na tę okazję w stoper do odliczania czasu rund i gong. I jego również w ogóle nie interesowała moja pierwsza walka.

Tylko Magdę Aszer, tylko jej oczy na mnie spoczywały, tylko one były moim sojusznikiem.

Czułem się dziwnie pewny siebie. Może dlatego, że przeciwnik był mniejszy i młodszy. Może dlatego, że ona na mnie patrzyła. Może dlatego, że nie spotkałem wtedy jeszcze czarnej Wenus z Willendorfu ani kaszalota o płonących oczach.

Sędzia uderzył w gong, dotknęliśmy się rękawicami i zaczęliśmy walczyć, i w drugiej sekundzie walki dostałem potężny lewy prosty w szczękę i prawy sierp w wątrobę, aż mi dech zaparło, i nagle cała moja pewność siebie się ulotniła, nagle zrozumiałem, że nigdy wcześniej nie byłem w takiej sytuacji. Nikt nigdy nie bił się ze mną w ten sposób.

Kiedy biliśmy się na ulicy z chłopakami z innych chederów i z innych podwórek, kiedy organizowaliśmy regularne wojny na dawnym placu Broni i w okolicach, to zawsze mogłem uciec, schronić się gdzieś, schować.

Tutaj byłem między linami ringu, a jedynym schronieniem był gong, a ona patrzyła.

Musiałem więc walczyć i walczyłem, chociaż po dziesięciu sekundach wiedziałem już, że nie mam szans, ten mniejszy ode mnie i młodszy gnój

jest lepszy, jak Szapiro był lepszy od Ziembińskiego na moim pierwszym bokserskim meczu.

Moje ciosy młóciły powietrze, bo jego głowy nigdy nie było tam, gdzie znajdowała się, gdy cios zadawałem. Przemykał się obok moich prostych i pod moimi sierpami, potem rozbijał moją gardę dwoma lewymi i dosięgał mojej głowy ciosami, które były, jakby uderzył mnie ktoś młotem.

W pierwszej rundzie podbił mi oko. W drugiej puścił krew z nosa. W trzeciej zostawił wielki siniak na lewej skroni, z którym chodziłem potem przez dobre dwa tygodnie i codziennie rano w lustrze przyglądałem się, jak się rozlewał, siniał, potem żółkł.

Czwartej rundy nie było, umówiliśmy się tylko na trzy. Przez trzy ustałem na nogach i z podniesioną głową, nie odwracałem się w ringu, poruszałem się i trzymałem gardę, to wszystko, co mogłem zrobić.

Nie trafiłem go ani razu.

– Jestem z ciebie dumna – powiedziała Magda, kiedy na chwiejnych nogach, z obitym łbem wyszedłem z ringu.

A może to był ktoś inny.

Wytarła mi krew z nosa, przyłożyła lód do puchnących powiek. Szapiro nawet na mnie nie spojrzał, był zbyt zajęty sobą, przed lustrem dźgał powietrze swoimi strasznymi, luźnymi ciosami, uchylał się przed niewidzialnym przeciwnikiem.

Wstaję od maszyny. Mam już przy niej gruby plik kartek.

– Dasz mi to poczytać? – pyta Magda.

Nie wiedziałem, że tu jest. Odwracam się zaskoczony.

– Magda...? – pytam.

– Nie mów tak do mnie – mówi, odwraca się i wychodzi z pokoiku, w którym piszę.

Idę za nią.

Jest w kuchni, układa jajka w plastikowej wytłoczce w drzwiach lodówki. Na kuchennym blacie leży paczka szarego papieru toaletowego.

– Trzy godziny w kolejce stałam. Powinieneś się wreszcie ruszyć z tego mieszkania, naprawdę.

Wzruszam ramionami.

Świat na zewnątrz nie ma mi nic ciekawego do zaoferowania. Wracam do swojego pokoiku, w którym piszę.

Magda wychodzi bez pożegnania, słyszę jak zamyka za sobą drzwi, potem przekręca w zamku klucz. Może trzyma mnie tutaj pod kluczem właśnie? Może jestem zamknięty?

Ale nie mogę tego sprawdzić, bo nie chcę wychodzić na zewnątrz. Jakie więc to może mieć znaczenie, żadne.

Wracam do pisania.

– Trzeba się naradzić – powiedział Kaplica i nalał wódki, a ja widziałem, że i Szapiro, i Pantaleon, i Munja po raz pierwszy usłyszeli w głosie Kaplicy bezradność i strach.

– Stoi za tym Radziwiłek, więc… – ostrożnie zaczął Szapiro.

– Jasne, że Radziwiłek – przerwał mu Kaplica.

Munja nagle odstąpił od okna. Schował pistolet.

– Ja już pójdę – powiedział. – Iść mi trzeba.

Spojrzeli na niego we trójkę, Kaplica, Szapiro i Pantaleon, i zrozumieli od razu, i nie byli nawet zaskoczeni. Munja rozłożył bezradnie ręce.

– Cóż poradzić… – dodał jeszcze, wyraźnie zmartwiony.

I wyszedł tylnym, ogrodowym wyjściem.

Przy drzwiach frontowych zaś ktoś zadzwonił.

– Matka, idź, spójrz, kto tam się dobija – rozkazał żonie Kaplica, chociaż przecież wiedział.

Maria Kaplicowa wyszła do sieni, spojrzała przez okno. Na podjeździe stały trzy cywilne samochody, obok nich siedmiu ludzi. Dwóch umundurowanych policjantów i czterech mężczyzn w cywilnych ubraniach, wśród nich pan prokurator Ziembiński i komisarz Czerwiński, obaj triumfujący i zadowoleni.

– Policjanty przyjechały – powiedziała Maria Kaplicowa.

Kaplica zadumał się, podrapał po zarośniętym policzku.

– Chłopcy, wy idźcie. Was nie zabiorą. Nie ma co z nimi iść na ostre. A mnie mogą aresztować. Wyciągniecie mnie szybko. Pilnujcie interesu i mojej rodziny.

Narzucił na ramiona marynarkę, wstał i poszedł otworzyć drzwi. Zwinęli go bez słowa. Nie próbowali obrażać dopytywaniem typu „Czy pan Jan Kaplica?".

– Dziesięć lat na to czekałem – mruknął tylko Czerwiński. – I się doczekałem.

My w tym czasie wymknęliśmy się wyjściem od ogrodu. Niepotrzebnie, bo przecież gdyby chcieli nas zatrzymać, to obstawiliby wszystkie wyjścia. Chcieli tylko Kuma. Odjechali natychmiast.

Kum już coś przeczuwał, po minie zadowolonego z siebie Czerwińskiego, ale myśmy jeszcze nie wiedzieli, że nie jest to zwykłe aresztowanie, że nie trafi do jednego z wielu znanych mu warszawskich aresztów ani nawet nie na Daniłowiczowską.

Wiedziały już o tym dokumenty.

Wszystko zainicjowali Radziwiłek z Piaseckim, ale po ich woli śladu w papierach nie było.

Bolesław Piasecki oczywiście nie znaczył nic w hierarchii urzędniczej Warszawy, ale Bolesław Piasecki z prokuratorem Ziembińskim rozmawiali z pułkownikiem Adamem Kocem i przekazali pułkownikowi pomysł Piaseckiego, by pozbyć się filaru robotniczego PPS z bandyckiego Śródmieścia, zapewniając sobie jednocześnie absolutną lojalność Radziwiłka, który wejdzie na jego miejsce.

Radziwiłek przez struktury Strzelca oraz własne gangsterskie ustosunkowania zgasi w zarodku ewentualny opór robotniczo-bandyckich bojówek Śródmieścia, Woli i Ochoty, zabezpieczając jeden z ważnych frontów, który podczas planowanej przez Koca i Śmigłego imprezy mógłby stać się kluczowy.

Pułkownik Koc wystosował więc oficjalny dokument, jako szef Obozu Zjednoczenia Narodowego, zaadresowany do komisarycznego prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego, w którego treści zwracał uwagę prezydenta, że Jan Kaplica, zwany Kumem, dawny bojownik Organizacji Bojowej, członek PPS, sympatyzujący z PPS dawną Frakcją Rewolucyjną stanowi istotne zagrożenie dla porządku publicznego i jako taki powinien zostać skierowany do Miejsca Odosobnienia w Berezie Kartuskiej.

Dokument na biurko Starzyńskiego trafił za pośrednictwem gońca chwilę po tym, jak Starzyński, sam zresztą członek OZN, odłożył słuchawkę telefonu, przez który rozmawiał z Kocem. Przez telefon pułkownik wyjaśnił prezydentowi te uwarunkowania sprawy, które raczej nie powinny były trafić do oficjalnych papierów.

PPS dawna Frakcja Rewolucyjna składała się z tych członków PPS, którzy w rozłamie 1928 roku konsekwentnie popierali sanacyjny reżim, nie stanowili więc typowej klienteli Berezy. Koc jednak wyjaśnił, dlaczego ta sytuacja się zmienia właśnie w tej chwili.

Kontrasygnowany przez prezydenta Warszawy dokument trafił następnie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, do Departamentu Politycznego oznaczonego łacińską cyfrą I, na biurko dyrektora tegoż departamentu.

Do dyrektora również zatelefonował pułkownik Koc. Jasne było, że premier, minister i stary terrorysta Sławoj Składkowski nie zechce wsadzić do Berezy swojego towarzysza broni z pięknych czasów Organizacji Bojowej. Należało więc podpis ministra uzyskać drogą podstępu.

Podstęp ów był niezwykle wyrafinowany, mniej więcej tak, jak podstęp uczniaka podrabiającego podpis rodziców na zwolnieniu z lekcji, mianowicie Dyrektor Departamentu I osobiście i własnoręcznie podsunął decyzję o skierowaniu Kaplicy do Miejsca Odosobnienia w Berezie Kartuskiej premierowi do podpisu wraz z grubym plikiem innych dokumentów. Wskazywał tylko grzecznie: tu proszę podpisać, i tu, i tu, i tu, i już, premierowska kontrasygnata była załatwiona.

Premier podpisał i wrócił do swych ważnych obowiązków, podpisana zaś przezeń decyzja najpilniejszą pocztą ruszyła do Brześcia nad Bugiem, gdzie urzędował sędzia śledczy, któremu podlegał obóz.

Sędzia śledczy w Brześciu nad Bugiem nie chciał być do końca życia sędzią śledczym w Brześciu nad Bugiem, więc oczekiwania ministerstwa wypełniał z wielką gorliwością i z tą właśnie gorliwością podpisał decyzję o skierowaniu nieznanego mu w żaden sposób Jana Kaplicy lat pięćdziesiąt siedem do Miejsca Odosobnienia w Berezie Kartuskiej, tak samo jak bez marudzenia podpisywał wszystkie inne decyzje.

Jan Kaplica zwany Kumem siedział tymczasem na tylnym i bardzo ciasnym siedzeniu policyjnego polskiego fiata 508 w kolorze szarym, przy błotnikach nieco rdzawym. Fiat jechał Puławską i Kum był spokojny, chociaż nieco upokorzony koniecznością podróży samochodem tak podrzędnym.

Za kierownicą fiata siedział starszy przodownik Ćwikła. Obok posterunkowy Kulas.

– Gdzie to jadziem, synkowie, co? – zapytał Kum, żeby zagaić rozmowę.

Przodownik Ćwikła nie odpowiedział. Starszy przodownik Ćwikła milczał, bo takie miał rozkazy, a starszy przodownik Ćwikła rozkaz cenił wyżej od wszystkiego, co zresztą sprawiło, że stopień starszego przodownika zdobył niezwykle szybko oraz mimo braku kwalifikacji tak intelektualnych, jak i duchowych.

Posterunkowy Kulas zaś milczał, bo spał, a spał, bo wiedział, że droga będzie długa.

Fiat jechał Marszałkowską, bo tak go przodownik Ćwikła prowadził zgodnie z rozkazem, Kum zaś dalej był spokojny.

Fiat skręcił w Jerozolimskie, bo tak przodownik Ćwikła zakręcił kierownicą, i Kum nie byłby zaniepokojony, gdyby samochodzik skręcił w lewo, jednak prowadzony przez przodownika Ćwikłę polski fiat 508 skręcił w prawo i Kum trochę się zaniepokoił.

Fiat mostem Poniatowskiego przekroczył Wisłę i Kum się zadumał, gdy jechali aleją Waszyngtona.

Kiedy zaś policyjny fiat opuścił Warszawę, dziarsko grzejąc dwudziestoma końmi po drodze bitej o nawierzchni ulepszonej, czyli po szosie na Mińsk Mazowiecki, wtedy Kum zrozumiał, gdzie się udają.

I Kum poczuł strach.

Miejsce Odosobnienia w Berezie Kartuskiej zorganizował trzy lata wcześniej ten sam dyrektor Departamentu Politycznego MSW, który podsunął Składkowskiemu dokument z decyzją o umieszczeniu tamże Kuma. Na pomysł utworzenia obozu wpadł premier Leon Kozłowski, przyklasnął mu sam Piłsudski.

Premierowi Kozłowskiemu bardzo podobała się dokonana dwa lata wcześniej w Niemczech reinterpretacja pojęcia Schutzhaft, czyli aresztu

ochronnego, dzięki której bez angażowania w to sędziów policja mogła zdecydować o umieszczeniu podejrzanej o zagrażanie porządkowi publicznemu osoby w obozie koncentracyjnym. Sam Carl Schmitt wnosił o to, by niemiecki porządek prawny oczyścić z żydowskich naleciałości i by sędziowie w wyrokach kierowali się pojęciem „gesundes Volksempfinden", zdrowym, ludowym rozsądkiem.

Kumowi bardzo się wtedy ten pomysł spodobał.

– Wreszcie zamkną tych zasranych Ukraińców! – cieszył się latem 1934 roku, wznosząc u Ryfki kielich z szampanem. – I endeków! A tam się panowie policjanci w tangu nie pierdolą! Dadzą im do wiwatu!

Nigdy nie myślał, że do Berezy może trafić sam. Prędzej spodziewałby się zobaczyć własne ciało spływające Wisłą niż siebie samego w Miejscu Odosobnienia.

Za Mińskiem Mazowieckim skończyła się droga utwardzona o nawierzchni ulepszonej i zaczęła się Polska, posterunkowy Kulas zmienił przodownika Ćwikłę za kierownicą, pięćdziesiąt kilometrów do Siedlec pokonali w dwie godziny, tłukąc się po wybojach. Kumowi doskwierała rana.

W Międzyrzecu zatankowali, Kum wysikał się na czarną ziemię, patrząc długo na sięgające po horyzont równe, zaorane pola, ponaglony przez konwojentów wrócił do fiata i pojechali dalej, na Białą Podlaską; potem był Brześć nad Bugiem, Kobryń i błoto.

Czterdzieści kilometrów za Kobryniem, już następnego dnia dojechali do Berezy.

Obóz znajdował się za miastem, w dawnych carskich koszarach z czerwonej cegły.

Zatrzymali się przed bramą.

Przodownik Ćwikła podszedł do wartownika i zajął się formalnościami.

Kum wiedział, co go czeka. Znał opowieści z Berezy z pierwszej ręki.

Kum się bał.

Widywał ludzi, którzy z Berezy wyszli po przepisanych trzech miesiącach, widywał też tych, którzy wychodzili po pół roku.

Najmocniejszy fetniak powie, że wolałby siedzieć rok w najcięższym więzieniu niż miesiąc w Berezie.

Był sobie w Śródmieściu jeden wichłacz, nazywał się Abraham Bloch, dogadywał się równie dobrze z urkami, jak z hintami, czuł się jak u siebie i u Grubego Joska, i na komisariacie, i w IPS-ie. Trochę paserzył, załatwiał różnym ludziom różne sprawy, nie miał sumienia ani skrupułów. Największe pieniądze zrobił, sprzedając morgowe place pod Warszawą, mieszał trochę przy księgach i jeden plac sprzedawał nawet kilku nabywcom, za to po bardzo opłacalnej cenie, daleko poniżej rynkowej. Przy którymś razie jednak miał pecha, bo jednym z klientów był bratanek dyrektora departamentu z MSW, któremu się nie uśmiechało być frajerem, nie miał też ochoty na długi i męczący proces.

Bloch był śliczny swą zniewieściałą, śródziemnomorską urodą, wyglądał jak włoski amant, chociaż był raczej krępy, a bary miał szerokie i mocne. Nosił się elegancko, biła od niego pewność siebie i dobry humor, był szybki w pięści, nożu i miłości, pachniał francuskimi perfumami i jeździł elegancką lancią fariną, kobiety go uwielbiały, mężczyźni mu zazdrościli i za jego plecami mówili, że to bubek i goguś, ale żaden nie ośmielił się powiedzieć mu tego w twarz, bo jak Warszawa długa i szeroka wszyscy opowiadali, jak to kiedyś w Zodiaku gogusiem nazwał Blocha podporucznik ułanów, nazwiskiem Willemann, i naśmiewał się, iż Żydkowi wydaje się, że jak sobie manicure zrobi i spryska się yardleyem, to może wejść między ludzi kulturalnych i co, nikt nie usłyszy tego żydłaczenia jak z bazaru na Nalewkach? Niech się najpierw nauczy porządnie mówić po polsku, jak człowiek!

Bloch istotnie nie mówił po polsku najlepiej, na co dzień posługując się wyłącznie jidysz. Podniósł się wtedy od swojego stolika, nie dopijając kawy, przeprosił swoją towarzyszkę, podszedł do pięknego oficerka w pięknym mundurze i spojrzał mu głęboko w niebieskie, aryjskie oczęta i zobaczył w nich absolutną pewność, iż żaden warszawski Żyd nie ośmieli się znieważyć munduru polskiego oficera.

Bloch uśmiechnął się więc szeroko, chwycił Willemanna za koalicyjkę i szablę, szarpnął i wyciągnął z kawiarni na ulicę. Goście byli zbyt zszokowani, żeby zareagować, sam Willemann zaplątał się o własne nogi i rapcie od szabli, a gdy znalazł się na ulicy, Bloch siadł na nim i paroma

ciosami pięści pozbawił przytomności, a następnie szabli i portfela i ulotnił się, zostawiając zhańbionego podporucznika przerażonym kelnerom. Porzuconej w kawiarni towarzyszce zrekompensował zepsuty wieczór, wysyłając po nią szofera i oczekując pod drzwiami jej mieszkania z wielkim bukietem kwiatów. Nawet nie udawała obrażonej. Cała kamienica aż do rana słuchała jej rozkosznych krzyków.

Bloch sławę zyskał podwójną – po pierwsze, odważył się na to, o czym tak wielu tylko marzyło, utarł nosa jednemu z właścicieli kraju, w jakim dzięki kaprysowi złośliwego Boga przyszło im wszystkim żyć, po drugie, uszło mu to na sucho.

Co innego sprzedaż morgowego placu w Otwocku bratankowi dyrektora. Bratanek dyrektora nie lubił oglądać w lustrze twarzy frajera i Abraham Bloch 17 kwietnia 1936 roku zamiast w łóżku którejś ze swoich licznych kochanek, obudził się na cementowej podłodze aresztu blokowego w Berezie, gdzie w samej bieliźnie, bez żadnego koca czy siennika sypiał przez pierwszy tydzień pobytu, zanim przeniesiono go do celi aresztanckich.

Pierwszy raz pobito go od razu pierwszego dnia, przy pierwszej gimnastyce. Bloch stawianie się hintom miał we krwi, w dupie zaś to, czy policjant ten nosił mundur rosyjski, niemiecki czy polski. Postawił się więc, kiedy bereski strażnik kazał mu czołgać się po podłodze ustępu, pokrytej grubą warstwą gówna i szczyn.

Pobili go wtedy tak, że stracił przytomność, wcisnęli łeb w wiadro pełne płynnego kału, po czym odesłali na blok, nie pozwoliwszy na umycie rąk i twarzy.

Stawiał się przez tydzień, bili go codziennie, każdego dnia, i cały czas chodził umazany gównem.

Po tygodniu przestał się stawiać, ale bereskie hinty tak się przyzwyczaiły do bicia, że biły go dalej. Wybili mu oko i trafił na tydzień do szpitala do Kobrynia, po tygodniu wrócił do Berezy bez oka, bili go dalej, gołymi rękami czyścił z gówna kible, kopał i zasypywał doły, wyciągał wodę ze studni, żeby wlać ją z powrotem, a kiedy ręce mu mdlały po setnym wiadrze, to bili.

Do szpitala wrócił jeszcze dwa razy, trzy razy siedział samotnie w karcerze, w którym chleb i wodę podawano co drugi dzień, za to co piętnaście minut w dzień i co pół godziny w nocy strażnik walił pałką w drzwi i więzień musiał się meldować. Jeśli się nie meldował, wchodzili do środka i bili, jednak brak snu był dotkliwszy. Wyszedł dokładnie po trzech miesiącach, w lipcu.

Znali się dobrze z Kumem, bywał wcześniej u Ryfki, acz ja go tam już nie widywałem, wiedziałem o sprawie tylko z opowieści. Dużo spraw załatwiał na Kercelaku i odpalał Kumowi niezłą dolę, więc kiedy Kum dowiedział się, że Blocha wypuścili z Berezy i wrócił do Warszawy, to kazał go znaleźć, aby złożyć mu kurtuazyjną wizytę i wypytać o wszystko, wesprzeć, pogratulować wyjścia.

Bloch znalazł się dopiero po paru dniach. Zaszył się w pokoiku na Pelcowiźnie i jak powiedział stróż, nie wychylał zeń nosa. Płacił jakiemuś łatkowi, który przynosił mu jedzenie, wódkę i papierosy.

Kumowi otworzył dopiero po dłuższych negocjacjach i kiedy Kaplica go zobaczył, to zrozumiał dlaczego.

Abraham Bloch po Berezie nie był już tym Abrahamem Blochem, który nie bał się zatańcować z oficerem ułanów. Na oku nosił czarną patkę, ale nie dodawała mu zbójeckiego szyku, wyglądał raczej jak żebrak. Był wychudzony głodowymi racjami, trzęsły mu się ręce, nie miał przednich zębów, a gęsta, czarna czupryna przerzedziła się i posiwiała, jakby w trzy miesiące przeżył dwadzieścia lat.

Kaplica wypytywał, jak pomóc, co może zrobić, autentycznie przejęty, Bloch mamrotał tylko, że już odpokutował swoje winy i że prosi o wybaczenie. I żeby mu dać spokój. Kiedy za oknem zadzwonił tramwaj, Bloch podskoczył na łóżku, jakby go ktoś kopnął prądem, i rozpłakał się.

– Najgorsze było to, że nie dawali się człowiekowi wysrać – wybełkotał po chwili. – Specjalnie nie dawali. Całymi dniami. A jak ktoś w końcu puścił w spodnie, to bili i kazali tak chodzić, w obsranych. Nie było ich jak wyprać.

Kum nie mógł patrzeć, jak Bloch płacze. Zrozumiał, że Bloch już umarł, zostawił więc na stole dwieście złotych, pięćdziesiąt dał stróżowi i kazał się panem Blochem opiekować, po czym nie myślał o nim więcej.

Niedługo później Abraham Bloch się powiesił, bo bratanek dyrektora departamentu zażądał zwrotu pieniędzy za plac i zagroził, że jeśli zwrócone nie zostaną, to Bloch zostanie zwrócony Berezie. Bloch żadnych pieniędzy już nie miał, więc się powiesił na własnym pasku, bo wolał to od bereskiego karceru, bicia i gówna. I nie było więcej Abrahama Blocha.

Kum, siedząc na tylnym siedzeniu fiata 508 pod bramą Miejsca Odosobnienia w Berezie Kartuskiej, przypomniał sobie łzy cieknące po zapadniętych policzkach Abrahama Blocha, człowieka, który przed Berezą nie obawiał się wywlec z restauracji polskiego oficera w mundurze i stłuc go na chodniku, a po Berezie drżał na dźwięk dzwonka tramwaju – i Kum się bał.

Wspominał to, co się mówiło między urkami: lepiej dziesięć lat w więzieniu niż trzy miesiące w Berezie.

Przodownik Ćwikła załatwiał formalności z wartownikiem, który kwitował mu kolejne dokumenty.

W tym czasie posterunkowy Kulas odwrócił się na przednim siedzeniu.

– Kumie, my tam wejść nie możemy, zakaz, my jesteśmy policjanty od strzeżenia porządku prawnego i jakby nas wpuścić do obozu koncentracyjnego, to moglibyśmy stracić szacunek do tegoż porządku w naszej kochanej ojczyźnie.

– A pan co jesteś, komunista...? – żachnął się Kum.

– W żadnym razie. Jestem porządny Polak z robotniczej rodziny, socjalista jak i Kum i dlatego mówię. W środku niech no Kum zechce się zwrócić do naczelnika Kamali-Kurhańskiego. Niech mu, proszę, Kum powie, że ciotka Adelajda przesyła pozdrowienia. Zamieszkała, to ważne, bo to zrobi wrażenie, na ulicy Rejtana dwa, mieszkanie jeden, parter, z pieskiem, co się wabi Reks.

Kaplica zmarszczył brwi. Zastanawiał się.

– Kum się waha, widzę. Już tłumaczę. W dwudziestym siódmym Kum pomógł takiej biedaczce, wdowie, Joanna Kulas jej było. Zamieszkała na Powiślu, na Radnej. Pamięta Kum?

Kaplica brwi miał dalej zmarszczone, do tego rozłożył bezradnie ręce.

– Wielu się pomogło, wielu zaszkodziło – powiedział zgodnie z prawdą.

– Joannie Kulas się pomogło, a my nie zapomnieliśmy, Kumie. Była głodna i opuszczona. Kum nakarmił, o dach nad głową zadbał. Dla mnie na buty i podręczniki do szkoły powszechnej też się grosz znalazł, bo to matka moja. I wielu innym też Kum pomógł. Lud stolicy pamięta. Nie mogliśmy ostrzec ani zapobiec, za bardzo z góry to przyszło i za szybko, ale nie zapomnieliśmy. Adelajda Fuks jest siostrą matki Kamali-Kurhańskiego, wdową. Jak Kum mu powie, co jest do powiedzenia, to Kamala się przestraszy i do ciotki Adelajdy zadzwoni. Ale ciotka Adelajda nie odbierze. Odbierze taki jeden mocny chłopak, urka, którego parę dni temu złapałem z fantami na melinie i puściłem, pod przysięgą, że zrobi, co mu każę. I proszę, jak się szybko przysługa zwróciła. Kamala zrobi pewnie alarm, będzie dzwonił, ale zanim policjanty dojadą, naszego chłopaka ani ciotki Adelajdy już w mieszkaniu nie będzie. Potrzymamy ją u nas na melinie, aż Kuma puszczą z tego obozu.

Kum uśmiechnął się szeroko, uradowany.

– Zuch...! No zuch po prostu! Tysiąc złotych masz u mnie, syneczku, jak tylko wyjdę z tej dziury. Zgłoś się wtedy przed świtem do paszteciarni na Lesznie i tysiąc twój.

– Dziękuję pięknie, Kumie. Dobre ludzie dobrym ludziom dobro. Powodzenia wszelkiego życzę. Niech się Kum trzyma.

Przodownik Ćwikła wrócił do samochodu.

– Wysiadać – rzucił.

Kum wysiadł, westchnął głęboko. Pomyślał, jak daleko jest od Warszawy. Nie lubił oddalać się z Warszawy. Poza Warszawą czuł się nagi. Nie licząc Łodzi, w której często bywał w interesach, nigdy tam nie nocując, i którą uważał za odległe przedmieście stolicy, wyjechał z miasta dwa razy.

Raz w 1928 roku z dziewczętami i żoną na wywczas do Zakopanego. W pensjonacie jedzenie było podłe, towarzystwo strasznie głupie, bo sami inteligenci, jaśnie państwo w dupę jebane, wszędzie są głupi i mądrzy, ale najgłupsi się wyłącznie między inteligencją zdarzają.

Pod koniec turnusu Kum nie wytrzymał, gdy jakiś bydgoski urzędnik po raz siódmy przy śniadaniu wysokim kontratenorem zaczął rezonować o konieczności zdecydowanego przeciwstawienia się żywiołowi germańskiemu wszystkimi siłami narodu, duchowymi i materialnymi.

Słysząc to po raz kolejny, Kum wstał, poprosił żonę i córki, aby raczyły mu wybaczyć i udały się do pokojów celem ekspresowego spakowania bagaży. Wiedziały, że kiedy Kum mówi takim tonem, na nic sprzeciw, porzuciły więc niedokończony posiłek bez żalu i rzuciły się spełnić rozkaz swego pana i ojca. Kum zaś podszedł do bydgoskiego rezonera i walnął go w tył głowy z taką siłą, że wpakował mu twarz w talerz pełen zimnej i przesolonej jajecznicy. Następnie, aby podkreślić siłę swej argumentacji, wyrwał spod trybuna sprawy polskiej krzesło i połamał je na trybuńskich plecach, po czym ukłonił się, wyszedł z pensjonatu i kazał przyprowadzić sobie samochód.

Wyskoczyło ku niemu po paru minutach dwóch gazdów, braci, prawdziwych górali, oburzonych, że bije im się w pensjonacie gości, co dobry pieniądz płacą. Brali się do ciupag i bicia, dodając sobie nawzajem odwagi dziarskimi przekleństwami. Kaplica wyciągnął rewolwer i powiedział, że jeśli jest na świecie coś, czego nienawidzi bardziej od faszystów i Ruskich, to są tym górale, więc jeśli zechcą jeszcze chociaż raz otworzyć gębę, to z przyjemnością obydwóch ich tutaj na miejscu zastrzeli. Gazdowie na widok rewolweru przeprosili grzecznie, Kum wsiadł do samochodu, a jeździł wtedy nowym, polskim CWS T-1 o nadwoziu torpedo, i upewniwszy się, iż żona i córki spakowały, co trzeba, odjechał do stolicy, obiecując sobie nigdy więcej bez potrzeby granic administracyjnych miasta nie przekraczać.

Przekroczył je jednak, udawszy się rok później na Powszechną Wystawę Krajową do Poznania, czego żałował nieomalże od razu po wyruszeniu, nienawidząc trudów podróżowania; obyło się wszakże przy tej okazji bez dramatycznych wydarzeń.

A teraz trzeci raz.

– Naprzód – polecił przodownik Ćwikła i Kum wciągnął w pękate piersi powietrze, głęboko, jakby spodziewał się, że za drutami obozu oddychać nie za bardzo będzie czym.

Ruszyli.

Przodownik Ćwikła wprowadził Kaplicę do wartowni i z ulgą opuścił podwoje Miejsca Odosobnienia.

– Nazwisko? – zapytał zza biurka wartownik w okrągłych, drucianych okularach, wyglądający niczym dobrotliwy poczmistrz.

– Kaplica.

– Imiona?

– Jan Jerzy.

– Imię ojca?

– Jan.

– Imię matki?

– Katarzyna.

– Data i miejsce urodzenia?

– Dwudziesty trzeci dzień grudnia, roku pańskiego tysiąc osiemset osiemdziesiątego w Warszawie.

– Wyznanie?

– Bezwyznaniowy.

– Wyznanie! – powtórzył wartownik z naciskiem.

Kum zastanowił się chwilę.

– Rzymskokatolickie – odparł w końcu, by nie być jednak przypadkiem wziętym za Żyda.

– Oddać rzeczy osobiste – polecił wartownik.

Kum westchnął i wygarnął wszystkie drobiazgi z kieszeni: portfel, papierośnicę, zapalniczkę ze znaczkiem skarbowym, scyzoryk, grzebień, pomadę do wąsów. Wartownik wszystko starannie posegregował i spisał.

– Sznurówki, krawat i szelki.

Kaplica westchnął po raz drugi, schylił się i zaczął rozwiązywać buty. Nie szło łatwo, sznurówki się zaplątały.

Kopnięcia w tyłek się nie spodziewał, stracił równowagę, uderzył czołem o podłogę, zalał się krwią.

– Szybciej, kurwa, chuju rybi, świńskie ścierwo, szybciej, tu nie wakacje!!! – wrzasnął wartownik o wyglądzie poczmistrza.

Kum wstał z podłogi, splunął krwią z rozciętej wargi, po czym prawym sierpowym strzelił wartownika w skroń, tłukąc mu okulary i pozbawiając jednocześnie przytomności. Jęknął, zabolało postrzelone lewe ramię, ale

głuchy odgłos uderzającego o podłogę ciała nieprzytomnego policjanta był uszom miły. Kaplica został sam na sam z nieprzytomnym wartownikiem w pustej poza tym wartowni. Spojrzał na kaburę z naganem przy pasie policjanta. Kusiła.

Wiedział, że jeśli to zrobi, to po czymś takim urki od Wilna po Sosnowiec, od Lwowa po Kalisz, jak stara Polska długa i szeroka śpiewać będą o nim ballady. Wznosiłyby się za jego pamięć kieliszki w melinach Dzielnicy Północnej i Pragi i po tysiąc razy opowiadaliby historię o Kumie, który w Berezie powalił wartownika, odebrał mu rewolwer i zginął w pięknym, nierównym, heroicznym boju z policmajstrami, tuzin ich zabierając ze sobą.

Tuzina by ze sobą nie zabrał, nagana nie sposób szybko przeładować, nie da się wychylić bębenka na bok jak w nowych rewolwerach systemu Smith & Wesson i wyrzucić wszystkich zużytych łusek jednym naciśnięciem wyrzutnika, nie da się też złamać całej broni jak w angielskich webleyach, które łuski przy złamaniu broni wyrzucają same, w naganie każdą pozostałą po wystrzelonych siedmiu nabojach trzeba po jednej wybijać przez wąskie okienko, okręcając bęben o jedną siódmą obrotu, a potem nowe naboje po jednym do bębna wsuwać, nie da się tego zrobić szybko, zwłaszcza kiedy do ciebie strzelają...

Może zabrałby pięciu. Z pięciu złodziejska ballada zrobi pięćdziesięciu, w tym samego naczelnika. Wieczna chwała.

Patrzył na kaburę. Kusiła.

Wartownik o wyglądzie poczmistrza zaczął się budzić. Kum wiedział, że teraz albo nigdy. Ostatnie sekundy. Piękna, heroiczna śmierć bandyty czy upokorzenia i męki Berezy?

Jednak chciał jeszcze zobaczyć córki, chciał jeszcze zjeść raki z koprem w wędliniarni Pod Ryjkiem, napić się kawy i zagryźć pasztecikiem w swojej paszteciarni na Lesznie, pić wódkę u Glajszmitki, flaki jeść u Grubego Joska, a bigos u Choromańczyka na Kercelaku, chciał jeszcze u Ryfki zakosztować dziewczęcego ciała, rozkoszować się dziewiczym wstydem, kiedy młodej skóry dotykają jego szczeciniaste wąsy, i wstyd ten przełamywać, a potem zażyć rodzinnego ciepła w domowych pieleszach, posłuchać jak córki śpiewają *Warszawiankę 1905*, akompaniując sobie na

pianinie, i cieszyć się, że za tyle pieniędzy się je na te lekcje pianina wysłało. Warto było żyć. Spróbować przynajmniej.

Usiadł na krześle. Policjant odzyskał przytomność. Chwilę mu zabrało, zanim doszedł do siebie i zrozumiał, co się wydarzyło. Kum spokojnie siedział na krześle. Uznał, że wyciągać sznurówek nie ma już sensu.

– Pomocy! – wrzasnął policjant, odpinając pokrywę pochwy na pistolet.

Przepadło. Wybrał życie.

Po chwili bili Kuma w trzech. Kaplica kulił się na podłodze, kolana pod brodą, rękami obejmował głowę, tłukli go zapamiętale. Dwóch na spokojnie, metodycznie, trzeci z wściekłością o stłuczone okulary i haniebny nokaut. Pozostałych dwóch musiało go powstrzymywać, żeby przypadkiem Kuma nie zabił. Połamali mu żebra, wybili dwa przednie zęby, odbili nerki. Otworzyła mu się rana na lewej ręce, krew pociekła obficie. W końcu, długo po tym jak stracił przytomność, odpuścili.

Nieprzytomnego zaniesiono na noszach do lazaretu. W lazarecie obejrzał Kuma felczer, rzeźnik i alkoholik nazwiskiem Bakalarczyk, który o studia medyczne nawet się nie otarł, był za to znany w całej brzeskiej defensywie z tego, że potrafił przepić każdego, nawet bolszewika. Felczer opatrzył jako tako postrzelone przedramię Kaplicy i zgodnie ze swoją najlepszą wiedzą wydał opinię, iż zatrzymany nadaje się do karceru. Ocucono Kaplicę amoniakiem, rozebrano do naga i powiedziono do karceru, ceglanego budynku na środku obozu.

Nie bardzo trzymał się na nogach, więc prowadziło go dwóch policjantów i tak szedł jakoś, chwiejąc się na ubłoconych nogach, zakrwawiony, za jedyny strój mając opatrunek na lewej ręce; pod wielkim brzuchem kołysało się potężne przyrodzenie, na które jeden z policjantów spoglądał co chwila z wielką zazdrością, samemu będąc bardzo pod tym względem skromnym.

Wtrącili Kuma do wkopanej głęboko w ziemię celi bez okien, w której panowało dotkliwe zimno, mimo nadzwyczaj ciepłego października. Za całe umeblowanie służyła jedna wymurowana ława, bez siennika czy czegokolwiek innego. Na podłodze stała woda, kilka centymetrów, lodowata. Mimo zimna śmierdziała potężnie, w wodzie pływały gówna, ponieważ kible przysługujące więźniom karceru były zwyczajowo

dziurawe. Natychmiast też przystąpili do zwykłego w tym przypadku reżimu.

Co kwadrans do drzwi celi Kuma pukał policjant. Pouczono go wcześniej, że na każde pukanie musi odpowiedzieć gromkim „Jestem!", procedura ta zaś ma na celu wyłącznie jego osobisty dobrostan, w ten sposób strażnicy sprawdzają, czy żyje.

W dzień ma obowiązek stać, siedzieć nie wolno. Opierał się więc o zimną, zagrzybiałą ścianę, znalazł kawałek podłogi nieco wyżej od reszty, gdzie wody było może centymetr, i tam stał, odpowiadał „Jestem", trząsł się od gorączki i myślał o dziewczęcych ciałach, o nierozkwitłych jeszcze piersiach, o smaku wódki i dubeltowego piwa, o bigosie u Choromańczyka i o szampanie u Ryfki i chociaż całe niemłode już ciało mówiło mu, że tutaj umrze, że jest na ten obóz koncentracyjny za stary, za gruby, za słaby na to, by tu przeżyć, to jednak powtarzał sobie: „Wyjdę". Wyjdę. W końcu stanie przed obliczem Kamali-Kurhańskiego, powie, co trzeba o ciotce Adelajdzie. Byle tylko urka czekał w jej mieszkaniu na telefon naczelnika, byle nie zrezygnowali.

Pukanie.

– Jestem!

Mdlał trzy razy, budzili go kopaniem. Wieczorem pozwolili się położyć. Meldowanie co kwadrans obowiązywało dalej. Siódmego pukania nie usłyszał, zasnął. Weszli do środka, założywszy uprzednio kalosze, i stłukli Kaplicę łańcuchem.

Pukanie.

– Jestem.

Pukanie.

– Jestem.

Pukanie.

– Jestem Kum Kaplica, skurwysyny zasrane...!

Zbili go znowu, ale nie żałował.

– Myślisz, że stąd wyjdziesz? Podniosłeś rękę na policjanta, to jakbyś na Polskę rękę podniósł, wszo parszywa. Nie będziesz pierwszym, który tu

zdechnie, ścierwo świńskie – szeptał do ucha pobitemu Kaplicy policjant podobny do poczmistrza.

– Ja dla Polski się z Moskalami strzelałem, jakżeś ojcu z chuja zwisał.

Znowu bicie, po plecach, łańcuchem.

Wydawało mu się, że nie dożyje poranka, jednak dożył. Lewe ramię bolało potwornie, kaszlał, leciało mu z nosa, słaniał się na nogach od gorączki, miał też zwidy, a jednak rano, gdy kazali wstać, to wstał.

Pukanie.

– Jestem!

Pukanie.

– Jestem!

* * *

My tymczasem zostaliśmy w Warszawie bez Kuma, osieroceni.

Wróciliśmy do mieszkania Szapirów w milczeniu. Jakub kazał Pantaleonowi pojechać z nami i zostać na warcie.

Pantaleon wziął więc z kuchni taboret, ustawił na klatce kamienicy, przed drzwiami wejściowymi mieszkania Szapirów, w kieszeń schował nagana, a na kolanach położył sobie oberżniętą dubeltówkę, załadowaną grubymi loftkami, i siedział.

My poszliśmy spać, bezpieczni. Jakub długo szeptał w ciemnościach z Emilią.

Pantaleon nie bał się, że zaśnie. Diabeł brat nie pozwoli mu zasnąć.

Pantaleon długo szeptał w ciemnościach z diabłem bratem.

Powinieneś zabić jego dzieci. Dwóch synów jak dwie lufy w nich ładunki, wejdziesz do środka, do ich pokoju, bogatego pokoju, twoje dzieci takich bogactw nie mają nic a nic a ten Żyd jak żyje jak panowie żyją wejdź do środka dwie lufy dwa czoła dwa strzały potem maszyna i do niego do sypialni zdążysz jego zastrzelisz kobietę zgwałcisz i potem zabijesz idź idź idź Pantaleonie idź.

– Zamknij się, diable – mówił głośno Pantaleon. – W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego tak ci rozkazuję, zamknij się diable.

Na lewej łopatce i ramieniu miał fragment skóry cały poznaczony bliznami. Nie miał tam czucia i uważał, że ta część jego ciała należy do diabła brata, że tę część skóry Pantaleona diabeł brat czuje.

Idź Pantaleon idź dwie dziecięce główki dwie lufy dubeltówki.

– Milcz, demonie – powiedział głośno Pantaleon i wyciągnął z kieszeni brzytwę, sięgnął prawą ręką za siebie i pociągnął brzytwą po skórze, głęboko, kolejna linia w siatce długich blizn.

Diabeł brat zawył w głowie Pantaleona, otwierając szeroko nieme i ślepe wargi skryte pod włosami, po czym skowyczał już tylko, niczym brzęczenie w uchu.

Pantaleon siedział dalej nieruchomo, czując, jak krew ścieka mu po plecach, i siedział tak do rana, aż Jakub wyszedł i zwolnił go z warty, i zaprosił, by usiadł z nami do śniadania. Nie pytał o zaschniętą krew na koszuli, wiedział.

Jedliśmy śniadanie w szóstkę, Emilia, chłopcy, Jakub, Pantaleon i ja.

– W Warszawie go nie ma – powiedział Jakub. – Dzwoniłem, gdzie trzeba. Nie ma go nigdzie. W ministerstwie nagle nie chcą ze mną gadać.

– Do Berezy go wzięli – powiedziała Emilia. – Tak najprościej.

– Co to jest Bereza? – zapytał Daniel Szapiro.

– Obóz koncentracyjny – odpowiedział jego ojciec.

– Co to jest koncentracyjny? – pytał dalej chłopiec.

– Takie więzienie, w którym zamyka się ludzi bez sądu. Niemcy mają taki w Dachau. Zamyka się ludzi, żeby ich nastraszyć, potrzymać trochę i złamać. I na wzór tego w Dachau Polacy zrobili swój, w Berezie.

– Ale nas tam nie zamkną?

– Nie zamkną. Bo my wyjedziemy do Palestyny.

– Nie chcę jechać do Palestyny!

Jakub uśmiechnął się do Emilii. Odpowiedziała uśmiechem.

– Musimy się dogadać z Morycem – powiedział Jakub. – Wyznaczyć termin. Na wiosnę może. A może jeszcze w tym roku. I jedziemy. Tylko zgromadzę więcej forsy. I jedziemy. Nawet lepiej w tym roku jeszcze.

Mówiliśmy o tym cały dzień i z myślami o Palestynie poszliśmy spać. Śniłem białe domy Tel Awiwu, widziałem je przecież na zdjęciach i w kinie,

śniłem palmy i piasek.

Następnego dnia siedzieliśmy u Ryfki przy barze, w trójkę. Jakub, Pantaleon i ja. Jakub pił wódkę, Pantaleon herbatę, Ryfka za barem polerowała sobie paznokcie. Na blacie leżał nowy „Kurjer Warszawski", otwarty na szóstej stronie i między reklamą samochodów Chevrolet Master Sedan, czekolady smakosza marki Fuchs, myszką, która nie wie, gdzie się schować, od kiedy powkręcano w domu żarówki marki Tungsram Krypton, i paltami Braci Maciejewskich znajdował się krótki artykuł pióra redaktora Witolda Sokolińskiego: „Warszawski bandyta wreszcie ujęty. Jan Kaplica w Miejscu Odosobnienia w Berezie Kartuskiej. Stolica oddycha z ulgą".

Było późne, chylące się ku wieczorowi popołudnie, ten nieokreślony czas między siedemnastą a dziewiętnastą, nie było jeszcze klientów, lokal był na razie zamknięty, dziewczęta dopiero się szykowały, więc siedzieliśmy sami, nie gadając wiele.

Jakub po raz trzeci przeczytał artykuł Sokolińskiego.

– Co za menda, co za bezczelna menda… – klął pod nosem, wściekły i bezsilny.

Kiedy do salonu weszli Munja i Tiutczew, przez chwilę nikt nie zwrócił uwagi, bo przecież obecność ich u Ryfki była tak naturalna jak syfilis u kurwy. Munja miał nawet swój klucz.

Dwie sekundy zajęło Szapirze, póki zrozumiał i sięgnął po maszynę.

– Zostaw… – powiedziała Ryfka, która widziała więcej i myślała trochę szybciej.

Munja i Tiutczew podnieśli ręce. W rękach tych nie było broni.

– Doktor pyta, czy można porozmawiać bez strzelania i noży – powiedział Munja. – Z pożytkiem dla wszystkich.

Szapiro podrapał się po zarośniętym podbródku.

– Porozmawiać możemy zawsze – odpowiedział w końcu.

– Ładno. Słowo honoru dajcie – zażądał Tiutczew. – Że strzelane nie będzie.

Zgodzili się. Munja został na górze, Tiutczew zbiegł na dół, wrócił z Radziwiłkiem.

Wyglądał lepiej niż kiedykolwiek. Miał na sobie nowy mundur Związku Strzeleckiego, okrągłą, oficerską czapkę, był gładko ogolony i pachnący angielską wodą kolońską.

– Dzień dobry wszystkim państwu tutaj – oświadczył, zdejmując czapkę i wkładając ją sobie pod pachę oficerskim gestem. Łysy łeb lśnił mu niczym wypolerowany.

Szapiro zsunął się z oficerskiego stołka, stanął naprzeciwko Radziwiłka, siła wobec innej siły, Jakub w podkoszulku odsłaniającym bokserskie barki i ramiona i wpuszczonym w spodnie z wysokim stanem, Radziwiłek w mundurze i w lśniących oficerkach, obaj równego wzrostu, Radziwiłek smukły, Jakub ciężki, barczysty, obaj Żydzi, ale Jakub o urodzie wyraźnie śródziemnomorskiej, Radziwiłek wcale.

– Rzecz polega na tem, że o Kercelak zaopiekować trzeba – powiedział Doktor. – I nikt tego lepiej nie zrobisz, niż pan zrobisz, pan Jakub.

– Ja pracuję dla Kuma – odparł Jakub.

– Pan Szapiro. Pan wiesz, że czasem zmiana jest. Świata się zmienia. Był car, cara niet. Nie było Polski, jest. Był Kum, nie jest. Zmiana jest dobra. Zmiana trzeba kochać. Do zmiana trzeba dostosować się.

Szapiro milczał.

– Będzie jak było, pan Jakub. Ile pan zostawiałeś dla siebie z pieniądz, co pan zebrałeś dla Kaplicy?

– Siedem procent – odparł bokser.

– To teraz zatrzymasz pan sobie dwa razy. Czternaście.

Jakub pokręcił głową, zmarszczył brwi.

– Piętnaście – powiedział Radziwiłek.

Jakub kalkulował spokojnie. Znał gniew, który płynął mu w żyłach, ale gdyby nie potrafił nad tym gniewem panować, od dawna by już nie żył. Na tym właśnie polegała jego siła, że to on nią władał, jak furman włada koniem, nie siła nim.

Myślał więc. Palestyna. Palestyna. Palestyna. Potrzebował pieniędzy. Wojna z Radziwiłkiem byłaby kosztowna. I trudna do wygrania. Przynajmniej otwarta wojna. Postawić się, walczyć było łatwo. Walczyć i wygrać było trudniej, a Jakub nienawidził porażek i wojen, w których

zwycięstwa się nie spodziewał, nie toczył nigdy. Nie ma nic godnego w podjęciu walki, kiedy się ją przegra.

– Zgoda – odparł w końcu. – Ale jest jeden warunek.

– Zamieniam się w ucho – rozpromienił się Doktor.

– Mówi się „w słuch", „zamieniam się w słuch".

– W jakie słuch? Co ty mówisz, panie Jakub?

– Zostawmy. Mój warunek jest taki, że pan nie tykasz Kaśki. Ani żadnej z Ryfkowych dziewczyn. W ogóle się tu lepiej nie widujemy.

– Panie Jakub – uśmiechnął się Radziwiłek i rozłożył szeroko ramiona. – Tego kwiatu pół światu! Słowo daję pan chętnie! Moja noga tu nie postawić się! Umowę mamy! Napić się! Pani Ryfko, wódki nalać wszystkim i zaraz zmieniam lokal.

Ryfka rozlała, wszyscy wypili po jednym, nawet Pantaleon.

– Ale u mnie też warunek jest jeden – powiedział Radziwiłek, otarłszy usta. – U pani Ryfka brakuje asortyment. Teraz u pani Ryfka będzie sprzedaż więcej. Tiutczew, daj pani.

Rosjanin podszedł do baru, położył na nim dwie niewielkie paczuszki.

– Tu jest kokaina, a tu heroina. Po pięćdziesiąt grama. Pani Ryfka sprzeda, po ile będzie się chciało. Mnie się należy tysiąc złotych za kokainę i tysiąc i siedemset za heroinę. Razem być dwa tysiąc siedemset polskie złoty.

– Kum nigdy by się na to nie zgodził – powiedziała Ryfka.

– Masz pani racja, pani Ryfka, i właśnie być może dlatemu Kum siedzi teraz w Berezie, a my siedzim tutaj.

– Na rynku gram kokainy chodzi po osiemnaście, jak Pana Jezusa kocham, a heroina po trzydzieści – zauważył ponuro Pantaleon.

– Ale pani Ryfka ma znakomity klient! Zamożny klient! Pani Ryfka i po dwadzieścia pięć sprzeda jedno, po czterdzieści drugiego i pani Ryfka będzie miała zarobek.

– Nie mam tyle gotówki. Mogę w komis wziąć – powiedziała Ryfka.

– Może być i komis, ale jutro Tiutczew przyjść pieniądz odebrać – uśmiechnął się Doktor.

– Nie na tym komis polega – zaprotestował niemrawo wściekły Szapiro.

Doktor rozłożył ręce w bezradnym geście. Nie musiał grozić, wszyscy tu obecni znali dobrze decorum takich rozmów, gróźb wypowiadać nie było trzeba.

– A zatem, jak mawia Anglik, od dziś business as usual – oświadczył Doktor, ukłonił się i wyszedł. Tiutczew ruszył zaraz za nim.

Munja wahał się chwilę, opierał się o bar.

– Paszoł won – warknął Pantaleon, którego kategorie lojalności były bardzo proste. – Albo przez okno wyleci.

Munja nie przepadał za lataniem, więc bez słowa poszedł won, spuściwszy wzrok.

Zostaliśmy w czwórkę, z Ryfką. Zaraz trzeba będzie otwierać.

– Tak to zostawisz? – zapytała. – Będziesz dla niego pracował?

– Przynajmniej oficjalnie. Zresztą wyjeżdżamy do Palestyny. Z Morycem. Potrzebuję pieniędzy. Muszę sprzedać moją kamienicę, ale jeśli nie znajdę kupca, to wyjadę z niesprzedaną.

Ryfka zastygła ze szklanką i ścierką w ręku. Jakub spojrzał na nią i zrozumiał. A razem ze zrozumieniem przyszedł wstyd – jak mógł być tak głupi i tak nieczuły, żeby powiedzieć jej to tak po prostu, tak po prostu, że wyjeżdżają.

– Wyjeżdżacie… – powiedziała wreszcie i Jakub zrozumiał, że liczba mnoga tego czasownika boli ją równie mocno jak to, że Jakub chce zniknąć z jej życia.

– Też możesz wyjechać – powiedział, by natychmiast zdać sobie sprawę z tego, że powiedział właśnie kolejne okrucieństwo i głupstwo w jednym.

Pociągnęła nosem i Jakub wiedział, że ma ochotę się rozpłakać, i wiedział też, że się nie rozpłacze. Nie Ryfka.

– Musisz najpierw wyciągnąć Kuma z Berezy, Jakub. Nie możesz mnie zostawić samej z Radziwiłkiem. Co ja mam zrobić z tymi proszkami? Przecież nie sprzedam tego tak łatwo.

– Pani Ryfka ma rację, święte słowa – powiedział Pantaleon, czując mrowienie diabła brata. – Samemu z Doktorem to przekleństwo.

– No, to słucham, macie jakieś pomysły na to, jak się kogoś wyciąga z Berezy?

– Trzeba dotrzeć do tych, którzy decydują w tym kraju o tym, kogo tam zamknąć, a kogo wypuścić – rzeczowo, acz banalnie odparła Ryfka. – Druga opcja jest taka, że zbierasz wszystkich mocnych chłopaków Warszawy, Łodzi i Lublina, pakujesz na ciężarówki, które wcześniej komuś musisz ukraść, jedziecie przez pół Polski i wjeżdżacie tam, do obozu, z maszynami i obrzynami, strzelacie hintów, uwalniacie więźniów i potem nie wiem co, uciekacie do Sowietów?

Szapiro tylko machnął ręką, chociaż uśmiechnął się. Ryfka zamilkła, rzeczywiście, nie ma co strzępić języka.

Dziewczęta wyszły ze swoich pokoików, w najlepszych roboczych toaletach, rozsiadły się na swoich fotelach, przybrały leniwe, rozkapryszone pozy i miny zblazowanych dziewcząt, bo takie najbardziej lubili klienci, następnie przyszedł Bykow, założył służbowy smoking z kremową marynarką, zjadł należny mu obiad, wydziwiając trochę na to, że mięso zbyt żylaste, i siadł do pianina, przerzucił nuty, zaczął grać po cichu. Przyszli też pierwsi klienci, dziewczęta wzięły się do roboty, a Jakub ciągle siedział przy barze, pił trochę i myślał.

Ryfka milczała, nie tyle nawet obrażona, co dotknięta, dotknięta najboleśniej, bardziej nie mógł jej zranić. Przecież go kochała, a on o tym wiedział i też ją kochał, ale już inaczej, nie tak jak chciałaby być przez Jakuba kochaną. Godziła się jednak na to, bo w godzeniu się z rzeczywistością była mistrzynią.

Zastanawiała się, skąd wziąć pieniądze dla Radziwiłka, i szybko przestała się obrażać na rzeczywistość – to było jasne, musi je zarobić, musi sprzedać narkotyki.

I nagle u Ryfki zrobiło się cicho. Najpierw umilkł cichy gwar wstępnych negocjacji dziewcząt z klientami, potem Bykow przestał grać, przerwał po pierwszych taktach *Ta mała piła dziś* i zapadła cisza.

W drzwiach stała kobieta. To nie oznaczało niczego dobrego, bo niczego dobrego oznaczać nie mogło. Głównym wejściem do Ryfki nie wchodziły nigdy kobiety szukające pracy, głównym wejściem wchodziły do Ryfki Kij tylko kobiety szukające mężów, i to na dodatek tylko te inteligentne na tyle, by jakoś znaleźć adres, co przecież nie należało do rzeczy łatwych, bo mężowie raczej nie byli skorzy dzielić się wiedzą na ten temat, Ryfka zaś nie ogłaszała się żadnym szyldem, żadną wizytówką na drzwiach nawet

i jeśli tylko Radziwiłek nie strzelał u niej z pistoletu do przerażonych klientów, to wszystko odbywało się tu bardzo dyskretnie, również pianino było wyciszone.

– A cure of maa kop, nuch ajne yz giekime far'n man ijo...[30] – zaklęła Ryfka pod nosem.

Dopiero wtedy Jakub się odwrócił.

W drzwiach przybytku Ryfki Kij stała Anna Ziembińska i wyglądała tak, jakby do niej należały ten lokal, kamienica, kwartał, południowe Śródmieście, cała Warszawa nawet, od Bielan po Mokotów, od Ochoty po Targówek. Miała na sobie suknię z dużym dekoltem, z materiału, jakiego nigdy nie widzieli ani Ryfka, ani Jakub, z siatki, która byłaby przejrzysta, gdyby jej splotów nie wypełniały nanizane na nitki kryształki, czarne i lśniące, z laki i cyrkonii, spiętą na prawym biodrze w asymetryczną draperię.

Anna podeszła do baru, bezczelna, pewna siebie, piękna.

Ryfka, kiedy tylko ujrzała Ziembińską w całej okazałości, od razu zrozumiała, że kobiety w takich sukniach nie przychodzą do luksusowych burdeli w poszukiwaniu mężów, którzy zbłądzili na manowce.

Zadała sobie w duchu pytanie: „Czego więc może tutaj szukać ta dama?", po czym spojrzała na Jakuba Szapirę i sama odpowiedziała sobie na to pytanie: jedynym, czego dama w takiej sukni mogła szukać w lokalu Ryfki Kij, był Jakub Szapiro, garbiący się przy barze nad piątą wódką, w podkoszulku na ramiączkach wpuszczonym w gabardynowe spodnie z wysokim stanem.

Ryfka popatrzyła jeszcze raz na Annę, która uśmiechnęła się do niej serdecznie, obnażając białe, wilcze ząbki, i Ryfka Kij poczuła się bardzo stara, brzydka i zużyta, i zrozumiała, że w każdej konfrontacji z tą wysoką, młodą Polką w sukni wartej pewnie z pięć tysięcy przegrywa od razu, na wstępie, w tym właśnie momencie, w którym do konfrontacji dojdzie.

Jakub spojrzał na Annę, dopiero teraz ją poznał.

– Czego? – warknął, a autentyczna niechęć w jego głosie była dla Ryfki jak najpiękniejsza muzyka, jak śpiewy anielskie.

– Pomyślałam, że napiłabym się z panem szampana, panie Jakubie – powiedziała Anna.

Szapiro odwrócił się do Ziembińskiej na barowym stołku, chwilę mierzył ją znużonym, zmęczonym kobietami spojrzeniem.

– Wydaje ci się, głupia, polska kurwo, że możesz sobie tutaj tak po prostu przyjść, co? – powiedział cicho, bardzo spokojnym głosem.

Anna nie przestawała się uśmiechać, ale Ryfka wiedziała, że słowa Jakuba odniosły skutek, jaki odnieść miały. Jakby w twarz jej dał. Wiedziała też, że zrobił to trochę dla niej, dla Ryfki, zrobił to, bo ciągle ją kochał i nie chciał, żeby przewaga tej chrześcijanki była tak widoczna, tak bolesna. Ryfka znała się na mężczyznach lepiej niż na czymkolwiek innym.

Anna nie była kobietą, która miałaby w życiu okazję przywyknąć do tego, by ktoś zwracał się do niej w taki sposób. W przeciwieństwie do Ryfki. Do Ryfki mężczyźni zwracali się w każdy możliwy sposób, od kiedy skończyła trzynaście lat i wyrosły jej piersi, bo dopiero w tym momencie większość mężczyzn zaczęła w ogóle zauważać jej istnienie.

Urodziła się w 1908 roku, lecz w 1937 wyglądała na dużo więcej niż dwadzieścia dziewięć lat. To, o czym teraz będę pisał, opowiedziała mi kiedyś, jeszcze w sierpniu, kiedy zostaliśmy sami. Jakub zostawił mnie u Ryfki, a sam pojechał na Kercelak, załatwić sprawę pożyczki, której Kum udzielić miał Choromańczykowi, na lichwiarski, rzecz jasna, procent.

Pochodziła z Łodzi, ojca nie znała, matka była żydowską bezrobotną z samego dna łódzkiego lumpenproletariatu i twierdziła, że ojciec Ryfki był wielkim panem, niemieckim baronem, z rodziny zbyt bogatej i zbyt ważnej, by łożyć na swą bękarcią córkę. Ryfka pierwsze lata życia spędziła w łódzkim i żydowskim domu samotnej matki i dziecka, a gdy skończyła się wojna, żyła na ulicy. Mówiła po polsku i żydowsku jednocześnie, nie umiała jeszcze rozdzielać języków. Potem się nauczyła.

Z łódzkiej ulicy zabrał ją do Warszawy Kum, w 1922 roku. Najpierw miał ją dla siebie, trzymał w pokoiku w taniej czynszówce na Kole, gdzie oddawała mu się z całkowitą obojętnością. Cieszyła się z dachu nad głową, ciepłych posiłków i sukienek zamiast łachmanów. Mało tego, Kum nawet dawał jej pieniądze, ówczesne marki, które odkładała z wielką zapobiegliwością i które w 1923 roku straciły jakąkolwiek wartość.

Dwa lata później oddał ją do dobrego burdelu w południowym Śródmieściu, gdzie pracowała tylko pół roku, pozostając jednak pod opieką

Kaplicy, więc nie miała źle. Oszczędzała pieniądze od nowa, tym razem złotówki wymieniając na Kercelaku na dolary, i zgromadziła tych dolarów sto dwadzieścia, jednak straciła wszystko, kiedy prosto z burdelu trafiła na Serbię, jak nazywano kobiece więzienie na Dzielnej. Inne dziewczęta rozkradły wszystko w kwadrans po tym, jak Ryfkę wyprowadzili dzielni policjanci.

Na Serbię trafiła, bo zabiła klienta. Zabiła go składanym, hiszpańskim nożem, który kiedyś ukradła jednemu z poprzednich amatorów Ryfkowego ciała i od tego czasu trzymała w łóżku specjalnie na tę okazję. Klient chciał jej włożyć w dupę butelkę po winie i sprawdzić, czy wejdzie cała. Może by i weszła, ale sprawdzić tego jednak nie miał okazji, bo Ryfka uznała, że jest to granica, której przekraczać nie ma ochoty, wbiła mu więc nóż w gardło, potem dla pewności w pierś, a potem urżnęła mu przyrodzenie. Klient śmiercią swą osierocił piątkę dzieci, które poszły razem z matką na zmarnowanie, i nikt po nich nie zapłakał, poza ich matką, ta płakała, póki żyła, ale nie żyła długo. Dziateczki rozpuściły się, rozeszły po ulicach i zaułkach Woli i Muranowa i nic z nich zostało, a wszystko to z powodu jednej butelki.

Kiedy Ryfka oczekiwała na proces, troskliwy Kum przekupił sędziego i prokuratora, dostała tylko cztery lata, z czego połowę odsiedziała, ciesząc się chwałą mocnej dziewczyny i powszechnym szacunkiem innych więźniarek, który jednak stale musiała potwierdzać pięściami, więc potwierdzała, bo miała pięści dziecka ulicy, twarde. Miała też parę więziennych romansów, które niosły otuchę i miłą odmianę w więziennej nudzie, ale utrwaliły też w Ryfce przekonanie, że do miłości jednak trzeba chuja, mimo że chuj jest zwykle niestety przyczepiony do reprezentantów rodzaju męskiego…

Wypuścili ją w dziwnych okolicznościach zaraz po zamachu majowym. Kum w zamieszaniu szepnął słówko tam i ówdzie, tam i ówdzie posmarował i Ryfka wyszła, wychodząc zaś z Serbii, wiedziała, że do prostytucji już nie wróci, nie wiedziała za to, co innego może ze sobą zrobić, ale jeszcze tego samego dnia poznała Jakuba.

Poznała go, gdy Kum zaprosił wszystkich do Bristolu na świętowanie zwolnienia Ryfki, do której od zawsze miał słabość i której pozwalał na wiele. Jakub, zwolniony z wojska w 1923 roku w stopniu plutonowego,

związał się z Kumem w 1925, kiedy Ryfka siedziała. Jakub, nie mając co ze sobą zrobić po opuszczeniu koszar, wstąpił do działającej dopiero od roku sekcji bokserskiej Makabi Warszawa i bardzo szybko okazał się niezwykle utalentowanym i zawzięcie trenującym zawodnikiem. Kum, zainteresowany boksem, zobaczył go na treningu, zagadnął i od razu rozpoznał ulicznego chłopaka, urkę – pogadali o więzieniu, o wojnie, po czym Kum zaproponował mu pracę. Jakub był sprytny, silny, dobrze obeznany z bronią i całkowicie lojalny. Kiedy Ryfka wyszła z więzienia, Jakub był już prawą ręką Kuma.

Ryfka przyszła do Bristolu z pewnym dziennikarzem, który trochę się do niej zalecał, Jakub stał z Munją i paroma innymi, mocno już zalany. Właśnie wrócił z Sopotów, gdzie rozstał się z pewną neurotyczną pannicą, i opowiadał wszystkim, jak to ma dość kobiet. Dziennikarz chciał Ryfce zaimponować znajomością z tak wybitną osobą jak Szapiro, więc prawie na siłę ich sobie przedstawił, mówiąc, że Ryfka bardzo chciała pana Szapirę poznać, czemu ta natychmiast gorąco zaprzeczyła, krzycząc, że wcale nie chciała.

Szapiro zagadał do niej, rozmawiali długo, w końcu po godzinie Jakub zaproponował, żeby sobie z przyjęcia poszli – i poszli, powolnym, pijackim spacerem w stronę kamienicy na rogu Wilczej i Emilii Plater, w której Szapiro wtedy pomieszkiwał. Ryfka miała na sobie długą suknię w kwiaty i Jakub bardzo uważał, żeby jej nie przydepnąć, kiedy zawijała się wokół Ryfki stóp.

Nie weszła z nim do środka, a on nie zapraszał. Usiedli na schodach i rozmawiali. W końcu wstała, zostawiła mu adres i numer telefonu, mówiąc, że jeśli będzie chciał z nią zjeść śniadanie, to niech zatelefonuje.

Zatelefonował. Na śniadanie poszli do pospolitej budy na Powiślu, kobieta zadziwiła go apetytem.

Ryfka po dwóch latach w więzieniu miała właściwe nastolatkom poczucie, że życie jej uciekło i bardzo potrzebowała mężczyzny, dużego, silnego, pięknego mężczyzny, a Jakub był właśnie taki. Jakub zaś potrzebował kobiety, z którą mógłby rozmawiać jak z mężczyzną – a Ryfka taka była, mimo młodego wieku doświadczona i inteligentna, rozumiała Jakubowe sprawy jak żadna inna kobieta przed nią i po niej.

Przez następne cztery dni nie rozstali się ani na chwilę. Pierwszą dobę spędzili w pokoju hotelowym w Bristolu, pili szampana, brali kokainę, kochali się, zamawiali jedzenie, znowu pili, spali trochę, kochali się i znowu spali. Potem poszli na tańce i tańczyli parę godzin w podrzędnych spelunach, bo w takich czuli się najlepiej, potem w knajpie u Glajszmitki na rogu Dzikiej i Okopowej z żydowskimi furmanami jedli flaki i pili kolejne mikadki wódki, zagryzając katolikiem, jak nazywano wtedy uliki, śledzie.

Jakub nie miał jeszcze mieszkania na Nalewkach 40, pomieszkiwał sobie tam i ówdzie, w najmowanych na szybko i krótko pokojach, wtedy akurat w pokoju na rogu Emilii Plater i Wilczej, książę nomadów z całym dobytkiem w jednym brezentowym worku i z kieszeniami pełnymi gotówki. Nie znał jeszcze Emilii, nie miał dzieci, liczył sobie dwadzieścia sześć lat i lubił się bawić dużo bardziej niż jedenaście lat później. Rozbijał się wtedy po Warszawie otwartym, zielonym austro-daimlerem i tym zielonym daimlerem pojechali na Bielany, uczył ją strzelać w parku, potem pojechali na Marszałkowską do wędliniarni Pod Ryjkiem, jeść tuzinami raki gotowane z koprem, podawane Pod Ryjkiem zawsze na przełomie wiosny i lata, i pić do tych czerwonych raków białe, austriackie wino.

Potem wybrali się do Berlina, bo Ryfka wyraziła taką chęć. Nigdy nie była za granicą. Jechali trzy dni, ale dojechali, a Berlin był piękny w 1926 roku.

Słuchali jazzu, na parkowym koncercie w Tiergarten, Jakubowi jazz się nie podobał, więc pili szampana i sznapsa, tańczyli w proletariackiej tancbudzie o ścianach przystrojonych kolorowymi frędzlami z folii, jedli, kochali się w najlepszych hotelach, a potem trzy dni wracali austro-daimlerem, który zepsuł się w Poznaniu, więc z Poznania wrócili pociągiem. Jakub nigdy po daimlera nie wrócił, jakiś bamber pewnie nim jeździł, aż się daimler rozpadł, albo go w końcu zarekwirowali Polacy, albo hitlerowcy, gdy trzynaście lat później przyszła wojna. W pociągu konduktor nakrył ich na uprawianiu miłości w przedziale pierwszej klasy, Jakub rzucił mu pięćdziesiąt złotych, nie opuszczając ciała Ryfki, i konduktor oddalił się zadowolony z zarobku; więcej nie przeszkadzał zakochanej parze.

Przez rok byli nierozłączni. Ryfka często zakładała męskie ubrania i nosiła nóż i pistolet w kieszeni, jak Szapiro. Strzelała, biła, klęła, piła,

brała kokainę, a wieczorem zakładała najlepsze suknie i tańczyła z Jakubem w Oazie i ani on, ani ona nie potrzebowali w życiu niczego więcej i niczego więcej od życia nie chcieli.

Po roku byli już zmęczeni. Jakub wrócił do zarzuconych w 1925 roku treningów i potrzebował bardziej ustabilizowanego i regularnego trybu życia. Ryfka chciała się bawić. Jakub już nie. Ryfka powiedziała, że wyjeżdża do Berlina. Miała sporo swoich pieniędzy. Jakub odmówił wyjazdu z nią i został w Warszawie. Powiedziała, że ma do niej nie pisać ani nie dzwonić, chyba że chciałby przyjechać. Nie chciał. Miał tutaj pod opieką dorastającego Moryca, musiał go pilnować.

Kiedy wyjechała, poczuł się pusty w środku. Nagle zrozumiał, jak bardzo jej potrzebował, jak wiele mu dawała i jak samotny jest bez niej. Tylko z nią mógł rozmawiać o swoich sprawach, tylko ona rozumiała jego życie i jednocześnie była nim zainteresowana, bardziej niż własnym. Nie miał przed nią żadnych tajemnic i ufał jej tajemniczej mądrości.

Z Berlina wróciła po pół roku, powiedziała mu, że miała przez te pół roku kilku mężczyzn i żaden z nich nie był w jednej setnej takim mężczyzną jak on. Jakub powiedział, że ją kocha i na żadne inne nawet nie chce patrzeć.

Zamieszkali razem, w małym mieszkaniu na Woli.

Wtedy Ryfka zaczęła pić. W zasadzie Ryfka piła wtedy tyle samo co zawsze, ale Jakub pił o wiele mniej, bo trenował na serio i był już bardzo zmęczony apaszowskim życiem, i apokaliptyczne picie Ryfki zaczęło mu przeszkadzać.

Awantury, jakie urządzali, były sławne w całej żydowskiej dzielnicy.

Ryfka strzelała do Jakuba z jego pistoletu. Zestrzeliła mu z głowy kapelusz. Przez pomyłkę, bo celowała niżej. Ocierała mu krew po walce i najgłośniej krzyczała, gdy nokautował przeciwników ciosami w podbródek i na wątrobę.

Jakub wyrzucił przez okno komodę z jej ubraniami, nie otwierając okna, razem z komodą i szybami wyleciała cała rama okienna i wszystko to leżało na bruku przez trzy dni, nikt nie ośmielił się niczego ruszyć, bo każdy złodziejaszek Woli wiedział, czyje to rzeczy. Jakub porzucił wtedy treningi

i przez trzy dni chodzili po mieszkaniu nago – pili, brali kokainę, kochali się i kłócili.

Ryfka rozbiła Jakubowi na głowie kilka butelek. Jakub nigdy jej nie uderzył, tylko przytrzymywał jej ręce, kiedy próbowała go tłuc, i śmiał się, kiedy nie mogąc nic zrobić, wyła z wściekłości. Potem próbowała udawać dobrą gospodynię domową i nic jej z tego nie wychodziło, nie umiała ani gotować, ani sprzątać i po paru próbach dała sobie spokój.

Jakub zaczął wtedy więcej czytać, trochę żeby nie zostawać za bardzo w tyle za swoim młodszym bratem, i zrozumiał też, chociaż było to niezależne od czytania, że chce mieć dzieci.

– Ja nie mogę mieć dzieci. Jak byłam w burdelu, to coś mi się zepsuło tam w środku i nie mogę – powiedziała wtedy Ryfka, a dwa dni później Jakub poznał Emilię Kahan. Było to w połowie 1928 roku.

Emilia pochodziła z porządnej, świeckiej, trochę asymilanckiej rodziny. Ojciec był adwokatem i socjalistą, matka damą podzielającą poglądy męża. Córkę również wychowali w lewicowym duchu, Emilię zawsze więc ciągnęło ku dołom społecznym, zwłaszcza jeśli personifikowały się w przystojnym i potężnym, stukilogramowym ciele boksera, obleczonym w najlepsze garnitury i płaszcze od Zaremby, wożonym pięknymi samochodami, a przy tym zbójecko szarmanckim, ciepłym, serdecznym i promieniującym czymś, co sprawiało, że każda kobieta czuła się przy Jakubie bezpieczna. I każda taka była.

Kiedy odchodził, Ryfka powiedziała, że potnie jej twarz brzytwą, tej Emilii. Jakub odparł na to, że jeśli zobaczy ją kiedykolwiek w pobliżu jego narzeczonej, zabije i wyrzuci do Wisły. I żeby sobie wyobraziła, jak węgorze i minogi wyjedzą jej oczy, jak się wślizgną przez martwe oczy, przez usta, dupę, cipę do jej ciała i jak będą ją jadły od środka.

– Mnie nigdy nie kupiłeś pierścionka – powiedziała Ryfka i postanowiła nie zbliżać się do Emilii, bo nie chciała, żeby węgorze i minogi jadły ją od środka, a groźby Jakuba dawno nauczyła się traktować poważnie.

– Jałowym kurwom pierścionków się nie kupuje – wysyczał Szapiro, po czym odszedł i już nigdy do niej nie wrócił.

Nie miała mu tego za złe, była w końcu kurwą i była jałowa, nie powiedział nieprawdy. Miała mu za złe tylko to, że od niej odszedł. Tego

nie wybaczyła mu nigdy.

Rok później Emilia urodziła bliźnięta. Ślubu nie wzięli, niepotrzebny im był ślub, po prostu żyli ze sobą. Na myśl o tym, że miałby stanąć pod chupą, Jakubowi robiło się niedobrze, Emilii na tym nie zależało, zależało jej rodzicom, ale co z tego?

Kiedy Emilia urodziła chłopców, Jakub za jej wiedzą, chociaż bez jej aprobaty, dał Ryfce dziesięć tysięcy na rozkręcenie biznesu. Tak po prostu. Ukradł te dziesięć tysięcy specjalnie dla niej z Kolektury Loterii Państwowej na Koszykowej, w biały dzień, wydarli sejf łańcuchami przyczepionymi do ciężarówki, załadowali na pakę i odjechali. W środku było dwadzieścia tysięcy, dziesięć podzielił na kompanów, dziesięć zostawił sobie, by dać je Ryfce właśnie.

Przyjęła, chociaż myślał, że nie przyjmie.

– Ona dostała ciebie i pierścionek i z twojego nasienia synów, mnie więc należą się pieniądze i firma, którą za nie zbuduję – powiedziała.

Jakub był szczęśliwy z Emilią. Przez parę lat. Cieszył się spokojnym życiem. Ulica nie śpiewała o nich piosenek, ulica dalej śpiewała piosenki o Jakubie i Ryfce, o kochankach strzelających do siebie z rewolwerów, o miłości kurwy i bandyty. Miłość bandyty i adwokackiej córki nie interesowała ulicy.

Ryfka była nieszczęśliwa bez Jakuba, ale zadowolona z pieniędzy i pozycji, jaką dał jej własny, troskliwie chroniony przez Kaplicę interes, od początku mieszczący się w strzelistej kamienicy przy Piusa XI.

Po dziewięciu latach niezawartego, ale prawdziwego małżeństwa Jakub dalej był z Emilią i z dziećmi, a Ryfka bez Jakuba, za to ze swoim burdelem, z tym że żadne z nich szczęśliwe już nie było, Ryfka od początku, Jakub od pewnego czasu.

Jakub zrozumiał, że nie ma czegoś takiego jak szczęście, i myślał często, co by było, gdyby wtedy wyjechał z Ryfką do Berlina. W 1933 roku musieliby jechać dalej, do Ameryki, mogli przecież pojechać do Ameryki, z Ryfką byłby wolny, z Ryfką mógłby wszystko, a teraz, od kiedy ma Daniela i Dawida, może bardzo mało, bo na jego głowie, sercu i sumieniu są te dwa małe, ośmioletnie życia.

Ryfka była zmęczona. Codzienną rutyną, użeraniem się z pijanymi klientami i z kapryśnymi dziewczętami, ale przede wszystkim zmęczona tym, na co patrzyła przez te dziewięć lat, a patrzyła, jak jej mały, ale zgrabny interesik wysysa kolejne dziewczęta, wyżyma je jak ścierki, patrzyła, jak niszczeją od środka, spieniężając tanio swoją młodość i urodę, i jak dla nich zostaje tylko ułamek tej taniej ceny, ułamek tego, co z tej urody wynika, bo reszta idzie na czynsz, opłaty, zarobek Ryfki, dolę Kuma, łapówki dla policji, na wszystko, tylko nie na nie. Wszystkie jak jedna, idiotki, do końca wierzą, że u Ryfki spotkają kogoś, jakiegoś oficera w pięknym mundurze, doktora albo dziedzica, który jak w romansach, nałogowo przez nie czytanych, zakocha się w dziewczynie i wyciągnie ją z burdelu, z branży, uczyni swoją żoną, zapłodni, obsypie prezentami i wszystkim, czego dziewczyna w życiu potrzebuje. Owszem, niektórzy się zakochiwali, przychodzili ciągle, wydawali ostatnie pieniądze, nawet zapładniali, potem trzeba ich było wyrzucać, kiedy pieniędzy już nie mieli, a dziewczyny skrobać, potem wystawali na ulicy zawodząc, żałośni frajerzy, a potem im przechodziło, bo to zawsze przechodzi, a Ryfka lepiej niż ktokolwiek wiedziała, że kurwom pierścionka się nie kupuje. Dla kurew jest szampan, kiedy jest dobrze, policzek kiedy pyskują, skrobanka przy nadziei, nędza i samotność na starość. Życie jak w groszowych powieściach o strasznych konsekwencjach moralnego upadku. Ryfka czytywała je czasem i nie mogła się nadziwić temu, jak dobrze ich autorzy opisywali konsekwencje ulicznego życia, jednocześnie wcale go nie rozumiejąc, ani nawet nie znając.

Niektóre swoje dziewczęta spotykała później na ulicy, bo w tej branży się nie awansuje, niektóre żebrały, a potem umierały z biedy i obojętności – Ryfka nie lubiła na to patrzeć i była tym już bardzo zmęczona.

Jakubowi zaś nie było źle z Emilią. Było mu źle z sobą samym. Było mu źle ze stabilizacją i spokojem, które z takim wysiłkiem budował, bo był mądry i wiedział, że inaczej zginie, utonie w wódce albo w obsesjach, jak wielu innych, których znał i których widział, jak toną. Było mu więc źle ze stabilizacją – a żołnierzowi, bandycie i bokserowi, bo tym wszystkim był jednocześnie, nawykłemu do noża i maszyny, do pięści i do tego niezwykłego uniesienia, jakie daje zwycięstwo, do tego nieporównywalnego z niczym, nawet z orgazmem uczucia, które ogarnia

człowieka, gdy po krótkiej walce patrzy na powalonego na deski przeciwnika, komuś takiemu zbudować stabilne i spokojne życie jest o wiele trudniej niż adwokatowi, subiektowi czy księgowemu. A jednak je zbudował. A teraz tęsknił za dzikim życiem z Ryfką, o czym ona wiedziała, chociaż nigdy się z tą tęsknotą nie zdradził, bo tęsknił, ale nie mógł porzucić swojej stabilizacji, bo przyjął na siebie odpowiedzialność za swoich synów, za Daniela i Dawida, chociaż za niego samego nikt nigdy nie przyjął żadnej odpowiedzialności.

A może właśnie dlatego.

* * *

Patrzę na swoje dłonie na klawiaturze maszyny do pisania. Przyglądam się prawej dłoni. Na pomarszczonej skórze, pomiędzy plamami wątrobowymi widzę ślady granatowego tuszu, ale nie na skórze, nie wybrudziłem się, tylko w skórze, pod łuszczącym się trochę naskórkiem, jakby tatuaż, i układa się ten tusz w taki sam wzór, jaki miał Jakub Szapiro na ręce, miecz i śmierć i nie pamiętam, kiedy miałbym go sobie wytatuować.

Ale to nieważne. Ważne, by pisać. Tylko przeszłość jest ważna.

Czuję, jakbym znikał w tych wspomnieniach. Nie ma Mojsze Bernsztajna, nie ma Mojsze, nie ma Mojżesza, nie ma Mosze Inbara, jest tylko Jakub, Jakub, Jakub, Jakub.

* * *

Myślę, że zrobił to dla Ryfki właśnie. I myślę, że żadnej kobiety nie kochał tak, jak ją kochał, kiedyś, wtedy, w ciągu tego pięknego lata 1926 roku i jeszcze trochę potem, a później już nie. Emilię mógł potem kochać nawet bardziej niż Ryfkę wtedy, w końcu była matką jego synów, w końcu kupił jej pierścionek, w końcu była dobrą, mądrą i piękną kobietą, z którą postanowił spędzić całe życie, ale nie kochał jej tak, jak kochał Ryfkę latem 1926 roku, w Warszawie, w Berlinie, w Zakopanem, na plaży w Sopotach. Tak, w taki sposób, nie kochał już nigdy żadnej kobiety.

I zrobił to dla niej. Dla niej jesienią 1937 roku nazwał Annę Ziembińską głupią, polską kurwą, z czego zgadzał się tylko przymiotnik „polska". Zrobił

to, bo widział, jak Ryfka w swojej fryzurze z lat dwudziestych i niezbyt gustownej sukience gaśnie przy niej, jak nie ma przy niej szans.

Ziembińska stała, oparta łokciem o bar i nie wydawała się ani wstrząśnięta, ani obrażona. Wydawała się analizować to, co się stało, co się dzieje. I po paru sekundach, podczas których spojrzała na Ryfkę i przyjrzała się lekko pijanemu spojrzeniu Szapiry, wydawała się również wszystko rozumieć.

Uśmiechnęła się lekko, pobłażliwie.

– Nie jest pan aż tak głupi, panie Szapiro – powiedziała.

Jakub odwrócił się od niej, wypił kieliszek wódki, wyciągnął z kieszeni paczkę gitanes, zapalił.

– Gdyby chciał mnie pan kiedyś zobaczyć, proszę zatelefonować. Może się spotkamy raz jeszcze – powiedziała Anna i położyła na barze bilecik wizytowy.

Pianista zaczął grać. Jakub miał jeszcze w dłoni zapalniczkę, sięgnął po bilecik, podpalił go, wrzucił do popielniczki. Anna znowu uśmiechnęła się pod nosem, odwróciła się i ruszyła do wyjścia, powoli, bez pośpiechu, bardzo delikatnie kołysząc biodrami, po czym wyszła, nie żegnając się, jakby nikt w burdelu Ryfki nie był godny jej pożegnań.

– Di byst a nar, an idjot byste, Szapiro[31] – powiedziała Ryfka.

– Obe farwous?[32]

– Było się z nią umówić – przeszła na polski. – Poczarować, popieścić, zakochałaby się w tobie i twoim kutasie raz-dwa i miałbyś ją.

– Niepotrzebna mi.

– Jesteś idiotą, Szapiro. Potrzebna. Przecież to jest siostra Ziembińskiego i córka starego Ziembińskiego. Mając ją po swojej stronie, miałbyś świetne dojście do nich. A zakochana w tobie baba, Jakub, zdradzi nie tylko Polskę, świętą wiarę katolicką i jej zasady moralne, ale zdradzi również ojca, brata, matkę i całą ich zasraną, chrześcijańską, pańską rodzinkę.

Jakub milczał chwilę. Palił.

– Możesz mieć rację… – przyznał w końcu.

– No i co z tego, skoroś ty, aza nar, hot fabrant dejm biljetl[33] – zaśmiała się.

Zaciągnął się głęboko, wypuścił kłąb niebieskiego dymu, patrzył jak wije się w świetle barowych żarówek.

– Numer telefoniczny zapamiętałem – przyznał w końcu.

Ryfka odwróciła się szybko, plecami do niego, zajęła się układaniem szklanek, nie chciała, żeby zobaczył, że jakoś właśnie w tym momencie zebrało jej się na płacz.

Jej również sięgały płonące spojrzenie kaszalota i czarny pysk strasznej Wenus z Willendorfu.

Pili dalej. Po godzinie postawiła mu telefon na blacie.

– Dzwoń do niej.

– Po co to sobie robisz, Ryfka?

– Robię to dla siebie. I dla ciebie.

Zadzwonił.

ו

WAW

Leżał z nią w łóżku już po wszystkim, w najlepszym pokoju cichego hotelu przy Wierzbowej, i nie zastanawiał się, po co tu przyszedł, po co najpierw do niej zadzwonił, nie tłumacząc się ani nie przepraszając wcale za to, jak potraktował ją u Ryfki, a ona nie oczekiwała ani tłumaczeń, ani przeprosin.

Leżała teraz na boku, naga, opierając uniesioną głowę na dłoni, i przyglądała mu się, jak palił swojego gitana, również nagi.

– Twoja żona wie...? – zapytała bezczelnie i z szerokim uśmiechem, a Jakub pomyślał, że jej nienawidzi, a jednak całkiem mu się podoba i całkiem mu smakuje jej ciało.

Była inna niż żydowskie dziewczyny, pomyślał, a potem pomyślał, że w sumie była też zupełnie inna niż chrześcijańskie dziewczyny, których przecież sporo miał, więc jakby to powiedział Moryc, w grę wchodziła tu zapewne kwestia klasowa, nie etniczna.

Nawet jej ciało było jakoś klasowo inne. Emilia pochodziła z dobrej rodziny, miała ciało sportowe, bo też sportsmenką była zapamiętałą nawet po urodzeniu chłopców, a jednak Anna była inna. Sportów nie uprawiała, tego był pewien, znał się przecież na tym, prawie nie miała mięśni, kości od skóry oddzielała tylko cieniutka i wyjątkowa, jak mu się wydało, seksowna i kobieca warstewka tłuszczu. Tylko tyłek i uda miała umięśnione. Zastanowił się chwilę i uznał, że jeździ konno. To by do niej pasowało, jeździectwo, to panienka z jej klasy mogłaby uprawiać. Konie albo tenis, ale nie miała ramion ani bicepsów tenisistki.

– No, to jak, twoja żona wie...? – dopytywała się.

– Zamknij się – odpowiedział. – Emilia nie jest moją żoną, jest moją kobietą. I nie będziemy o niej rozmawiać, szmato.

– Przecież ja wiem, że nie jesteś tu tylko dla zabawy. Ty czegoś chcesz ode mnie, Jakub. Dlatego zadzwoniłeś.

– Niby czego? – kłamał, chociaż wiedział, że wychodzi to niezdarnie.

– Za kogo ty mnie masz, za idiotkę?

– Nie, za polską kurwę, która chciała posmakować obrzezanego chuja.

– No więc dzięki Bogu, Jakubie, że za kurwę. Nie zniosłabym, gdybyś mnie miał za idiotkę. Daj papierosa.

Dał. Palili razem. Zastanawiał się, dlaczego ją tak traktuje, i nie umiał znaleźć dobrej odpowiedzi. Czuł do niej jednocześnie pociąg i odrazę, autentyczną odrazę, ale zaczynał rozumieć, że jego odraza nie jest skierowana do niej osobiście, do niej samej, tylko do tego, co sobą reprezentuje, czy może raczej symbolizuje.

To było ich pierwsze spotkanie, parę dni po tym, jak przyszła do Ryfki. Postanowił sobie, że wybada ją od razu i więcej nie będzie z nią sypiał, ale nie umiał zadać żadnego pytania, więc po prostu leżał obok niej, w wilgotnej od ich potu pościeli, pachnącej seksem, drogimi perfumami i popiołem z papierosów, bo ten czasem spadał, zanim zdążyli sięgnąć do popielniczki.

Nagle wstał, zgasił szluga, wciągnął bieliznę, spodnie, wzuł buty, nie zakładając skarpetek, narzucił na grzbiet koszulę, chwycił marynarkę, krawat i bez słowa wyszedł z pokoju.

Uśmiechnęła się do siebie.

Wrócił po dziesięciu sekundach, wściekły i w jakiś dziwny i uroczy dla niej sposób zawstydzony, sięgnął do szuflady hotelowego biurka, zabrał pistolet i znowu wyszedł.

– Do widzenia, Jakub – powiedziała do zamkniętych drzwi. Wiedziała, że to nie jest ich ostatnie spotkanie.

Ja czekałem nań na dole, w buicku, tak mi się wydaje, tak to pamiętam, ale może byłem w domu, z Emilią i chłopcami?

Kilka dni minęło jak gdyby nigdy nic, jakby nic się nie zmieniło. Być może w istocie zmieniło się bardzo niewiele. Prawie nic. Chodziliśmy na

Kercelak zbierać pieniądze, na Kercelaku wszyscy z ulgą przyjmowali obecność Jakubową, brak Kuma nikogo szczególnie nie martwił. Radziwiłek nie był na targowisku lubiany, ale wszyscy wiedzieli, że ktoś rządzić musi i póki zbrojnym ramieniem tego bandyckiego rządu był ktoś tak szanowany i lubiany jak Szapiro, to nad nim mógł się lokować nawet ten szaleniec i łajdak Radziwiłek.

Do mieszkania na Nalewkach 40 przychodzili często potencjalni kupcy, oglądać kamienicę, jednak nikt nie oferował tyle, by Jakub uznał to za dobry interes.

Często przychodził Moryc, rozmawiali o Palestynie.

– Polecimy samolotem – powiedział Jakub któregoś razu.

– Wiesz, ile to kosztuje...? – zapytał Moryc.

– Wiem. Chcę zapłacić. Chcę się oderwać od tego kraju tak, jak ptaki odrywają się od ziemi. Rozumiesz?

Moryc nie rozumiał, ale nie oponował.

– Dobrze, Jakub, polecimy do Salonik, a stamtąd pozostaje statek. Napisałem już do ludzi z Hagany w Jaffie z prośbą o fałszywe papiery, żeby nas Anglicy nie zatrzymali. Poczekamy w Salonikach. Albo popłyniemy do Bejrutu i tam będziemy czekać.

– A jak na uczelni, Moryc?

– Porządek. Siedzimy w getcie ławkowym.

Jakub walnął pięścią w stół, nagle rozgniewany.

– Jakub, ja po prostu chcę skończyć te studia, zanim wyjedziemy. Zostały mi dwa kursy do zrobienia, trochę nauki i gotowe, tylko tyle. Dlatego wyjeżdżamy. Do miejsca, gdzie żaden zasrany Polaczek nie będzie nas zamykał w getcie albo mówił nam, ilu z nas może studiować na wydziale, żeby te ich płowowłose asy intelektu też mogły sobie postudiować. Pokazaliśmy im już, że nie przyjmujemy tego z pokorą. Teraz po prostu chcę skończyć te studia. Tylko tyle. Zostawmy to. A potem tylko wyjechać z tego przeklętego kraju.

– Widujesz tam Ziembińskiego? Na uniwersytecie?

– Widuję.

– Wiesz, gdzie on mieszka może?

– Nie. Wiem tylko, że z rodzicami ciągle. Ale jeśli potrzebujesz, to się dowiem.

– Dowiedz się. I uważaj na niego.

Moryc uniósł koszulę, pokazał rękojeść pistoletu, a potem poszedł. Emilia położyła chłopców spać, usiadła z Jakubem przy stole.

– Masz jakąś przyjaciółkę nową? – zapytała. – Widzę to po twoich oczach. Że masz.

– Daj spokój.

Dała spokój, zawsze dawała. Wiedziała w końcu, z kim się wiąże.

Tak mi kiedyś powiedziała, Jakuba nie było, chłopcy byli w szkole, byliśmy sami w mieszkaniu, a może powiedziała to przy Jakubie…?

Ale powiedziała. Patrzyła przez okno od ulicy, na uwijających się sklepikarzy, na przechodniów w chałatach i myckach i mniej licznych w kapeluszach i garniturach, na kobiety w perukach i na kobiety w sukienkach.

– W końcu wiem, za kogo wyszłam – powiedziała. – Chciała go każda dziewczyna tutaj, a on chciał mnie, ale przecież wiem, za kogo wyszłam. Jestem nowoczesną dziewczyną, nie zużyje mi się od tego, że się czasem położy z inną. Póki mnie kocha. A kocha. Mnie i chłopców. Tyle mi wystarczy. Tego nie miała z nim żadna, nawet Ryfka.

Wiedziała o Ryfce. Nie lubiła jej z wzajemnością i trochę nią gardziła. Emilia była kobietą nowoczesną, żydowską sufrażystką i socjalistką, ale miała dwójkę dzieci i na jakimś nieuświadomionym poziomie musiała czuć pogardę do tej bezdzietnej, jałowej flamy, bohaterki wielu ulicznych opowieści, których drugim bohaterem był mąż Emilii, Jakub, i jednocześnie obawiać się jej – mimo że była od Ryfki dużo ładniejsza, młodsza i mądrzejsza.

Być może Emilia Szapiro, z domu Kahan, na jakimś poziomie wyczuwała to, co Ryfka uważała za swoje wspomnienie najdroższe, najcenniejsze i najpiękniejsze, to, o czym myślała samotnymi nocami: że przeżyła z Jakubem coś, czego nie przeżyła z nim żadna inna, ani on z żadną inną nie przeżyje, a już na pewno nie z Emilią, bo nigdy go nie zrozumie ta wychuchana adwokacka córunia, nie tak, jak rozumiała go Ryfka, jak dziecko ulicy rozumie drugie dziecko ulicy, jak rozumieją się

tylko ludzie, którzy doświadczyli tej najokrutniejszej, biologicznej egzystencji, w której wszystko, ale to wszystko musisz światu wyszarpać pazurami, a potem jeszcze to obronić.

Jakub tego doświadczył i Ryfka też tego doświadczyła, dlatego potrafili się kochać tak, jak nie potrafią się kochać ludzie z domów, w których słucha się muzyki z gramofonów, w których wszyscy grają na pianinie, w których są jadalnie jasno oświetlone elektrycznymi żarówkami i gosposia, w salonie pachnie drogim tytoniem pana ojca, a wieczorami czytuje się wspólnie książki albo rozmawia o kwestii żydowskiej, socjalizmie, postępie duchowym i osiągnięciach nauki.

W takich domach jest ciepło i dobrze, ale w takich domach coś w człowieku umiera, a może coś w człowieku nie wyrasta, to coś, co mieli oboje, coś, z czego bierze się dzika, zwierzęca, cielesna miłość, jakiej na pewno Jakub nie doświadczył z Emilią.

Być może Emilia Szapiro z domu Kahan jakoś to wszystko wyczuwała – a wiedziała wiele, bo o awanturach i wyczynach Jakuba i Ryfki na ulicy śpiewano przecież piosenki. Być może właśnie dlatego tolerowała pojawiające się w życiu Jakuba przelotne romansiki – dlatego że żadna z tych dziewcząt nie była Ryfką. Każda z dziewcząt, które po meczu bokserskim zapłonione przemykały się do szatni i które Jakub brał byle gdzie, byle jak, ociekający jeszcze potem, każda z nich była policzkiem wymierzonym Ryfce, bo każda z nich jakoś Ryfkę umniejszała, a statusu Emilii nie mogła przecież umniejszyć.

– To wszystko się skończy, kiedy wyjedziemy do Palestyny. W Palestynie nie będzie takiego kurewstwa jak tutaj – powiedziała, dalej patrząc w dół, na ulicę.

Potem pomyślała o kibucach i postanowiła, że do żadnego kibucu mieszkać nie pójdą. W kibucach podobno żony są wspólne, to i Jakubem miałaby się dzielić? Więc do kibucu nie. W ostateczności może być moszaw. W Palestynie już nie będzie dzielić się Jakubem. Z nikim. Sprzedadzą kamienicę, Jakub wyciśnie pieniądze z całej dzielnicy, ile tylko się da, a jej socjalistyczni i zaangażowani rodzice jak zwykle pomyślą o czymś innym, zamiast myśleć o tym, z czego żyje ich córka. Wyciśnięte

z dzielnicy pieniądze Jakub wymieni na złoto albo dolary, kupią za to dom w Tel Awiwie i będą żyli. Będą palmy i morze, i pomarańcze i będzie ciepło, i będą u siebie. Jakubowi wydaje się, że tutaj, na Nalewkach są u siebie i jej też by się tak mogło wydawać, ale jej nie zaślepia to, co zaślepia Jakuba, Jakuba zaślepiają silne pięści, pistolet w kieszeni, mocni przyjaciele, Jakub zaślepiony własną siłą nie rozumie, że nie są już tutaj u siebie, być może nigdy tutaj nie byli u siebie, przeganiani co sto czy ileś lat tam i z powrotem po Europie. Nie, jej nie zaślepia siła, Emilia to widzi: nie są tu u siebie. Polacy nie pozwalają im być tutaj u siebie. Kiedy przez Tłomackie idzie procesja na polskie Boże Ciało, mimo że żaden Polak tu nie mieszka, to idą tak, jakby byli tu u siebie. Idą tędy specjalnie, żeby przypomnieć warszawskim Żydom: nie jesteście tu u siebie, nawet w waszych dzielnicach, nawet na waszych placach, pod waszymi synagogami. To jest katolicki kraj, to jest wszystko nasze, a wy jesteście tutaj tylko z naszej łaski.

Której może nam zabraknąć.

Nad naszym żydowskim miastem zapadał wieczór i nad naszym żydowskim miastem unosił się kaszalot o płonącym spojrzeniu. Przejeżdżały dorożki, taksówki, czasem samochód, przechodzili ludzie i padało na nich spojrzenie Litaniego, a oni go nie czuli, nie widzieli, ale ważniejsze od ich ślepoty było to, że on ich widział, otwierał i zamykał paszczę i zaczynał śpiewać, i widziałem, jak znikają w jego paszczy, jeden po drugim, wsysa ich, wciąga i wiem, że nic na tej ziemi nie może się równać z jego potęgą, nic mu się nie przeciwstawi, nie ma siły większej na ziemi niż siła Litaniego i płonącego spojrzenia jego małych, w grubej skórze ukrytych oczu, nie ma dźwięku głośniejszego niż jego niesłyszalna pieśń, za pomocą której znajduje swoje ofiary, aby je pożreć, wsysając.

Emilia nie widziała kaszalota, ale go przeczuwała, stała przy oknie, długo patrzyła na nieustający ruch na Nalewkach i zastanawiała się, czy będzie tęsknić. Potem odwróciła się, popatrzyła na siedzących przy stole Dawida i Daniela, czytających w świetle elektrycznej lampy odpowiednio polską książkę i gazetę w jidysz, i zrozumiała, że wcale nie będzie tęsknić. Zastanawiała się, gdzie jest Jakub, czy poszedł do swojej nowej dziewczyny, i tak jej się właśnie wydawało, że pewnie do niej poszedł.

Albo do innych ciemnych sprawek.

Jakub tymczasem nie poszedł do Anny, chociaż był z nią umówiony na później.

Jakub udał się do swoich ciemnych sprawek.

Ciemne sprawki Jakuba wymagały zaś wizyty w Pałacu Rady Ministrów, chociaż czymże były jego sprawki wobec czarnych spraw tych, którzy w Pałacu Rady Ministrów urzędowali?

Kluczył długo po mieście, chciał się upewnić, czy nie jest śledzony. Założył najlepszy garnitur, wylegitymował się przy wejściu i poprzez trzy antyszambry udało mu się dotrzeć do gabinetu sekretarza Litwińczuka. Odczekał swoje przed drzwiami, w końcu poproszono go do środka.

– Chcę rozmawiać z premierem – powiedział, nie witając się nawet.

Litwińczuk, otyły i łysy urzędnik państwowy w każdym calu, podniósł rękę w geście oznaczającym, iż jest skupiony na lekturze czytanego właśnie dokumentu i za nic nie może tej niezwykle ważnej czynności przerwać. Szapiro zrozumiał, że to oznacza, iż ich relacja zmieniła się diametralnie. Przed aresztowaniem Kuma Litwińczuk zerwałby się zza biurka, prosił siadać, proponował kawę, coś mocniejszego.

Szapiro broń zostawił w samochodzie, zastanowił się przez chwilę, czy nie skrzywdzić Litwińczuka gołymi rękami, ale zaraz porzucił tę myśl. Sekretarz premiera dalej studiował dokument, rozkoszując się małym upokorzeniem człowieka, który samym swoim istnieniem upokarzał Litwińczuka. Sekretarz nienawidził Szapiry, od zawsze. Nienawidził go, bo Szapiro był Żydem, to przede wszystkim, a żaden Żyd nie powinien być tak silny, tak przystojny, tak dobrze ubrany i tak luksusowo zmotoryzowany, nienawidził go za to, że się go fizycznie bał, i za to, że Szapirę kobiety kochały, a Litwińczuk za miłość musiał płacić w twardej walucie oraz za pomocą więzi kościelnego sakramentu.

A teraz miał okazję się odegrać. Oczywiście niczego ważnego nie czytał, gapił się tępo w nieistotny raport i czekał. Wiedział, dlaczego Szapiro znalazł się w jego gabinecie, wiedział o osadzeniu Kuma w Berezie i wiedział, że gdyby Szapiro miał okazję porozmawiać z premierem, to może Kaplicę z tej Berezy wyciągnąć. Litwińczuka zaś, chociaż nijak niezaangażowanego w plany Śmigłego i Koca, myśl o starym Kumie

zamkniętym w Miejscu Odosobnienia bardzo cieszyła ze względów osobistych.

Jakub przyglądał się łysinie pogrążonego w lekturze urzędnika i zdecydował, że upokorzenie odmowy, jakie jest jedynym możliwym rezultatem rozmowy z sekretarzem, jest mu do niczego niepotrzebne.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Litwińczuk był bardzo rozczarowany.

Byłby rozczarowany jeszcze bardziej, gdyby wiedział, że prosto z jego gabinetu Szapiro udał się na spotkanie z kobietą nie tylko piękną, ale również znaną Litwińczukowi z paru towarzyskich sytuacji.

Jakub umówił się z Anną w Warszawie lepszej niż jego Warszawa Nalewek i Kercelaka, w Warszawie właściwej Annie, w Warszawie leżącej w istocie na kontynencie innym niż ten, na którym leżała Warszawa Jakuba, w Warszawie leżącej prawie w Europie, do której Nalewki i Kercelak z ich azjatyckimi zapachami i hałasem w oczywisty sposób nie należały.

Wiedział już, gdzie mieszka, Moryc zadzwonił i podał adres, ale umówili się pod kamienicą Taubenhausa na rogu Matejki i Alei Ujazdowskich, w tych niewielkich skrawkach Warszawy eleganckiej, po której chodnikach promenowali eleganccy panowie w garniturach i mundurach z eleganckimi paniami, a samochody należały nie tylko do zajmujących się ściąganiem haraczy bandytów i bokserów, ale do wysokiego szczebla urzędników, inżynierów, pisarzy czy aktorów. Na przykład Dymsza jeździł po Ujazdowskich swoją lancią fariną, prezydent Mościcki swoim cadillakiem 370 woził po Ujazdowskich rumuńskiego króla, a trzy kilometry dalej slumsy polskich i żydowskich dzielnic nędzy wydawały z siebie swoje potomstwo, wszystkich Jakubów, Mojżeszy, Kapliców, Pantaleonów, wszystkie Ryfki tego miasta.

Szapiro pozwolił jej na siebie czekać, a ona czekała, posłusznie i nawet nie czuła złości, jakby to należało do decorum tego, co się między nimi wydarza. Czekała wystrojona, wyfryzowana, w lekkim, jesiennym palcie, w czerwonych pantofelkach na wysokim obcasie, mężczyźni się za nią oglądali, a jej sprawiało przyjemność, że po raz pierwszy w życiu czeka na mężczyznę, czeka na mężczyznę, który kazał jej na siebie czekać.

Zajechał po nią swoim eleganckim, brązowym buickiem, który nawet na wieczornych Ujazdowskich zwracał na siebie uwagę, chociaż oczywiście nie tak, jak uwagę zwracał czerwony chrysler Kaplicy, teraz bezużyteczny, drzemiący w garażu willi przy Domaniewskiej.

Wsiadła.

– Jedziemy do hotelu? – zapytała.

– Szkoda na ciebie hotelu – odpowiedział.

Uśmiechnęła się.

Pojechali pod most Poniatowskiego, zjechali z Wybrzeża Kościuszkowskiego za mostem trasy średnicowej, pod pierwsze przęsło mostu Poniatowskiego, zaparkował, zgasił silnik, bez słowa rozpiął spodnie, ona bez słowa pochyliła się nad jego kroczem.

Był wobec niej w jakiś sposób bezradny. Rozumiał już, że im gorzej ją potraktuje, tym bardziej jej się to wszystko spodoba, i to w nim, a nie w niej, zaczyna kiełkować jakaś zależność, jakaś słabość.

Po chwili przenieśli się na tylną kanapę. Na przednim siedzeniu położył zapaloną latarkę elektryczną, świeciła w podsufitkę samochodu, rzucając nieregularne cienie na ich ciała z tyłu. Chciał ją widzieć.

Po kolejnym kwadransie siedzieli obok siebie, zziajani, mokrzy od potu, ona zupełnie naga, z potarganymi włosami, Jakub w rozpiętych spodniach i koszuli, palili papierosy Jakuba, Anna nie miała swoich.

– No, to czego ode mnie chcesz? – odezwała się pierwsza, bo od kiedy wsiadła do jego samochodu na Ujazdowskich, milczeli oboje.

Jakub zastanawiał się chwilę, czego tak naprawdę od niej chce. Po co kotłuje się z nią w samochodzie pod mostem, po co akurat z nią, po co w ogóle. Nie licząc rzadkich seansów z dziewczynami od Ryfki, bo z nimi to oczywiście co innego, od dawna stronił od kobiet. Nie zakochiwał się, nie uwodził ani nie dawał się uwodzić, chociaż lgnęły do niego.

Po Ryfce została w nim wielka dziura, a Emilia zdołała tę dziurę nie wypełnić, ale jakoś zabliźnić, zaleczyć, ona i ich chłopcy. Więc dlaczego siedzi teraz w samochodzie z Anną Ziembińską, córką prokuratora Ziembińskiego, siostrą Andrzeja Ziembińskiego, po co?

Pamiętał, co powiedziała Ryfka i tak próbował to sobie wytłumaczyć, ale wiedział, że to prawda tylko na najbardziej zewnętrznym poziomie, a więc

w istocie nieprawda, wiedział, tylko udawał, że nie wie, ale wiedział, że oszukuje sam siebie.

– Potrzebuję czegoś na twojego ojca albo brata. I pomyślałem, że jeśli będę cię jebał, to mi pomożesz.

Zaczęła się śmiać. Śmiała się, krztusiła, zasłaniała usta dłońmi, naga, cała jeszcze w ślinie, pocie i spermie i zupełnie pozbawiona wstydu, śmiała się tak zaraźliwie, że w końcu zaczął się śmiać razem z nią.

– Cóż za niezwykła znajomość psychologii kobiecej! Cóż za miłe zaskoczenie u boksera!

Wzruszył ramionami.

Spoważniała.

– Jesteś głupi.

Znowu wzruszył ramionami, nawet oczami przewrócił, nie patrzył na nią, patrzył przed siebie, w kłęby papierosowego dymu powoli wyciekające na zewnątrz przez uchyloną szybę buicka.

– Jesteś naprawdę bardzo głupi. A może to oni mnie wysłali? Mój papa? Albo Andrzej? Pomyślałeś o tym?

Nie pomyślał. Milczał dalej.

– Dobrze, to teraz słuchaj. Nienawidzę mojego ojca. Spotykam się z tobą już po raz drugi, bo mi się podobasz, bo lubię smak twojej spermy, ale podobasz mi się również dlatego, że mój ojciec uważa cię za wroga. Za swojego osobistego wroga, jak również wroga narodu polskiego. Każdego Żyda uważa za wroga narodu polskiego, ale ciebie szczególnie. A ja nienawidzę mojego ojca. I chciałabym, żebyś pomógł mi go skrzywdzić.

Nie znał nigdy takiej kobiety. Nie interesowały go nigdy komfortowo zakorzenione w patriarchacie pańcie, czyli większość kobiecej populacji. O Ryfce nie mógłby powiedzieć, że była kobietą wyzwoloną, ponieważ Ryfka nigdy nie musiała się od niczego wyzwalać. Była wolna z całej swojej dzikiej natury, wychowywała się na ulicy, jakby wychowywała się w dżungli, jej wolność była wolnością wilczą, nie kobiecą. Nie poznała nigdy żadnego konwenansu, od którego musiałaby się wyzwalać.

Emilia była kobietą wyzwoloną, prawdziwą socjalistką, mówiono o niej nawet „żydowska Krzywicka". Sama Krzywicka była również Żydówką, ale w oczach zarówno pobożnych, jak i świeckich Żydów asymilanci wyrzekali

się swojego żydostwa i w efekcie zostawali gdzieś pośrodku, niczyi, ani żydowscy już, ani jeszcze polscy. W każdym razie wyzwolenie Emilii było w dobrym guście, nie krępowane, ale kształtowane dobrym wychowaniem, w łóżku było im świetnie, ale nie było w niej zepsucia.

Może potrzebował zepsucia. Polskiego, nie żydowskiego.

Nagle to zrozumiał. Spojrzał na nią. Siedziała obok, naga, na wpół leżąc, z długimi nogami na oparciu fotela kierowcy, nie próbując zakryć ani kawałka swojej nagości, i taka właśnie była, zepsuta. I to zepsucie go podniecało i pociągało. I dlatego właśnie siedział z nią tutaj, w samochodzie pod mostem.

– Najpierw przyrzeknij mi, że nie będziesz występował przeciwko mojemu bratu.

– Niby jak mam ci to przyrzec? Przecież ja jestem żydowski socjalista i bojówkarz, a on jest bepista, falangista, oenerowiec, polski hitlerek. Przecież my do siebie strzelamy – powiedział Jakub i zaraz zorientował się, że gdyby był tu z nią jedynie, albo przynajmniej przede wszystkim z tych powodów, dla których wysłała go do niej Ryfka, to przecież przyrzekłby jej wszystko bez wahania, że zapisze się do NSDAP albo że kupi jej Wolne Miasto Gdańsk, cokolwiek prowadziłoby do efektu, który chciał uzyskać. Anna również to wiedziała.

– Wiem – odparła, odwracając się do niego i tuląc się do jego koszuli i brudząc ją rozmazanym tuszem do rzęs. – Ale ja go kocham. Jak nikogo na świecie. Więc skłam albo wymyśl to jakoś tak, żebym mogła zaszkodzić temu skurwysynowi, nie krzywdząc Andrzeja.

– Nie będę na niego nastawał, jeśli on nie napadnie na mnie – obiecał Jakub i z przerażeniem zrozumiał, że obiecuje naprawdę.

– Napadnie.

– Do cholery, to będę się bronił, jeśli napadnie, ale nie przyjdę do was do mieszkania z Pantaleonem, nie wyciągnę go z łóżka, nie wywiozę za Warszawę, nie poderżnę gardła, nie poćwiartuję, nie porozrzucam po gliniankach.

Zamilkła na chwilę. Przypatrywała mu się uważnie, w słabnącym świetle latarki nie widział jej oczu i nie umiał sobie przypomnieć, jaki mają kolor. Ale widział, że po raz pierwszy pomyślała o tym, kim jest naprawdę.

Ryfka zdawała sobie sprawę z tego od zawsze i ani na chwilę o tym nie zapominała. Emilia wiedziała, tak jakby. Tak jakby, bo wiedziała, że jej mąż jest bandytą i zapewne zdawała sobie sprawę, że zabija ludzi, ale co zrobiłaby, gdyby zobaczyła, jak zabija Nauma Bernsztajna?

– Robiłeś coś takiego…? – zapytała w końcu.

– Nie twoja sprawa.

Pocałowała go. Widział, że jest podniecona.

– Mój ojciec jest potworem. Mnie nigdy nie uderzył, ale zabił moją matkę.

– Jak to…?

– Bił ją przez całe życie, za wszystko. Najczęściej takim palcatem do jazdy konnej. Cztery lata temu postanowiła w końcu odejść od niego, po dwudziestu latach udręki. Popchnął ją, wściekły, gdy stała na schodach. Spadła, złamała sobie kręgosłup i umarła.

– I nikt go nie oskarżył…? – zapytał Jakub bardzo głupio.

Spojrzała na niego z politowaniem.

– No tak… – zmitygował się.

– To on jest od oskarżania ludzi, nie jego się oskarża. Policja stwierdziła, że mama się potknęła, nieszczęśliwy wypadek.

Pokiwał tylko głową.

– Ty zajmujesz się prostytutkami, prawda? Płacą ci?

– Pytasz, czy jestem alfonsem? – uśmiechnął się. – Byłem, kiedyś. Dawno temu. Zaraz po wojnie. Od dawna już nie. Mam inne zajęcie.

– Ale tam, w tym burdelu, no znasz prostytutki, prawda?

– Wszystkie płacą Kumowi. To znaczy teraz nie Kumowi, bo Kum jest w Berezie. Ale płacą. I znam.

– To słuchaj. Mój ojciec chodzi do jednej takiej, na Woli. Mówią na nią Madame de Potocki, ale z niej jest taka de Potocka jak ze mnie księżna Yorku. Taka wysoka, wielka kobita. Znasz ją?

– Znam – odpowiedział.

– Dorobiłam sobie klucz do gabinetu papy. Papa ma piękną kolekcję zdjęć z kobietami bijącymi i torturującymi mężczyzn. Niektóre nawet podniecające. Domyślam się, że po to właśnie u niej bywa.

Jakub zastanowił się chwilę. Znał Potocką. Płaciła Kumowi pięćdziesiąt złotych w każdy pierwszy piątek miesiąca. Anna miała rację, żadna z niej była Potocka, naprawdę nazywała się Aniela Kuźnik, urodziła się podobnie jak Munja Weber w Harbinie, wielkopańskich manier nabrała, bo od 1910 roku służyła w najlepszych domach ówczesnego imperium, najpierw w Petersburgu, a od 1913 w Warszawie. Była kobietą bystrą i spostrzegawczą i miała naturalny talent aktorski, chłonęła więc z łatwością język i maniery swoich państwa.

Zaraz po wojnie służyła w pewnej ministerskiej rodzinie i tam, namówiona przez pana domu, zajęła się nie tylko kuchnią i sprzątaniem, ale również batożeniem tegoż pana domu i innymi, związanymi z batożeniem praktykami. Nie mając zupełnie pociągu do mężczyzn, nie pozwalała mu się dotykać, co jak najbardziej mu odpowiadało, i płacił jej za to o wiele, wiele więcej, niż wynosiła jej pensja służącej.

Odkrywszy tym samym świetne źródło zarobku, nie tak męczącego jak służba domowa, służbę po kilku latach porzuciła i najęła mieszkanie na Woli, w którym żyła i przyjmowała kilku wybranych, zamożnych klientów. Miała czterdzieści trzy lata. Żaden klient nie widział jej nagiej, nie pozwalała się nikomu dotykać i sama siebie nie miała za prostytutkę, za prostytutkę nie uważali jej też jej starannie wyselekcjonowani klienci. Poza pracą żadnych relacji z mężczyznami nie utrzymywała, co jakiś czas tylko wprowadzała się do niej kolejna młoda dziewczyna, z którą Kuźnik przeżywała burzliwy romans, następnie dziewczyna się wyprowadzała, zadowolona i o paręset złotych bogatsza, a Kuźnik zostawała sama ze złamanym sercem i uszczuplonym kontem oszczędnościowym w PKO.

Jedno i drugie reperowała, tłukąc do krwi blade, tłuste tyłki warszawskich tuzów palestry, przemysłu, polityki i kultury. Zdołała również ukończyć seminarium nauczycielskie i kiedy Jakub ostatni raz o niej słyszał, jak mgliście sobie przypominał, zamierzała zostać nauczycielką, w związku z czym opuściła podławe, dotychczasowe mieszkanko i przeniosła się do całkiem obszernego w domu nauczycielskim na Bema.

– Zrobisz coś z tym? – zapytała Anna.

– Zrobię.

– Chcę tylko, żeby on wiedział, że to przeze mnie. Powiedz mu.

– Powiem.

– Wiesz, gdzie mieszkam?

– Wiem. Na Żoliborzu. Koźmiana pięć.

– Skąd...?

– Muszę wiedzieć o różnych rzeczach. Taki fach.

Pocałował ją, przyciągnął do siebie. Anna wiedziała, że już wygrała.

Litani unosił się nad mostem, wysoko i patrzył na nich, i kochał ich, i kochał miasto, które ich zrodziło. Kochał intrygi, które snuli tak, jakby mieli żyć wiecznie, kochał ich marzenia i plany. Śpiewał swoją łowiecką pieśń miłości.

– Ciągle to piszesz? – zapytała Magda.

Odwróciłem się raptownie. Przestraszyła mnie. Nie wiem, kiedy tu weszła. Patrzę na nią. Jest taka stara już, tak bardzo stara. Twarz pokryta drobną siatką głębokich zmarszczek. Obwisła skóra pod brodą. Pomarszczone, pokryte wątrobowymi plamami dłonie. Moja Magda, taka stara.

Wyciągnąłem kartkę z maszyny i odłożyłem na stos zapisanych, tekstem do dołu, tak żeby nie mogła odczytać.

– Piszę.

– Po co?

– Bo co mam robić, odkąd mnie wyrzucili z Amanu?

– Co ty sobie w ogóle zmyśliłeś?

– Nie rozumiem.

– Co to jest Aman?

Nie rozumiałem.

– Jak to...? – zdziwiłem się.

– No co to jest Aman, człowieku? O czym ty w ogóle mówisz?

– No przecież służyłem... Wywiad... Przecież wiesz. W co ty grasz, Magda?

– Nie jestem Magda. Kto to w ogóle jest Magda?

Zamilkłem. Zrobiło mi się bardzo smutno.

– Możemy już przestać? – zapytała. – Przestać grać w tę grę? Możemy już zostawić tę całą bajkę, którą sobie wymyśliłeś, Jakub? Kto to jest Magda?

Jakub? Jakub? Jakub?

Patrzę na swoje dłonie. Na prawej wyblakły zupełnie tatuaż. Wyblakły, a jednak widoczny.

– Nie jestem Jakub – mówię, ale mówię to bez przekonania.

– A kto?

– Jestem Mojsze Bernsztajn – szepczę prawie, tak bardzo chcę w to wierzyć.

– Kto? – nie rozumie Magda.

– Mojsze Bernsztajn. Syn Nauma Bernsztajna.

– Chodzi ci o tego nieszczęśnika, którego zabiłeś w trzydziestym siódmym? Za długi wobec Kaplicy?

Milczę.

– Nie, on miał na imię Naum. Już wiem. Wyobrażasz sobie, że jesteś jego synem? Nie pamiętasz, naprawdę nie pamiętasz, co się stało z tym chłopcem?

Milczę, bo co mam powiedzieć. Znikam. Idź sobie – myślę. Idź sobie.

– Idź sobie – szepczę najciszej. – Idź.

Zamykam oczy, czekam, aż wyjdzie. Wracam do pisania.

Pamiętam, co się stało z Mojżeszem Bernsztajnem.

* * *

Jakub wyjechał spod mostu Poniatowskiego. Nie poczekał, aż Anna się ubierze, a ona nie protestowała, lubiła swoją nagość. Ubierała się, gdy jechali, zaczęło padać. Mimo deszczu wysadził ją na placu Trzech Krzyży, rozstali się bez pożegnania.

Jakub Szapiro uważał, że najlepiej rozstawać się bez pożegnania, bo znał tylko dwa rodzaje pożegnań: te, które sprawiały mu ból, tak jak sprawiłoby mu ból pożegnanie z Anną, z którą nie miał ochoty się rozstawać, i te, które go cieszyły, wtedy nie chciał marnować ani chwili więcej na przebywanie

we wstrętnym mu towarzystwie. W obu przypadkach lepiej po prostu odwrócić się na pięcie i odejść.

Chciał od razu wybrać się do Anieli Kuźnik, ale poczuł głód i postanowił zaspokoić go po drodze, w Nowym Metropolu u Handszera na Tłomackiem. Pojechał Nowym Światem i Krakowskim Przedmieściem, skręcił w lewo w Trębacką, potem Wierzbowa, plac Teatralny, tam miasto już nie udawało europejskiej metropolii, którą nigdy nie było, i dzięki temu na Bielańskiej już czuł się jak u siebie, a na Tłomackiem u siebie po prostu był, jak dziedzic na swoim folwarku.

Zaparkował pod barem, wysiadł, wszedł do środka, było tu pustawo, Handszer sprzątał już ze stołów i zmartwił się, ujrzawszy Szapirę, bo wiedział, że skoro ten przyszedł, to nie będzie mógł zamknąć o czasie, to jest o dwudziestej drugiej, i czeka go zapewne kolejny mandat, jeśli tylko zjawi się policjant. A że są na niego cięci, bo są skargi, to pewnie się zjawi. Westchnął ciężko i pomodlił się w myślach w stronę nieokreślonego absolutu, był bowiem deistą, prosił, by przynajmniej awantury nie było.

Jakub zamówił śledzie i pół litra, jadł i popijał ciepłą wódkę małymi łykami. Nie zauważył, że ktoś mu się przygląda przez witrynę baru. Że ja się przyglądam.

Zjadł, chciał zapłacić, ale Handszer zaprotestował, wyszedł więc bez płacenia i wtedy rzuciłem się na niego, schowawszy się wcześniej za bagażnikiem buicka, w którym nigdy nie siedziałem, rzuciłem się nań głodny i zmarznięty, i osłabiony, rzuciłem się na niego z nożem, chciałem mu wbić ten nóż w plecy, ale w ostatniej chwili się poślizgnąłem i wbiłem krótkie ostrze mojego kozika w Jakubowy pośladek.

Mojżesz Bernsztajn wbił krótkie ostrze w mój pośladek.

Jakub Szapiro nie wziął Mojszego na wychowanie.

Chciałem wziąć go na wychowanie, chciałem wtedy uratować tego biednego, żydowskiego chłopca, którego widziałem dwa razy w życiu, raz, kiedy zabrałem jego ojca, i drugi, gdy byłem z Emilią w teatrze i on tam był, z Magdą Aszer, z Magdą, którą znałem tylko z widzenia, z pływalni Makabi, gdzie sam również czasem pływałem, traktując pływanie jako

dobre, ogólnorozwojowe ćwiczenie, pomocne w budowaniu wydolności bokserskiej.

Magda Aszer z pływalni Makabi.

Jakub Szapiro pływał na tej samej pływalni, w tej samej, wiślanej wodzie. Jakub Szapiro zabił mojego ojca, Nauma Bernsztajna, poćwiartował jego ciało, rozwiózł po gliniankach i pozwolił, byśmy ja, matka moja i brat mój poszli na zmarnowanie, wyrzuceni z mieszkania, bez środków do życia.

Matka zmarła miesiąc po śmierci ojca. Ze zgryzoty, z biedy, ale przede wszystkim na zapalenie płuc. Mój brat trafił do domu dla żydowskich sierot i nie wiem, jakie były jego dalsze losy, ale jakie mogły być...?

Ja zaś nie dałem się zamknąć do sierocińca. Uciekłem. Żyłem na ulicy, sypiałem byle gdzie, żebrałem. Nie spałem w ciepłym łóżku w mieszkaniu Jakubowym. Nie zaznałem ciepła ciała jego żony Emilii. Wpatrywałem się często w ich okna, nocami, w ich ciemne postaci w jasnych prostokątach okien. Widziałem ją, jak wychodzi na spacery z synami, do ogrodów Saskiego albo Karpińskich, jak zabiera ich na lody, czasem nawet ją śledziłem i rozmyślałem o tym, czy mógłbym ją zabić.

Litani, stary kaszalot, unosił się nade mną cały czas, unosił się nad nami wszystkimi, spokojny, cierpliwy i obojętnie okrutny.

Moje ubrania zamieniły się w łachmany. Jakub nie zabrał mnie nigdy do Zaremby, aby odziać mnie w piękny garnitur. U Zaremby obstalowywał garnitury wyłącznie dla siebie samego.

Nie wyjechałem do Palestyny. Nie służyłem w Palmach ani w Haganie, nie przybrałem nazwiska Inbar, nie miałem synów z Magdą Aszer, nie zostałem generałem, nic się nie wydarzyło, albo w zasadzie wszystko się wydarzyło, ale nie mnie, tylko komuś innemu, ktoś inny miał synów, był generałem, służył, dostawał medale i rany, ja nic, nic, ja tylko nic.

Stojąc przed witryną Metropolu, nie wyczekiwałem Jakuba, stałem tam, bo chciałem po prostu nasycić przynajmniej oczy widokiem jedzenia, parujących flaków na talerzach, soczystych gefilte fisz, chałek, sznycli i śledzi katolików. A kiedy go zobaczyłem, pomyślałem, że to może być moja jedyna szansa. Miałem gorączkę, byłem chory i wiedziałem, że mogę niedługo umrzeć, tak samo jak matka, na zapalenie płuc. Nie chciałem umrzeć, nie pomściwszy ojca, za którego nikt nawet nie odmówił kadiszu,

a ja już nie mogłem, bo wiedziałem, że Boga nie ma, że ojca nie ma i że nie warto słów rzucać w pustkę.

Zaczaiłem się za buickiem. Chciałem zabić Jakuba Szapirę, bandytę i boksera Makabi Warszawa, a udało mi się tylko wbić płytko krótkie ostrze mojego ukradzionego na Kercelaku noża w Jakubowy pośladek.

Jakub wrzasnął, kiedy mój nóż go ukąsił, odwrócił się na pięcie i nieomalże odruchowo trzasnął mnie pięścią w skroń, z całą siłą boksera wagi ciężkiej. Straciłem natychmiast przytomność i jak walnięty młotem, pogrążony już w ciemności poleciałem do tyłu, uderzyłem potylicą o krawężnik, mój mózg zalała krew i umarłem – Mojżesz Bernsztajn lat siedemnaście, wyznania mojżeszowego, urodzony w 1920 roku w Warszawie, syn Nauma Bernsztajna, umarł, uderzywszy potylicą o krawężnik na Tłomackiem, pod barem Metropol, umarł głodny i chory, i samotny, ledwie skaleczywszy tego, który uczynił go sierotą.

Nie poszedł do ostatniej klasy gimnazjum. Nie zdał matury ani egzaminów na studia medyczne na Uniwersytecie imienia Józefa Piłsudskiego. Nie siedział w getcie ławkowym, a potem nie trafił za mury getta gorszego. Nie umarł na tyfus ani w powstaniu, ani z głodu, ani w komorze gazowej. Umarł, bo uderzył potylicą o krawężnik.

Jakub przyklęknął za samochodem, wyszarpnął pistolet i rozglądał się, spodziewając się dalszej części zamachu. Kiedy przez parę minut nic się nie działo, w końcu przyjrzał się chłopcu, który zaatakował go nożem, i rozpoznał mnie i zrozumiał. Dotknął szyi, pulsu nie było, zaklął cicho.

Pamiętał mnie, na zawsze zapamiętał moją twarz.

Schował pistolet, dotknął lekko krwawiącego pośladka i zrozumiał, że musi jechać opatrzyć ranę. Otworzył bagażnik, wrzucił doń leciutkie ciało Mojżesza Bernsztajna, wyciągnął jakieś szmaty, które podłożył sobie na siedzenie kierowcy, by nie zakrwawić tapicerki, wsiadł i przez chwilę rozważał, czy najpierw pojechać do szpitala, czy nad Wisłę.

Wybrał Wisłę, dobrą rzekę. Przez Muranów pojechał w kierunku Dworca Gdańskiego i z Zakroczymskiej wjechał na drogową nitkę mostu przy Cytadeli.

Nad mostem w powietrzu przewalał się leniwie Litani i śpiewał.

Jakub zatrzymał się pośrodku mostu, wysiadł z samochodu, kulejąc i krwawiąc, wyciągnął moje wygłodzone, stygnące ciało z bagażnika, objął mnie, pocałował moje zimne czoło, przerzucił przez barierkę i to, co chwilę wcześniej było Mojżeszem Bernsztajnem, poleciało, uderzyło o powierzchnię wody i pogrążyło się w jej czarnym nurcie. Jakub oparł się o barierkę. Chociaż zraniony płytko, to jednak pośladek pulsował bólem. Jakub zapłakał.

Kaszalot zanurkował ku Wiśle, zanurzył się w jej wodach, śpiewał, zobaczył mnie pieśnią i połknął, i zamieszkałem w jego trzewiach, i Bóg nie kazał kaszalotowi wypluć mnie po trzech dniach, wypluty nie chodziłem przez trzy dni po ulicach Warszawy, wzywając do pokuty, prezydent Starzyński nie zrzucił swoich garniturów ani nie wdział stroju pokutnego, Żydzi i Polacy, biedni i bogaci, kobiety i mężczyźni, dzieci i młodzieńcy, ślepi i widzący, uczciwi i urki nie posypali głów popiołem, nie pościli, ani nie pokutowali.

Dlatego Bóg nie ulitował się nad tym przeklętym miastem.

Jakub zaś płakał.

Jakub patrzył w czarny nurt Wisły, dobrej rzeki. Litani śpiewał.

Krew z przeciętej skóry pośladka spływała po Jakubowej nodze.

Jakub wziął głęboki oddech, pomyślał przez chwilę, że życie, które prowadzi, jest absolutnie nie do zniesienia. Następnie Jakub przypomniał sobie, kim jest.

– Jestem Jakub Szapiro – powiedział głośno w ciemność. Nikt nie odpowiedział.

Pokuśtykał ostrożnie do samochodu, wsiadł i pomyślał, że może jednak starczy na dzisiaj. Pojechał do domu. Nie zostawił auta w garażu Dynasy, zaparkował bezpośrednio pod swoją kamienicą, wlazł po schodach, posykując przy każdym kroku, poprosił Emilię, by wezwała doktora, wziął butelkę wódki i położył się do łóżka.

Wypił pół litra, zanim lekarz dojechał. Kiedy już dojechał, po oględzinach wyraził opinię, że rana jest płytka i czysta i zaraz się zagoi, podśmiewywał się trochę, że tylko miejsce nieprzystojne, po czym ranę oczyścił, zdezynfekował, założył cztery szwy, polecił, żeby szwów nie nadwyrężyć, zainkasował dziesięć złotych i poszedł.

Jakub był wściekły na swoją nieostrożność. Na to, że sprawy mogły już posunąć się do przodu, mógł był już porozmawiać z Kuźnik, gdyby nie to, że stracił na chwilę czujność. Przez jego brak czujności Kum spędzi w Berezie o jedną noc więcej. A kto wie, jak ktoś w jego wieku zniesie beresko-kartuskie udręki?

Wypił drugie pół litra i zapadł w ciężki, alkoholowy sen, myśląc o moim chudym ciele, zanurzającym się w dobrej rzece, o moim ciele w pysku kaszalota, w jego wnętrznościach, moja skóra macerowana biblijnymi sokami trawiennymi, moje wątłe mięśnie, moje wnętrzności stają się wnętrznościami kaszalota, moje ciało z nurtem dobrej rzeki mija Kępę Potocką, Pelcowiznę, Bielany i płynie dalej, dalej od tego przeklętego miasta.

Emilia siadła na łóżku obok Jakuba, głaskała go po włosach, po twardych ramionach i myślała o tym, że ten człowiek w łóżku zabrał sobie całe jej życie i że nie ma żadnej możliwości, by owo życie mogła od niego dostać z powrotem.

Kum też czekał. Stracił poczucie czasu, przestał rachować odliczane pukaniem kwadranse. W celi było zupełnie ciemno, dzień od nocy odróżniał się tylko tym, że w dzień nie miał prawa leżeć na pryczy. I co kwadrans, pukanie. Pukanie. Pukanie.

– Jestem!

Czasem zresztą pukali częściej. Czuł, że w ranę na ramieniu wdaje mu się zakażenie.

– Mam ranę na ramieniu i ropa mi z niej leci – powiedział, gdy strażnik otworzył drzwi, aby wręczyć Kaplicy obiad: chleb i szklankę wody.

– Nie będziesz pierwszy, co tu zdechł, chuju rybi – odparł strażnik, poparł to kopniakiem i trzasnął drzwiami.

Pukanie.

– Jestem…

Wynieśli go po trzech dniach, kiedy przestał odpowiadać i nie odzyskał przytomności nawet po biciu. Na noszach, nagiego, brudnego od własnych odchodów zanieśli do szpitala. Z postrzału na przedramieniu ciekła krew i ropa, ręka była nabrzmiała i rozpalona.

W obozowym szpitalu felczer Bakalarczyk obejrzał przedramię Kuma i uznał, że sprawa przekracza jego skądinąd bardzo ograniczone kompetencje. Polecił przewieźć Kaplicę do szpitala w Kobryniu.

Do Kobrynia było z Berezy 60 kilometrów. Kaplica nie odzyskał przytomności w obozowym lazarecie i nie odzyskał jej, kiedy zapakowano go do zaprzężonej w chudą szkapę chłopskiej linijki, nie odzyskał jej również ani na chwilę podczas długiej podróży przez poleskie błota i wertepy. Przedramię śmierdziało.

W szpitalu w Kobryniu lekarz, tym razem w odróżnieniu od Bakalarczyka prawdziwy, po studiach medycznych, obejrzał ranę Kuma i nie miał wątpliwości, rękę trzeba odjąć.

Zastanawiał się, czy może pozostawić łokieć, ale po dokładnym zbadaniu stanu ręki Kuma uznał, że nie może ryzykować. Do amputacji przystąpił pospiesznie, ze względu na stan chorego, ale sam zabieg wykonał starannie i zgodnie ze sztuką.

Kum odzyskał przytomność po kilku godzinach. Spojrzał na kikut lewej ręki i poczuł się bardzo stary, bardzo słaby, pokonany i pęknięty w środku. Pomyślał o wszystkich swoich zwycięstwach i o zwycięstw tych ofiarach, o ludziach, których ciała spłynęły Wisłą, o ludziach, których ciała spoczęły w nieoznaczonych, nocą kopanych grobach w podwarszawskich lasach, o ludziach, którym trzeba było zgwałcić żonę albo córkę, żeby w końcu zaczęli płacić, pomyślał o ofiarach i po raz pierwszy pomyślał o nich inaczej niż zwykle.

Jan Kaplica cenił tylko tych, którzy wygrywają. Nie miał szacunku dla pokonanych i sam sobie nigdy nie wybaczał słabości. A teraz leżał z gorączką bez ręki i nie był ani trochę zwycięski, i trudno było mu to sobie samemu wybaczyć.

W szpitalnym łóżku leżał tylko dwie doby. Po czterdziestu ośmiu godzinach do kobryńskiego szpitala z hukiem wtargnął bowiem komendant Kamala-Kurhański.

– Słyszałem, że tutaj gdzieś wyleguje się jakiś symulant! – wrzeszczał, aż usłużnie nie wskazano mu łóżka, w którym leżał Kaplica.

Kamali-Kurhańskiemu towarzyszyło dwóch policjantów. Stanęli nad łożem boleści Kuma, za nimi stanął nieśmiały lekarz.

– No popatrz pan, jak symuluję, aż sobie rękę urżnąć dla tej symulacji dałem – powiedział Kum wątłym jeszcze głosem i podniósł ciasno owinięty bandażami kikut.

– Zabrać go – polecił komendant.

– Panie komendancie, on się jeszcze nie kwalifikuje, dopiero dwa dni po amputacji… – próbował protestować doktor.

– Milczeć! – warknął Kamala-Kurhański. – Pójdzie na tydzień do naszego lazaretu, a potem sobie odsłuży, ile trzeba, w karcerze. Oduczy się świńskie ścierwo pyskowania.

– Wszyscy wynocha, zostaje tylko pan komendant – polecił Kum nawykłym do rozkazywania, chociaż słabym głosem i była w tym głosie ciągle taka pewność tego, iż rozkaz zostanie wykonany, że policjanci i lekarz w pierwszym odruchu ruszyli do wyjścia.

– Co ty sobie, gówno ludzkie, wyobrażasz!? – zatrzymał ich rykiem zdumiony Kamala-Kurhański.

– Pan masz ciotkę w Warszawie – wyszeptał Kum. – Na ulicy Rejtana dwa, mieszkanie jeden, parter, z pieskiem, co się wabi Reks. Ciotka zaś wabi się Adelajda. Pan sobie do niej zadzwoń, ale ona nie odbierze, bo ona siedzi związana na krześle i szcza pod siebie jak my tutaj w pańskim, panie komendancie, karcerze. A przy niej siedzi jeden urka, prawdziwy fetniak, i to on ten telefon odbierze.

Kamala-Kurhański gapił się na Kaplicę i milczał, i zbladł. Nie ruszał się ani nie odzywał przez kilka sekund, po czym wybiegł nagle, trzaskając drzwiami sali, w której znajdowało się łóżko Kaplicy.

Tymczasem w Warszawie, w Jakubowym domu na Nalewkach pan tegoż domu wstał bardzo wcześnie, rana już nie dokuczała, wstał z własnego, ciepłego łóżka, we własnym, ciepłym mieszkaniu, gdzie jego własna żona zrobiła mu kawy i usmażyła jajka sadzone. Obejrzał swój nacięty kozikiem tyłek w lustrze i z zadowoleniem stwierdził, że goi się świetnie, rana się nie paprze, nie ma ropy.

Potem przypomniał sobie, przypomniałem sobie, moje chude ciało uderzające w czarną powierzchnię wody dobrej rzeki.

Golił się, patrzył sobie w twarz i szukał w niej śladu po tych wszystkich zabitych ludziach. Nie znalazł. Tylko młody Mojsze Bernsztajn coś w nim

zostawił, jakiś ślad. Jak lekkie było jego ciało, kiedy przerzucał je przez barierki mostu. Może z czterdzieści kilogramów. Jak lekkie, skóra i kości same.

Zostawił sobie pod nosem wąsik, podgolony od góry czarny pasek nad wargą. Uznał, że tak będzie lepiej.

– Wąs? – zapytała Emilia, gdy siadł do śniadania.

– Chuj z wąsem – mruknął pod nosem.

Uśmiechnęli się oboje.

– Co tata powiedział? – zapytał Dawid.

– Nieważne, syneczku. Jakub, mam kupca na kamienicę.

– Ile daje?

– Osiemdziesiąt tysięcy.

– Niech da dwadzieścia tysięcy dolarów i kamienica jego. Ale wyprowadzamy się dopiero, jak będziemy wyjeżdżać. Załatwisz to?

– On nie będzie chciał ze mną rozmawiać. Ty tu jesteś dla niego partnerem do tej rozmowy, nie kobieta.

– Kamienica zapisana jest na ciebie. Powiedz mu, że jesteś żoną Jakuba Szapiry i że naprawdę woli rozmawiać z tobą, nie ze mną. Bo ze mną będzie inna rozmowa.

Uśmiechnęła się znowu.

– Załatwię to jutro – powiedziała, wdzięczna za to.

– Ja nie chcę wyjeżdżać – szepnął Daniel, ale rodzice nie zwracali nań uwagi.

– Ale potem będziesz musiał podpisać wszystko. Jakieś weksle, nie wiem, nie znam się.

– Podpiszę. Pilnuj tych dwudziestu tysięcy z kamienicy. To będzie nasza przyszłość. Ja mam swoich odłożone jeszcze pięćdziesiąt. Za siedemdziesiąt tysięcy dolarów urządzimy się nawet w Palestynie. Wygodnie się urządzimy.

Ktoś zapukał do drzwi, kodem, który mieli od dawna ustalony dla najbliższych. Cztery uderzenia, przerwa, dwa, przerwa, trzy. Emilia otworzyła, na klatce stał Moryc.

– Zjesz z nami? – zapytała.

– Pierdolić to – powiedział, siadając do stołu z całą rodziną Szapirów.

– Moryc! Dzieci! – syknęła Emilia.

– Co pierdolić? – zapytał Jakub. Emilia tylko przewróciła oczami.

– Wszystko. Pierdolić. Nie chcę kończyć studiów. Podobno ten zamach to już pewne. Jak im się uda, to może być jak w Niemczech.

– Jesteś pewien?

– Tak, mamy informatorów w rządzie.

– Kogo?

– Zgłupiałeś? – roześmiał się Moryc. – Niby czemu miałbym ci mówić?

– Bo wyjeżdżamy.

– Więc to nie ma znaczenia. Wyjeżdżajmy jak najszybciej.

– Wyjechać trzeba i tak. Zamach czy nie.

– Tak jest. Dostałem odpowiedź z Palestyny. Zorganizują nam miejsca na statku z Salonik do Jaffy.

– Wiem, mówiłeś na lotnisku. Ale ja się wypytałem o to i podobno można samolotem polecieć od razu do Palestyny, do Lyddy. Da się kupić taki bilet. Od nas lecisz na Lwów, potem Czerniowce, Bukareszt, Sofia, Saloniki, Ateny i już Lydda. Jakieś dziesięć, dwanaście godzin z międzylądowaniami i jesteśmy w Palestynie.

– Mogą być problemy z zalegalizowaniem się na miejscu. Kontrola paszportowa i tak dalej. Pewnie dlatego organizacja proponuje z Salonik popłynąć statkiem. A ile kosztuje taki bilet?

– Tysiąc czterysta.

Moryc gwizdnął przez zęby.

– Nie mam tyle. Nie mam nawet połowy, nawet jednej czwartej nie mam tego, co byłoby potrzebne na bilet dla mnie i dla Zosi.

– Weźmiesz ode mnie.

Ideowy syjonista musiał się zastanowić chwilę, czy weźmie pieniądze od bandyty, nawet jeśli ten bandyta jest jego bratem. Więc chwilę się zastanowił i postanowił, że weźmie, chociaż wiedział to tak samo dobrze, jeszcze zanim się zastanowił.

– Na bilet do Palestyny mogę od ciebie wziąć. Emilia wczoraj mówiła, że macie kupca na kamienicę?

Jakub skinął głową, następnie wstał, bez słowa wyszedł z kuchni, poszedł do salonu, wrócił po chwili. Podał Morycowi plik banknotów.

– Tu jest dziesięć tysięcy. Wystarczy na bilety dla wszystkich i jakieś dodatkowe koszta. Załatw to.

– Na kiedy kupić?

– Jak najszybciej.

Moryc schował pieniądze do kieszeni. Pomyślał, że nigdy w życiu nie miał w ręku nawet jednej dziesiątej takiej sumy w gotówce, i zdziwił się, że myśl ta nie robi na nim szczególnego wrażenia. Zjadł jajka, kromkę chleba z masłem popił kawą i poszedł.

Wsiadł do tramwaju linii A, pojechał na Okęcie i kupił sześć biletów lotniczych do Salonik na 21 października. Mógł je równie dobrze kupić w Śródmieściu, ale uświadomiła mu to dopiero kasjerka na lotnisku.

Jakub dopił swoją kawę, założył krawat i marynarkę, wyszedł, wsiadł do auta, długo moszcząc na fotelu bolący pośladek, i pojechał do Madame de Potocki.

Mieszkała na Woli, przy torach, w domu nauczycielskim przy gmachu szkół powszechnych, na rogu Bema i Siedmiogrodzkiej. Oczywiście dyrekcja szkoły, w której od września zajmowała się nauczaniem początkowym, nie wiedziała o jej głównym zajęciu. Stróż w domu nauczycielskim szybko się połapał i został sowicie opłacony z obietnicą płatności comiesięcznych. Wytworni goście na klatkach schodowych czteropiętrowej, nauczycielskiej kamienicy nie wzbudzali żadnych podejrzeń, zaś drzwi i ściany gabinetu Madame de Potocki zostały obite grubą warstwą wyciszającej tapicerki, tak że wrzaski chłostanych pozostawały tam, gdzie pozostać powinny.

Musiał zadzwonić trzy razy, zanim otworzyła, a w zasadzie uchyliła blokowane łańcuszkiem drzwi. Poznała go od razu.

– Przecież diengi dopiero ostatniego dnia miesiąca – powiedziała z wyraźnym rosyjskim akcentem, nie otwierając drzwi, a powitania uznając za zbędne.

Kiedy wcielała się w rolę de Potocki, mówiła świetną polszczyzną, po rosyjsku lub po francusku, jak sobie klient życzył, ale jako Aniela Kuźnik mówiła jak Aniela Kuźnik, trochę po knajacku i z rosyjskim akcentem.

– Ja nie po pieniądze. Raczej z propozycją. Wpuść mnie.

– U mnie frajer jest.

– Poczekam.

Zastanowiła się chwilę, po czym odryglowała łańcuszek. Wskazała mu krzesło. Była niezwykle postawna, wzrostu Jakubowego i niewiele odeń szczuplejsza, w jedwabnym, wzorzystym szlafroku, który spowijał jej obfite ciało tak ściśle, że wyglądała jak wielki, tapicerowany mebel w stylu Ludwika Filipa. Na nogach miała jednak pończochy i eleganckie buciki.

– Musisz poczekać, chwilę to jeszcze potrwa.

Usiadł, syknął z bólu.

Madame de Potocki przyjrzała mu się uważnie.

– Ale chyba nie na seans ty żeś przyszedł, prawda?

– Na seans…? – nie zrozumiał.

– No, ty rzopsko masz obite? I ty chcesz więcej? Ktoś reklamował? Żena u ciebie nie chce chłostać?

– Ja…? – nie rozumiał przez chwilę. – A, nie, to nie tak, chłopak mnie nożem dziabnął – uśmiechnął się.

– Chłopak? Nożem? – zdziwiła się jeszcze bardziej.

– Nie! To znaczy tak, ale nie, na ulicy, napadł…!

– Nieważne, żena, chłopak. Mnie to jedno. – Machnęła ręką. – Zaczekaj tu.

Zrzuciła szlafrok. Pod spodem miała gorset, sznur pereł i pas do pończoch i nic więcej. W tym rynsztunku nie wyglądała już jak mebel. Wróciła do swojego gabinetu, zamknęła za sobą drzwi. Nawet przez tapicerowane drzwi słychać było uderzenia i wrzaski. Po kwadransie drzwi się otwarły i wyszedł z nich kompletnie ubrany, zażywny starszy pan, udał, że nie zauważa Jakuba, bez słowa ukłonił się Madame i wyszedł.

Madame de Potocki owinęła się szlafrokiem, skopała z nóg eleganckie pantofle, zamieniając je na miękkie kapcie, i już jako Aniela Kuźnik zaprosiła Jakuba do kuchni, posadziła przy stole. Przygotowała tulski

samowar: wygarnęła żar z kuchennego pieca i włożyła do ogrzewającego wodę wkładu. Esencję do herbaty miała już zaparzoną w górnym czajniczku samowara.

– No, to co to masz za propozycję, maładiec? – zapytała w końcu po dłuższej chwili, napełniając wrzątkiem z samowara szklanki z cienkiego szkła.

– Przychodzi do ciebie prokurator Ziembiński, prawda?

Nie odpowiedziała. Milczała, delikatnie dotykała szklanki z gorącą herbatą, ale nie piła, patrzyła nań oczami jak z żelaza. Zrozumiał.

– Ja wiem, że nie chcesz mówić.

– Moi klienci to są potężni, ważni ludzie. Płacą mi duże diengi. Płacą za to, żeby ja ich lała po wypiętym tyłku, ale też za to płacą, żeby ja trzymała gębę na kłódkę.

– Potrzebuję mu zrobić fotografie. Jak się nim tu zajmujesz. Zapłacę, dobrze zapłacę.

– Na ładną trumnę starczy?

Milczał chwilę. Zastanawiał się.

– Muszę coś mieć na niego. Inaczej nie dostanę się do premiera. Muszę się dostać do premiera. Kum nie przeżyje Berezy. Za stary jest.

– I niby dlaczego ja miałaby tobie pomagać? Czy mnie Kum pomógł kiedy? Albo ty?

– Będziemy ci winni.

– A jak ja sobie ten dług odbiorę, jak oni mnie zabiją?

– Nie zabiją. Nikt mu nie pomoże. Musi być coś, czego chcesz. Czego ci potrzeba. Dam ci to.

– Słodzisz?

Pokręcił głową. Wsypała trzy łyżeczki do swojej herbaty, mieszała starannie, elegancko, nie dzwoniąc o szklankę.

– Jest coś, czego ja chcę. Chcę, żeby Marysia mnie kochała. A Marysia mnie kochała, póki ja płaciła. A ja była głupia i chciała sprawdzić, czy ona kocha mnie, czy moje diengi. I ja sprawdziła, bo ja głupia. I się okazało, że nie mnie kocha, tylko diengi. Ja sprawdziła, to i wiem. A ja ją kocham. I ja

by chciała, żeby mnie Marysia kochała. Możesz mi to dać, panie Jakub? Masz to dla mnie? – zapytała.

– To najbardziej poszukiwany towar tego świata – odpowiedział.

– Ano tak.

– Ja Kuma wyciągnę z Berezy tak czy inaczej. Ale wtedy będziemy pamiętać, że odmówiłaś nam pomocy. Nie chcesz, żebyśmy tak cię pamiętali.

– Słuchaj pan, panie Jakub. Mnie liże buty minister, jednego komisarza policji chłoszczę ja po tyłku, drugiemu ja szczam do mordy, ty myślisz, że oni nie zrobią, co ja każę? Jak ja im obiecam, że pozwolę się po dupie pocałować?

– Niepotrzebna ci wojna z nami.

– Zaryzykuję. Bo mnie z nimi wojna potrzebna jeszcze mniej.

Jakub podziwiał Anielę Kuźnik. Nie mówił już nic więcej. Dopił herbatę, wstał, wziął kapelusz z wieszaka, wyszedł bez pożegnania. Zapukał do drzwi mieszkania dozorcy na parterze. Zapytał, gdzie tu jest najbliższy telefon, dozorca wskazał rozmównicę w bramie, którą Jakub wcześniej przeoczył.

– Świetnie – powiedział. – Ile zarabiasz, dobry człowieku?

– Dwadzieścia pięć złotych tygodniowo, panie szanowny, i z napiwków, ile to będzie – odpowiedział skwapliwie stróż, przeczuwając zarobek.

Jakub wyciągnął z kieszeni gruby zwitek banknotów, odliczył pięć setek. Dozorca rozpromienił się chciwością.

– Do pani de Potocki przychodzi pewien człowiek.

– Wielu przychodzi.

– Nazwisko Ziembiński.

– Panie, ja nie jestem głupi. Nikogo o nazwisko nie pytam.

– Prokurator.

– Na czole napisane nie ma.

– Wysoki, siwy, szczupły, z wąsem. Prawdziwy pan.

Pierwszą cnotą dozorcy jest pamięć do twarzy. Drugą zdolność ich zapominania. Trzecią łatwość powracania do tego, co zapomniane, kiedy banknot zmienia właściciela.

– Jest taki.

– Na ile do Potockiej przychodzi?

– Na jakieś dwie godziny zawsze.

Jakub wcisnął mu w rękę pozostałe setki, myśląc o tym, jak topnieje odkładany na wyjazd zapas.

– Będzie drugie tyle, jak zadzwonisz od razu po tym, jak wejdzie do Potockiej. Tu jest numer. Poprosisz panią Ryfkę, powiesz, że przyjechała dostawa wieprzowiny.

– Panie kochany, zrobi się, ale jakiej Ryfce wieprzowina…?

– Niewierzącej.

Dozorca dotknął daszka czapki dwoma palcami, wojskowym gestem.

– Tak jest, panie szefie.

Jakub westchnął, wyszedł, wsiadł do auta i pojechał do Ryfki.

– Wąs…? – zapytała, gdy wszedł do jej salonu.

– Chuj z wąsem – odparł ponuro.

– Chuj – zgodziła się. – Chcesz jakąś dziewczynę?

– Żadnej nie chcę. – Machnął ręką.

Ryfka pomyślała o Annie i posmutniała, podejrzewając, że chwilowo Jakub chce tylko tej Polki.

– Wódki…?

– Daj.

Wypił, ale niewiele, trzy mikadki tylko. Zatelefonował do domu, poprosił Emilię o przesłanie bielizny na zmianę, Ryfka wysłuchała tego z przykrością i w żaden sposób tej przykrości nie okazała, była na okazywanie przykrości zbyt mądra i zbyt zmęczona. Drugi telefon Jakub wykonał do Pantaleona i Pantaleon rychło się pojawił.

Później pojawiły się dziewczęta, pianista, klienci, wszyscy, zwykła codzienność przybytku Ryfki Kij.

– Co teraz? – zapytała Ryfka.

– Czekamy.

Więc czekali.

Czekali dwa dni, ale w końcu zadzwonił, zadzwonił, kiedy Kum przebywał jeszcze w ciemnościach bereskiego karceru, a ich pożerały jednocześnie nuda i niepokój. Ale w końcu dozorca z domu nauczycielskiego przy Bema ujrzał, co miał ujrzeć, podniósł słuchawkę w rozmównicy i zadzwonił pod numer, który podał mu Jakub.

– Przyszli we dwóch, Ziembiński i jakiś łysol. Właśnie wchodzą po schodach – szepnął w słuchawkę, kiedy Ryfka przekazała telefon Szapirze.

Jakub i Pantaleon cały czas czekali w pogotowiu u Ryfki, nie pijąc nawet zbyt dużo. Kiedy dozorca się odezwał, Szapiro zadzwonił do Emilii i poprosił ją, by natychmiast się spakowała, wzięła chłopców i pieniądze ze sprzedaży kamienicy i pojechała do Francuskiego, małego hoteliku przy Marszałkowskiej 112. W tej samej kamienicy jest kino Stylowy, może zabierać chłopców nawet na trzy seanse dziennie, niech im powie, że to wakacje, w każdym razie mają tam zostać do odwołania i nie wychylać nosa na ulicę.

Emilia nie protestowała. Emilia nigdy nie protestowała. W mieszkaniu mieli na takie okazje przygotowany specjalny fundusz, którego Jakub nie ruszał nigdy, pięć tysięcy złotych i tysiąc dolarów, dwudziestu tysięcy dolarów z kamienicy nie musiała na tę okazję uszczuplać, spakowała więc siebie i chłopców w kwadrans, wzięła pieniądze, kilka książek dla siebie i kilka dla chłopców i pojechała taksówką do Francuskiego, gdzie zameldowała się pod fałszywym nazwiskiem i na fałszywy dowód tożsamości. Recepcjonista patrzył na nią podejrzliwym wzrokiem, ale wytrzymała to spojrzenie, wytrzymała bez trudu, czuła za sobą siłę Jakuba.

Emilia wygląd miała zupełnie aryjski, więc w fałszywym dowodzie osobistym figurowało polskie nazwisko Marii Anny Szczerbickiej, wyznania rzymskokatolickiego. Jakub miał taki sam, na nazwisko Piotr Szczerbicki, nie używał go jednak nigdy, był zbyt dumny z bycia Jakubem Szapirą, by kiedykolwiek udawać kogoś pozbawionego sławy i nazwiska, na dodatek jeszcze Polaka.

W pokoju dała złotówkę chłopcu, który wniósł jej spartański bagaż, posadziła trochę przestraszonych chłopców na fotelach, dała im książeczki, usiadła na łóżku i przez chwilę próbowała odpowiedzieć sobie na pytanie o początek długiego łańcucha wydarzeń, który ją do tego pokoju

sprowadził. Kiedy to się zaczęło? Dlaczego? Dlaczego godziła się na każde jego kolejne ogniwo? Dlaczego nie odeszła od niego? Nie zabrała chłopców?

Nie odchodzi się od Jakuba Szapiry, powiedziała do siebie w duchu i nie umiała w to uwierzyć.

Wstała, przytuliła mocno chłopców, zdziwionych tą niespodziewaną pieszczotą. Starała się nie płakać, jednak się rozpłakała, bezgłośnym płaczem.

– Też nie chcesz jechać do Palestyny, mamo? Dlatego płaczesz? – zapytał Daniel.

– Nie płaczę – odparła.

Pantaleon i Jakub zabrali ze sobą zwykłą broń, a dodatkowo jeszcze obrzyn Karpińskiego, aparat fotograficzny i dwa potężne łomy. Wrzucili wszystko do bagażnika. Pantaleon wsiadł od strony pasażera, a Jakub stał chwilę nad otwartym bagażnikiem i rozmyślał, po czym zamknął klapę i uznał, że nie chciałby innego życia, nie nadaje się do innego życia.

A potem pomyślał o Palestynie. Czy będzie tam musiał zarabiać na życie? Czy będą mu płacić za ganianie z rewolwerem i strzelanie do tych, do których akurat tam należy strzelać?

W Palestynie nie ma Anny. Zaskoczył sam siebie tą myślą. W Palestynie nie ma Anny, w Palestynie jest nowe życie, będzie Emilia i mnóstwo innych kobiet, ale nie ma Anny.

Nie wierzył we własne myśli, a jednak pomyślał o tym.

Wsiadł za kierownicę, zapalił papierosa i pojechali na Wolę, na Bema, pod dom nauczycielski.

Dozorca czekał na ulicy. Nie na Jakuba, oczywiście, tylko na obiecane pięćset złotych. Dostał.

– A jakby się jeszcze stówka znalazła, to melduję posłusznie, że ja mam klucze do wszystkich mieszkań, panie szefie – powiedział, chowając pieniądze do kieszeni.

Stówka się znalazła, łomy zostały w bagażniku, Pantaleon z Szapirą stanęli przed drzwiami mieszkania Madame de Potocki z kompletem kluczy. Jakub otworzył drzwi najciszej jak się dało, weszli do środka, wyciągnęli broń z kieszeni.

Jakub wskazał tapicerowane drzwi do gabinetu Madame. Odliczył na palcach do trzech, pchnęli drzwi i wpadli do środka.

W środku klęczał pan prokurator Jerzy Ziembiński. Był nagi, nadgarstki miał przywiązane do kostek, oczy zasłonięte przepaską. Między udami prokuratora Ziembińskiego znajdowała się głowa redaktora Sokolińskiego, zaś miękki penis prokuratora Ziembińskiego znajdował się w ustach redaktora.

Redaktor również był nagi i związany jak baleron, cienkim sznurkiem, z rękami wzdłuż tłustawego, miękkiego ciała.

Madame de Potocki w pończochach i gorsecie, z trzcinką w dłoni, siedziała na krześle przypominającym krzesła kurulne, na nożycowych nóżkach niczym dwie litery „u", ułożone w „x".

– Co się dzieje? – zapytał przestraszony prokurator Ziembiński, gdy usłyszał, że ktoś wszedł do gabinetu.

– Dzień dobry – powiedział Szapiro. – Proszę się nie ruszać.

– O kurwa – powiedział redaktor Sokoliński, wypuszczając z ust penis prokuratora Ziembińskiego.

– Sodoma z Gomorą. Ohyda i sromota. Bóg na was patrzy! Czy wy wstydu nie macie? – zajęczał Pantaleon.

Potocka milczała. Była zbyt mądra, by krzyczeć albo protestować.

– Pantaleon, zdejmij mu to z oczu.

– Kiedy się brzydzę, panie Jakubie – odpowiedział Karpiński.

Szapiro wyjął z kieszeni nóż, otworzył, przeciął opaskę na głowie prokuratora.

– Dwie pieczenie na jednym ogniu, panie Jakubie – powiedział olbrzym. – Ale na to jednak aż patrzeć ciężko, jacy ludzie są obrzydliwi.

– Prawda? Wspaniale. Panowie się teraz nie ruszają – ucieszył się Szapiro i otworzył futerał aparatu fotograficznego marki Leica, model D. – Nie spodziewałem się aż tak dobrego materiału. Madame, proszę procedować z panami według zwykłej rutyny, my to tylko udokumentujemy.

Sokoliński, Potocka i Ziembiński milczeli. Ziembińskiemu przez myśl przechodziły różnego rodzaju groźby, ale żadnej nie dało się

przekonywająco wygłosić, kiedy klęczy się nago z nadgarstkami przywiązanymi do kostek.

Potocka się wahała.

– Nie rób tego – warknął Ziembiński bezsilnie.

Madame wstała, strzeliła go w twarz.

– Zgnijesz w pierdlu – powiedział prokurator.

Trzcinka Madame poszła w ruch, Ziembiński zaskowyczał.

– Ja nie mogę na to patrzeć, panie Jakubie – powiedział żałośnie Pantaleon. – Tak nie powinno być, chrześcijanin tego nie powinien oglądać, żeby kobita chłopa biła, nawet skurwysyna faszystę, nawet takiego, co nie dość, że faszysta, to jeszcze prokurator. A nawet żurnalistę, żeby biła, nie wypada, chociaż żurnalisty to najgorsza swołocz tej ziemi, kurwom pantofli czyścić niegodna. A jednak nie wypada. Tak być nie powinno, nie taki jest świata porządek, panie Jakubie.

Mówił i czuł, jak porusza się twarz diabła brata, usłyszał, jak szepcze mu wewnątrz czaszki. Zabij ją zabij. Zgwałć ją zgwałć. Zabij ją zabij.

Ukarał diabła brata za te słowa.

– Nie musisz na to patrzeć. Zaczekaj za drzwiami – odpowiedział Szapiro.

Zaczekał. Jakubowi wystarczył kwadrans. Madame procedowała, prokurator i redaktor robili, co do nich w tej sytuacji należało, Szapiro zaś fotografował i nie mógł się nadziwić inwencji Madame de Potocki. Bardzo starannie dobierał też kadry, tak by wyszło dużo fotografii, na których panowie, Ziembiński i Sokoliński, występują osobno, aby zapewnić sobie możliwość realizacji jednego szantażu bez palenia drugiego.

– Zrobię dziesięć odbitek z każdego – powiedział Jakub, kiedy skończyli. – I ukryję w różnych miejscach. A teraz pani zabierze pana redaktora i wyjdzie stąd, bo ja muszę sobie porozmawiać z panem prokuratorem.

Uchylił drzwi, zawołał Karpińskiego.

– Pilnuj ich, nie wypuszczaj na razie.

Wrócił do gabinetu. Posiniaczony i związany Ziembiński leżał na podłodze.

– Lepiej mnie zastrzel w tej chwili, bo całą resztę mojego życia zamierzam poświęcić na to, żeby cię wykończyć, parchu – wysapał Ziembiński.

Jakub przypomniał sobie życzenie Anny.

– Wiesz, jak cię tu znalazłem?

Ziembiński nie odpowiedział.

– Anna mi powiedziała.

– Jaka Anna, Żydzie?

– Twoja córka. Powiedziała mi, że tu chodzisz. Dorobiła sobie klucz do twojego gabinetu, widziała zdjęcia. Wie o tobie, pederasto.

– Nie jestem pederastą… – warknął Ziembiński.

– Nie wiem, jaka jest szanownego pana definicja pederasty, ale ja nie dalej jak kwadrans temu widziałem pańskiego chuja w ustach tego pismaka, panie szanowny, więc może pozostańmy przy faktach.

– Czego chcesz?

– Wprowadzisz mnie pan do premiera. Jutro.

– Po co?

– Chuj ci do tego.

– Jutro nie da rady.

– To szkoda, bo ja już jutro będę miał odbitki – wysyczał Jakub. – I jak pan mnie do tego zmusisz, to zadbam, by te fotografie zobaczył każdy polityk, każdy dziennikarz, każdy sędzia i adwokat w Warszawie. Teraz poczekacie tutaj z Pantaleonem, ja zajmę się wywołaniem fotografii i zrobieniem odbitek, jak wszystko będzie gotowe i bezpieczne, to dam znać. Jak cokolwiek mi się stanie, to fotografie zostaną rozesłane, to jasne chyba? Jasne?!

– Jasne – odburknął w końcu Ziembiński.

– Masz broń przy sobie?

– W kieszeni spodni.

Szapiro obmacał garnitur Ziembińskiego, starannie odwieszony w gabinecie, znalazł małą, niklowaną szóstkę, wyciągnął z niej magazynek, z magazynka wyłuskał naboje, wrzucił sobie do kieszeni, broń odłożył z powrotem. W kieszeni marynarki znalazł pugilares, w nim kilka

złożonych na troje kartek papieru kancelaryjnego. Rozłożył, spojrzał. Na kartkach znajdowała się wypisana przez maszynową kalkę długa lista nazwisk, z komentarzami przy każdej. Niektóre były skreślone, przy innych dopisano parę słów ołówkiem. Jakub schował listę do kieszeni.

– Jutro rano przyjadę tutaj, pan bierz się do telefonu i ustawiaj spotkanie, bo prosto stąd pojedziemy do premiera.

– A jeśli odmówi mi przyjęcia?

– Już pańska w tym głowa, żeby nie odmówił. Załatw pan to. Interesuje mnie tylko jeden rezultat.

Wyszedł z gabinetu.

– Z panem redaktorem pogadamy sobie w przyszłości – zapowiedział wesoło Sokolińskiemu, który zgnębiony siedział na podłodze, już odziany.

– A co ze mną, Szapiro? – zapytała Aniela Kuźnik, otulona jedwabnym szlafrokiem.

– Nic ci nie zrobią.

– Zrobią. Nawet jeśli nie teraz, to on tego nie zapomni. I wróci do mnie, kiedy ciebie to już przestanie obchodzić. A przestanie.

Jakub wiedział, że ma rację. Zastanowił się, czy może jakoś jej pomóc i po chwili uznał, że nie. Wzruszył ramionami. To już nie będzie jego sprawa.

Kuźnik pokiwała głową.

– Wszyscy jesteście tacy sami. Wszyscy – powiedziała.

– Wszyscy ludzie są tacy sami, droga pani. Takimi nas Pan Bóg stworzył – odparł Pantaleon. – Nie ma dobrych ludzi. Są sami źli. Wszyscy są źli. Pani też jest bardzo zła.

Kuźnik patrzyła na Pantaleona z nienawiścią.

– Przytrzymaj tu wesołą gromadkę przez noc – polecił mu Jakub i wyszedł.

Padało. Wystawił twarz na deszcz.

– Nienawidzę tego miasta. Nienawidzę tego kraju – powiedział głośno.

Wsiadł do auta.

Palestyna, pomyślał. Trzeba jechać do Palestyny. Tam wszystko będzie inaczej. Nienawidzę Polski. Trzeba jechać do Palestyny.

Na razie pojechał jednak tylko do zaprzyjaźnionego zakładu fotograficznego na Nalewkach. Zostawił małoobrazkową kliszę, zapłacił sto złotych za wywołanie, dziesięć odbitek każdej fotografii, i dyskrecję, pojechał na Leszno do paszteciarni zjeść obiad, zamiast obiadu jednak wypił butelkę wódki.

Palestyna. Trzeba jechać do Palestyny.

„Anna", pomyślał, siedząc przy stoliku.

– Muszę ją zobaczyć – powiedział.

– Ale kogo, szanowny panie Jakubie? – zapytał usłużnie Sobenski.

– Masz kokainę?

Sobenski przyniósł ją natychmiast. Jakub zażył, nie podziękował, bo nie musiał nikomu dziękować za nic, wziął zawiniątko ze sobą, przepił kawą i ostatnią mikadką wódki, włożył palto i wyszedł, wsiadł do samochodu i bez chwili zastanowienia po prostu pojechał do Anny na Żoliborz, pijany i podniecony narkotykiem.

Musiał ją zobaczyć.

ז

ZAJN

Pułkownik Adam Koc w tym samym momencie w rządowym cadillacu przejechał przez Wisłę mostem obok Cytadeli, następnie zjechał w Modlińską i do Golędzinowa, do koszar Oddziałów Rezerwy Policji Państwowej w dawnym Forcie Śliwickiego. W czasach tak niespokojnych jednostka ta była oczkiem w głowie premiera Sławoja Składkowskiego, który osobiście doglądał jej organizacji, ćwiczeń i wyposażenia, słusznie zakładając, że przemoc jest najbardziej niezawodną metodą wygaszania społecznych niepokojów.

Na dziedzińcu fortu odbywały się ćwiczenia.

Jednak to nie policjanci ćwiczyli. Na dziedzińcu, owszem, było dziesięciu policjantów w granatowych mundurach, którzy jednak występowali teraz jako instruktorzy. Do ćwiczeń zabierało się stu kilkudziesięciu młodzieńców i mężczyzn w średnim wieku w wysokich butach, ciemnych bryczesach i jasnych bluzach mundurowych spiętych koalicyjkami. Falangiści, pod wodzą Andrzeja Ziembińskiego. Niektórzy, w tym Ziembiński, przy pasach na lewym biodrze mieli kabury.

Zaczęli od zwykłej gimnastyki, wymachy nóg, przysiady, padnij-powstań, skłony. Ćwiczyli zawzięcie, bez szemrania.

Koc wysiadł z samochodu, podbiegł do niego natychmiast policjant z trzema komisarskimi gwiazdkami na naramiennikach, zasalutował i z całą nieszczerością służbisty wyraził wdzięczność, że pan pułkownik zechciał zaszczycić ćwiczących swoją obecnością. Koc kazał kontynuować.

Po gimnastyce policjanci podzielili ochotników z Falangi na dziesięć grup po kilkunastu w każdej i każdy zastęp po kolei udał się do zbrojowni

w koszarach po broń. Przynieśli karabiny, rewolwery i pistolety maszynowe, rozłożyli je na przygotowanych uprzednio stołach, następnie rozstawili tarcze przy wale ziemnym, pełniącym funkcję kulochwytu.

Policjanci zajęli się teorią. Zaprezentowali najpierw działanie karabinów systemu Mannlichera, które od znanych falangistom mosinów i mauzerów różniły się tym, że zamka się w nich nie obraca, a tylko po prostu ciągnie w tył i pcha w przód, aby nabić broń. Instruktor objaśnił, jak ładować broń, jak rozładowywać, krótko zaprezentował teorię celowania, następnie przeszedł do rewolweru systemu Naganta, ładowanie, rozładowywanie, pozycja strzelecka; na koniec przyszedł czas na pistolety maszynowe.

Najpierw systemu Suomi, kaliber 9 milimetrów, z bębnowym magazynkiem, potem systemu Thompson, amerykański, na tłustą, amerykańską amunicję .45, grubszą od niemieckiej o dwa i pół milimetra. Teoria, a więc rozkładanie i składanie, ładowanie, pozycja strzelecka, celowanie i tak dalej.

Pistolety maszynowe szczególnie zainteresowały pułkownika Koca, nawet nie sama broń, co raczej doktryna ich użycia przy tłumieniu ulicznych demonstracji, bo też w tym celu zostały zakupione. Wypytywał komisarza służbistę o doświadczenia z tłumienia manifestacji, a policjant nie mógł się broni maszynowej nachwalić.

– Po pierwsze, wielmożny panie pułkowniku, pociski karabinowe są zbyt mocno penetrującymi. Do manifestacji strzela się zwykle na dystansach między sto a pięćdziesiąt metrów, pociski często przebijają na wylot, niebezpieczne rykoszety… Tutaj amunicja pistoletowa, na dystansach ulicznych jak najbardziej adekwatna… Jak pan wie, bo na pewno czytał pan w książce pułkownika Roweckiego o walkach ulicznych, pierwsza salwa zawsze musi być w tłum, dopiero druga w powietrze, a i psychologiczny efekt ognia seryjnego z kilku luf jest o wiele większy niż jednej salwy całej nawet kompanii.

Do Koca podszedł Andrzej Ziembiński w falangistowskim mundurze, z thompsonem w ręku.

– Panie pułkowniku, tutaj ze strony panów policjantów jest jakiś opór, a ja bardzo bym zachęcał do wydania naszym grupom…

Koc podniósł palec do ust. Tajemnica! Ziembiński zmitygował się, zamilkł, odeszli we dwójkę, odsunęli się od pozostałych uczestników ćwiczeń.

– Proszę wybaczyć, nie jestem nawykły… – tłumaczył się Ziembiński. – Panowie policjanci niechętnie mówią o wydaniu nam tych pistoletów maszynowych, mają ich tutaj na miejscu pięćdziesiąt sztuk, bardzo bym zachęcał do wydania nam po jednym na najważniejsze grupy uderzeniowe, te, które skierujemy w miejsca, gdzie możemy spodziewać się oporu.

– Załatwimy to.

Ziembiński zasalutował i od razu poczuł pewną niestosowność tego wojskowego salutu w obliczu pułkownikowskiego munduru Koca i jego piersi obwieszonej orderami. Pułkownik nie dał po sobie poznać, by w jakimkolwiek stopniu go to oburzyło. Ale oczywiście oburzyło.

Zaczęło się strzelanie. Falangiści potrafili posługiwać się karabinem i rewolwerem, wprawiali się więc chętnie. Następnie policjanci zarządzili szkolenie o charakterze taktycznym. Strzelanie w ruchu, posługiwanie się bagnetem, strzelanie zza zasłony.

Pułkownik Koc uznał, że wszystko przebiega zgodnie z planem. Falangistom mogło brakować doświadczenia, brak ten jednak nadrabiali ideologiczną żarliwością, oddaniem sprawie i agresją. Bardzo się to pułkownikowi podobało. Wcześniej był na ćwiczeniach wybranych do zamachu oficerów, których tymczasowo zakwaterowano w koszarach 21 pułku piechoty „Dzieci Warszawy", tego samego, w którym siedemnaście lat wcześniej Jakub Szapiro walczył z bolszewikami. Zaufani, ideowi podporucznicy i porucznicy dowodzeni przez zaufanych, ideowych kapitanów zgrywali się w uderzeniowe trójki, zaufani, ideowi majorzy tkali złożony system zarządzania tym organizmem, stworzonym w jednym celu, do projekcji siły na te elity Rzeczpospolitej, które działają na jej szkodę. Dla oczyszczenia Polski. Dla Wielkiej Polski.

Falangiści dźgali bagnetami wypchane słomą manekiny, dziurawili tarcze seriami z policyjnych suomi i thompsonów.

– Oto nowa Polska się rodzi, sierżancie – powiedział do swego kierowcy, kiedy wsiadł już do cadillaca.

– Tak jest, panie pułkowniku – odparł kierowca i pomyślał, że trzeba jednak emigrować do Ameryki, żona miała rację. Trzeba z Polski czym prędzej wypierdalać.

Jakub tymczasem jechał na Żoliborz i również myślał o emigracji, do Palestyny. Trzeba z Polski wypierdalać. Wyjechać, budować żydowską ojczyznę, stać się nowym Żydem, nowym człowiekiem, Machabeuszem. Moryc kupuje bilety. Jadą, a raczej lecą. Lecą do Palestyny.

Tymczasem jednak skręcił z Karpińskiego w Kniaźnina i szukał domu pod numerem 5.

W końcu znalazł.

Ziembińscy mieszkali w okazałej, miejskiej willi, z gankiem wspartym na czterech pękatych kolumnach, z wielkim, łukowatym oknem prowadzącym na balkonik na dachu tegoż ganku i o wielopołaciowym dachu, krytym czerwoną dachówką.

Sięgnął jeszcze po fiolkę z kokainą, wciągnął odrobinę, wysiadł z buicka, przeskoczył niski płotek z furtką, podszedł do drzwi, zadzwonił.

Otworzył mu mężczyzna, który nie był Andrzejem Ziembińskim. Mężczyzna miał na sobie atłasową bonżurkę, pod szyją fular, był wyraźnie młodszy od Jakuba, miał wypielęgnowane dłonie i włosy zaczesane na brylantynie.

– A ty kto, kurwa, jesteś? – zapytał podniecony kokainą Szapiro i wtedy zauważył Annę.

Stała w głębi korytarza, w eleganckim, skromnym peniuarze i w niepasującej doń chuście, chroniącej ramiona przed chłodem.

– To mój narzeczony – powiedziała po prostu, Szapiro zaś poczuł w trzewiach ogień. Nagły przypływ zazdrości. Chociaż może po prostu to kokaina tak paliła.

– Panie, co to ma znaczyć… – zaczął mężczyzna w bonżurce i wtedy Jakub go uderzył.

Cios był mocny i celny, mężczyzna w bonżurce upadł, nieprzytomny, Jakub go przekroczył i ruszył ku Annie.

– Naprawdę uważasz, że przemoc to jakieś rozwiązanie? – zapytała.

– Nie ma problemu, którego nie dałoby się rozwiązać przemocą.

– Co tu robisz?

– Przyjechałem do ciebie.

– Mojemu narzeczonemu się to nie spodoba.

– A tobie?

– Mnie owszem.

Jakub zawrócił, chwycił ciągle nieprzytomnego narzeczonego za kołnierz, wyciągnął na ganek, zamknął za nim drzwi, zamknął skuwkę zasuwy. Wrócił do Anny, odwrócił ją, zadarł jej peniuar, rozpiął swój rozporek. Anna oparła się łokciami o konsolkę w korytarzu, roztrącając porcelanowe bibeloty.

– Uderz mnie – powiedziała.

Uderzył raz, uderzył drugi, miała twarde, umięśnione pośladki, a potem chwycił ją mocno za biodra i zrobił to, po co do niej przyjechał. Po chwili przenieśli się na podłogę, Anna siadła na nim.

Nie skończył jednak, bo zasuwka drzwi wejściowych trzasnęła z hukiem i stanął w nich Andrzej Ziembiński, w bepistowskim mundurze i z bronią w ręku.

– Co to, kurwa, ma znaczyć?! – wrzasnął.

Kiedy podjechał pod dom i zobaczył zakrwawionego szwagra in spe, od razu uznał, że to może być polityczny zamach. Drzwi były zamknięte, ale tylko na zasuwkę, więc je wyważył. Spodziewał się zastać w domu Szapirę albo kogoś z jego ludzi, chciał ratować siostrę i nie spodziewał się, że zastanie ją wściekle ujeżdżającą żydowskiego boksera, z jedną dłonią na jego piersi, a drugą w jego ustach.

Opuścił broń.

Szapiro zerwał się, zrzucając z siebie Annę, i był to błąd, bo Ziembiński przecież nie strzeliłby doń, kiedy na jego chuju siedziała Anna.

– Nie strzelaj! – wrzasnęła.

Strzelił, ale chybił, bo Jakub zaplątał się we własne spodnie i upadł jak długi. Upadając, zdołał jednak wyciągnąć małego browninga z kieszeni marynarki i wycelował w Ziembińskiego, zdając sobie sprawę z tego, że nie ma naboju w komorze.

– Nie strzelaj! – krzyknęła po raz drugi Anna.

Nie strzelił. Celowali do siebie, Ziembiński w mundurze, Jakub leżąc na plecach na ziemi, ze spodniami w okolicach kostek i obrzezanym przyrodzeniem absurdalnie sterczącym między połami koszuli.

Anna stanęła między nimi, potargana, z peniuarem rozdartym na piersi.

– Schowajcie broń – poprosiła.

Obaj opuścili pistolety. Jakub wstał, podciągając spodnie jedną ręką. Za Ziembińskim w drzwiach stanął narzeczony Anny.

– Co tu się dzieje?

– Ona się pierdoli z tym Żydem – powiedział ponuro Andrzej.

Narzeczony padł na kolana, jakby znowu dostał prawy prosty w podbródek.

– Wiedziałem…

– Gówno wam do tego, z kim ja się pierdolę! – krzyknęła, wściekła.

– Ja cię kocham – szepnął narzeczony głosem tak żałosnym, że Jakub zniesmaczony aż zapiął spodnie.

– Do widzenia państwu – powiedział i ruszył w stronę drzwi, powoli, nie spuszczając wzroku z Ziembińskiego.

– Pożałujesz tego – warknął brat Anny.

Szapiro uśmiechnął się szeroko.

– Po tatusiu zainteresowania pan odziedziczyłeś?

– Co?

– Na pewno. Więc chuj szanownemu panu w dupę.

Ziembiński nie strzelał tylko dlatego, że nie zrozumiał. Zrozumiał, gdy Szapiro już siedział w aucie z zapalonym silnikiem, i strzelać było już za późno. Jakub w tym czasie nachylił się na stronę pasażera, zakręcił korbką, opuścił szybę.

– Idziesz? – zawołał.

Zerwała z wieszaka palto, otuliła się nim i jak stała, boso, lecz z porwaną skądś butelką koniaku ruszyła w stronę Jakubowego buicka. Andrzej chwycił ją za ramię, uderzyła go w twarz otwartą dłonią, puścił. Narzeczony płakał, klęcząc na podłodze.

– Wynoś się stąd, żałosny durniu – warknął Ziembiński.

Szwagier in spe nie reagował, więc Ziembiński wypchnął go za wyważone drzwi i poszedł do swojej sypialni, zrzucić bepistowski mundur i założyć cywilny garnitur, i w garniturze, z bronią wyszedł w nocne miasto, z bardzo konkretnym planem.

Jakub ruszył, z Koźmiana skręcił w lewo w biegnącą wzdłuż Wisły ulicę Kamedułów i prowadził w milczeniu, Anna też milczała. Wypiła duży łyk koniaku, podała mu butelkę, wypił również. Zajechali aż do klasztoru pokamedulskiego, aż do administracyjnych granic Warszawy.

– Klasztor Wołodyjowskiego – powiedziała, zupełnie od rzeczy.

– Czyj?

– No, Wołodyjowskiego. Jak został kamedułą, to tutaj.

– Ale kto to jest Wołodyjowski?

Przyjrzała mu się, by sprawdzić, czy nie żartuje. Nie żartował.

– No z *Trylogii* Sienkiewicza, pułkownik Wołodyjowski. Nie wierzę, że nie znasz.

– Nie znam – wzruszył ramionami. – O tym waszym pisarzu słyszałem, Sienkiewicz, ale nie czytałem, to nie dla mnie.

Gapiła się nań, zafascynowana.

– To wspaniałe. Niewiarygodne i wspaniałe. Podobasz mi się teraz jeszcze bardziej.

Jakub trochę się krygował, bo wiedział, że to jej się spodoba, kojarzył nazwisko Wołodyjowskiego z jakąś ważną książką Polaków, ale to wyczerpywało jego wiedzę na ten temat. Więc nie było w tym krygowaniu się przesady.

– O co chodzi z tym narzeczonym?

– O nic, a o co ma chodzić? Mam zostać jego żoną.

– Sypiasz z nim?

Zaczęła się śmiać, bardzo głośno, jakby usłyszała najlepszy dowcip i nie mogła przestać. Zwijała się ze śmiechu.

– No, z nim akurat nie… – wykrztusiła wreszcie. – Czekamy z tym do ślubu.

Patrzył na nią z wściekłością i niedowierzaniem.

– Serio. Ignacy jest bardzo pobożny.

Uwierzył jej i wiedział, że w innej sytuacji rozśmieszyłaby go groteskowość tej sytuacji, teraz jednak nie potrafił się śmiać.

– A z innymi...? – pytał dalej, sam przerażony własnymi słowami i tym, co ze sobą niosły.

– A z innymi to owszem. Tak jak z tobą. Uwielbiam miłość, co robić.

Za klasztorem zjechał z drogi, w polną ścieżkę, w zarośla. Zaciskał dłonie na kierownicy. Nie rozumiał, co się w nim dzieje, w środku. Bywał zazdrosny o kobiety. O Ryfkę był zazdrosny jak wariat, a ona chętnie tą zazdrością grała, kiedy jeszcze byli razem, i za prawdziwy koniec ich miłości uznała ten moment, w którym mogła pokazać się w paru publicznych miejscach z mężczyzną, ten zaś nie tracił w ciągu paru dni zębów, nie miał złamanego nosa ani ręki, jak to wcześniej bywało z tymi, przy pomocy których Ryfka chciała Jakubowi zagrać na nosie.

Emilia, sama tłumiąc swoją zazdrość, nie pozwalała mu być zazdrosną o siebie. Flirtowała z mężczyznami, wątpił jednak, by z nimi sypiała, bo kto byłby na tyle odważny, aby zaczepić żonę samego Szapiry, ale tak czy inaczej zazdrości nie znosiła i wszelkie jej objawy potrafiła stłumić w zarodku.

A tutaj, teraz, w związku z tą dziwną Polką coś mu się rozpalało w środku, w brzuchu, rozpalało i skręcało na myśl o tym, że ktokolwiek może rościć sobie prawa do kobiety, z którą, jak mu się wydawało, nic go poza cielesną relacją nie łączy.

„Uwielbiam miłość" – powiedziała, a on wyobraził sobie, jak ktoś inny robi z nią to, co on z nią robi, i jakby w mózgu wybuchnął mu artyleryjski granat, i zrobiło się biało od gniewu, po gniewie zaś przyszła bezradność. Okazać tę zazdrość to okazać wielką słabość, na jaką Szapiro wobec kobiet sobie nie pozwalał.

Uczucia gorszego niż bezradność nie znał. Nie czuł się bezradny dwadzieścia lat wcześniej, kiedy siedział w łomżyńskim Czerwoniaku, gdzie go bito i głodzono, i prześladowano, i gdzie schudł trzydzieści kilo, a wychodząc, ważył kilogramów całe czterdzieści pięć i składał się wyłącznie z gniewu i kości obciągniętych luźną, suchą skórą. Nie był bezradny w okopach pod Stryjem, z czterema ostatnimi nabojami w magazynku mosina naprzeciwko szarży bolszewickiej kawalerii, i co

gorsza, zupełnie bez przekonania, czy na pewno właściwej broni sprawy, czy nie powinien się raczej znajdować po drugiej stronie frontu. Bo po co bronić pańskiej Polski z całą jej nienawiścią do Żydów, podczas gdy u Sowietów Żyd mógł być, kim chciał, komisarzem, oficerem, ministrem, czy jak tam się oni nazywali. U Sowietów Żyd mógł być kimś, kogo się bali wszyscy, jak Trocki. Zresztą Polaka, Dzierżyńskiego, bali się jeszcze bardziej.

Wahał się więc, ale nie był bezradny. Nie był bezradny w ringu ani uciekając przed policją, ani walcząc na ulicy, ani nigdy wcześniej w miłości, a był bezradny wobec jej słów, tak jak bezradny jest człowiek wobec huraganu, lawiny, powodzi.

Zatrzymał się.

Nachyliła się do jego zapiętego na jeden guzik rozporka, rozpięła, wzięła do ust, a kiedy był gotowy, usiadła na nim. Chwyciła go za szyję. Nie protestował.

– Mały chłopczyk jest zazdrosny… – zaśmiała się i uderzyła go w twarz.

Oddał jej, jęknęła z rozkoszy, wzięła jego palce do ust, zaczęła ssać i poruszać się na nim.

Nie mógł skończyć, ona za to doszła kilka razy, krzycząc i bijąc go po twarzy. Pozwalał jej. Nie wiedział dlaczego, a może raczej wiedział, tylko dziwił się sobie – pozwalał jej na to, bo pozwoliłby jej na wszystko, póki będzie w jej ciele. A może nawet póki będzie miał nadzieję na to, że się znów w tym ciele znajdzie. Potem siedzieli obok siebie w milczeniu, patrząc na czarne sylwetki drzew na ciemnoszarym, pochmurnym niebie, pili koniak, a gdy się skończył, wódkę, której kilka butelek miał na tylnym siedzeniu. Anna piła szybko i dużo i wydawała się prawie trzeźwa, aż do momentu, w którym nagle otworzyła drzwi, zwymiotowała, wczołgała się, coś bełkocząc, na tylne siedzenie i tam zwinęła się w kłębek, mrucząc „do domu”…

Odwiózł ją więc do domu o wyważonych drzwiach i tam obudził – wysiadła bez pożegnania, chwiała się, chciał ją pocałować, ale odepchnęła go ze śmiechem, śmierdziała wódką, a on się trząsł, więc zażył znowu kokainy, obudziła go. Wiedział, że nie pójdzie już spać, poczekał, aż Anna

dojdzie chwiejnym krokiem do drzwi i ruszył przed siebie i do rana jeździł przez oświetloną wątłym światłem latarni, deszczową Warszawę.

Jechał wolno, kluczył przez Żoliborz, Marymont, Koło, Wolę, zjechał w biedne, żydowskie Śródmieście, z żydowskiego na Śródmieście bogate i polskie, potem na biedne i polskie, Pragę, Grochów, potem z powrotem na drugi brzeg, wrócił na Nalewki, przejechał pod swoim domem, przejechał pod paszteciarnią na Lesznie, przypomniał sobie o pieniądzach i roześmiał się sam do swoich myśli.

Przypomniał sobie o pięćdziesięciu tysiącach dolarów tak, jakby przypominał sobie o zapomnianym gdzieś parasolu. Zatrzymał się, było zamknięte, ale miał swoje klucze, otworzył, poszedł do kuchni, odsunął fałszywą kaflę pieca, wyciągnął pakunek, w którym mieściło się ciasno związane sznurkiem pięćset banknotów z wizerunkiem Benjamina Franklina, wrzucił paczkę do schowka na rękawiczki obok dużego browninga, który zwykle w schowku woził, i pojechał dalej, zostawiając paszteciarnię otwartą. Wszystko zostawiał już za sobą.

Pojechał przez Tłomackie, potem znowu bardziej na południe, pod hotel, w którym była Emilia i chłopcy, pod burdel Ryfki, ale nigdzie już nie wstępował, nie wysiadał z samochodu, po prostu jeździł, drżący i wrażliwy od rozkładanego w ciele alkoholu, od kokainy, której odrobinę co jakiś czas zażywał, aby utrzymać się na nogach.

Zatrzymał się przy straganie z kiełbaskami i zjadł, nie bardzo słuchając nawet nocnych opowieści sprzedawcy o tym, że kurwy przyszły, chciały jeść za darmo, nie dał, potem jednej dał za to, że ustami mu dobrze w bramie zrobiła, ciągnęła, panie, mojego serdelka, żeby se drugiego zjeść, hehe, że hinty byli, że dorożkarz pijany, że urki węszyły, ale poszły, że widział, jak pewna wielka dama jechała samotnie na tylnym siedzeniu pięknej limuzyny. I tak dalej. Jakub przełknął ostatni kęs serdelka, zagryzł chlebem z musztardą i wrócił do samochodu. Ruszył, jechał dalej. Na siedzeniu obok położył pistolet, potem położył go sobie na kolanach, potem trzymał w prawej dłoni, potem co chwila przystawiał sobie pod brodę, z palcem na spuście i zastanawiał się, czy pistolet wystrzeli, jeśli samochód podskoczy na jakimś wyboju, potem przypominał sobie o synach i cofał rękę, a potem znowu przykładał. Nagle musiał raptownie zahamować,

buick zatrzymał się ze zgrzytem, Jakub uchylił drzwi i zwymiotował zjedzonymi przed chwilą serdelkami.

Kiedy zgasły latarnie i Warszawę oświetliło szare, wątłe, rozproszone przez chmury słońce październikowe, Jakub zażył ostatnią, za to szczodrą dawkę kokainy i pojechał na Bema, pod dom nauczycielski, poszedł do mieszkania Madame de Potocki.

– Umówione? – zapytał starego Ziembińskiego.

Ten tylko skinął głową.

– W pałacu?

– Nie dało rady. Nieoficjalnie tylko. Premier zje śniadanie u Simona i Steckiego, można mu towarzyszyć.

– To jedziemy. Tylko najpierw jedna sprawa jeszcze.

Podszedł do Sokolińskiego. Redaktor Sokoliński zawsze wyglądał na zgnębionego i zgniecionego, wtedy jednak stanowił widok żałosny nawet w swojej odrębnej kategorii.

– Panie redaktorze, czy „Kurjer" to jest antysemicka szmata?

– Melduję posłusznie, panie kierowniku, że nie jest – powiedział Sokoliński, drżąc ze strachu.

– To ja teraz chcę, żebyś pan, redaktorze, raz w tygodniu pisał jakiś artykuł, w którym będziesz pan antysemityzm słusznie zwalczał jako najgorszą aberrację. Jasne?

Sokoliński skwapliwie skinął głową.

– A jak artykułu przez dwa tygodnie zabraknie, to te śliczne fotki roześlemy gdzie trzeba, jasne?

– Jasne, panie kierowniku. I ja zapewniam, że ja najszczerzej antysemityzmu nienawidzę, ponieważ...

Szapiro już go nie słuchał, polecił Pantaleonowi puścić pismaka wolno, jechać zaraz do Ryfki i u niej czekać na dalsze polecenia. Zeszli razem, w czwórkę. Pantaleon udał się na tramwaj, redaktor Sokoliński wsiadł na rower i pomyślał, że nawet bardziej niż Szapiry boi się wrócić do domu, w którym będzie się musiał wytłumaczyć z całonocnej nieobecności.

Przez dwa lata będzie pisał zwalczające antysemityzm artykuły, nie zwracając jednak na siebie niczyjej uwagi. We wrześniu 1939 roku zabije go

na ulicy niemiecka bomba i nie będzie już redaktora Sokolińskiego.

Jakub i Ziembiński wsiedli do Jakubowego buicka.

– Śmierdzi tu, jakbyś pan chlał od tygodnia – warknął Ziembiński, kanalizując swoją bezsilność w bezsensownych uwagach.

– Tylko od wczoraj. Albo od dwudziestu lat.

– I pan chcesz w takim stanie rozmawiać z premierem?

– A co, z chujem w dupie by stosowniej było?

Ziembińskiego jakby prąd poraził, zamilkł, odwrócił się do szyby. Jego poczucie przegranej było tak dotkliwe, tak bolesne, jakby gwóźdź mu wbito w pierś. Jakby gwóźdź w pierś wbił mu ten bezczelny, żydowski bandzior.

Jakub przez chwilę pomyślał, w jakim jest stanie, napompowany kokainą, zatruty produktami rozkładu alkoholu w wątrobie, potem przypomniał sobie o liście nazwisk w kieszeni marynarki i poczuł się pewniej.

Zajechał pod Simona i Steckiego. Ziembiński wprowadził Szapirę do środka, z poczuciem, że na szyi ma zaciśniętą pętlę, której nic nie rozluźni. Żydowski bandyta ma w ręku jego śmierć cywilną i nie zawaha się przecież ani chwili, więc Ziembiński będzie mu świadczył usługi albo go zabije, ale zabić go wcale nie było tak prosto, bo zabić trzeba byłoby jeszcze zdjęcia, a Szapiro na tę okoliczność dobrze się zabezpieczył.

Premier siedział sam przy stoliku w pustej sali, którą specjalnie dlań opróżniono z gości. Kelnerzy krzątali się pospiesznie, pod drzwiami zaś stali posępni funkcjonariusze Brygady Ochronnej.

Generał Felicjan Sławoj Składkowski był szczupły, średniego wzrostu, przerzedzone, siwe włosy zaczesywał do tyłu, miał krzaczasty, sterczący pod nosem wąs i równie krzaczaste brwi, co sprawiało, że przypominał nieco marszałka Piłsudskiego, do którego przez całe życie pragnął się upodobnić, nie mając jednakże słusznie złudzeń, by mógł mu dorównać. Wyraz twarzy miał tak ponury, jakby doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że w ludzkiej pamięci jego imię przetrwa dzięki nazwie ustępu na wolnym powietrzu. Za mundurowy kołnierz z generalskimi wężykami zatknął wielką płócienną serwetę i właśnie usiłował zjeść w całości jajko w koszulce, nabiwszy je na widelec.

– Pan prokurator! – ucieszył się na widok Ziembińskiego i żółtko skapnęło mu na serwetę. – Siadajcie, panowie, pośniadajcie ze mną.

Ziembiński przywitał się kwaśno, zmieszany. Premier połknął jajko, nabił na widelec drugie. Żółtko rozlało się po talerzu. Premier się skrzywił, niezadowolony i umoczył w żółtku kawałek chleba. Jakubowi kokaina przydawała pewności siebie, uścisnął dłoń szefa rządu, przedstawił się.

– To ja będę uciekał, za pozwoleniem, panie generale, pan Szapiro ma sprawę do pana… – wyjąkał Ziembiński i poczuł, że od wstydu pali go twarz. – Zostawiam panów.

– Ależ… – wybełkotał generał, z ustami pełnymi jedzenia, ale Ziembiński ukłonił się i uciekł, odprowadzany zaskoczonym spojrzeniem kelnera, który właśnie niósł dlań nakrycie.

Prokurator wyszedł na ulicę, odetchnął świeżym powietrzem i zaraz przypomniał sobie o zaciśniętej na szyi pętli. Miał iść do domu, poszedł jednak najpierw do Świętej Anny, usiadł w ławce i próbował przeprosić Boga za swoje liczne grzechy, ale potem pomyślał, że może jednak nie będzie się wygłupiał. Przypomniał sobie o kopii listy proskrypcyjnej, którą miał w kieszeni marynarki, sięgnął do pugilaresu, listy nie było. Domyślił się, że Szapiro ją zabrał. Zostawiając mu, jako ostateczne upokorzenie, pistolet, jego ulubioną, niklowaną FN szóstkę, ale bez nabojów.

Szapiro, żydowski apasz, który teraz, dzięki niemu, śniada z premierem.

Wyszedł z kościoła na deszcz, złapał taksówkę, wrócił na Żoliborz do domu i zastał strzaskane drzwi. Wszedł do środka. W sieni na podłodze leżała jego córka, półnaga, przykryta płaszczem i spała, pochrapując lekko i z dziewczęcym wdziękiem wypełniając korytarz zapachem przetrawionego alkoholu. Na końcu korytarza, w pokrywającej ściany angielskiej boazerii widniała dziura, w której jako prokurator od spraw kryminalnych, znając się na rzeczy, rozpoznał bezbłędnie dziurę po kuli.

Pomyślał, że życie rozsypuje mu się na kawałki, a wszystko tylko dlatego, że córka go nienawidzi.

Albo dlatego, że nic nie podniecało go bardziej niż upokorzenie i upodlenie u stóp władczej kobiety, tylko Madame de Potocki sprawiała, że członek prokuratora Ziembińskiego reagował zgodnie z przeznaczeniem. Przy zwykłej kurwie ciało prokuratora pozostawało uśpione.

I czy to powodowało, że służył Polsce gorzej niż ten, kto swoje erotyczne potrzeby załatwiał w inny sposób?

Minął córkę, nie budząc jej, wszedł po schodach do swojego gabinetu, usiadł przy wielkim i czarnym jak jego grzechy hebanowym biurku, otworzył zamkniętą na kluczyk dolną szufladę i wyciągnął plik erotycznych fotografii z fantazjami rodem z powieści barona von Sacher-Masocha, przejrzał je bez podniecenia, tylko z nostalgią, z jaką oglądamy czasem fotografie z dobrych czasów, które minęły tak nieodwołalnie, że nawet wspomnienia po nich wydają się fałszywe, po czym wrzucił je do kubła na papiery i podpalił. Skręciły się w ogniu, sczerniły i zgasły.

Pomyślał o innych papierach, które powinien spalić, spojrzał na pancerną, ogniotrwałą szafę, którą wypełniały. O ludzkich życiach, których były świadectwem, odbiciem, o ludzkich słabościach, błędach i ludzkiej podłości, które się w tych dokumentach przeglądały, o ludzkich nadziejach i strachu, których dokumenty te były powodem, o władzy, jaką mu dawały, ogromnej władzy nad tyloma potężnymi ludźmi, lecz nie dość potężnymi, żeby zerwać pętlę, jaką ten prostacki bokser bez matury zadzierzgnął mu na szyi.

– Bóg z nami, chuj z nimi – wyszeptał pod nosem stary, korporancki toast, ale nie wzbudzał już weń tego poczucia słuszności podejmowanych wyborów, co kiedyś.

„Chuj z wami wszystkimi" – napisał na kartce papieru kancelaryjnego, po czym sięgnął do szuflady po pudełko nabojów kaliber 6,35 milimetra, załadował jeden do magazynka, nabił pistolet, po czym od razu, bez wahania przystawił go sobie do skroni i strzelił – natychmiast, żeby uciec przed strachem, przed czymkolwiek, co mogłoby sprawić, że się zawaha, że się rozczuli, że zadrży mu ręka, że nie zdoła wcisnąć tej małej, metalowej płytki, która poruszając cięgnem zwalniającym ukryty pod zamkiem kurek, zdecyduje o jego życiu i śmierci.

Strzelił więc od razu, żeby uciec przed wątpliwościami, i udało mu się, uciekł.

Litani zanurkował znad Wisły na Żoliborz, prawie dotknął ziemi, zajrzał płonącym okiem do okna domu Ziembińskich, zobaczył ciało prokuratora, otworzył paszczę i zaśpiewał, i zobaczył go pieśnią.

Strzał obudził Annę. Otworzyła oczy, przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest, kim jest i w jakiej znajduje się sytuacji, po czym kolejno poznała dom, siebie i sytuację co najmniej zawstydzającą. W ustach zaschło jej kompletnie, głowa pękała, ale przypomniała sobie, że obudził ją strzał, że to nie był sen, a strzał to coś, co trzeba sprawdzić nawet z potwornym kacem. Niebezpieczeństwo. Wstała. Mimo kaca była jeszcze pijana. Pamiętała, że odgłos strzału dobiegł z góry, na chwiejnych nogach wspięła się więc na piętro, zobaczyła otwarte drzwi do gabinetu ojca, weszła, Jerzy Ziembiński siedział na krześle, jego przestrzelona głowa opierała się na blacie, ręce zwisały luźno, do ziemi. Na ścianie, na podłodze krew.

Anna zwymiotowała żółcią z pustego żołądka.

– No to o co chodzi, panie Szapiro? Zjedz pan coś – zaprosił tymczasem premier, przełykając grzankę i popijając kawą.

Szapiro przyglądał się śniadaniu. Dotykał widelcem drżącego jajka w koszulce, aż w końcu je przebił i żółtko rozpłynęło się po talerzu. Nie chciało mu się jeść.

– Można zapalić...?

– Pal pan.

Zapalił. Zaciągnął się. Papieros smakował, a jednocześnie wyzwalał najlżejszy cień nudności, gdzieś na dnie żołądka.

– No, to co jest?

– Kaplicę wsadziliście do Berezy.

Składkowski się zdziwił.

– Jak to wsadziliśmy? Jacy my? Kuma Kaplicę? Do Berezy? Za tę bandyterkę jego? Haracze z Kercelaka?

– Ja nie wiem za co, panie generale.

– Za co by to nie było... Stary bek, piłsudczyk, bojowiec i w Berezie, za jakieś tam głupstwa, że mu Żydki płacą? Tak się nie godzi...

– To pan tu jesteś premierem, generale.

Składkowski zasępił się jeszcze bardziej.

– Sam już nie wiem. Przecież musiałbym to podpisać.

– Widać pan podpisałeś, generale.

– Musieli mi podsunąć.

– Tak to już teraz będzie. Będą naszych sadzać w Berezie. Poza tymi, których wykoszą w zamachu.

– E tam, plotki głupie pan powtarzasz… – premier machnął ręką.

Szapiro wyciągnął odebraną Ziembińskiemu listę proskrypcyjną, położył na stole obok filiżanek z kawą, miseczek z powidłami i masłem, koszyczka z pieczywem i talerza wędlin. Składkowski wytarł palce w serwetę, założył okulary, przejrzał listę.

– Co to jest?

– Lista proskrypcyjna. Proszę doczytać uwagi dopisane ołówkiem.

– Aleksandra Piłsudska, internowanie, jeśli stawi opór – na miejscu. Sławek, zaproponować honorowe samobójstwo. Jeśli odmówi – na miejscu. Mościcki, na miejscu. Prystor, na miejscu – Składkowski odczytał na głos.

– Pan też jesteś na tej liście, generale. Druga strona.

– Składkowski. Wymusić pisemną deklarację poparcia zamachu. W razie odmowy – na miejscu – przeczytał premier. – Skąd pan to masz?

– Zabrałem Ziembińskiemu. Przycisnąłem go. Dlatego mnie tu wprowadził.

– Czym pan go przycisnąłeś?

– Moja rzecz.

Składkowski zamyślił się.

– A jaki to ma związek z Kaplicą w Berezie?

– Kontrolę nad Dzielnicą Północną przejął Radziwiłek. Zastępca Kaplicy. Dogadał się z Piaseckim i Ozonem, zagwarantował im, że proletariat nasz i polski nie ruszą się w noc zamachu. Nie będzie walk ulicznych jak w dwudziestym szóstym, nikt nie będzie im przeszkadzał. Z Kaplicą w Berezie są bezpieczni. Ulica nie powstanie. A jak Kaplica wróci, żaden zamach nie przejdzie. Nie z naszymi ludźmi na ulicach. Lejemy faszystów jak chcemy przecież, od lat.

– No, to prawda i to ja rozumiem. Ale panu dlaczego na tym w ogóle zależy?

– Bo jestem Kaplicy to winien, to raz. A dwa, to jak pan sądzisz, jak się nam będzie żyło w państwie, które urządzi Piasecki? Jak u Hitlera przecież. Albo gorzej. Bo Niemcy to jednak kulturalny naród, wiadomo.

– Swoją drogą, Piasecki też w Berezie siedział, w trzydziestym czwartym. I jakoś mu tam tych bzdur faszystowskich ze łba nie wybili. W każdym razie zaraz zadzwonię do Kamali-Kurhańskiego, ściągnę Kaplicę do Warszawy – zdecydował Składkowski. – Wyślę auto specjalnie po niego.

– Do Berezy? Pan go tylko dyskretnie zwolnij, panie generale. Ja wyślę kogoś z moich ludzi, autem Kaplicy. Będzie bezpieczniej. U pana za dużo wrogów.

– U mnie?

– W ministerstwie. Ktoś panu te dokumenty podsunął.

– Racja. Zgoda. Ale pan daj mi jakiś bilet wizytowy albo coś. Bo mnie potrzeba się z panem móc skontaktować.

– Pan na pewno masz telefon do Ryfki Kij, generale.

– A co to ma znaczyć?

– Wiemy, że pan generał tam bywał. Wystarczy zadzwonić. Będę tam, pod telefonem.

Premier zastrzygł wąsami, nic nie powiedział.

Szapiro wstał, nie zjadłszy niczego, niezgrabnie ukłonił się premierowi, ten wstał również, podał Jakubowi ubrudzoną masłem dłoń. Na wąsach miał żółtko.

Szapiro wrócił do samochodu i poczuł potworne, wielkie zmęczenie. Pojechał więc do Ryfki.

* * *

Wszyscy umarli, a ja żyję.

* * *

Wspinając się po schodach prowadzących do Ryfki, Jakub musi odpoczywać co kilka stopni. Myśli o wszystkich walkach swojego życia, o tych chwilach, w których widzi, że przeciwnikowi kończy się powietrze, wtedy Jakub sięga do swoich rezerw energii, lewy, lewy, rozbić gardę, zepchnąć na liny, prawy, jeszcze się broni, więc zejście, prawy sierp na

wątrobę, dochodzi boleśnie, więc odruchowo garda przeciwnika idzie w dół, jeszcze lewy na żebra, śledziona i wypchnięcie resztek powietrza z płuc, garda przeciwnika już nisko, mięśnie pleców i brzucha Jakubowego jeszcze mają zapasy, skręcają się, biodro, bark, na końcu krótkim łukiem pięść i Jakub kończy prawym sierpem na szczękę, koniec.

A teraz wchodzi po schodach i nie umie, rzęzi mu w płucach.

Za dużo papierosów. Od dawna żadnego treningu.

Nie będzie już boksował, nie będzie już walczył, to wiadomo.

W końcu wszedł na odpowiednie piętro, nacisnął na klamkę, drzwi były zamknięte. Zapukał. Otworzył mu Pantaleon z obrzynem w ręce.

– Nieczynne dziś? – zapytał Szapiro.

– Uznałam, że tak będzie lepiej – odpowiedziała Ryfka.

Nie stała za barem, siedziała w fotelu, paliła cienkiego papierosa, popijała koniak.

– Muszę odpocząć. Pantaleon, weź samochód Kaplicy i jedź do Berezy Kartuskiej. Wiesz, gdzie to jest?

– Za Kobryniem gdzieś, panie Jakubie?

– Znajdziesz na mapie. Zgłoś się tam na wartowni, powinni ci wydać Kuma. Rozmawiałem z premierem. Jakby coś nie grało, znajdź aparat i zatelefonuj tutaj.

– No to z bożą pomocą, panie Szapiro, ruszam w drogę.

– Weź jakiegoś drugiego szofera do pomocy, jedź bez postojów, tyle co zatankować. Sprowadź tu Kuma jak najszybciej.

– Munję bym wziął... Ale nie można.

– Nie można. Jedź. Muszę odpocząć. Muszę się przespać.

Pantaleon nałożył palto i robociarską czapkę i wyszedł na ulicę, zostawiając obrzyn na barze. Po chwili złapał taksówkę i kazał się zawieźć do Kaplicowej willi na Mokotów. Mimo długiego kursu taryfiarz nie chciał zapłaty.

– Pan piękny za darmo u mnie zawsze! – powiedział i kłaniał się z szacunkiem równie autentycznym jak wcale nie ukrywany strach. Obydwa Pantaleon poczytał jako należne mu hołdy, równie przyjemne, co oczywiste.

Zapukał do Kaplicowych drzwi. Otworzyła córka, przywitali się uprzejmie, wpuściła do środka, gdzie w kuchni, bo mimo wielu lat w bogactwie ciągle nienawykła do salonu, siedziała Maria Kaplicowa.

– Pan Karpiński… No i się doigrał ten mój, doigrał, na zatracenie wzięli.

– Auto muszę wziąć, pani Kaplicowa. Przywiozę go wam do domu, pani Kaplicowa.

– A bierz pan, na co mi auto, ja to automobili nie uważam wcale.

Starsza córka podała mu kluczyki. Ukłonił się głęboko, z szacunkiem, wyszedł, wsiadł do chryslera i ruszył na wschód.

– Moryc był – powiedziała tymczasem Ryfka, ciągle stojąc u siebie za barem. – Zostawił dla ciebie kopertę.

– Otwarłaś na pewno, więc daruj sobie udawanie, że nie wiesz, co w kopercie.

– Bilety lotnicze. Dla ciebie, dla twojej ślicznej żonki i słodkich dzieciaczków. Na jutro rano. Dwadzieścia cztery godziny.

– Pierdol się, Ryfka. Muszę iść spać.

– Dam ci kropli walerianowych.

Dała, Jakub schował bilety do kieszeni marynarki, broń włożył pod poduszkę, zażył kropli, poszedł do jednego z pokojów, położył się i zasnął. Śnił, że walczy w ringu z wielkim, tłustym bokserem, wyższym od niego o dwie głowy i ważącym chyba dwieście kilogramów, całym w zwałach sadła. Jakub bił z całych sił, ale sadło amortyzowało najsilniejsze ciosy, wielki, tłusty bokser śmiał się głośno, a potem zamienił się w Wenus z Willendorfu, ogromną, pozbawioną twarzy, za to obdarzoną wielką, czarną paszczą.

Nad ringiem, na nocnym niebie unosił się Litani, jego płonące oczy niczym światła pozycyjne aeroplanu.

Jakub krzyczy, śpi już i krzyczy mimo to.

Chwilę później do drzwi ponownie ktoś zapukał. Ryfka wzięła obrzyn, zerknęła przez wizjer, przez chwilę wahała się, czy otworzyć.

– Słyszałam, że tam ktoś jest – powiedziała Anna. – Wpuśćcie mnie.

Ryfka odetchnęła głęboko, przekręciła klucz w zamku, ściągnęła solidną zasuwę, otworzyła z postanowieniem, że wywali wredną sukę na zbity

pysk, ale nie będzie chować się za zamkniętymi drzwiami, zrobi to twarzą w twarz, stać ją na to. W niczym ta zarozumiała, pańska Poleczka nie jest od niej, Ryfki Kij z rodziców nieznanych, lepsza.

Anna stała na klatce w podartym peniuarze, owinięta płaszczem i się trzęsła. Miała kaca, po twarzy ściekał jej makijaż, śmierdziała przetrawionym alkoholem i wymiocinami. Ryfka poczuła litość. Odsunęła się, by nie zagradzać jej drogi. Zaprosiła gestem.

– Trzeba zapłacić dorożkarzowi – powiedziała Anna słabym głosem.

– I że niby ja mam płacić...? – żachnęła się Ryfka.

– Nie wzięłam pieniędzy, ojciec się zastrzelił...

Ryfka westchnęła. Miała ochotę spuścić bezczelną gówniarę ze schodów, jednak pomyślała o śpiącym w pokoju nieopodal Jakubie, posadziła Annę na jednym z krzeseł, na których zwykle siadały czekające na klientów dziewczęta, i zeszła na ulicę, zapłaciła za dorożkę i wróciła na górę.

Anna dalej siedziała tam, gdzie Ryfka ją posadziła i dalej wyglądała jak ofiara wszystkich plag egipskich. Ryfka wzięła ją pod ramię, półprzytomną zaprowadziła do łazienki dla dziewcząt, posadziła na taborecie, napuściła do wanny wody, wsypała wonnych soli, postawiła Annę na nogi, rozebrała. Anna pozwalała robić ze sobą wszystko. Ryfka pomogła dziewczynie wejść do kąpieli, po czym wróciła do salonu, pociągnęła duży łyk koniaku, nastawiła wodę na kawę i przygotowała dziewczynie śniadanie – jajka, chleb, kawa, konfitury.

– Dlaczego ja to robię? – zapytała sama siebie, autentycznie zdziwiona. Nie znosiła przecież tej polskiej kurwy.

– Dla Jakuba, idiotko, to robisz. Bo on chciałby, żebyś to zrobiła – odpowiedziała również na głos na swoje pytanie.

Zaniosła dziewczynie śniadanie do łazienki.

Jan Kaplica zwany Kumem tymczasem śniadania dziś nie jadł. Stał na placu apelowym Miejsca Odosobnienia w Berezie Kartuskiej. Stał w samych kalesonach, bosy, z kikutem lewej ręki zaopatrzonym przybrudzonymi już bandażami. Padało. Trząsł się z zimna. Obok Kaplicy w równym dwuszeregu stali inni więźniowie, ukraińscy działacze, komuniści, kilku endeków, paru zadziornych, lewicowych dziennikarzy,

spekulanci, kilku bundowców, wszyscy również w samych kalesonach, wszyscy bez wyroków, a tylko z decyzją administracyjną.

Apel odbierał Kamala-Kurhański.

– Ten tutaj osobnik, niejaki Kaplica, warszawski bandzior, komunista zasrany, wyobraził sobie, że mnie, komendanta inspektora Józefa Kamalę-Kurhańskiego można szantażować. Otóż wysłał rzeczony niejaki Kaplica swojego zbira do mieszkania mojej ciotki Adelajdy, zamieszkałej w Warszawie. I chciał mnie szantażować, że jak mu tu nie będzie dobrze, to moją ciotkę skrzywdzi. Wyobrażacie to sobie, ścierwa, skurwysyny, mendy ludzkie?

Więźniowie obozu milczeli.

– Pytałem się!!! – ryknął Kamala-Kurhański.

Znowu milczenie. Do szeregu więźniów dopadło kilku policjantów, pałki poszły w ruch. Więźniowie zaczęli krzyczeć, że sobie nie wyobrażają.

– No to się bardzo cieszę, że zgromadzone tu ścierwa nie wyobrażają sobie czegoś tak niesłychanego. Albowiem Kamali-Kurhańskiego nie da się szantażować, słyszycie, mendy? Nie da się!

Policjanci ruszyli w stronę dwuszeregu więźniów.

– Słyszymy, panie komendancie! – krzyknęli więźniowie.

– A wiecie dlaczego, gówna ludzkie?

– Nie wiemy!

– Bo ja mam w dupie, czy moja ciotka Adelajda żyje! Jeśli o mnie chodzi, ciotka Adelajda może spłynąć słowiańską Wisłą aż do samego Wolnego Miasta Gdańska! W dupie mam ciotkę Adelajdę! Jedno, czego nie mam w dupie, to nasza kochana ojczyzna, którą takie gówna ludzkie jak wy chcą zniszczyć! I was tego, kurwy, oduczę! Macie na to słowo polskiego oficera, gnidy! Padnij!

Więźniowie rzucili się na błotnistą ziemię. Kaplica również, ale z jedną ręką i osłabiony nie był w stanie zrobić tego tak szybko, jak należało. Pomógł mu policjant, waląc pałką pod kolano. Kaplica, upadając, podparł się świeżym kikutem, ryknął z bólu i zemdlał. Obudzili go biciem. Przez bandaże przesączała się krew.

– Powstań.

Wstał, tak samo jak inni.

Następnie Kamala-Kurhański zarządził czołganie się w błocie, potem kopanie rowów, po to, by zaraz je zakopać. Policjant podał Kaplicy łopatę. Kaplica, ledwie stojąc na nogach, pokazał swój kikut. Policjant trzasnął go pięścią w twarz, Kaplica upadł twarzą w błoto.

– Zostawże go, oprawco! – krzyknął jeden z więźniów, młody, na oko dwudziestoparoletni chłopiec. – To jest stary człowiek! Z ręką amputowaną.

Młodzieńca też pobili.

– Bijże mnie, chuju – wyjęczał Kum, leżąc na ziemi. – Zostaw chłopaka. Jestem lepszy Polak od was wszystkich tutaj razem wziętych, ale jestem stary bandyta i mam krew na rękach.

Policjant kopnął Kaplicę w żebra.

– Kopże, kop. Ja tu powinienem być, jako jedyny. Nie te chłopaki. Ja jestem winien. Oni niewinni.

– Ręką będziesz kopał, ścierwo – zarządził policjant.

– Stać! – wrzasnął Kamala-Kurhański. – Pan Kaplica jest przecież niedysponowany. Panu Kaplicy znajdziemy lżejszą pracę niż kopanie. Dół z gównem trzeba opróżnić!

Nieczystości z latryn w Berezie więźniowie wiadrem przenosili do wielkiego dołu, ulokowanego blisko ogrodzenia obozu. Co jakiś czas dół trzeba było opróżniać, do konnego beczkowozu, również wiadrami, stojąc po kolana albo i po pas w gnijącym gównie.

Policjanci zaprowadzili Kaplicę do stanowiska pracy, a następnie wepchnęli go do dołu i rzucili mu wiadro.

– Chuj wam wszystkim w dupę – powiedział Kum. – Kum Kaplica nie będzie przelewał gnoju.

Było więc bicie, złamali mu parę żeber, potem nagiego, bo kalesony podarły się przy biciu pałkami, i pokrytego gównem wrzucili do karceru.

Pukanie.

– Jestem.

Pukanie.

– Jestem.

Pukanie.

* * *

Wszyscy umarli, a ja żyję.

I ona żyje, a ja nie wiem, kim ona jest.

Siedzę przy oknie. Gryzę chleb z masłem. Bezzębnymi dziąsłami gryzę ten chleb. Nie wiem, gdzie jest moja proteza. Patrzę na ulice Tel Awiwu.

Arabski chłopiec z wózkiem, na wózku stare meble. Albo stylizowane na stare, piętrzą się nogi z giętego drewna i pasiaste obicia foteli i kanap.

Już go tutaj widziałem. Nic się nie zmienia.

Samochody. Żółty fiat, biały peugeot, żółty mercedes. Prawie słyszę ich klaksony.

Pod kioskiem z gazetami pobożny Żyd w czarnym chałacie pali papierosa, czeka na coś. Podobny do Nauma Bernsztajna, jego ciało podzielone jak kogut na kaparot. Mija go dziewczyna w zielonym mundurze, na plecach ma czarny karabin. Jasne włosy.

Nie wiem, czy jest ładna, czy nie, odwrócona jest plecami. Prawie widzę, jak kołysze biodrami. Prawie widzę, jak idzie.

Cisza. Okno nie przepuszcza żadnych dźwięków.

– Ja nic nie pamiętam, nie wiem, co było potem, nic.

– Długo będziesz udawał, że nie wiesz, kim jestem? – pyta.

Siedzi obok mnie, na krześle. Jest stara, bardzo stara.

– Przypomniałam sobie, o jaką Magdę ci chodziło. Magda Aszer, prawda? Była taka dziewczyna, dość ładna. Spałeś z nią nawet, jak ze wszystkimi ładnymi dziewczynami w naszej dzielnicy. Wymyśliłeś sobie, że ten biedny chłopiec, którego zabiłeś, spotykał się z Magdą Aszer, tak? Że z nią zrobił swoją aliję?

Nie słucham. Nie odpowiadam na to.

– Idiota… – prycha.

– Kiedy wyjechaliśmy z Warszawy? – pytam.

Patrzy na mnie, jej stalowe oczy są jak wyloty luf. Jakby miała coś powiedzieć. Ale nie mówi. Wzrusza tylko ramionami, odwraca się. Wkłada

do lodówki bryłę żółtego sera, salceson owinięty niestarannie w przetłuszczony papier. Czerstwiejący bochenek chowa do chlebaka.

Patrzę na gruby plik kartek obok maszyny. Skończyłem pisać.

To, co jest dalej, nie powinno zostać napisane.

– Nie wiem, jak dotarliśmy do Tel Awiwu… – mówię drżącym głosem.

Patrzy na mnie. Ciągle mam szerokie plecy boksera, chociaż reszta mi sflaczała jak u starego sępa, łysa głowa, obwisłe podgardle, pokryte wątrobowymi plamami dłonie. Na prawej ledwie już widoczne hebrajskie litery: תומ, mem, waw, waw i taw, śmierć, śmierć, śmierć, śmierć.

– Wymyśliłeś sobie, że jesteś kimś innym i gdzieś indziej, prawda?

Arabski chłopiec z wózkiem, na wózku stare meble. Albo stylizowane na stare, piętrzą się nogi z giętego drewna i pasiaste obicia foteli i kanap. Wycięta z gazety fotografia oprawiona w ramkę od świętego obrazka, zawieszona na ścianie.

– Jesteś Jakub Szapiro. I jesteś tutaj. Masz osiemdziesiąt osiem lat. I jesteś tu ze mną.

Nagle wiem. Cały czas wiedziałem, ale teraz wiem nagle, jakby ktoś zapalił światło w ciemnym pokoju, i nagle widzę wszystko, o czym tylko wiedziałem.

Ryfka. To ona. Dlaczego Ryfka? Gdzie jest Emilia? Patrzę w ścianę.

Ryfka wstaje, postękując, rozsuwa zakurzone zasłony. Mieszkamy wysoko, na ósmym piętrze. Szare bloki, domki, duży staw. Po stawie pływają kaczki. Przy ulicy parkuje kilka samochodów. Dwa małe fiaty, stara warszawa, škoda. Pastelowe kolory. Dalej jakieś drzewa, jakiś kościół.

Na staw tutejsi mówią „Maroko”. To wiem. W bloku mieszkają głównie górnicy, mówią dziwnie po polsku, jakby jakimś slangiem, czasem słyszę to przez drzwi, ale ich nie spotykam, od dziesięciu lat nie wyszedłem z tego mieszkania.

– Nie jesteśmy w Tel Awiwie – mówię, nie wiem po co.

– Byłeś królem Warszawy. Dwa lata.

Wiem, że byłem, dwadzieścia trzy miesiące królowania, a jednak nic nie pamiętam.

– A potem…?

– No a jak myślisz?

Potem jest czarna dziura. Nic. Pustka.

– Emilia była za słaba. Na getto. Panieneczka. Nie miała szans.

– Zamknij się… – szepczę, chociaż chciałbym krzyczeć.

– Sam się zamknij, Jakub. Za długo milczałam. Całe to pierdolone, polskie życie milczałam. Bawiłam się w twój cyrk. Miałeś polskie papiery, pamiętasz?

Nic nie pamiętam.

– Nie chcesz pamiętać. Ale byłeś zbyt znany, wielki Jakub Szapiro, panisko, trzeba było uciec z Warszawy, ale na to byłeś zbyt pyszny. Donieśli na ciebie i wylądowałeś w getcie jak wszyscy. Pamiętasz getto?

Nic nie pamiętam.

– Wielki urka Jakub Szapiro w policyjnej czapce, z opaską Jüdischer Ordnungsdienst na ramieniu. Spasiony, pijany wieprz z pałką przy pasie. Pamiętasz?

Nic nie pamiętam. Z trudnością unoszę dłonie, zatykam uszy. Ale wszystko słyszę.

– Pamiętasz, pamiętasz. Tylko udajesz, że nie. To ja nas wyciągnęłam z getta, ja! O tym też zapomniałeś?

– Milcz, proszę, milcz… – szepczę.

– Nie będę milczała. Za długo milczałam. To ja nas uratowałam, skurwysynu. Ty byłeś na to zbyt pijany. I za gruby. Gnuśny. Wzięłam resztę twoich pieniędzy i wykupiłam nam wyjście. Pamiętasz? W czterdziestym drugim, jeszcze przed Grossaktion.

Nagle pojawia się myśl, straszna myśl, wybucha mi w głowie, pali, pulsuje oślepiającym, białym światłem.

– Gdzie są chłopcy…? – pytam.

Ryfka zaczyna się śmiać.

– A gdzie mają kurwa być? – krzyczy. – Tam gdzie wszyscy!

Dlaczego ja żyję? Dlaczego ona żyje? Nie przestaję zatykać uszu dłońmi, ale przecież wszystko słyszę.

– Nie chciałam ich. Nie chciałam Emilii. Chciałam tylko ciebie. I tylko na nas dwoje starczyło pieniędzy i złota, rozumiesz? Oni zostali.

Daniel. Dawid. Pamiętam ich małe ciała. Białe palące światło wybucha mi pod czaszką, spływa do brzucha, skręca wnętrzności. Daniel. Dawid.

Jesteśmy na plaży nad Wisłą. Nie wiem, który jest rok. Mają może siedem, może osiem lat. Stoją po kolana w wodzie, skąpani w ostrym, lipcowym słońcu, jest gorąco. Chlapią się, krzyczą, parskają. Leżę na plecach, na ręczniku, czuję, jak na mojej skórze wysychają krople wody. Daniel biegnie do mnie, krzyczy „tata!" i rzuca się na mnie, mokry i zimny i leży na mnie, taki mokry i zimny, gęsia skórka podnosi przeźroczyste włoski na jego ciele, jego cieniutkie ramiona mogę objąć palcami jednej dłoni, Daniel tuli się, ja głaszczę go po mokrych włosach. Zazdrosny o ojcowską miłość Dawid przybiega po chwili, jego też tulę, ich skóra dotyka mojej skóry, obaj leżą na mnie, potem zaczynamy się wygłupiać, chłopcy próbują mnie pokonać, siadają mi na rękach i krzyczą, że mam się poddać, poddaję się, jestem pokonany. Nigdy nikogo tak nie kochałem i nie będę kochał, ani wcześniej, ani później, kocham ich miłością, która mogła ich uratować, ale nie uratowała.

* * *

Moryc zostawił bilety na lot do Salonik dla Jakuba i Emilii u Ryfki i pojechał do swojego skromnego mieszkania, gdzie czekała nań Zosia. Pokazał jej bilety. Długo trzymała je w dłoni, studiowała tak, jak pobożny Żyd studiuje Torę.

– Jedziemy – powiedziała w końcu. – Jedziemy.

Objęła go. Pocałowała. Poszli do łóżka i kochali się, myśląc o nowym życiu, potem leżeli, paląc papierosy, potem wyszli z łóżka i nie ubierając się, nago zjedli kolację, potem wrócili do łóżka i znowu się kochali. Bilety leżały na nocnym stoliku, a oni przytuleni rozmawiali.

Rozmawiali przyciszonymi głosami, jakby to była tajemnica, mówili sobie wszystko, co wiedzieli i co im się wydawało, że wiedzą o życiu w Palestynie, mówili o tym, spodziewając się trudu, ale przede wszystkim pełni nadziei. Mówili o dzieciach, które im się urodzą, już tam.

Zosia była niezwykle podniecona wizją lotu aeroplanem i wypytywała Moryca, czy wie, którym polecą. Moryc odpowiadał, że chyba lockheedem electrą, ale nie był pewien.

Potem, wtuleni w siebie, zasnęli, a potem obudził ich trzask wyważanych drzwi.

Moryc obudził się o pół sekundy za późno. Sięgnął po broń, chwycił, nie zdążył strzelić, bo dwie kule z astry Andrzeja Ziembińskiego uderzyły go w pierś, a jedna w czoło. Ta, która uderzyła w czoło, podobnie jak poprzednie kalibru 7,65 mm, zniszczyła płaty czołowe mózgu Moryca Szapiry i już nie było Moryca Szapiry, i Moryc Szapiro nawet nie wiedział, co się stało, ostatnie, co czuł, to strach, a strach nie jest wiedzą, jest odruchem ciała. Kiedy zaś nie było już Moryca Szapiry, to jakby go nigdy nie było. Pozostali ci, co o nim pamiętali, i ja o nim pamiętam, o bracie moim Morycu, ale moja pamięć o Morycu jest mną, nie Morycem. Moryc był, ale zniknął, a kiedy zniknął, to zniknął w ogóle. Jakby go nigdy nie było. Nic nie zostało, tylko ciało, a ciało też zniknie, niedługo, zaczęło znikać, kiedy umarło, bo ciało jest porządkiem materii, nie materią, i porządek ten kończy się ze śmiercią. Z niczego do niczego.

Zosia wrzeszczała, ale niedługo, bo czwarta kula uderzyła w jej czoło i Zosia również zniknęła w ułamku sekundy, zanim tak naprawdę zrozumiała, co się stało, co się dzieje i dlaczego nie poleci samolotem do Salonik. I już nie było Zosi Beylin, która nie zdążyła zostać Zosią Szapiro, ani przybrać nowego nazwiska i imienia w Palestynie.

– Andrzej, nie mówiłeś, że dziewczynę też… Taka piękna… – powiedział cicho jeden z ludzi Ziembińskiego.

Miał imię i nazwisko i swoją historię, ale to nieważne. Ważne, że od chwili, w której zabili Zosię Szapiro, już nigdy nie przestał o niej myśleć i myślał o niej jeszcze przez kilkadziesiąt lat, a potem umarł.

– Mogła nie drzeć mordy. Zwijamy się – odparł Ziembiński, przyglądając się ciałom. Czuł satysfakcję, palącą satysfakcję z dopełnionej zemsty. Podszedł do nocnego stolika, wziął bilety, przyjrzał się im, schował do kieszeni.

Wyszli.

A ja spałem. Spałem cały dzień, spałem, kiedy zabijali mojego brata, spałem złym snem. I obudziła mnie dopiero Ryfka.

– Moryc nie żyje – powiedziała po prostu.

Patrzyłem na nią, nie rozumiejąc, a potem zrozumiałem.

– Jak...? – wykrztusiłem w końcu.

– Ziembiński. Zosia też. Zastrzeleni. Dzisiaj rano.

– A ja spałem...

– Spałeś – odpowiedziała bez cienia litości. – Jest tu ta twoja polska kurwa. Przyszła godzinę po tobie, na kacu, ledwie żywa. Śpi. Stary Ziembiński się zastrzelił.

Usiadłem na łóżku i tak siedziałem, zgarbiony, w kalesonach i podkoszulku, patrzyłem na nią i czułem, jak te słowa we mnie się zapadają, jak żłobią we mnie głębokie korytarze. Moryc. Zosia. Nie żyją. Bilety. Palestyna. Nie polecą. Ziembiński. Bolała mnie szczęka i gardło, miałem zapchany nos.

Pamiętam, że wstałem, wstałem, ale jakbym to nie ja wstał, jakby to wstał ktoś inny.

Wstał, ja wstałem, Jakub wstał, milczał cały czas, wciągnął spodnie, zarzucił na ramiona szelki, wzuł buty.

Moryc. Nie żyje.

– Muszę zatelefonować – powiedział głosem, jakiego nigdy odeń nie słyszała, jakby pozbawionym życia.

Poszedł do pustego salonu, podniósł słuchawkę, zadzwonił do Francuskiego, poprosił o zawołanie Emilii do telefonu. Zaczekał, przyciskając słuchawkę do ucha, wsłuchując się w szum, a w czaszce pulsowało mu białe, rozpalone światło. Ryfka podała mu aspirynę i szklankę wody.

– Emilia? Spakuj siebie i chłopców. Przyjadę po was. Tak. Jedziemy na lotnisko. Tak. Masz pieniądze z kamienicy? Tak. Wylatujemy jutro nad ranem, do Salonik. Nie mów chłopcom, bo będą histerie. Przeczekamy noc na lotnisku. Nie. Nie, Emilia. Moryc nie żyje. Wiem. Nie mam na to czasu. Trudno. Tak. Przyjadę po was.

Odłożył słuchawkę. Jest nadzieja.

– Tak po prostu wyjedziesz? – zapytała. – Do Palestyny? I kim tam będziesz? Zwykłym Żydkiem? Sklepikarzem zostaniesz?

– Pierdol się.

– Musisz znaleźć Ziembińskiego. Musisz go zabić.

– Nic nie muszę. Nie chcę już nikogo zabijać. Przynajmniej nie w tym mieście. Muszę z tego przeklętego miasta wyjechać. I zabrać chłopców. Daleko stąd. Daleko od Polski. Tam, gdzie Polski nie ma i nie będzie.

– I pozwolisz, żeby mu to tak po prostu uszło płazem?

– Ryfka, masz pistolet?

– Mam.

– To idź i go zabij sama. Ty też potrafisz pociągnąć za spust.

– To był twój brat.

– Już go nie ma. Do żywych go nie przywrócę.

– Zmów nad jego grobem kadisz. I zabij Ziembińskiego.

– Mam w dupie kadisz, Ryfka. Niech rabin zmawia, jak chce. Boga nie ma. Nic nie ma. Żadne czary nie wrócą Morycowi życia. Nie ma Moryca.

Byłem spokojny, Jakub był zupełnie spokojny, nie podnosił głosu, mówił bezbarwnie, jak radiowy spiker.

– Masz czyste koszule? – zapytał.

Miała kilka w szafie, zawsze gotowe, gdyby potrzebował, w dwóch różnych rozmiarach. Dla Jakuba i dla Kaplicy.

– Chcesz niebieską, białą czy w prążek?

– Obojętnie.

Spojrzała na jego garnitur, na wiszące w szafie krawaty, podała mu niebieską i bordowy, włoski krawat. Przez chwilę poczuła się normalnie, jakby wszystko było jak zwykle. Ubrał się, zawiązał krawat. Garnitur, szary, z angielskiej gabardyny miał nieco wymięty, ale już na to nie zważał. W Palestynie i tak będzie potrzebował innych ciuchów. Moryc mówił, że tam nikt nie chodzi w garniturach, spodnie i koszula wystarczą. Tylko gdzie wtedy pistolet schować? Można w kieszeń spodni, ale niewygodnie.

Moryc. Nie żyje. Moryca nie ma. Jakub nic nie czuje.

– Wues vet zaan myt ijo?[34] – zapytała Ryfka po chwili.

Poczuł coś po raz pierwszy od przebudzenia.

Pomyślał o niej, o tym, jak smakuje jej skóra i jak w nią wchodzi i jak ją wypełnia.

Moryc. Nie żyje.

Bilety. Palestyna.

– Wus'y myt ijo?[35] – odparł bezbarwnie.

– Przecież ty się w niej zakochałeś, Jakub. Przecież ja to wiem. Czy ty myślisz, że ja jestem ślepa? Myślisz, że dlaczego ją przyjęłam tutaj, do siebie? Dla ciebie.

Patrzył na nią, spokojny, jakby odcięty od rzeczywistości, patrzył i milczał. Wytrzymała to milczenie.

– No i...? – zapytał w końcu.

– Zostawisz ją? Zostawisz ją, żeby wyjechać do Palestyny?

– Ty mnie pytasz, Ryfka, czy ja potrafię być mężczyzną? Ty wiesz najlepiej, Ryfka, że ja potrafię być mężczyzną. In wi azo ken ach zaan a mancbyl![36]

Nie odpowiedziała. Wiedziała, że ma rację. Wiedziała, że potrafi i jak potrafi. Zrozumiała, że wymknęła się jej ostatnia szansa zatrzymania go tutaj, przy niej, nawet z jego Emilią i dziećmi. Wiedziała już, że wyjedzie. Że zniknie z jej życia. A ona nie może pojechać za nim. Nie może zostawić Warszawy.

– Nie chcesz jej zobaczyć? – zapytała, czując się tak, jakby sama wydzierała sobie flaki z brzucha. Butelka wina, którą chciał jej kiedyś włożyć w dupę klient, za którego siedziała potem na Serbii, wydała się jej nagle niczym szczególnym w porównaniu z tym, co działo się z nią teraz. Tamtego frajera zadźgała nożem. Jakubowi nie zrobi nic złego. Nie potrafi. Chciałaby, ale nie potrafi.

Ale trafiła celnie.

– Gdzie ona jest?

– W pokoju Kaśki. Śpi.

Poszedł do niej. Rzeczywiście spała, zwinięta w dziwny kłębek, naga i tylko do pasa przykryta kołdrą – jej biała skóra, jej rozrzucone, potargane włosy, jej długie palce, jej szczupłe ciało... Chciał położyć się obok niej. Rozebrać się. Pocałować ją w szyję, tak jak lubiła najbardziej, lizać ją, całować, a potem przygnieść ją całym swoim ciężarem, wbić się w nią, włożyć jej palce do ust...

Odwrócił się, wyszedł z pokoju, cicho zamknął za sobą drzwi. Ryfka stała w salonie.

– Idziesz? – zapytała.

Wzruszył ramionami, wyszedł na klatkę, zbiegł po schodach, zostawiając ją za sobą, jakby zniknęła, jakby jej nigdy nie było.

Pomyślał o tym, jak byli w Berlinie. O tym, że mogli wyjechać do Nowego Jorku, miał tam nawet jakiś punkt zaczepienia, przez Radziwiłka, który utrzymywał kontakty z Meyerem Lanskym, Lansky zaś szukał mocnych Żydów, Jakub byłby idealny, bo bez znajomości, zdany tylko na niego, więc absolutnie lojalny. Miałby więc pracę taką samą jak w Warszawie, tak samo piękne samochody i garnitury. Mógłby nawet boksować. Może mógłby tylko boksować? Jeszcze parę lat dałby radę. Języka jakoś by się nauczył.

Zresztą język nie był w jego fachu najważniejszy. Można i bez języka, wystarczą pięści i śmiałość.

Nie ma Nowego Jorku. Jest Palestyna. Dobre i to. Byle dalej od Warszawy, byle dalej od tego przeklętego, stęchłego, śmierdzącego błotem, gównem, czosnkiem i kadzidłem miasta. Byle dalej.

Wyszedł na ulicę, wsiadł do buicka, spojrzał na zegarek. Miał jeszcze sporo czasu. Zdziwiony odkrył, że nagle odzyskał oddech, jakby zniknęły papierosy, zażyta kokaina, wypity alkohol. Nowe życie. Życie nowe.

Wtedy w ulicę Piusa XI wjechał czerwony chrysler Kaplicy. Za kierownicą siedział Pantaleon. Jakub wyskoczył ze swojego samochodu, podbiegł.

Pantaleon zgasił silnik, wysiadł. Sam też sprawiał wrażenie zgaszonego, jakby pozbawionego paliwa, które do tej pory go napędzało.

– Kum nie żyje, panie Jakubie – powiedział.

Jakub zauważył, ja zauważyłem ciało Kaplicy na tylnym siedzeniu samochodu. Spod Pantaleonowego płaszcza wystawały nagie, brudne stopy.

– Wydali mi go, jak tylko zajechałem. Jechałem bez przerwy. Był już ledwie żywy. Chciałem wieźć do szpitala, ale kazał jechać do Warszawy.

– Jechałeś tam i z powrotem bez noclegu?

– Spałem, wtedy mój brat czuwał i patrzał na drogę moimi oczyma.

– Wziąłeś coś?

– Odrobinkę wódki na wzmocnienie i proszek, żeby nie spać. Kum nagrał dla pana wiadomość na dictaphone, panie Jakubie.

– Co…? – nie zrozumiał.

– Na tę maszynę diabelską, panie Jakubie, do zapisywania głosów. Pan widział. W aucie. Niech pan posłucha.

Szapiro wsiadł do chryslera. W środku potwornie śmierdziało gównem. Na tylnej, głównej kanapie leżały zwłoki Kaplicy, Jakub rozłożył więc straponten, usiadł.

– Całą drogę jechałeś w tym smrodzie?

– Smród zawsze można wytrzymać, dobry Pan Bóg dał człowiekowi tę siłę, panie Jakubie. Smród to nic. Smród nie rana, smród nie choroba, smród nie rozpacz. Można wytrzymać.

Walec woskowy był już założony na dictaphone. Jakub ściągnął z uchwytu bakelitowy lejek, służący jednocześnie jako mikrofon i słuchawka, przesunął igłę na początek walca, przestawił przełącznik z „DICTATE” na „LISTEN”, załączył prąd.

– Nikt mnie nigdy nie zapisywał, ale teraz mogę mówić i będę na tej maszynie zapisany. Nazywam się Jakub Szapiro, jestem warszawskim pięściarzem, mam trzydzieści siedem lat, urodziłem się dwunastego maja tysiąc dziewięćsetnego roku w Warszawie i mieszkam tu całe długie życie. Matka moja na imię miała Dora, ojciec nazywał się Jankiew… – maszyna odezwała się własnym głosem Jakuba i urwała, zaszumiała.

Przypomniałem sobie, jak to nagrywaliśmy, jadąc z Kaplicą po walce do Metropolu, tak niedawno, Munja prowadził, pobiłem tam potem w barze dziennikarza Singera, przyglądał się temu Sokoliński, potem pojechaliśmy do Ryfki, jak zawsze, Kum, Munja i ja.

– Kubusiu, to ja, Kum – w głośniku rozległ się głos Kaplicy, słaby i szeleszczący. – Kiedy tego słuchać będziesz, ja już żył nie będę, taki głos z zaświatów, niczym duch. Ja umieram. Jestem słaby i umieram. Byłem złym człowiekiem. Wielkim grzesznikiem. Skrzywdziłem wielu ludzi. Ale teraz twoja kolej. Będziesz królem tego miasta, ale pamiętaj…

Jakub wyłączył dictaphone.

– Kum jeszcze mówił dalej – powiedział Pantaleon.

– Nie potrzebuję tego dalej słuchać. Musimy go wnieść do Ryfki. Potem musisz schować nasze auta.

– Tak jest, panie szefie.

– Nie jestem twoim szefem, Pantaleon. Już nie. Jutro rano już mnie nie ma. Lecę do Palestyny.

– Tak jest, panie szefie.

Pantaleon ściągnął z Kaplicy swój płaszcz, rozłożył na chodniku, potem bez wysiłku wyciągnął ciało Kuma z chryslera i położył na płaszczu. Jakub zauważył owinięty brudnym bandażem kikut ramienia. Oto jak upadają królestwa i jak kończą królowie.

Na płaszczu wnieśli ciało Kaplicy pod Ryfkowe drzwi, Jakub zapukał, Ryfka otworzyła po chwili, nie zdejmując jednak łańcuszka.

– Ty jeszcze? – zdziwiła się. Miała go już nigdy nie zobaczyć, tymczasem ujrzała go ponownie po kwadransie, jakby byli nastoletnimi kochankami, którzy w ciągu dnia trzy razy mogą na zmianę zrywać i ślubować sobie miłość po grób.

– Otwórz – polecił Jakub.

Otworzyła. Ujrzała ciało Kuma. Zrozumiała.

– No tak i wrócił Kum z Berezy… Wnieście go.

Wnieśli.

– Połóżcie tutaj, chcę mu się przyjrzeć.

Stanęła nad trupem i przypomniała sobie, jak zabrał ją, dwunastoletnią, z łódzkiej ulicy, jak zamknął ją, dwunastoletnią, w pokoiku na Kole, jak przychodził do niej, dwunastoletniej i co jej dwunastoletniej robił, jak oddał ją potem do burdelu.

– I tak tu leżysz, a ja stoję, skurwysynu, i na to ci przyszło.

Splunęła, plwocina spadła na brudną, martwą twarz Kuma. Pantaleon przeżegnał się nabożnie, jakby to nie ślina Ryfki, tylko święcona woda z księżego kropidła pobłogosławiła trupa Kaplicy.

– Zabierzcie go do któregoś pokoju – poleciła Ryfka.

Zabrali.

Jakub spojrzał na zegarek. Jeszcze jest czas.

– Pantaleon, musisz zabić Radziwiłka – powiedział.

– Tak jest, panie szefie.

– Znajdziesz go?

– Jak pan każesz, to znajdę.

– Ryfka, zadzwoń do niego, powiedz, że masz dla niego pieniądze za narkotyki. Zrób tak, żeby przyszedł osobiście.

– On nie jest głupi, Jakub. Wyśle Tiutczewa albo Munję, albo jeszcze lepiej jakiegoś łatka bez butów.

Przyznał jej rację. Bo miała rację. Pantaleon przekręcił siedem razy bębnem nagana, sprawdzając, czy wszystkie komory są załadowane, na co Jakub rozbawiony aż się roześmiał i czuł, że drwi ze sprawdzającego broń kamrata po raz ostatni. Karpiński wziął jeszcze z Ryfkowej kuchni wielki, rzeźnicki nóż, kluczyki do chryslera i wyszedł.

Ruszył w nocne miasto. Diabeł brat szeptał swoje, ale Pantaleon nie słuchał. Był zmęczony i jednocześnie pobudzony kokainą, drogą i głosem diabła brata i podniecony wizją tego, co musi uczynić.

Na górze Jakub przytulił Ryfkę. Niezgrabnie, niezręcznie, ona też nie chciała, by ją tulił, nie oddała uścisku.

– Będziesz miała spokój. Pantaleon go znajdzie i zabije.

– Powinieneś pójść tam z nim.

– Ja już mam dość zabijania. Pantaleon da sobie radę.

Wyswobodziła się z jego ramion. Nie chciała.

– No i co potem?

– Pantaleon zostanie. Zajmie miejsce Kuma.

– Wiesz lepiej ode mnie, że Pantaleon nie zajmie miejsca Kuma. Ty mógłbyś. On nie. Przyjdzie ktoś inny na jego miejsce. Pantaleon się podporządkuje każdemu, kto będzie miał dość siły. Nie daj Bóg, Polak jakiś.

– Kum też Polak.

– Jaki tam z Kuma Polak. Normalny człowiek, jak my.

Jakub pomyślał o nieuchronnej przemocy. Pantaleon zabije Radziwiłka. Radziwiłek zabije Pantaleona. Krew pocieknie. Litani będzie śpiewał, szczęśliwy, i przyglądał się ludziom w tej pieśni.

Wtedy do salonu weszła Anna, zaspana, owinięta w nie swój, za to bardzo nieskromny peniuar, w którym Jakub i Ryfka od razu rozpoznali jeden z roboczych strojów Kasi.

– Jakbyś pracy szukała, to ja mam zajęcie dla ciebie – Ryfka powiedziała to z wyraźnie słyszalną satysfakcją.

Anna wzruszyła ramionami, podeszła do Jakuba siedzącego przy barze. Położyła mu rękę na plecach.

– Zabierz mnie stąd. Pojedźmy gdzieś. Proszę.

Szapiro spojrzał na zegarek.

– Za osiem godzin wylatuję z Okęcia. Lecę do Palestyny i nigdy tu nie wrócę. Więc nie mogę cię nigdzie zabrać.

Zmarszczyła nos, jakby miała się rozpłakać, ale się nie rozpłakała.

– Wystarczy. Zabierz mnie stąd.

Jakub popatrzył na Ryfkę. Ryfka odwróciła się doń plecami. Nie chciała, by widział, że płacze. Jakub podszedł do niej, świadomy, że teraz naprawdę widzi ją po raz ostatni. Położył jej rękę na ramieniu.

– Żegnaj, Ryfka. Zawsze będę cię kochał i pamiętał – szepnął i zawstydził się sam swoimi słowami, aż skręciło mu flaki od ich ckliwego brzmienia. Tak bardzo chciał coś powiedzieć, że powiedział to, co było najgłupsze do powiedzenia.

– Pierdol się, Jakub. Przeklinam ciebie, twoją żydowską żonę, twoje żydowskie dzieci, twoją polską kurwę, twoją zasraną Palestynę i pamięć twojego brata. Przeklinam cię.

Odwrócił się, wziął Annę za rękę, wyszli. Przekleństwo zawisło nad jego, nad moją głową, nad moją głową, na wieki wieków, na zawsze, na nigdy. Przeklinam ciebie, twoją żydowską żonę, twoje żydowskie dzieci, twoją polską kurwę. Na wieki wieków. Białe, palące, pulsujące światło w głowie, pali się, jakby miało przepalić się przez czaszkę, przez skórę i włosy, jakbym miał zniknąć, spłonąć w tym białym płomieniu.

Za oknami, nad ulicą Piusa XI Litani przewalał się w powietrzu, podniecony i niespokojny. Śpiewał.

Andrzej Ziembiński wyszedł z mieszkania Moryca zadowolony i szczęśliwy, ale czuł, że jeszcze mu nie dość. Wsiadł do swojego mastera,

pojechał pić do Oazy, pił długo, rozmawiał z kurwami, z jedną poszedł w końcu do pokoju na godziny, ale wypił tyle, że mu nie stanął, więc po prostu leżeli przytuleni, a prostytutka opowiadała mu banalną historię własnego życia, nie szczędząc dramatycznych detali swoich lumpenproletariackich perypetii i szczegółów rodzinnych koligacji wszystkich Hań, Kaś, Stasiów, Janków i Krzysztofów, całej tej ludzkiej mierzwy, której historie nie interesowały nawet ulicznych grajków, śpiewających ballady o miłości Jakuba i Ryfki. W końcu, znużony, zasnął.

Nikt nie śpiewał ballad o pułkowniku Kocu. Pułkownik Koc nie był ciekawym człowiekiem i tymczasem myślał o tym właśnie, o tym, jakże jest nieinteresującym, nudnym, pozbawionym charyzmy służbistą. Myślał o tym, jadąc na spotkanie z marszałkiem, wezwany doń w trybie pilnym. Był smutny. Ale ciągle miał nadzieję, że nowa Polska, jaką z marszałkiem chciał stworzyć, da mu nadzieję na lepsze życie. Na prawdziwsze życie. Które chciał całe poświęcić jej chwale.

Stawił się w pałacu, wyantyszambrował swoje, pełen rosnących obaw, w końcu go poproszono, wszedł, strzelił obcasami, stanął na baczność. Obok marszałka na spotkaniu obecny był również premier, którego widokiem Koc był cokolwiek zaskoczony. Nie poproszono, by usiadł.

– No, kogo ja widzę – warknął marszałek.

Koc nerwowo pociągnął nosem. Premier Składkowski milczał.

– Ja tu się dowiaduję od pana premiera, że ktoś tu chce zamachy robić! Ktokolwiek kolportuje te plotki, pułkowniku, zasługuje na proces o zdradę stanu! Mam nadzieję, że to nie ma z panem nic wspólnego! – wrzasnął Rydz.

Koc szybko pozbierał myśli.

– Panie marszałku, ja nigdy…

– Milczeć, pułkowniku! Pan jesteś za to odpowiedzialny! Moralnie i prawnie, i w ogóle, i przed ojczyzną, i no…! Odpowiedzialny!

– Tak jest!

– Pan zrezygnujesz z przewodzenia Ozonowi! Pan się do tego nadajesz jak gówno na kolację! I koniec układów z Falangą, z tymi gówniarzami! Czy to jasne?

– Tak jest! – wykrzykiwał Koc i czuł, jakby nawet z odległości paru metrów jego twarzy dosięgały kropelki śliny, obficie wydobywające się z ust marszałka przy każdym wrzasku.

Premier Składkowski wstał.

– Czy to prawda, że w Golędzinowie odbywają się ćwiczenia tych opryszków?

– Melduję posłusznie, panie generale, że to nieprawda! – ryknął Koc, zastanawiając się, jakim cudem to pytanie zadaje mu premier, będący jednocześnie ministrem spraw wewnętrznych, a więc zwierzchnik Policji Państwowej, w której gestii znajdowały się golędzinowskie koszary.

– Odmaszerować – warknął Rydz.

Koc wyszedł z gabinetu marszałka i poczuł czystą, skondensowaną nienawiść, nienawiść najgorszego rodzaju, bo bezsilną.

W sekundę po tym drzwi od gabinetu marszałka uchyliły się i Rydz wyjrzał przez nie, po czym wyszedł na korytarz.

– Co to ma być, do kurwy nędzy? – warknął cicho. – Sławoj przychodzi do mnie z naszą listą proskrypcyjną?

– Przepraszam, panie marszałku.

– Nie przepraszaj mi tutaj, tylko dopilnuj, do kurwy nędzy, żeby zrobili tam porządek i zwinęli ich do Berezy raz dwa.

– Falangistów...?

– Nie, księży proboszczów. Oczywiście, kurwa, że falangistów.

– Wszystkich?

– A ilu ich tam?

– Stu pięćdziesięciu.

– Nie, z trzydziestu zamknij, to reszta ze strachu się pochowa.

– Ale przecież to będzie musiało przez ministerstwo przejść...

– A chuja tam będzie musiało. Zadzwoń do Biernackiego, powiedz, że wyślemy transport, a potem jedź do Golędzinowa i każ policjantom aresztować tych gnojków, wsadź wszystkich w jakiś autobus pod eskortą i przez Biernackiego zleć, żeby Kamala ich parę miesięcy potrzymał.

– Żadnych papierów?

– Żadnych, żadnych dokumentów, śladu ma nie być.

– Tak jest. Piasecki też?

– Nie, Piaseckiego zostaw. Po co mają mordy sobie o niego rozdzierać.

– Tak jest.

– No, Adaś, nie martw się, będzie dobrze – marszałek przybrał nagle łagodniejszy ton i klepnął nawet Koca w ramię. – Jak wezmę prezydenturę, to ci dam MSW i zrobimy porządek i tak. Trzeba będzie po prostu jeszcze poczekać. A w czterdziestym zaczniemy wszystko po swojemu. Co nagle, to po diable. No, dobrze?

– Tak jest.

– Odmaszerować.

Koc pojechał prosto do Golędzinowa. Myślał dużo o tym, jak za trzy lata zmieni się Polska, kiedy Rydz weźmie prezydenturę. Jak zrobią porządek. Z wszystkim. Jak się naród zjednoczy i zjednoczony ruszy w jednym kierunku, cały wysiłek obracając ku wielkości.

W Golędzinowie nie potrzebował papierów ani uprawnień. Wiedział doskonale, że w Polsce mundur, epolety i nazwisko są skuteczniejsze niż biurokracja. Policyjny sierżant po prostu nie wyobrażał sobie, jak mógłby odmówić wykonania rozkazu pułkownika Koca, który był przecież pułkownikiem Kocem, wykonał więc rozkaz bez szemrania, chociaż Koc nie miał prawa mu go wydać. Bepiści zostali aresztowani bez większego oporu, złamano tylko kilka żeber, dwa palce i wybito parę zębów.

Kiedy cztery dni później trzydziestu przestraszonych bepistów trafiło w tryby maszyny Kamali-Kurhańskiego, komendant nie był zadowolony. Wolał więźniów Żydów i komunistów. Był jednak również polskim oficerem i rozkaz konstytuował dlań obowiązek, obowiązek zaś był kwestią honoru. A że rozkazy miał jasne, wziął się więc za chłopców Piaseckiego z całym oddaniem i profesjonalizmem.

Nie minęły zresztą trzy lata, a Kamalę-Kurhańskiego aresztowało Gestapo i wysłało, jeszcze pod fałszywym nazwiskiem, do obozu w Oświęcimiu, w jednym z pierwszych transportów. W tym samym transporcie jechali do Oświęcimia komuniści, wielu z nich po paru turnusach w Berezie. Rozpoznali go już pierwszego dnia.

I rozszarpali. Niemieccy strażnicy mieli uciechę. Nic z Kamali-Kurhańskiego nie zostało, nie było nawet czego pogrzebać – rozniesiony pod paznokciami tych, których kiedyś dręczył. Nie ma w tym żadnego sensu, tak po prostu było.

Pantaleon szybko znalazł Radziwiłka. W tym też nie było sensu, ale coś takiego się po prostu wydarzyło.

Radziwiłek pił u Glajszmitki i pił jak ktoś, kto ma miasto, czyli świat u stóp. Nie zauważył przejeżdżającego Okopową Kaplicowego imperiala z Pantaleonem za kierownicą, Pantaleon zaś zauważył pochylonego nad ladą Radziwiłka w mundurze Związku Strzeleckiego, obok niego Munję i Tiutczewa. Pantaleon skręcił w Dziką i zaparkował chryslera dalej, pod Cyrkiem, czyli domem dla bezdomnych prowadzonym przez albertynów. Przypomniał sobie, jak spędził tu trzy miesiące w 1924 roku, po tym, jak uciekł z prawdziwego cyrku i jak go potem z noclegowni wyrzucili, bo złamał rękę, nos i trzy żebra zakonnikowi, który próbował wygnać zeń diabła brata za pomocą egzorcyzmów.

Uśmiechnął się do tych wspomnień.

Schował do kieszeni płaszcza rewolwer, do drugiej nóż, wysiadł, poszedł pod knajpę Glajszmitki i czekał. W knajpie nie było toalet, za potrzebą chodziło się w bramę obok i tam właśnie czekał Pantaleon, ukryty w załomie muru. Cuchnęło okrutnie, ale Pantaleonowi smród nigdy nie przeszkadzał.

Pierwszy przyszedł Munja. Gdy rozpiął spodnie i wyłuskał z kalesonów przyrodzenie, aby się wysikać, Pantaleon podszedł do niego od tyłu, lewą dłonią zasłonił mu usta, a prawą wbił nóż w nerkę, wyszarpnął, wbił znowu, wyszarpnął, wbił. Ból zadany przez ostrze penetrujące nerki, niszczące zwoje nerwów i schowane tam tętnice jest paraliżujący w sensie dosłownym, wielka dłoń Pantaleonowa na ustach Munji była tam tylko po to, by go przytrzymać. Wbitym między żebra ostrzem i lewym ramieniem Pantaleon sprowadził Munję na klęczki, po czym znowu wyszarpnął ostrze i szerokim, szybkim cięciem poderżnął mu gardło, przecinając tętnicę, żyły, przełyk i krtań, głęboko, aż ostrze zachrzęściło na kręgosłupie. I nie puszczał.

– I tak się to kończy, kamracie drogi, że to ja tobie gardło jak świni podrzynam, a nie ty moje – szepnął mu do ucha. – Takie twoje szczęście,

żeś tym cierpieniem wszystkie swoje grzechy odkupił, twoja krew cię obmyła z grzechów twoich i tak mrzesz, kamracie, niewinnym.

Kilka sekund później Munja był martwy. Pantaleon z chrześcijańskiego miłosierdzia i szacunku dla zmarłych schował przyrodzenie Munji do rozporka, zaciągnął ciało na podwórze, ukrył za drewnianym kurnikiem i wrócił do swojej kryjówki.

Nie spodziewał się, by Radziwiłek poszedł w ślady Munji, a jednak tak się stało. Doktor, nie zauważywszy zapewne zniknięcia Munji, poszedł się wysikać, jednak kiedy tylko rozpiął spodnie od munduru, poczuł większą potrzebę, więc opuścił je razem z kalesonami i kucnął z wysiłkiem, opierając się jedną ręką o mur. Pantaleon już miał ruszyć w jego kierunku, kiedy ktoś wszedł w bramę.

– Wypierdalać, sram tutaj! – wrzasnął Radziwiłek.

– Munja nie wiernułsia… – powiedział Tiutczew.

– Pewnie poszedł w dom. Won mi stąd!

Tiutczew wrócił do baru i pił dalej, samotnie, czytając swoją poezję.

Doktorowi Pantaleon nie zamierzał okazać miłosierdzia, na jakie wcześniej zdobył się wobec Munji. Pantaleon i jego diabeł brat zbyt wyraźnie pamiętali wszystkie okrucieństwa, jakich Doktor się wobec nich dopuścił.

Radziwiłek umierał długo, nieopodal ciała Munji, z ciągle opuszczonymi spodniami, których Pantaleon Doktorowi nie podniósł, bo pamiętał również o dziewczynach Ryfki i tym, co one wycierpiały z jego rąk. Na koniec pokazał żywemu jeszcze Radziwiłkowi jego oderżnięte przyrodzenie, po czym go zabił, wytarł ręce w jego mundur, zabrał mu pistolet i poszedł do Glajszmitki, do baru. Stanął obok Tiutczewa.

Ten oderwał wzrok od książki, spojrzał na Pantaleona, zauważył krew na jego ubraniu, drgnął, jakby chciał wyciągnać z kieszeni pistolet, ale zastygł, wiedział, że nie zdąży.

– Zostaw – mruknął Pantaleon. – Już po nich. Do ciebie nic nie mam.

Sam podjął decyzję, żeby Tiutczewa oszczędzić.

– Możesz być z nami.

Tiutczew pokręcił głową, zamówił herbatę i wrócił do swojej lektury.

Pantaleon uznał, że dzień na to zasługuje, pozwolił więc sobie na dwie mikadki wódki, zakąsił śledziem i poszedł do domu, nie wracając po Kaplicowego chryslera, mieszkał bowiem nieopodal, na rogu Miłej i Lubeckiego. Ze światła w mieszkaniu wniósł, iż żona jego jeszcze nie spała. Ucieszył się na tę myśl.

Niestety, powitała go wyrzutami, że nie wie, gdzie się od kilku dni podziewał, że jak za niego wychodziła, to był niepijący, a teraz ciągle śmierdzi alkoholem. Pantaleon nie miał ochoty na wyrzuty, chwycił ją więc za kark i zaciągnął do kuchni, położył na stole, po czym, trochę pijany, zabrał się za rozpinanie paska.

Żona Pantaleona Karpińskiego wiedziała, co ją czeka. Bicie, ciężkie, długie bicie do krwi, do popękanej skóry, aż się zasapie. Potem być może, co gorsza, zbierze mu się jeszcze na bolesne dla niej amory.

Wyprostowała się, spojrzała na niego.

– Kiedyś matka mówiła, że jaki byś nie był, to przynajmniej nie pijesz. A teraz jesteś już taki sam pijak jak każdy inny.

Pantaleon nie słuchał, co mówi, bo słuchanie kobiet wydawało mu się czymś głupszym nawet od słuchania śpiewu ptaków. Żona Pantaleona Karpińskiego chwyciła więc nóż kuchenny i wbiła go Pantaleonowi w gardło, i trafiła całkiem celnie.

Kiedy patrzył, stojąc jeszcze i trzymając się za to gardło obiema rękami, na rosnącą na podłodze kałużę krwi, pomyślał, że jest to bez wątpienia boża sprawiedliwość, że umiera w ten sam sposób, w jaki zabił niedawno dwóch ludzi.

– Tylko diabeł nas osądzi – wycharczał jego ustami diabeł brat, po czym Pantaleon umarł.

Gdy padł twarzą do ziemi, żona Pantaleona Karpińskiego rozsunęła mu długie włosy spływające z ciemienia na twarz diabła brata. Poruszał ślepymi ustami. Wbiła w nie nóż, raz, drugi, długo dźgała w twarz diabła brata na potylicy Pantaleona Karpińskiego, aby się upewnić, że obaj nie żyją. Potem uspokoiła się, obmyła z krwi i przetrząsnęła mu kieszenie w poszukiwaniu portfela. Gdy go znalazła, uradowała się obfitą zawartością i ruszyła w miasto, uczcić tę niezwykłą noc, przypomnieć

sobie przedwojenne czasy, w których była piękna i młoda, a mężczyźni patrzyli na nią łakomie.

Czasów sobie i tak nie przypomniała, bo było to dawno i nie całkiem prawda, ale co się zabawiła po raz ostatni, to tylko jej i tych, którym Pantaleonowymi pieniędzmi obficie płaciła. Znalazł się nawet amator jej sześćdziesięcioletniego, otyłego ciała, który sprawił jej sporo rozkoszy na ławeczce w ustronnym miejscu skweru na placu Muranowskim.

Potem, nad ranem, chwiejnym krokiem wracała Miłą do mieszkania, gdzie ciągle leżał Pantaleon, tak spokojnie jak tylko umarli potrafią. Na Miłej o tej porze wystawały już tylko typki nawet nie tyle podejrzane, co w oczywisty sposób występne, ale Pantaleonowa Karpińska uważała się za nietykalną, przynajmniej póki w dzielnicy nie rozniesie się wieść o śmierci męża.

Nad Miłą unosił się Litani, a gdy Pantaleonowa Karpińska minęła skrzyżowanie z Zamenhofa, kaszalot o płonących oczach zanurkował między ściany kanionu czteropiętrowych kamienic, otworzył najszerzej kaszalocią paszczę, zgarnął korpulentną Pantaleonową, wessał i połknął, strawił, a potem wydalił w brązowej, rozpylonej w powietrzu chmurze odchodów, tak jak połknie i wysra nas wszystkich.

Litani patrzył też w innym miejscu, jak Anna z Jakubem wsiadają do Jakubowego buicka, jak wsiadamy, jak jedziemy do domu Ziembińskich.

– Mój ojciec się zastrzelił – mówi Anna. – A Andrzej mnie zabije.

Jakub milczy. Ja milczę. Czuję, że coś we mnie pęka, i wiem, że muszę się spieszyć, zanim to coś pęknie we mnie do końca. Wiem, że w środku mówi więcej. Wiem, że w środku, w swojej głowie mówi jeszcze: „Nie zostawiaj mnie. Zostań ze mną. Wyślij ich do Palestyny i zostań ze mną". Ale głośno tego nie powie.

Parkuję przed willą Ziembińskich, wchodzimy do środka.

– On tam dalej jest, leży na swoim biurku z przestrzeloną głową. – Anna wskazuje na schody na piętro.

Nie wiem, co mam jej powiedzieć. Że mnie nie obchodzi śmierć jej ojca? Że w zasadzie mnie cieszy? Ona też nie wygląda na wstrząśniętą. Całuje mnie, sięga do mojego rozporka, chciałbym jej odmówić, ale nie potrafię.

– Zostań ze mną – szepcze, kiedy już jestem w niej. Szepcze tak cicho, że nie mogę tego słyszeć.

Wkłada mi palce do ust.

Odrywam się od niej, zapinam spodnie. Siedzi półnaga w korytarzu na sekretarzyku, w którego szufladkach kryją się zapewne szczotki do ubrań albo pasty do obuwia, albo przybory do szycia, albo coś podobnie błahego i niepotrzebnego. Patrzy na mnie. Milczy. Nie zostawiaj mnie, mówi jej milczenie. Nie odchodź. Milczenie głośniejsze niż każdy krzyk.

Odwracam się i zaczynam iść. Chcę z nią zostać. Chcę tego bardziej niż czegokolwiek innego na świecie.

Chcę. Idę. Krok za krokiem, jakbym właśnie uczył się chodzić. Idę. Chcę zawrócić, ale już nie mogę. Już nie da się zawrócić.

Wychodzę z willi Ziembińskich. Przed willą stoi chevrolet Andrzeja Ziembińskiego, przed chevroletem stoi Ziembiński, w ręku ma pistolet.

Gdzie jest moja broń?

Mały, płaski colt, który zawsze miałem przy sobie, leży pod poduszką w pokoju u Ryfki.

Nie wziąłem broni, dlaczego nie wziąłem broni?

Duży browning jest w samochodowym schowku, obok paczuszki z pięciuset studolarowymi banknotami. Oba mają pełne magazynki, moja broń ma zawsze pełny magazynek i pustą komorę. I żadnej nie mam przy sobie.

Ziembiński patrzy na mnie, jednak nie podnosi ręki z pistoletem. Idę więc w stronę samochodu, spokojnym, ale pewnym krokiem, idę, mam tętno, jakbym właśnie zszedł z ringu po drugiej rundzie ciężkiego sparringu. Idę. Patrzy na mnie tępym wzrokiem. Mijam go, nie strzelił mi w twarz, może strzeli mi w plecy, ale nie strzela. Po prostu go mijam.

– Zastrzeliłem twojego brata. I jego kurwę. A teraz zastrzelę twoją kurwę – mówi zza moich pleców, ale nie strzela. Nie odwracam się.

Wsiadam do samochodu.

Ziembiński nie patrzy na mnie. Idzie do domu.

Mogę sięgnąć po pistolet, do schowka. Wysiąść i zastrzelić go, zanim do niej wejdzie.

Mam na to trzy sekundy. Zdążę. Nie chybię. Ale jeśli go zabiję, pójdę do niej. A jeśli zobaczę ją jeszcze raz, to nie pojadę na lotnisko. Zostanę z nią. Powinienem uratować jej życie i zabić jej brata, ale tego nie robię.

Załączam starter, słyszę dokładnie, jakby w zwolnionym tempie, jak obraca wałem, jak poruszają się cylindry i nagle iskra, zapala, silnik idzie. Już. Nagle wiem, że moment, w którym mogłem ją uratować, już minął. Andrzej Ziembiński wchodzi do swojego domu, w domu czeka na niego Anna.

Nie umiem odjechać. Wiem, że już za późno, już nie zdążę, powinienem jednak spróbować, może się waha, może jeszcze nie nacisnął na spust, to nie może być łatwe, strzelić do własnej siostry. Powinienem wybiec z samochodu, ruszyć do domu, zabić go.

A jednak nie chcę już zabijać. Siedzę w samochodzie.

Strzał. I drugi. Już wiem. Pozwoliłem mu na to. Pozwoliłem mu na to, żeby uciec z Warszawy.

Nagle spokojny, odjeżdżam.

Ziembiński też umrze, jak wszyscy. Przez dwa lata za ojcowskie pieniądze będzie się ukrywał w pensjonacie w Otwocku, we wrześniu walczył nie będzie, bo jako poszukiwany nie da się zmobilizować, później przez starych znajomych zaangażuje się w działalność Konfederacji Narodu, pod pseudonimem będzie pisywał do „Młodzieży Imperium", pieczołowicie rysując mapki słowiańskiego imperium, które powstać ma na gruzach starego świata. Służąc w Uderzeniowych Batalionach Kadrowych, zastrzeli paru Niemców i volksdeutschy. Po 1945 roku porzuci Piaseckiego i pozostanie w konspiracji. Zastrzeli dwóch komunistów. W 1947 roku wpadnie i po długim, pełnym tortur śledztwie i krótkim procesie rozstrzelają go w więzieniu na Rakowieckiej, a ciało, dla niepoznaki odziane w mundur Wehrmachtu, wrzucą do nieoznakowanego grobu, razem z wieloma innymi.

Ale dziesięć lat jeszcze pożyje. Pozwoliłem mu. Żeby uciec z Warszawy.

Jadę przed siebie, nie rozpoznaję ulic, nie dostrzegam ludzi, innych samochodów, po prostu zmieniam biegi, naciskam na gaz i hamulec, czasem skręcam, czasem przejeżdżam przez skrzyżowania prosto. Nie mam żadnych myśli.

W którymś momencie orientuję się, że mijam hotel Francuski, patrzę na zegarek, i nagle trzeźwieję, nagle wracam do rzeczywistości. Samolot startuje za czterdzieści pięć minut.

Czterdzieści pięć minut. Zdążę.

Hamuję gwałtownie, buick tańczy na kostce brukowej, wyskakuję z auta, biegnę po Emilię i chłopców, boją się mnie, cała trójka się mnie boi, nie ma czasu na pakowanie, krzyczę, jesteś pijany, nieważne, chodź, Emilia chwyta jakieś torby, Daniela za rękę, ja biorę Dawida, chłopcy biorą swoje wielkie, pluszowe misie, kiedyś przywiozłem je z jakiejś podróży, byli jeszcze bardzo mali, a teraz krzyczą, nie chcemy lecieć do Palestyny, nie chcemy lecieć, myślę o tym, że przecież bez Moryca nie mam tam żadnego kontaktu, ale cóż tam, mam siedemdziesiąt tysięcy dolarów, wystarczy, żeby kupić sobie dobre życie, polecimy chociażby i do Lyddy, jedziemy, Jerozolimskie, Grójecka, cylindry rzędowej ósemki wyją, ryczą, kiedy cisnę na gaz, pędzimy Grójecką sto na godzinę, sto dwadzieścia.

Sięgam do tyłu, zabieram chłopcom misie, protestują, daję je Emilii, z kieszeni wyciągam nóż, podaję jej również.

– Rozpruj, schowaj do środka pieniądze. Dwa tysiące dolarów wyciągnij na wydatki, miej pod ręką. Masz igłę i nić?

Ma, w portfeliku, już nawleczoną. Jak zawsze. Jedziemy. Zegarek. Lotnisko. Emilia fastryguje rozprute przytulanki i chłopcy dostają je z powrotem. Pistolet zostaje w schowku. Wysiadamy. Kluczyki kładę na siedzeniu. Nie zamykam. Nie będzie mi już potrzebny ten samochód.

Ale pewnie i tak nikt go długo nie ruszy, będą się bali, wszyscy wiedzą, że to mój buick.

Dlaczego tak niewiele pamiętam?

Pamiętam, że zdążyliśmy. To ważne. Jesteśmy na czas.

Kontrola paszportowa, pokazujemy prawdziwe dokumenty, bilety też są na prawdziwe, Jakub Szapiro, Emilia Kahan, czy to pańska żona? Nie, ale dzieci są nasze wspólne.

Chłopcy już zapomnieli, że nie chcieli wyjeżdżać, podnieceni, na płycie lotniska stoi zgrabny, chociaż jakby krótki i pękaty lockheed electra, srebrny i błyszczący jak lustro, dwa silniki, podwójne usterzenie, obsługa pozwala podejść, podchodzimy, nad okienkami napis „POLSKIE LINJE

LOTNICZE LOT", na stateczniku pionowym żuraw w okręgu, czekamy, aż otworzą, przed samolotem ściskam ich, ściskam chłopców, Emilię, otwierają, zapraszają, wsiadamy przez małe drzwiczki, w środku jest dziesięć miejsc, w dwóch rzędach, każdy fotel przy oknie, z wąskim przejściem pośrodku, wita się z nami pilot.

Pytają o pasażerów Moryca Szapiro i Zofię Beylin, nie, panie lotniku, Moryc i Zofia nie polecą do Palestyny, chłopcy pytają, gdzie jest wujek Moryc, nie odpowiadam, Emilia też milczy.

Siadamy z przodu, fotele bardzo wygodne, chłopcy zachwyceni, że siedzą każdy na swoim jak dorośli i widzą, co dzieje się w kabinie pilotów, za nami jeszcze trzech pasażerów, sami mężczyźni, płaszcze i kapelusze, mówią coś po francusku, siadamy, samolot drży, kiedy startują silniki i z hukiem kręcą się śmigła, kołujemy na pas i startujemy, pierwszy raz lecę samolotem i ostatni, Emilia się boi, ja nie, chłopcy piszczą, pas startowy ucieka spod kół, samolot odrywa się od ziemi, słyszę, jak chowa się podwozie i nagle pod nami pojawia się Warszawa.

Przedzielona pasem Wisły, połączona czterema mostami, Mokotów, Ochota, Saska, owal wyścigów konnych, płaskie prostokąty Filtrów, a dalej moja ojczyzna, moje królestwo Dzielnicy Północnej, królestwo, które porzucam dla piasków i palm Ziemi Izraela, chociaż nie wierzę ani w Boga, ani w księgę, ani w naszą krew.

Patrzę. Widzę Tłomackie. Widzę Kercelak. Kreski ulic, Leszno, Chłodna, Miła, nie wiem, która jest która, ale wiem, że tam są, znam każdego, kto chodzi po ich bruku, a już na pewno każdy zna mnie, na tamtych ulicach jestem Jakub Szapiro, policjanci mi się kłaniają, uśmiechają się dziewczęta, pobożni Żydzi, oburzeni, odwracają wzrok, boją się mnie faszyści i straganiarze, jestem Jakub Szapiro.

Bądź królem tego miasta, mówi dictaphone szumiącym głosem Kuma. Bądź królem tego miasta. Oto twoje królestwo.

– Zawracamy – szepczę.

– Co? – dziwi się Emilia.

– Ja muszę zostać. Poleć z chłopcami. Dojadę do was.

– Jesteś pijany. Oszalałeś.

– Zawracamy! – krzyczę. – Panie pilocie! Proszę wylądować! Przepraszam! Proszę lądować!

Rozpinam pas, samolot ciągle się wznosi, więc droga do kabiny jest trudna, jakbym się wspinał, chwytam się w końcu ścianek wąskiego przejścia.

– Siadaj pan! – krzyczy pilot. – Siadaj pan, do cholery jasnej!

– Panie pilocie, proszę wylądować, ja nie mogę wyjechać z Warszawy. Proszę wylądować! Coś mi się przypomniało!

– Siadać!

– Jakub, siadaj! – krzyczy Emilia.

Chłopcy płaczą. Trzej panowie pasażerowie wrzeszczą po polsku i francusku, żebym się uspokoił. Ale ja się nie uspokoję.

Drugi pilot odpina pas, wstaje, chwyta mnie za ramię, drugą ręką przytrzymując się oparcia fotela.

– Proszę się uspokoić, proszę usiąść.

– Ja nie mogę polecieć, nie mogę! – krzyczę.

– Proszę pana, wysiądziesz pan we Lwowie, jeśli trzeba, będziemy tam za dwie godziny.

– Lądujcie! Lądujcie! – wrzeszczę.

Lotnik odwraca się, przytrzymuje się ręką.

– Stasiu, wyląduj, nie możemy z wariatem lecieć, panika to zagrożenie, trzeba lądować – krzyczy do dowódcy, ten zgadza się skinieniem głowy. – Lądujemy, słyszałeś pan? A teraz siadać.

– Żydek zasrany – klnie pod nosem dowódca. – Wariat!

Siadam. Żydek zasrany. Siadam. Emilia patrzy na mnie przerażona. Milczy.

– Nie lecimy do Palestyny? – pyta Daniel.

– Wy polecicie, ja dolecę później – mówię, chociaż wiem, że Emilia nie poleci tam beze mnie.

– Zostajemy! – cieszy się Dawid, bo on też to wie.

Cieszą się obaj.

Gdybym wziął wtedy Bernsztajna na wychowanie, gdyby był wtedy ze mną, to kazałbym mu zostać w samolocie. Poleciałby do Palestyny. Odmawiałby Kadisz jatom w każdą rocznicę śmierci Nauma Bernsztajna. Walczyłby we wszystkich wojnach Mosze Inbara, o których czytałem w „Dzienniku Zachodnim" i które oglądałem w telewizji przez całe moje życie. Gdybym go wtedy wziął.

Moi synowie też by w nich walczyli. Gdybym nie wysiadł.

Ale nie wziąłem. I wysiadłem. Ciało Nauma Bernsztajna jak kogut na kaparot podzielone.

Lockheed przewala się przez skrzydło, zniża lot. Schodzimy do lądowania.

Jestem Jakub Szapiro. Nie czas jeszcze abdykować.

Jestem królem tego miasta.

Zamykam oczy.

Dwa gwiazdowe silniki Pratt & Whitney poruszają dwa śmigła. Każde śmigło ma dwa ramiona. Śmigła wkręcają się w powietrze i ciągną za sobą srebrny, lśniący kadłub lockheeda. Pilot wciska odpowiedni przełącznik i koła wyłaniają się ze swoich nisz w gondolach silników.

Pod nami Warszawa. Schodzimy do lądowania. Potem samolot wystartuje ponownie, już bez nas, pilot weźmie kurs na południowy wschód, na Lwów, gdzie zaplanowane jest pierwsze międzylądowanie. Potem Czerniowce, Bukareszt, Sofia i Saloniki, potem Ateny, potem Lydda. Ale ja zostaję. Zostaje Emilia i zostają chłopcy, ich drobne, chłopięce ciałka, ich mokra, zimna skóra na gorącym piasku nad Wisłą. Zostaję, aby panować i dwadzieścia trzy miesiące trwać będzie moje panowanie, a potem stracę wszystko.

Drobne ciała chłopców, ich chude ramiona i nogi, ich drobne palce. Oni obdarzeni śmiercią, ja skazany na życie.

– Kiedy wrócisz, tata? – pyta doroślejszy już o wiele Dawid, kiedy cztery lata później wychodzę z mieszkania w czapce i opasce odemana, wychodzę pijany i nie wiem jeszcze, że widzę go po raz ostatni, potem po drugiej stronie cały czas mam nadzieję, że ich wyciągnę, że zdążę, a potem stoimy z Ryfką w polskim tłumie po polskiej stronie muru, nie mam już czapki ani opaski odemana, ani gwiazdy na piersi, mam kapelusz, mam fałszywe

dokumenty, mam wąsy i okulary, Ryfka trzyma mnie za rękę i patrzymy jak za murem palą się Nalewki, Tłomackie, Miła, jak pali się tam cały nasz świat i wszyscy jego mieszkańcy, i wiem już, że nie zdążyłem. Myślę o samolocie, który wystartował z Okęcia i po sześciu przystankach wylądował w Lyddzie.

Drobne, chłopięce ciała, ramiona tak szczupłe, że mogę objąć je palcami jednej dłoni, mokra, zimna skóra na gorącym piasku nad Wisłą. Za ciało Nauma Bernsztajna na kaparot podzielone ich ciała.

A teraz jeszcze jesteśmy nad Warszawą. Nad Nalewkami, Tłomackiem, nad Miłą, nad Gęsią i placem Kercelego, nad moim królestwem. Lockheed zawisa nad miastem, jakby stracił całą prędkość, jak dziecięcy model na nitce zawieszony nad biurkiem.

Wyglądam przez okienko samolotu i widzę szary łeb kaszalota. Jego oczy płoną.

Patrzy na mnie, otwiera zębatą paszczę i śpiewa swoją pieśń myśliwego.

Berlin – Pilchowice,
kwiecień 2015 – czerwiec 2016

Przypisy

[1] Sam jesteś sobie winny, durniu, głupi frajerze!

[2] Naum, uciekajmy (...). Uciekajmy najpierw do mojej siostry do Łodzi, a potem do Palestyny albo do Ameryki, uciekajmy, Naum, bo przed gniewem tego puryca nie obroni nas żadna siła ludzka ani boska.

[3] Wszystkiego najlepszego, Bernsztajn (...). Szczęśliwej podróży.

[4] Tak nie można!

[5] pomyleńcu

[6] Wuju

[7] Wujku... Tańczmy, proszę...

[8] Dosyć tego!

[9] Uciekać, ludzie, ale już.

[10] Moryc, idź do domu.

[11] Zamknij pysk, Jakub (...). Nie z tobą gadam.

[12] Uciekaj stąd precz, tu nie jest miejsce dla ciebie!

[13] Twoja matka i brat wyjechali do Łomży, do jej siostry (...). Jakub dał im pieniądze.

[14] Dzień dobry, panie Szapiro.

[15] Dzień dobry! Dawno młodego pana nie było! Proszę się częstować!

[16] Tego cwaniaka nam tu jeszcze było trzeba.

[17] Pogadać przyszedłem. Pogodzić się.

[18] To są żydowskie sprawy i będę gadał po żydowsku. Ryfka, nalej mi jednego.

[19] Musisz wyjechać ze mną do Palestyny, Jakub. Tam jest nasza przyszłość. Tutaj są tylko te skurwysyny z Falangi. Nic dobrego nam się w Polsce przydarzyć nie może.

[20] Nic z tego nie będzie teraz, Jakub.

[21] Z czego?

[22] Z państwa żydowskiego w Palestynie. To znaczy teraz. Lada chwila aresztują Al-Husseiniego i tyle, wszystko zacznie się na nowo. Hagana potrzebuje żołnierzy, Jakub. Ludzi takich jak ty.

[23] Nie jestem żołnierzem.

[24] Tutaj nie czeka nas już nic dobrego.

[25] Dobrze. Cholera by was wzięła.

[26] Już, Jakub, już. To ja. Już, już... Spokój, Jakub, spokój...

[27] Przemoc za przemoc. Inaczej nie można.

[28] Nie gniewaj się, bracie, za tamtą awanturę.

[29] Pomyślę o tej Palestynie.

[30] Szlag by to trafił, znowu jakaś po męża przyszła...

[31] Jesteś idiotą, Szapiro.

[32] Niby czemu?

[33] ...wariat, bilecik spalił.

[34] A ona?

[35] Co ona?

[36] I jak ja potrafię być mężczyzną.